



**CELIA REES**

*Sovay*

**PRZYGODY PIĘKNEJ ROZBÓJNICZKI**

*Sovay, Sovay, pewnego dnia  
Wdziała na siebie męski łańch  
I przytroczywszy do pasa broń,  
By spotkać miłość, by spotkać miłość, wsiadła na koń.*

*Gdy przez równinę gnała co sił,  
Spotkała miłość, którą on był.  
„Młodzieńcze, złoto oddawaj mi,  
A jeśli dasz, a jeśli dasz, życie daruję ci”.*

*Więc kiedy dał jej ostatni grosik,  
Rzekła: „O jedną rzecz chcę cię prosić.  
Ten złoty pierścień na palcu twym  
Gdy mi go oddasz, gdy mi go oddasz, nie zginiesz z nim”.*

*„Ten pierścień to mój cenny skarb,  
Od ukochanej najmiłszy dar.  
Strzelaj opryszku, nie wahaj się,  
Za to na stryczku, za to na stryczku, powieszę cię”.*

*Nazajutrz pośród kwitnących łąń  
Szła dziewczyna wraz z ukochanym.  
A przy jej sukni zegarek tkwił.  
Młodzieniec zbladł, młodzieniec zbladł, palce w dłoń wbił.*

*„Ach czemu zbladłeś, mój ukochany,  
Byłeś na próbę wszak wystawiany.  
To ja włożyłam bandyty strój.  
Oddaję złoto, oddaję złoto i zegarek twój.*

*Tylko przekonać chciałam się,  
Czyś jest mężczyzną, czy też nie.  
Gdybyś ten pierścień zwrócił mi był,  
To bym strzeliła, to bym strzeliła, dziś byś już nie żył”.*

Ballada ludowa

# ROZDZIAŁ 1

Maj 1794 r.

Sovay wyjechała wcześniej, rosa jeszcze nie zdążyła wyschnąć na źdźbłach trawy. Gdy wymykała się chyłkiem ze stajni, chłopcy stajenni jeszcze spali, a kiedy przejeżdżała przez most na jeziorze, cienka warstwa mgły owinęła końskie kopyta tak jak pasmo porzuconego niedbale muślinu. Dopiero gdy dom został daleko za plecami, popędziła konia do galopu i pomknęła przez las przytulona do końskiej szyi. Zatrzymała się na krzyżówce i zajęła pozycję w bruździe za młodą brzozą - czekała na dyliżans z Londynu pewna, że on będzie nim jechał. Zdemaskuje jego prawdziwą naturę, którą sama niedawno poznała - lubieżność, fałszywość i udawane uczucia tego podłego i tchórzliwego łotra.

Byli przecież zaręczeni, a on zdradził ją z pokojówką. Już sama myśl o tej zdradzie napełniała ją ogromną wściekłością.

- Nie pierwszą tak zbałamucił - powiedziała jej służąca Lidia, patrząc na nią badawczo. Sovay nie miała matki, jej opiekunką była chorowita ciotka, więc Lidia wzięła na siebie część moralnego wychowania dziewczyny. Prawdę powiedziawszy, nie musiała się w tej kwestii zbytnio zamartwiać. Sovay nie była głupia. O nie.

Gniew dziewczyny mieszał się z niepokojem i niecierpliwością. Gdzież u licha jest ten dyliżans? Chciała już mieć to wszystko za sobą. Koń, na którym przyjechała, wyczuł jej podenerwowanie, bo zaczął przebierać nogami tak, że aż podkowy dzwoniły na kamieniach. Poklepała go po szyi i wyszeptała do ucha uspokajające słowa. W powietrzu wisiał słodkawy zapach janowców i żarnowców. „Kiedy janowiec przekwita, miłość wędnie” przypomniła sobie słowa matki. Mincio bardzo dużo czasu, odkąd je usłyszała. Oderwała gałązkę z żółtym kwieciem i przyczepiła do kapelusza, który pożyczyla sobie z garderoby brata. Myślami wróciła do zaplanowanej zemsty. Będzie ją błagał o litość, będzie pełzał u jej stóp i prosił, by darowała mu życie. A jeśli nie przejdzie testu, który dla niego przygotowała, zginie.

Z zamyślenia wyrwał ją świst bata, okrzyki i przekleństwa woźnicy, skrzypienie kół oraz prychnięcia zmęczonych koni. Wyjrzała dyskretnie zza zasłony liści, ale nie licząc dyliżansu, droga była pusta. Naciągnęła czarną maskę, którą poprzedniej zimy miała na balu maskowym, i zasłoniła dół twarzy zieloną jedwabną chustką. Dyliżans, trzeszcząc, dojechał do szczytu wzniesienia i niemal stanął w miejscu, bo ostry podjazd zmęczył konie. Kiedy woźnica zamachnął się batem, by pognać je do przodu, Sovay wyjęła pistolety i wyjechała im naprzeciw.

- Stać! Pieniądze albo życie! - krzyknęła, ale wiatr porwał jej słowa i uniósł ponad rozległymi polami.

Powtórzyła polecenie, tym razem głośniej, głosem bardziej rozkazującym. Strażnik podniósł rękę, a woźnica zatrzymał konie i opuścił bat. Serce zabiło jej mocniej na widok takiego posłuszeństwa. Cały czas kierując w ich stronę jeden z pistoletów, drugim zastukała w drzwi dyliżansu.

- Wszyscy wysiadać!

Z dyliżansu wyszło dwóch pasażerów: błądy i przestraszony James i jeszcze jeden młody mężczyzna. Ten drugi był dobrze zbudowany, miał zdrową, rumianą cerę i był chyba nieco starszy od jej brata, miał może ze dwadzieścia cztery lata. Wysiadł powoli, nie spiesząc się, nie wyglądał ani na zdenerwowanego, ani zdziwionego taką przerwą w podróży. Ta jego pewność siebie deprimowała dziewczynę. Wycelowała w niego swój pistolet i nakazała im wyjąć wszystkie kosztowności i umieścić w saku, który im rzuciła.

James ochoczo wypełnił polecenie, ale ten drugi wykazywał pewną opieszałość. Wkrótce jednak obaj oddali swoje zegarki i złoto.

- Chcę czegoś jeszcze - odezwała się do Jamesa. - Ten pierścionek, który masz na palcu. Oddaj go, a wtedy daruję ci życie.

Czuła, jak trzęsie się jej ręka, choć jeszcze przed chwilą była spokojna. To był właśnie test, który dla niego przygotowała. Ten pierścionek dała mu w zamian za inny jako oznakę miłości, przysięgał, że prędzej umrze, niż się z nim rozstanie. Jeśli teraz go odda, potwierdzą się wszystkie plotki, które o nim słyszała. James bez wahania chwycił za pierścionek, szarpał za palec, by go zdjąć, nawet splunął na dłoń, żeby łatwiej go było zsunąć. Sovay wycelowała teraz w niego, a całe drżenie ręki natychmiast ustało. Nie musiała nawet zmuszać go do błagania i płaszczenia się, bo zrobił to sam z siebie. Padł przed nią na kolana, zacisnął załzawione powieki i błagał ze złożonymi rękoma.

- Nie strzelaj, rozbójniku - odezwał się ten drugi mężczyzna, kiedy odbezpieczyła pistolet.

Wyjął pierścionek z rąk Jamesa i rzucił jej sakwę. Schowała pistolet do kabury, a on położył pierścionek na jej rozpostartej dłoni. Kamień zaśnił w promieniach słońca.

- Oddał ci wszystko - powiedział mężczyzna i spojrzał na nią uważnie. - Czego jeszcze można od niego chcieć? Małe rączki jak na rozbójnika - dodał i uśmiechnął się, jakby poznał jej sekret.

Był szybki. Błyskawicznie odgadł zamiary dziewczyny i nie spuszczając z niej oka, wybił jej rękę do góry, kiedy pociągała za spust. James krzyknął, ale kula chybiła. Konie stanęły dęba i skoczyły w bok, więc woźnica zaczął mocować się z nimi, żeby nie zerwały się i nie przewróciły dyliżansu. Sovay wykorzystała zamieszanie i uciekła. Miała coś do zrobienia w domu.

Sovay z trudem powstrzymała westchnienie, kiedy malarz rozpoczął swoją żmudną pracę. Stała się siedzieć nieruchomo, jak kazał jej już kilka razy wcześniej, ale cała dygotała z niepokoju. Była umówiona z Jamesem w ich sekretnym miejscu schadzek w ogrodzie. Z pewnością przyjdzie, może nawet już na nią czeka nieświadomy tego, że to właśnie ona była rozbójnikiem, który zatrzymał jego dyliżans. Być może nawet nie wspomni o tym incydencie, bo będzie wolał utrzymać w tajemnicy swo-

je poniżenie. Może pozwoli mu pokłamać przez chwilę, a potem uda, że zauważa brak pierścionka. Już na samą myśl o tym zadrżała, a Jonathan Trenton syknął z niecierpliwością.

- Ile razy mam panią prosić? - powiedział, nie podnosząc nawet wzroku znad płótna, na którym kreślił pędzlem delikatne linie.

Wymruczała przeprosiny i zapatrzyła się w ogród za plecami malarza. Nigdy nie miała zamiaru pozować do portretu, pomysł wyszedł od papy. Także i on wybrał artystę - obiecującego młodzieńca, który studiował u nieżyjącego już sir Joshuy Reynoldsa. Papa uwielbiał dawać szansę artystom zaczynającym dopiero swoją karierę, ale Sovay nie lubiła Trentona. Miał piskliwy głos, sam natomiast był grymaśny i apodyktyczny. Wyczuwała, że niechęć jest obopólna, chociaż malarz prawie w ogóle się do niej nie odzywał, chyba że chciał ją zbesztać.

Portret był już prawie skończony i Trenton był z niego zadowolony. To było dobre zlecenie, za płatę otrzymał z góry, ale żeby namalować obraz, musiał przyjeżdżać tu z miasta, a czasy były niebezpieczne. Na drogach grasowali rozbójnicy i nie oszczędzali nikogo, nawet biednych malarzy. Zarówno w mieście, jak i na wsi dochodziło do zamieszek, wywołanych tragicznymi wydarzeniami we Francji. Trenton nie należał do tchórzy i nie bałby się niebezpieczeństwa, gdyby tylko lubił swoją pracę. Jednak młoda kobieta, która teraz przed nim stała, nie była najłatwiejszym obiektem. Była piękna, ciemnowłosa i chętnie uwieczniłby tę urodę, ale jej twarz stanowiła mroczną maskę, niezdradzającą żadnych uczuć.

Dzisiaj było jednak inaczej. Na jej policzki wkradł się rumieniec, więc malarz dodał trochę różu do portretu. Coś też sprawiło, że kamienna obojętność, jaką zwykle widział we wzroku dziewczyny, ustąpiła pewnemu ożywieniu. Artysta zmienił pędzelek i dorysował maleńkie plamki bieli i ultramaryny na jej szarych tęczęwkach. Dziewczyna stała zazwyczaj zupełnie nieruchomo, tak że z trudem musiał powstrzymać się przed namalowaniem jej jako statui - albo wręcz przeciwnie, często zmieniała pozycję. Tym razem jednak wierciła się nieustannie. Poza tym trzymała jakiś przedmiot w dłoni i bawiła się nim, obracając go w palcach. Było to coś złotego, okrągłego.

- Co pani ma w ręku? - zapytał.

Nie zbeształ jej, ale przecież wiedziała, że nie wolno jej zmieniać niczego w swoim wyglądzie i stroju.

- Zegarek - odpowiedziała, zwracając się w jego kierunku.

Mruknął coś lekceważąco. Zegarek zupełnie nie pasował do portretu, który malował. Jeszcze jeden drobiazg przykuł jego uwagę - na środkowym palcu lewej ręki zauważył pierścionek. Co, u diabła, skłoniło ją, by go założyć?

Ruszyła dłonią i diament błysnął światłem odbitym od promieni słońca wpadających przez okno prosto z ogrodu. Odwróciła lekko głowę i spojrzała gdzieś ponad malarzem przez powiewające firany.

Najwyraźniej ktoś tam na nią czekał. Pewnie kochanek, pomyślał. Czy to on był przyczyną jej ożywienia? Pogłębiający się rumieniec na policzkach dziewczyny wydawał się sugerować odpowiedź.

- Może pani iść - powiedział.

Porzuciła swoją pozę i podeszła bliżej.

- Skończył pan?

- Zostało mi jeszcze trochę pracy - odparł, wzruszając ramionami - ale w zasadzie tak.

Dziewczyna chciała go wyminąć, myślami była już bowiem w ogrodzie za oknem.

- Nie chce się pani sama przekonać?

Zatrzymała się i obdarzyła go wyzywającym i zuchwałym spojrzeniem, tak bezpośrednim, jakby była nie kobietą, ale młodym mężczyzną.

- Prawdę powiedziawszy, nie. Nie lubię oglądać siebie samej.

Malarz zaśmiał się.

- Wszystkie kobiety lubią się oglądać, i młode, i stare.

- Proszę mi wierzyć, panie Trenton. Skoro mówię, że nie lubię, to nie lubię. Nie chciałam tego portretu, pozowałam panu tylko dlatego, żeby zrobić przyjemność papie.

- Nawet jeśli tak rzeczywiście jest... - malarz był zły sam na siebie, bo nagle miał ochotę prosić ją, a nawet błagać. Poczuł bowiem, jak ważne jest, żeby zaakceptowała jego dzieło.

Wyminęła go i spojrzała na portret. Uśmiechnął się lekko, czekając na jej reakcję, na oszłomienie własną urodą przedstawioną jego utalentowaną ręką. Wielokrotnie był świadkiem takiej reakcji. Suknia, w której pozowała, błyszczała na tle jej karnacji. Trudno było namalować biały, delikatny muślin, ale artysta uważał, że udało mu się uchwycić jego finezję. Dziewczyna miała siedemnaście lat, lecz styl sukienki, którą wybrał dla niej ojciec, luźnej i zwiewnej, bardziej pasowałby do dziecka. Na szczęście szkarłatna wstęga, którą Sovay obwiązała się w pasie, psuła nieco ten niewinny wizerunek. Trenton odsunął się do tyłu, by przyjrzeć się własnej pracy. Biel i czerwień stroju idealnie podkreślały jej ciemną skórę i włosy. Uchwycił ją w ulotnym momencie, kiedy z dziewczyny stawała się kobieta. Mimo posępnej miny była rzeczywiście piękna...

- Jak widzę, lubi pan zachwycać się własną pracą - powiedziała.

Ironia w jej głosie sprawiła, że się zaczerwienił.

- Miarą artysty są obiekty, które maluje - odrzekł z ukłonem.

- Gładko pan z tego wybrnął - powiedziała i uśmiechnęła się, a cała jej twarz zmieniła się w tym uśmiechu. Malarz żałował, że nie może namalować jej od nowa.

- Co pani o tym sądzi? - zapytał.

Nagle bardzo chciał poznać jej opinię.

- Dobry obraz, a pan jest dobrym malarzem. Tylko...

- Tylko co?

- Tak jak mówiłam, nie lubię patrzeć na siebie. A teraz pan wybaczy, ale muszę już iść.

To powiedziawszy, zostawiła malarza i pobiegła na spotkanie w ogrodzie, szybka jak Diana, bogini, którą wybrał dla jej portretu. Malarz podszedł do okna i spojrzął ukradkiem przez zasłony z nadzieją, że uda mu się dojrzeć młodzieńca, który tak pochłaniał jej uwagę. Dziewczyna zniknęła jednak za rozłożystym cedrem, w tunelu drzew okalających alejkę. Młode listki były właśnie w pełnym rozkwicie: miedziany brąz buków mieszał się z delikatnym złotem i bledziutką zielenią, co wyglądało jakby ktoś rozsypał błyszczące monety na ciemnozielonym tle. Artysta cofnął się do pokoju, zapisując w pamięci ten zestaw barw, i zaczął składać pędzle i sztalugi. Dokończy portret w swoim studio w Covent Garden. Domaluje jakieś sielankowe tło, może co nieco dzikie: las wczesnym latem, na horyzoncie może góry i jezioro. Lubił elementy alegorii. Jego ulubioną postacią kobiecą była Flora, bogini kwiatów, młodości, wiosny i płodności. Flora jednak tu zupełnie nie pasowała. Dziewczyna musi być Dianą, łowczynią. Może doda jej łuk i psa do towarzystwa albo namaluje jelenia w zaroślach. Trenton mruknął z zadowolenia. Tak, to jest dobry pomysł, ale skończy to już w bezpiecznym Londynie.

Sovay biegła aleją gnana wściekłością. Była spóźniona, ale nic nie szkodzi, niech czeka. Odwróciła pierścionek na palcu, tak że diamentowe oczko wbijało jej się w rękę. Zegarek trzymała w zacisniętej dłoni. Miał szczęście, że nie zabrała pistoletu, bo dokończyłaby to, co powinna była zrobić wcześniej.

Kiedy dotarła do Owalnego Pawilonu, ich ulubionego miejsca spotkań, przekonała się, że Jamesa jeszcze nie ma. Nie usiadła jednak na kamiennej ławie, usytuowanej w półkolu pawilonu, bo musiałaby spojrzeć na splecione inicjały wyrzeźbione w sercu na okrągłym stole. Już na sam widok tego miejsca robiło jej się niedobrze. W czasie niektórych schadzek, szukając większej prywatności, wchodziłi spiralnymi schodami do niewielkiego pomieszczenia, stanowiącego punkt widokowy. Sovay z trudem powstrzymała falę gniewu i upokorzenia. Już nigdy więcej tam nie wejdą.

Zaczęła chodzić tam i z powrotem, omiatając suknią trawę. Była gotowa na konfrontację, na pokazanie mu zegarka i pierścionka, ale najpierw chciała z niego zakpić, zemścić się za zdradę. Wsunęła zegarek i pierścionek do kieszeni. Z przyjemnością popatrzy, jak się będzie wił.

Przyszedł i zaczął ją gorąco przepraszać, opowiadając historię o tym, jak to napadła na niego banda opryszków. Był gotów stanąć z nimi do walki, ale przez tchórzliwego towarzysza podróży stracili cały swój dobytek.

- Nawet pierścionek, który ci dałam?

- Nawet - powiedział i rozpostarł palce. - Jak widzisz. Prosiłem bandytów, ale zabiliby mnie, gdybym im nie oddał.

- Przecież to był mój znak miłości do ciebie - powiedziała i spojrzała na niego wzrokiem jednocześnie zranionym i oskarżycielskim. - Mówiłeś, że prędzej zginiesz, niż się z nim rozstaniesz.

- Tłumaczę ci, że zostałem napadnięty - powiedział i podszedł bliżej, by ją pocałować. - Nie kłóćmy się, kochanie.

Sovay odwróciła się od niego i zrobiła krok do tyłu. Chciał iść za nią i zapewne dalej przekonywać. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest ładny, ale nie przystojny, że ma urodę na tyle gładką, by zawrócić w głowie młodej dziewczynie. Jednak jego błękitne oczy osadzone były zbyt blisko siebie, podbródek miał słabo zarysowany, a w układzie ust widać było rozdrażnienie. Jak mogła uznać go za atrakcyjnego? On nawet nie wyglądał na swoje dziewiętnaście lat, skórę na policzkach miał gładką, niczym płatki różane, z pewnością nie widziała ona jeszcze brzytwy. A i loczki miał miękkie jak u dziecka.

Zwróciła się w jego stronę i wyjęła rękę z kieszeni. Otworzył szeroko oczy, a policzki nabiegły mu krwią, kiedy ujrzał własny zegarek w jej dłoni i pierścionek na palcu. Rzuciła mu złoto pod nogi, a on cofnął się i uniósł ręce, jakby chciał się zasłonić przed blaskiem monet.

- To byłaś ty! - powiedział, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

Jednak jego spojrzenie stawało się coraz bardziej kamienne i po chwili odzyskał już panowanie nad sobą.

To jego ojciec nalegał na ten związek, bo w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie przechodził spory majątek.

- Kiedy skończy dwadzieścia jeden lat, odziedziczy fortunę - powiedział mu ojciec, a oczy błyszczały mu tak, jakby widział już to złoto. Jednakże okoliczności zmieniły się ostatnio. Przekazuje jej wieści one zamaskują jego upokorzenie. Miał szczęście, że udało mu się jej uciec. O tej rodzinie krążyło wiele różnych historii, zwłaszcza o stronie matki - mówiło się, że ich fortuna opiera się na pirackim złocie. Do tej pory uznawał, że najlepiej jest ignorować te opowieści, ale nie teraz. Ta rodzina była naznaczona, dzisiejsza scena tylko to potwierdzała. Kto to widział, żeby dziewczyna przebierała się za rozbójnika i napadała na dyliżans w biały dzień! Kto zechciałby taką kobietę za żonę?

- Chciałbym odzyskać zegarek - powiedział. - A pierścionek możesz sobie zatrzymać. Nie potrzebuję go. I właśnie przyszedłem, żeby ci to powiedzieć - dodał i spojrzał w niebo, jakby powtarzał sobie słowa, których wcześniej nauczył się na pamięć. - Między nami skończone, Sovay. Nie możemy być razem. Twój ojciec to szpieg jakobinów i wkrótce zostanie aresztowany. Moja rodzina nie może wiązać się z kimś, kto nie wykazuje bezwzględnej lojalności i posłuszeństwa wobec Jego Wysokości.

Sovay wpatrywała się w Jamesa, próbując zrozumieć sens jego słów.

- To prawda, Sovay! - zawołał, zdeprymowany jej przedłużającym się milczeniem. - Słyszałem wielokrotnie, jak twój ojciec podżega do buntu, jak opowiada się przeciwko królowi i rządowi. Nie możesz temu zaprzeczyć.

- Oczywiście, że mogę! Papa nigdy nie opowiadał się przeciwko królowi! Jest zwolennikiem reform, to prawda, ale to zupełnie inna sprawa.



- Słyszałem na własne uszy i to przy tym właśnie stole! Niepotrzebnie go bronisz, zresztą to samo tyczy się twojego brata! - powiedział i pokręcił głową. - Nigdy wcześniej nie słyszałem takich bluźnierstw, jak wtedy, gdy ostatni raz przyjechał z Oksfordu. To zupełnie by wystarczyło, żeby go aresztować, a nawet skazać - dodał i zahaczył kciuki o kieszenie kamizelki. Po jego wcześniejszym zdenerwowaniu nie było już śladu. - Twoja rodzina popadła w niełaskę, skandal wisi w powietrzu. To co? - spytał zaczepnie. - Nic kompletnie nie masz do powiedzenia?

Sovay pokręciła przecząco głową. W jej oczach zbierały się łzy wściekłości i nie mogła ufać własnemu głosowi. W tym, co mówił, słychać było opinie jego ojca, sir Roystona. Jak mogła kiedykolwiek uważać, że ta marionetka jest jej warta?

- W takim razie... - zaczął i sięgnął do kieszeni, zapominając, że nie ma tam zegarka. Sovay, która nade wszystko nie cierpiała szycia, pokaleczyła sobie palce, żeby wyszyć maleńkie różowe kwiatki na żółto-popielatym jedwabiu. Dzieło miłości. Jedna z podjętych przez nią prób, by robić to, co inne dziewczęta, i do tego zupełnie na marne! Odwróciła się, starając zapanować nad sobą. Gotów jeszcze pomyśleć, że jej łzy znaczą coś zupełnie innego.

Czy ona w ogóle coś do niego czuła? Pochlebiali jej jego zainteresowanie, to prawda. Był uważany za doskonałą partię, a Sovay czuła się dzięki temu lepsza od innych dziewczyn w okolicy. Sama sobie wmówiła, że naprawdę go kocha. Jak się okazało, zbudowała mu pomnik z niczego, który teraz walił się jak wieża z dziecięcych klocków. Jej brat Hugh zawsze uważał Jamesa za płytkiego, tchórzliwego człowieka, pozostającego pod kontrolą ojca. Cały ten związek był pomysłem papieża, który co prawda nie lubił napuszonego sąsiada, ale sądził, że małżeństwo wyjdzie im na dobre. Twierdził, że po ślubie Sovay będzie mogła wpoić Jamesowi i jego ojcu nowy, bardziej oświecony sposób myślenia. Jakby mieli jej słuchać!

Sovay kochała i szanowała papieża, ale czasem górę w nim brały ideały, w które wierzył. Miała smutne wrażenie, że teraz też była tylko częścią jego planu reformatorskiego. Traktował Jamesa tak, jakby był już jego zięciem, i długimi godzinami omawiał z nim różne idee: nowe metody uprawy ziemi, sprawy filozoficzne, naukowe i bieżące kwestie polityczne. James wysłuchiwał wszystkiego z uwagą, zachęcając do coraz śmielszych i radykalnych wyznań. A papież dawał się zwieść, zawsze ufny, dostrzegający w ludziach tylko ich dobre strony. Sovay zrozumiała, że to wszystko miało tylko jeden cel: skompromitować papieża. Kto tu więc był szpiegiem? Odwróciła się, by rzucić oskarżeniami pod adresem Jamesa, ale on już odchodził.

- Pieniądze możesz sobie zatrzymać - rzucił jeszcze przez ramię. - Bo o ile to, co słyszałem, jest prawdą - dodał z zimnym ostrzeżeniem - to wkrótce możesz ich potrzebować.

Nie nachylił się po złoto i ona też nie chciała go dotknąć. Moneta została tam, gdzie upadła. Ktoś znajdzie ją na szczęście.

Patrzyła, jak odchodzi, ale w głowie miała inny obraz: wyrzucone w górę ręce, wygięte plecy, wyobraziła sobie bowiem, jak upada na ziemię, brocząc obficie krwią i plamiąc jedwab swojej marynarki. Gdyby miała przy sobie broń, byłby już martwy.

## ROZDZIAŁ 2

Sovay ruszyła przez ogród w stronę domu. Jej gniew zelżał częściowo, ale nie minął całkowicie. Dobrze, że się go pozbyła, że przekonała się teraz, jakim jest zdrajcą i tchórzem bez kręgosłupa, ale złościło ją, że ją pokonał. Tak szybko odzyskał panowanie po początkowym zażenowaniu, a do tego zachowywał się, jakby był kimś lepszym od niej. Gdyby tylko była mężczyzną... no, ale gdyby nim była, to taka sytuacja z pewnością by nie zaistniała.

Myślami wróciła do porannych wydarzeń. Doskonale czuła się w ubraniu swojego brata. Było na nią trochę za duże, musiała zapiąć pasek, żeby nie zgubić spodni, i założyć dwie pary skarpet, by stopy nie wysunęły jej się z butów, ale wreszcie mogła iść bez krępujących ruchy sukni i obciskających gorsetów, wreszcie mogła jechać konno na oklep, a nie bokiem. Cieszył ją ciężar pistoletów i uczucie, kiedy trzymała je w dłoniach. No i ten widok twarzy Jamesa, to, jak wszyscy dokładnie wykonywali jej polecenia. To wszystko dawało jej ekscytację i radość, jakich nigdy wcześniej nie doświadczyła. Już na samo wspomnienie tamtych chwil serce zaczynało jej szybciej bić. A jednak bała się przyznać do tych uczuć - nawet przed samą sobą.

Jej złość na Jamesa wróciła ze zdwojoną siłą, ale część tej furii skierowana była na nią samą. Sovay była wściekła na własną naiwność i łatwowierność, to jednak było niczym w porównaniu z rzeczami, jakie James powiedział o jej ojcu. Czy to czysta złośliwość? Ich ojcowie nie lubili się zbytnio, na większość tematów kłócili się zaciekle. Sir Royston sprzeciwiał się nowatorskim pomysłom jej papy i nie krył opinii, że sir John Middleton rozpieszcza swoich pracowników, budując im domy i płacąc więcej, niż innych było na to stać. Papa argumentował, że może tak robić, ponieważ jego nowe techniki rolnicze odniosły sukces, ale sir Royston uznał, że w ten sposób utrudnia życie tym właścicielom ziemskim, którzy woleli stare metody. To prawda, że papa miał reformatorski umysł i interesował się zmianami szerszymi niż tylko uprawa roli, ale czy to czyniło z niego szpiega? I skąd James o tym wiedział? Te oskarżenia musiały wyjść od jego ojca. Sir Royston był członkiem parlamentu i miał cały okręg wyborczy w kieszeni. Bardzo rzadko uczestniczył w obradach parlamentarnych, ale potrafił tak się ustawić, żeby zawsze być blisko ludzi u władzy. W tym, co powiedział James, mogła być jakaś doza prawdy. Papy nie było teraz w domu, wyjechał do Londynu w interesach. Ciekawe, czy wie, co się o nim mówi? Jeśli nie, musi go w jakiś sposób powiadomić. Przyspieszyła kroku w kierunku domu.

- Panienko! Panienko! - Lidia wybiegła jej naprzeciw. - Szukają panienki. Mamy gościa. Co się stało? - zapytała podekscytowanym szeptem, kiedy wracały do domu.

Sovay pokazała jej pierścionek. Lidia otworzyła szeroko zielone oczy, a potem uśmiechnęła się tak, jak uśmiecha się kot, którego przypominała.

- Co to za gość? Ten malarz, pan Trenton?

- Nie - Lidia pokręciła głową. - On już wyjechał. Ktoś obcy. Pan Stanhope wysłał mnie, żebym znalazła panienkę.

Podczas nieobecności ojca William Stanhope nadzorował posiadłość, ale obowiązki rodzinne przypadały Sovay. Teoretycznie ciotka Harriet sprawowała nad wszystkim kontrolę, ale na jej pomoc nie można było liczyć. Samozwańcza inwalidka aplikowała sobie grog z nalewką opiumową, przez co prawie w ogóle nie wstawiała z łóżka.

- Ten pan czeka w bibliotece.

- Dziękuję ci, Lidio.

Kiedy weszła do biblioteki, młody mężczyzna studiował książki jej ojca. Tak był tym pochłonięty, że nie zauważył jej obecności, więc stała przez chwilę w progu, przyglądając mu się uważnie. Był średniego wzrostu i solidnej budowy ciała. Jasne, kręcone włosy miał w nieładzie, niedbale przewiązane z tyłu czarną wstążką. Buty miał zabłocone, a ciemny płaszcz opinał mu ciasno szerokie plecy. Kiedy wyprostował się, by sięgnąć po kolejny tom, materiał w ramionach zatrzeszczał, jakby miał za chwilę się rozedrzeć, a jego dłoń wydała się kanciasta i opalona na tle bladych grzbietów książek. Przeglądał woluminy niczym naukowiec, ubrany był jak dżentelmen, ale przypominał jej Gabriela Stanhope'a, syna zarządcy, który lepiej się czuł w lesie i na polu niżli w salonach. Zastanawiała się, czy przyjechał do ojca w sprawach rolniczych. Ludzie często przychodzili, by porozmawiać z nim o jego metodach. Skoro tak, czemu więc zarządca się nim nie zajął?

Mężczyzna odwrócił się, nadal z książką w ręku, jakby zdawał sobie sprawę z jej badawczego spojrzenia.

- Och - powiedział. - Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem, że nie jestem sam...

Zawiesił głos, ale nie dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć. Rozpoznał ją w tej samej chwili, w której ona poznała jego. To on jechał rano dyliżansem i to on był świadkiem jej rozbójniczego wypadu. Sovay oniemiała, mężczyzna szybciej jednak odzyskał opanowanie.

- Podziwiałem właśnie bibliotekę pani ojca. Zazdroszczę mu tego tomu - powiedział, podnosząc książkę, którą wyjął z półki: *Umowa społeczna* Rousseau, pierwsze wydanie z 1762 roku. - Wspaniały księgozbiór.

Sovay rozejrzała się po pokoju, patrząc na niego oczami gościa. Półki od podłogi aż po sufit wypełnione były książkami na każdy możliwy temat. Na ścianach wisiały chronometry i barometry, na podłodze stały globusy i astrolabia, w oszklonych gablotach znajdowały się wypchane ptaki i zwierzęta, a także próbki skał, minerały i skamieniałości. Każde wolne miejsce wypełnione było jakimś sprzętem, mosiężnymi urządzeniami, które coś wytwarzały lub mierzyły.

- Tak, papa ma rozległe zainteresowania - powiedziała. W tej samej chwili kilka zegarów wybiło godzinę, wygrywając mieszankę dźwięków, od melodyjek po poważne kuranty, a kilka innych odezwalo się po chwili, z opóźnieniem. - Należą do nich na przykład zegary - dodała, próbując przekrzyć hałas. Mężczyzna zaśmiał się.

- Przepraszam, że się nie przedstawiłem - powiedział i podszedł bliżej, wyciągając rękę. - Nazywam się Virgil Barrett. Pani z pewnością jest panną Sovay Middleton.

Ujął jej dłoń. Spodziewała się, że ukloni się i pocałuje ją w rękę, tak jak zrobiłby James, ale on uściśnął ją po męsku. Miał silny uścisk i ciepłą, suchą dłoń. Sovay odwzajemniła uścisk, po czym cofnęła rękę.

- Miło mi pana poznać, panie Barrett. Czy mogę zapytać, co pana do nas sprowadza?

- Przyjechałem do pani ojca, ale rozumiem, że w tej chwili nie ma go w domu.

- To prawda. Został nagle wezwany. Niestety, minął się pan z nim.

- Tego się właśnie obawiałem.

Mężczyzna zaczął przechadzać się po pokoju, nadal trzymając pod pachą książkę, którą zdjął w półki. Czy mógł zaufać tej dziewczynie? Od tej decyzji zależało życie i wolność wielu osób, w tym także jej ojca. Była jeszcze taka młodziutka i wydawała się bardzo ułożona, ale czyż nie widział jej wcześniej w męskim przebraniu? A konkretnie w stroju rozbójnika? Był pewien, że to była ona. Wszędzie rozpoznałby te oczy, w których czaiła się żądza mordy. To samo pragnienie widział już wielokrotnie w oczach innych ludzi - wtedy, gdy jako młody chłopak brał udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Życie, które obecnie wiódł, prowadziło go wśród wielu niebezpieczeństw, więc i teraz widywał takie spojrzenia. Tego typu zachowanie świadczyło o silnej, nieustępliwej naturze schowanej pod pozorem grzecznych i skromnych manier. Nie była zwyczajną dziewczyną, takie działanie wymagało odwagi i opanowania. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę - uznał, że te cechy pasowały do niezwykłych czasów, w jakich przyszło im żyć.

- Pan pochodzi z południowo-zachodniej Anglii? - zapytała, by zapęlić czymś ciszę. Nie potrafiła określić jego stylu, sposobu ubierania się, a nawet akcentu.

- Nie - zaśmiał się znowu, co w cichym, wypełnionym tykaniem zegarów pomieszczeniu, zabrzmiało naprawdę głośno. - Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych - powiedział z wyraźną dumą i uśmiechnął się, ukazując rząd białych, równych zębów.

- Rozumiem. Mój ojciec nazywa pański naród „latarnią wolności w świecie pogrążonym w ciemności”.

- I tak właśnie jest. Nie mamy nad sobą królów ani panów. Nie musimy przed nikim klękać. Sami tworzymy własne prawa i żyjemy w wolności.

- Nie do końca - powiedziała, wiedząc, że abolicja należała do jednej ze spraw zajmujących jej ojca.

- To prawda - odparł, odgadując w mig, o co jej chodzi. - Nie przyjechałem tu jednak, by dyskutować z panią o niewolnictwie.

- W takim razie po co pan przyjechał, panie Barrett? Przyznam, że mnie to ciekawi.

- Czy wie pani, dokąd udał się pani ojciec? Czy ma pani pojęcie, jaka sprawa go wezwała?

- Niezupełnie, ale jak już mówiłam, ojciec mój ma rozliczne zainteresowania i kontaktuje się z wieloma ludźmi w całym kraju. Często podróżuje, by się z kimś zobaczyć. Wydaje mi się, że pojechał do Londynu, by spotkać osoby, które prosiły go o pomoc.

- Muszę więc pani powiedzieć - zaczął mężczyzna, marszcząc czoło w głęboką bruzdę - że na ludzi, z którymi miał się spotkać, wydano nakazy aresztowania. Może nawet już zostali pojmani. To zapewne dlatego kontaktowali się z pani ojcem. On także znalazł się w kręgu podejrzeń i za nim też wysłano podobny nakaz - wyjaśnił i rozłożył bezradnie ręce. - Chciałem go ostrzec, ale miałem opóźnienie w podróży. Mój koń okulał, musiałem jechać dyliżansem...

Odwróciła się, żeby ukryć rumieniec. W świetle czekających ich kłopotów to, co zrobiła, wydawało się takie bezmyślne, głupawe nawet.

- Muszę panią ostrzec przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Ktoś tu już jedzie, wysłannik policji z listem gończym i dowodami świadczącymi przeciwko pani ojcu.

- Ale mojego ojca tu nie ma!

- To nie ma znaczenia.

- O co jest oskarżany?

- Prawdopodobnie chodzi o lżejsze zarzuty dotyczące podburzania przeciwko królowi i rządowi. Jeśli tylko nakaz dostanie się w ręce sędziów, pani ojciec zostanie aresztowany natychmiast, gdy się pojawi.

A sędzią był przecież sir Royston. Na pewno z radością dokona aresztowania, a jego własny syn James dostarczy odpowiednich dowodów. Przecież słyszała to z jego ust niecałe pół godziny wcześniej!

- Co się stanie?

- Jeżeli zostanie uznany za winnego? Więzienie. Może nawet zesłanie.

Papa nie cieszył się najlepszym zdrowiem. Dla niego będzie to wyrok śmierci. A przecież wynik jest przesądzony - któż zwątpi w słowa syna sędziego?

- Powiedział pan, że lżejsze zarzuty - Sovay spojrzała w zmartwione szaroniebieskie oczy mężczyzny. - Jakie są te cięższe?

- Może zostać oskarżony o zdradę stanu... - Virgil ściszył głos, jakby w obawie, że ktoś może ich podsłuchać.

- Zdradę stanu! - Sovay objęła się ramionami, czując, jak oblewa ją zimny pot, zupełnie jakby na Compton padł cień wydarzeń, zasłaniając wszelkie światło w słonecznej bibliotece i blokując dopływ ciepła. - Co się stanie, jeśli zostanie oskarżony?

- Kara za zdradę stanu to powieszenie i poćwiartowanie, nic się w tej kwestii nie zmieniło - powiedział i zawiesił głos. - I jeszcze...

- Co jeszcze? - zapytała i odwróciła się, by ukryć zdenerwowanie. Czy to, co usłyszała, nie wystarczyło?

- Gdyby pani ojca oskarżono o zdradę stanu, skonfiskowano by jego ziemie i cały majątek.

Ach tak. I kto by na tym zyskał? Z pewnością sir Royston. Cały dorobek ojca zostałby zniweczony. Pracownicy i wieśniacy skończyliby tak samo jak ci nieszczęśnicy, którzy pracowali dla sir Roystona, a rodzina Stanhope'ów zostałaby wyrzucona na bruk, by ich miejsce zajęli ci hochsztaplerzy zatrudniani przez Gilmore'ów. Nie, tego nie można było zaakceptować.

Była świadoma gromadzących się nad nimi ciemnych chmur, ale nie wiedziała, że burza jest aż tak blisko. Gdyby tylko bardziej interesowała się zajęciami ojca. Zrezygnował z ukochanych eksperymentów naukowych, od miesięcy nie otwierał swoich dzienników i notatników przyrodniczych, a stoły i blaty w warsztacie oraz laboratorium pokryła gruba warstwa kurzu. On sam spędzał zaś długie godziny w bibliotece, pisząc traktaty i niezliczone listy. Papa tak bardzo wierzył w słuszność swojej sprawy: w mądrość, wolność i równość. Od dzieciństwa wpajano jej te zasady tak mocno, że i dla niej, i dla jej brata dziwne było, że nie wszyscy je wyznają. W jej rodzinnym domu rewolucja francuska została powitana z wielką radością. Papa zasadził drzewko wolności na łące Compton Dasset, a zdobycie Bastylji w ubiegłym roku stało się okazją do wydania uroczystego obiadu dla przyjaciół o podobnych poglądach, pochodzących z całego kraju członków Towarzystwa Poniedziałkowego, którzy zbierali się w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, by omawiać sprawy naukowe i filozoficzne. Podczas obiadu wzniesiono toast za „francuskich patriotów”, „Toma Paine'a” oraz „prawa człowieka”, ale także za „króla i konstytucję”, co dokładnie zapamiętała. Papa gorąco wierzył w swoje idee, ale nie był nielojalny. Niestety, nie zastanawiał się zbyt nad niebezpieczeństwem, jakie mogły przynieść wyznawane przez niego poglądy, a jeśli nawet, troszczył się wówczas nie o siebie, lecz o innych ludzi. To wszystko działo się tuż pod jej nosem, ale ona niczego zdawała się nie zauważać, tak pochłonięta była tym szubrawcem Gilmore'em. Zapewne Virgil Barrett uważa ją za bardzo płytką osobkę. Teraz będzie musiała znaleźć sposób, żeby zatrzeć to złe wrażenie.

- Ten człowiek, ten policjant - kiedy się zjawi?

- Wydaje mi się, że mam nad nim kilka dni przewagi, ale nie więcej - powiedział i zawahał się. - Zostałbym, żeby pani pomóc, lecz muszę jechać na północ. Ten policjant wiezie cały plik nakazów i dowodów, muszę także ostrzec innych. Czy byłby to kłopot, gdybym poprosił panią o konia? Na tej kulawej szkapie, którą dostałem w karczmie, daleko nie zajadę. I jeszcze jedna rzecz... przerwał, nie

wiedząc, jak to powiedzieć. - Nie mam przy sobie żadnych funduszy i... - chwycił się za pustą kieszeń kamizelki - przydałby mi się zegarek.

Sovay zaczerwieniła się. To była jedyna aluzja do ich wcześniejszego spotkania na drodze, ale przez całą rozmowę miała je ciągle przed oczami.

- Oczywiście - odparła i podeszła do szuflady sekretarzyka. - Oto złoto dla pana, a także zegarek i łańcuszek.

Mężczyzna schował brzęczące monety do kieszeni i wnikliwie przyjrzał się zegarkowi.

- Bardzo podobny do mojego poprzedniego zegarka - zauważył z uśmiechem. - Powiedziałbym, że identyczny - to mówiąc, otworzył wieczko i przyjrzał się nazwie producenta. - Wykonany w Filadelfii. Cóż za zbieg okoliczności! No, kto by pomyślał?

- Prawda? - Sovay zaśmiała się mimo zakłopotania, wdzięczna, że tak zręcznie potrafił załagodzić sytuację.

- W zbiorach mojego papy znajdują się przedmioty drobne, ale i spore rzeczy. Poszukajmy dla pana odpowiedniego konia.

- Dziękuję - powiedział i ujął jej dłoń. Tym razem złożył na niej pocałunek. - Mam nadzieję, że następnemu naszemu spotkaniu będą towarzyszyły szczęśliwsze okoliczności.

- Ja też mam taką nadzieję - odparła i uśmiechnęła się. Polubiła go i liczyła na to, że się jeszcze kiedyś spotkają. Dopilnowała, żeby dostał konia i wszystko, co było mu potrzebne do dalszej podróży.

Podziękował jej i odjechał zadowolony z dobrego wierzchowca. Ładna dziewczyna. Nie, ładna to niewłaściwe określenie - niedostateczne, ale i przesadne. Dziewczyna była niemal piękna. Wyglądała na niewysoką, kiedy stała na stopniach i machała mu na pożegnanie. Taka młoda, a musiała samotnie stawić czoła siłom, które zaczynały się wokół niej gromadzić, by stłamsić płomień wolności, tak jasno rozświetlające ten jakże miły dom. Już się niemal zdecydował zawrócić, by przyjść jej z pomocą, ale ostatecznie uniósł tylko rękę i popędził konia. Jego obowiązkiem było powiadomić pozostałych o grożącym im niebezpieczeństwie, zanim będzie za późno.

Sovay nie potrafiła się skupić na żadnym zajęciu. Wiedziała, że niepokój nie minie, dopóki nie odnajdzie ojca i nie zawiadomi brata w Oksfordzie. Krążyła po pustych pokojach i wszystko wydawało jej się nagle takie drogie.

Nad całym dobytkiem zawisło niebezpieczeństwo - jeśli skonfiskują dom, wszystko zostanie spalone, sprzedane lub rozdane ludziom. Tylko dlaczego? Za co? Spojrzała na portret wiszący nad kominkiem. Papa miał taką dobrotliwą twarz, kąciki jego ust podnosiły się lekko, jakby nie mógł powstrzymać uśmiechu, a w ciemnych oczach skrzyła się inteligencja. Jak zwykle ubrany był prosto, a ponieważ miał lekką nadwagę, guziki kamizelki napinały się na brzuchu. W żółtawym fraku i schludnej, jasnobrazowej peruce wyglądał jak arystokrata, który pracuje w swoim gospodarstwie dla przyjemności. Papa stał w dumnej pozie przed ukochaną posiadłością Compton, ze strzelbą u boku i psem

przy nodze. Na widok ojca Sovay poczuła, że bardzo go kocha. Papa to dobry człowiek, wspaniało-myślny, miły dla pracowników, zawsze gotów wysłuchać każdego, zawsze skłonny pomagać potrzebującym. Dlaczego miał zostać ukarany? Bo miał dociekliwy umysł? Z powodu tego, w co wierzył? A wierzył w reformy, w to, że każdy człowiek ma prawo do tajnego głosowania, a mandaty parlamentarne nie powinny przypadać takim ludziom jak sir Royston. Czy to była działalność wywrotowa? Albo zdrada stanu? Czy zamierzano uciszyć wszystkich ludzi o podobnych poglądach?

Sovay weszła powoli po schodach, przyglądając się portretom rodzinnym. Oto mama w młodości, ubrana w rozłożystą suknię sprzed dwudziestu lat. Piękna, blad różowa satyna, suto marszczona, ozdobiona kokardkami i koronką przypominającą rozkwitnięte róże. Siedzi w altanie, a wokół niej rozsną róże w takim samym, bladym odcieniu. Sovay westchnęła - mama zmarła, kiedy ona miała pięć lat.

Na górze skręciła i weszła do salonu mamy. Rzadko tu zaglądała, bo ciężko to znosiła. Chociaż mama nie żyła od dwunastu lat, ojciec wymagał, by zawsze stały tu świeże kwiaty i nikt nie ruszał rozstawionego serwisu do herbaty. Obok kominka wisiał zbiór miniaturowych obrazów, przedstawiających małą Sovay i Hugh. Siedmio- czy ośmioletni Hugh był ładnym dzieckiem, rumianym, z blond lokami, ale mimo urody nikt nie wzięby go za dziewczynkę. Kołnierzyk i krawat miał przekrzywione, włosy wydawały się niesforne, a w oczach czaił się ogień świadczący o buntowniczej, psotnej naturze. Sovay była młodsza, miała nie więcej niż trzy, cztery lata. Nie pamiętała nic z tamtego pozowania. Ciemnowłosa, poważna dziewczynka z kokardą równie dobrze mogłaby być kimś obcym. Pamiętała tylko szczeniaka, którego na obrazku przyciskała do siebie. Na kolejnym portrecie Hugh i Sovay stali razem, nieco starsi, przebrani za arlekina i kolombinę. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak Hugh nienawidził tego obrazu i ciągle go gdzieś chował. Mama zamówiła ten portret, kiedy jej zdrowie się pogorszyło i trzymała go przy łóżku, jakby chciała zabrać ze sobą ich podobizny.

W ostatniej owalnej ramce wiszącej na ścianie nie było żadnego portretu, tylko pukiel ciemnych, kręconych włosów mamy. Mimo wyeksponowania po tylu latach nie stracił nic ze swojego blasku. Sovay odwróciła głowę, czując, jak pod powiekami pieką ją łzy. Pamiętała te włosy, starannie czesane i przybierane przez panią Crombie, jak leżały na poduszce wokół maminej twarzy, tak bardzo białej, bielszej niż prześcieradło.

Otarła łzy i wyszła z pokoju. Teraz do niej należało znalezienie sposobu na ocalenie domu. Czy inni nie walczyliby także w obronie dobrego imienia rodziny, w obronie honoru? Czyż można mieć do niej pretensje, że chce tak robić? Kiedy schodziła po schodach, miała już w głowie plan.



# ROZDZIAŁ 3

Tak zaczęła się kariera Sovay jako rozbójniczki. Nie znała strachu. Miała poczucie wyższego celu, a za każdym razem, gdy wyskakiwała na drogę ze słowami: „Pieniądze albo życie!” czuła świeży powiew ekscytacji. Podobało jej się oczekiwanie na podróżników w te jasne, letnie poranki, pośród śpiewu skowronków i makolągów, w powietrzu gęstym od ciężkiego zapachu janowców i żarnowców. Każdego dnia zrywała świeżą gałązkę - przynosiły jej bowiem szczęście. Do tej pory szczęście jej zresztą nie opuszczało, za każdym razem wszystko szło tak gładko jak za pierwszym, a na jej drodze stawali zwykli podróżni, nie spotkała żadnego zbiega ani nikogo podobnego. Nie bawiło jej zabieranie kosztowności i pieniędzy, bo nie taki przyświecał jej cel, przejawiała w tej kwestii pewną beztróskę. Jeśli pasażer wyglądał biednie, podróżował na dachu lub z tyłu, w miejscu na bagaże, nic mu nie zabierała. Kobiety traktowała z wielką galanterią, składała im ukłony, całowała w rękę i zostawiała im pierścionki i medaliony.

Zebranych łupów nie zatrzymywała dla siebie - w drodze powrotnej do domu rozrzucała monety na ścieżkach, którymi biegały okoliczne dzieci, by płoszyć ptaki, złoto porzucała na wrzosowiskach, aby znaleźli je biedacy ścinający tam janowiec, srebro zaś przrzuciła przez żywopłoty do ogródków. To wszystko, a także jej duma i rycerskość przyczyniały się do tego, że z każdym dniem rosła o niej legenda i krążyło coraz więcej rozmaitych opowieści. Uzyskała nawet przydomek, który zawdzięczała gałązce żarnowca przypinanej do kapelusza. Tajemniczy Ognisty Kapitan - Captain Blaze.

Wyjeżdżała właśnie ze stajni na kolejną eskapadę, kiedy czyjaś ręką chwyciła ją w kostce. Koń nie drgnął nawet, ale ona aż podskoczyła w siodle.

- A dokąd to się wybieramy w taki piękny, letni poranek? - zapytał Gabriel Stanhope, syn zarządcy, patrząc jej prosto w oczy. Uśmiechał się denerwująco i najwyraźniej nie miał zamiaru jej puścić - czekał na odpowiedź, zacieśniając uścisk ręki na jej bucie.

- Nie powinno cię to obchodzić. Puść mnie!

Znała go od dziecka, od niemowlęctwa właściwie. Dorastali razem, był nawet okres, kiedy traktowała go jak własnego brata. On, ona i Hugh byli w zasadzie nierozłączni, biegali razem po lasach i łąkach. Wiele razy płakała do poduszki wieczorem zazdrosna o przyjaźń między Hugh i Gabrielem, zrobiłaby wtedy wszystko, żeby zyskać uznanie w jego oczach. Teraz jednak byli dorośli i wszystko się zmieniło. Nadal pozostawali przyjaciółmi i bardzo go lubiła, ale nie oznaczało to przecież, że może jej rozkazywać, jakby nadal byli dziećmi.

- Jeżdżę gdzie i kiedy mi się podoba - burknęła. - I nie muszę pytać cię o pozwolenie.

- I teraz też? W takim stroju? To niebezpieczna gierka, Sovay. Ludzie plotkują w karczmie o tym, że na drogach pojawił się nowy dżentelmen - drobny i szczupły, delikatnej urody, ale podobno

lekkomyślny i niezwykle śmiały. Nazwano go Ognistym Kapitanem od żółtej ozdoby - dodał i wskazał głową na gałązkę żarnowca, która nadal tkwiła na jej kapeluszu jeszcze z poprzedniego wypadu.

- Naprawdę? - Sovay usiadła wygodniej w siodle. - Ognisty Kapitan. Hmm, nawet mi się podoba.

- To nie są żarty, Sovay. Mam nadzieję, że te szaleństwa nie mają nic wspólnego z tym idiotą Gilmore'em. Podobno na niego też był napad.

- Tamto to było coś innego. Teraz mam inne cele, o wiele poważniejsze.

Pochyliła się nad Gabrielem i poczuła dobrze sobie znany zapach siana, koni i skórzanego siodła. W miejscach, które pochlapał wodą, jego gęste, złotorude włosy były mokre. Miał podwinięte rękawy i rozpiętą koszulę, zupełnie jakby właśnie mył się przy pompie na dziedzińcu. Widać było, że nie zdążył się jeszcze ogolić, bo na policzkach widniał jednodniowy miedziany zarost. Popatrzyła na jego szeroką twarz, spaloną od słońca podczas pracy na polu z chłopami. Zauważyła zmarszczone z niepokojem czoło i zatroskanie w niebieskich oczach.

- Nadciągają kłopoty, Gabrielu - powiedziała. - A ja zamierzam im przeciwdziałać. Musisz pozwolić mi jechać!

Puścił ją niechętnie, a kiedy odjechała, stał i patrzył w ślad za nią. Nie był w stanie jej zatrzymać, była córką właściciela, panią tego domu. Wszedł do stajni i przez chwilę nosił się z myślą, żeby za nią pojechać, nawet bez siodła, na oklep, jeśli zajdzie taka potrzeba. Wiedział, którą ścieżkę wybierze w lesie i gdzie wyjedzie na drogę. Znał miejsce, w którym będzie czekała na dyliżans. A jednak powinien tu zostać. Zdawał sobie sprawę z tego, że nadchodzi ciężki czas. W kraju krążyły plotki o rewolucji podsycane wydarzeniami we Francji. Znowu - i to ze zdwojoną siłą - odrodził się ruch za króla i ojczyznę, a wraz z nim pojawiła się konieczność składania przysięgi wierności i prześladowania wszelkich radykałów. Ojciec Sovay nie cieszył się popularnością wśród ludzi, wyznawał skrajne poglądy w każdej niemal kwestii, a zmiany, jakie wprowadził w swoim majątku, nie wszystkim się podobały. To wystarczyło zapewne, żeby rzucić się na niego i splądrować dom. Takie przypadki zaistniały już przecież gdzie indziej.

Gabriel dobrze wiedział, co powinien zrobić. Musi tu zostać, zresztą i tak było już pewnie za późno, żeby zatrzymać Sovay. To, co robiła, było czystym szaleństwem, ale cechowały ją odwaga i determinacja, więc z pewnością nie dałaby się odwieść od swoich planów. Za to właśnie ją zawsze podziwiał. Jeździła konno i strzelała tak dobrze jak mężczyźni, ale groziło jej niebezpieczeństwo i dlatego się o nią martwił. Upór i temperament przesłaniały jej czasem poczucie ostrożności i rozwagi. Dobrze pamiętał, jak ona i Hugh byli dziećmi. Kiedy pozna się kogoś w dzieciństwie, zna się go już na zawsze. Mogli się zaślaniać - Hugh książkami, a Sovay manierami damy - ale przecież nie takich ich zapamiętał. Szalone natury, zawsze ze sobą rywalizowali, żadne z nich nie potrafiło ocenić stopnia niebezpieczeństwa. Ileż to razy wyciągał ich z oparów, kłamał dla nich, brał na siebie winę i dostawał

ciągi, a jednak nigdy nie protestował, bo kochał ich oboje, choć każde inaczej. Zaczął się zastanawiać, czy teraz będzie musiał za nią zawisnąć na stryczku.

Wrócił do siodłami po płaszcz i kapelusz, zdjął ze ściany garłacz. Ta staroświecka broń wisiała tu na wszelki wypadek, do obrony przed intruzami, ale była naładowana, a przy tym skuteczna z niewielkiej odległości. Zresztą Gabriel nie miał czasu, żeby szukać czegoś innego. Zawiązał chustkę, żeby zaciągnąć ją na twarz, wskoczył na Belmonta, którego miał właśnie zaprzęgać do wozu z sianem, i pogalopował na wrzosowisko.

Kiedy Sovay znalazła się na drodze, zerwała świeżą gałązkę żarnowca. Ognisty Kapitan - uśmiechnęła się do siebie, na wspomnienie tego przydomka. Wokół roztaczał się cierpki zapach ja-skrawożółtych kwiatów. Przypięła gałązkę do kapelusza za pomocą diamentowej szpilki, którą dostała kiedyś od jakiegoś eleganta; kilka gałązek wpięła też w uździenicę konia.

Zajęła pozycję przy krzyżówce, poprawiła maskę i chustkę, poluzowała broń. Lada chwila powinna usłyszeć tętent końskich kopyt na kamienistej drodze.

I rzeczywiście, chwilę później na drodze pojawiły się konie, zwolniły, z trudem podjeżdżając pod stromiznę, ale kiedy znalazły się na szczycie, woźnica uderzył batem, gotów pognać konie z górki. Sovay wyjechała z ukrycia, konie spłoszyły się, ale nie miały zamiaru się zatrzymać. Obok woźnicy siedział strażnik z przygotowaną bronią, drugi zajmował miejsce z tyłu dyliżansu. Najwyraźniej towarzystwo przewozowe nie zamierzało ryzykować po ostatnim nasileniu napadów.

Dyliżans przemknął obok, a strażnik wycelował w Sovay. Dziewczyna poczuła świst kuli tuż przy swoim policzku. Woźnica wrzasnął i trzasnął batem po zadach spoconych koni.

- Stać! - rozległ się nagle obok czyjś głos. - Róbcie tak, jak wam każe!

U boku Sovay znalazł się drugi rozbójnik. Miał podobny strój - kapelusz, płaszcz podróżny i chustkę naciągniętą na twarz. Dosiadał ciężkiego konia i miał ze sobą stary muszkiet.

- Głupek na koniu zaprzęgowym - powiedział woźnica i splunął na ziemię. - Zjeżdżajcie mi z drogi.

- Może i na koniu zaprzęgowym - odparł Gabriel - ale za to potrafi w sekundę przewrócić ten wasz wózek. - A to - pomachał garłaczem - zrobi ci śliczną dziurę w głowie. To co? Macie ochotę wypróbować?

Strażnik siedzący przy woźnicy spoglądał nerwowo - broń wyglądała na starą, ale z pewnością mogła przedziurawić człowieka.

- Rzućcie obaj broń! - krzyknął Gabriel i podjechał do Sovay, która trzymała na muszce strażnika siedzącego z tyłu.

W oknie dyliżansu pojawiła się nagle głowa mężczyzny ubranego w czerwoną policyjną kamizelkę i niebieską marynarkę.

- Co to za zwłoka? - wykrzyknął. - Jedziemy, jedziemy, psubraty! Zastrzelić opryszków, tchórze jedne!

Strażnicy jednak zignorowali krzyki i złożyli broń. Gabriel skinął głową na Sovay. Zastukała w drzwi dyliżansu. Wszyscy pasażerowie zaczęli wysiadać.

- Parszywe psy! - wrzasnął człowiek w czerwonej kamizelce w stronę strażnika i woźnicy. - Pewnie wszyscy razem w spisku! - zawołał i pogroził im laską. - Dowiem się, jak się nazywacie, możecie być tego pewni. Dopilnuję, żebyście zawiśli tuż obok tych dwóch. Żebyście wiedzieli. I nic wam nie zapłacę!

Odwrócił się do Sovay, patrząc na nią wzrokiem pełnym nienawiści. Podjechała bliżej i wycełowała broń prosto w jego głowę.

- Tym więcej mam powodów, żeby cię zastrzelić - szepnęła.

Na dźwięk odbezpieczanej broni na twarzy mężczyzny pojawiły się krople potu.

- Nie mam przy sobie nic cennego.

- Co jest w tej teczce?

- Tylko dokumenty. One nie mają żadnej wartości.

- Zabieram je.

- Nie! - zawołał i podniósł laskę, żeby uderzyć ją w ramię, kiedy sięgała po teczkę.

- Rzuć to - zażądał Gabriel - albo odstrzelę ci głowę. Mężczyzna spojrział prosto w szeroką lufę garłacza i laska spadła ze stukotem na kamienie.

- A teraz teczka - powiedziała Sovay.

Urzędnik wykazał się wszelką możliwą opieszałością i niechęcią, ale w końcu przekonał go widok naładowanego pistoletu. Podał teczkę, która okazała się nadzwyczaj ciężka.

- Teraz wy - powiedział Gabriel i skierował broń na kulących się pasażerów dyliżansu. - Przekażcie to, co macie, ale nie wystawiajcie naszej cierpliwości na dalsze próby, bo was wszystkich zabijemy.

Sovay rzuciła im worek, który miała przedtem przytroczony do siodła, a pasażerowie skrzętnie wykonali polecenie. Odebrała od nich wypchaną sakwę. Gabriel skierował broń na urzędnika.

- Podaj mi laskę! - krzyknął. - Ale już!

Mężczyzna niechętnie wykonał polecenie. Gabriel wyjął mu laskę z ręki i popędził nią swojego konia. Tuż za nim pogalopowała Sovay, pochylając się nisko w siodle na wypadek, gdyby strażnik zdecydował się posłać za nimi kulkę. Zwolnili dopiero na skraju lasu.

Gabriel odkręcił miedzianą rączkę od laski i wyjął zwinięty papier.

- Ten człowiek jest wykonawcą nakazu sądowego. To nakaz aresztowania dla waszego ojca.

- Daj mi to - wyjęła mu z ręki dokument i już miała popędzić konia w stronę domu, kiedy Gabriel przytrzymał uździenicę.

- Poczekaj! - powiedział. - Sovay, to niezwykle pochopne zachowanie, żeby nie powiedzieć głupie. Udawanie rozbójnika może skończyć się na szubienicy.

- W takim razie zawiśniesz razem ze mną.

- Nie mogłem zostawić cię samej.

- Zresztą jak mi to udowodnią? Rozbójnik-kobieta? Kto by w to uwierzył?

Zaśmiała się i popędziła konia, rumiana i tak beztroska, że Gabriel poczuł jeszcze większy lęk o jej przyszłość.

Wjechali już na drogę prowadzącą do domu, kiedy na ścieżkę wybiegł jakiś chłopiec. Nie spojrział nawet na Sovay, z góry zakładając, że to ktoś obcy. Zdjęła maskę, ale nadal miała naciągniętą chustkę, jakby chciała ochronić nos i usta przed kurzem.

- Panie Gabrielu! Proszę szybciej! Jacyś panowie podjeżdżają pod dom.

- Panowie? Jacy panowie?

- Nie wiem, proszę pana - chłopiec wzruszył ramionami. - To nie żołnierze ani nic takiego, ale niektórzy mają mundury. Mają drągi i dzidy i mówią, że przyszli w imieniu króla i ojczyzny. Krzyczą, że nasz pan jest aresztowany i że chcą sprawiedliwości. Sir Royston stoi na czele - powiedział chłopak i zmarszczył czoło. - Pana ojciec jest daleko, na polach kukurydzy, szukaliśmy pani Savy, ale nigdzie jej nie ma, więc pana mama kazała nam pana znaleźć!

- Ilu ich jest? - zapytała Sovay, zapominając o swoim przebraniu.

Chłopiec spojrział na nią z zainteresowaniem i przechylił głowę, jakby ten obcy głos zabrzmiał nagle znajomo.

- Nie wiem - odparł - ale sporo.

- No dobrze, Jack - Gabriel sięgnął do kieszeni po pensa. - Zbierz tylu ludzi, ilu uda ci się znaleźć, i każ im przyjść na dziedziniec.

Bosonogi chłopiec pobiegł w podskokach, zaciskając w dłoni monetę.

- Weźmiemy pistolety z arsenału i wszelką inną broń, jaką znajdziemy - powiedział Gabriel do Sovay. - Zostaniesz w środku, a ja zbiorę ludzi przed domem.

- Nie ma mowy! - oburzyła się. - Sądziś, że będę się kryła jak lisica w swojej norze? Zamierzam wyjść mu naprzeciw. Nic nie zrobi bez nakazu - to mówiąc, nachyliła się i poklepała Gabriela po ręce. - Razem przepędzimy i jego, i tę całą bandę.

Po szybkiej akcji Lidii Sovay ukazała się oczom zebranych w nieskazitelnym, popielatym damskim stroju do jazdy konnej. Trzymała w ręku szpicrutę i stała na górnym stopniu schodów prowadzących do dużego portalu. Patrzyła na grupę mężczyzn, którzy zgromadzili się przed domem. Tuż za nią stała Lidia z wielkim stalowym szydłem, którym - jak oznajmiła - była gotowa zadawać poważne ciosy. Obok Lidii stanął kucharz z wałkiem w dłoni. Gabriel z ponurym wyrazem twarzy stał na czele dwóch rzędów ludzi pod ścianą. Mężczyźni w pierwszym szeregu mieli broń palną, pozostali trzymali

w ręku to, co udało im się znaleźć - stare miecze, dzidy i halabardy zdjęte ze ścian domu; a także własne narzędzia pracy, a więc widły, sierpy i noże, które i tak budziły grozę.

Ludzie sir Roystona mieli w zasadzie podobne uzbrojenie. Część z nich nosiła mundury - Royston zgromadził armię ochotników i na własny koszt przygotował dla nich uniformy zaprojektowane przez Jamesa. Ten zaś siedział na koniu ubrany w błękitnokremowy mundur, dumny niczym kapitan huzarów. Jedną rękę oparł na srebrnej rękojeści szabli, na głowie miał kapelusz z pióropuszem, na piersi natomiast galon z frędzlami. Wyglądał komicznie. Sovay usłyszała za plecami zduszony chichot Lidii, sama też wybuchłaby pewnie śmiechem, gdyby nie to, że sytuacja była naprawdę poważna. Zmierzyła wzrokiem siły zgromadzone przeciwko sobie. Ludzie sir Roystona wydawali się cisi i milczący, jakby wcale nie mieli ochoty się tu znaleźć, ale nie mieli innego wyjścia. Resztę stanowiła grupa zebrana zapewne w okolicznych szynkach - hałaśliwi i w dużej mierze pijani mężczyźni. Na czele wszystkich stał sir Royston - masywna postać na delikatnym gniadoszu. Chciał podjechać pod sam dom, ale kiedy ludzie Gabriela zwarli szyki i zrobili krok do przodu, wycofał się.

- Czego tu chcecie? - rozległ się głos Sovay.

Krzyki ucichły, zamiast nich pojawiły się lubieżne spojrzenia i szydercze odzywki.

- Jakim prawem wtargnęliście na moją ziemię?

- To nie twoja ziemia, lecz twojego ojca, a on ma zostać aresztowany - odkrzyknął sir Royston.

- Jesteśmy tu, by sprawiedliwości stało się zadość.

- Aresztowany? - Sovay udała zaskoczenie i przerażenie. - Na jakiej podstawie?

- Podburzania i zdrady stanu. A teraz usuń tę hołotę z mojej drogi!

Znowu próbował przełamać szereg, a jego ludzie ruszyli za nim, wołając „Wichrzyciel!”, „Zdrada!” i „Sprawiedliwości stanie się zadość!”. Gabriel wystrzelił ostrzegawczo w powietrze i cały zgiełk ucichł w jednej chwili.

- Mojego ojca nie ma i dobrze pan o tym wie. Pytam więc ponownie, po co tu przybyliście?

- Mamy przeszukać dom i skonfiskować materiały wywrotowe.

- Macie nakaz rewizji? - zapytała, chociaż wiedziała doskonale, że go nie mają, bo właśnie spoczywał w jej kieszeni.

Spojrzała na mężczyznę ciekawa, co teraz zrobi.

- Spodziewam się go w ciągu najbliższej godziny - odparł.

- A więc nie ma go pan w tej chwili. W takim razie nie przejdziecie dalej i nikt z was nie postawi nogi w tym domu. I przypominam panu po raz kolejny, że wtargnęliście bezprawnie na naszą ziemię. Na pańskiej ziemi wielu ludzi straciło nogę w pułapkach albo nawet życie od kuli z karabinu, tyle samo zostało skazanych na banicję dokładnie za to samo przewinienie. Zanim wystąpicie ponownie przeciwko mojemu ojcu, przypomnijcie sobie dobrze miłosierdzie, jakie wykazał wobec tych, których sądził. Ilu ocalał od wygnania albo od stryczka. Domagacie się sprawiedliwości - mój ojciec zawsze

wykazywał sprawiedliwość i bezstronność w swoich wyrokach. Czy to nie jest prawda, powiedzcie sami?

Krzyki i drwiny ustąpiły szeptom. Sovay wiedziała, że trafiła przynajmniej do niektórych. Większość z tej hałastry to ludzie, którzy mieli powody, by czuć wdzięczność wobec sędziego Middletona, znanego ze swojej łagodności i sprawiedliwości w ferowaniu wyroków. W stronę sir Roystona skierowały się wrogie spojrzenia.

Jednak nie wszyscy zmienili zdanie. Armia ochotników to nie to samo, co zebrana w karczmach przypadkowa grupa, to praworządni obywatele na żołdzie sir Roystona.

- Dość tych pogawędek! - wrzasnął nagle James i spojrzał na oddział, szukając wsparcia. Popędził konia, a oni ruszyli za nim. - Trzeba wyczyścić to siedlisko buntu.

Znajdował się na tyle blisko, że mógł uderzyć na Gabriela, zanim ten zdążyłby wycelować i strzelić. Sovay bała się o przyjaciela, ale wiedziała, że nie ustąpi. Nie chciała rozlewu krwi po żadnej stronie, jednak James miał chyba ochotę na atak. Miała przy sobie ukryty pistolet i postanowiła, że jeśli napastnik się zbliży, nie zawaha się strzelić. James próbował wyciągnąć szablę, lecz tak niezdarnie mocował się z pochwą, że nie udało mu się wydobyć długiego zakrzywionego ostrza.

- Uważaj, bo jeszcze się zatniesz! - krzyknęła do niego Sovay. - Sugeruję, żebyś nie sięgał po broń, dopóki nie nauczysz się jej używać!

Na te słowa rozległ się chóralny śmiech wszystkich, którzy je usłyszeli. Atak Jamesa spełził na niczym, a on sam kręcił się tylko w siodle czerwony z wściekłości i szarpał się z szablą, ryzykując, że zaraz spadnie z konia.

- Tak jak mówiłam, sir Roystone - proszę przyjechać, kiedy będzie miał pan nakaz rewizji. A teraz żądam, by opuścił pan moją posiadłość.

Na znak dany przez Gabriela ludzie z Compton ruszyli do przodu. Tyły grupy zebranej przez sir Roystona zaczynały się już rozpraszać, zwłaszcza że z przeciwnej strony nadciągał William Stanhope, a wraz z nim zebrani na polach ludzie z grubymi kijami, sierpami i kosami. Niedobitki sir Roystona znalazły się pomiędzy dwiema siłami i błyskawicznie dokonały odwrotu. Wszak przybyli tu, by się poawanturować, może coś złupić, ale z pewnością nie po to, by prowadzić wojnę.

- Wróć tu jeszcze, moja panno - powiedział sir Royston, a jego nalana twarz pociemniała jeszcze bardziej. - Następnym razem nie będziesz już miała tyle szczęścia.

Gabriel dopilnował, by „armia” sir Roystona opuściła posiadłość. Kiedy wrócił, Sovay już nie było.

- Pojechała? - zapytał Lidię. - Dokąd pojechała?

- Do Londynu, żeby odszukać naszego pana - wyjaśniła Lidia, która wrzucała właśnie ubrania do torby. - Ja mam jechać najbliższym dyliżansem.

- Pojechała konno?

- Tak - Lidia wyglądała, jakby chciała coś ukryć. - Wzięła Brady'ego.

- Przebrała się za mężczyznę, prawda?

Lidia wydeła dolną wargę na znak buntu, ale nie zaprzeczyła.

- Lidio, ja wiem, co ona robi - Gabriel nie krył zniecierpliwienia. - I nie wątpię, że jej w tym pomagasz.

- Powiedziała, że tak będzie szybciej - Lidia zajęła się z powrotem pakowaniem. - Prędzej dojedzie na miejsce i mniejsze prawdopodobieństwo, że ktoś ją będzie napastował...

- A ty nawet nie próbowałaś jej zatrzymać! Jesteś starsza i powinnaś mieć na nią dobry wpływ. Powinnaś była wykazać się większym rozsądkiem!

- Przecież pan wie, jaka ona jest. Kiedy już podejmie decyzję, nikogo nie słucha. Dlaczego więc miałyby słuchać mnie? Zresztą podziwiam ją za to. Widział pan, Gabrielu, jak rozprawiła się z sir Roystonem? - Lidii aż zaświeciły się oczy na to wspomnienie. - Zupełnie jak królowa broniąca swojego terytorium. Nie ma tu żadnego mężczyzny do pomocy. Co ona ma zrobić?

Spojrzała na Gabriela buntowniczo. Bez względu na to, co do niego czuła, nie zdradzi swojej pani. Gabriel zrobił już swoje, żeby uchronić Sovay przed jej lekkomyślnością, ale Lidia nie pojmowała jego rozumowania. Miała ostry język, zdecydowane opinie i bardzo niezależną naturę. W jej oczach Sovay nie robiła niczego złego. Żeby miała ją powstrzymać?! Jeszcze czego! Obie były sobie warte.

Gabriel zostawił Lidię z jej pakowaniem. Od dawna marzyła o podróży do Londynu, teraz jej życzenie miało się spełnić. Pieczę nad londyńskim domem sprawowała roztropna pani Crombie - Lidii i Sovay przyda się jej opieka. W obecności tej starszej gospodyni nie będą mogły działać tak pochopnie i nierozsądnie.

Gabriel musiał przyznać, że Sovay była odważna. Odesłała z kwitkiem sir Roystona i jego bandę. Potraktowała ich z góry i nawet cienia strachu nie było w niej widać. A teraz znowu pojechała przebrana za rozbójnika. Co za diabeł ją opętał? No, przynajmniej pieniędzy jej nie zabraknie. Nikt nie rozsiodłał Brady'ego, więc pojechała z przytroczonymi sakwami pełnymi złota pochodzącego z ostatniej eskapady. Gabriel spakował swój worek. Już podjął decyzję - bezcelowe było gonienie Sovay. Miała sporą przewagę, a on nie wiedział, którą drogę wybrała. Zostawi ojca, żeby pilnował majątku, a sam uda się do Oksfordu, trzeba powiadomić Hugh, co się tu dzieje. Potem mogą razem pojechać do Londynu i dopilnować, żeby Sovay nie pakowała się już w żadne kłopoty. Sovay miała rację - trzeba zawiadomić pana, ale przecież mogła zdać się na Hugh. Zresztą może sir John wie już o gromadzących się nad jego głową czarnych chmurach? Może właśnie dlatego wyjechał z domu - żeby odciągnąć kłopoty, tak jak ptak odwraca uwagę drapieżnika od swojego gniazda? Jeśli taki właśnie cel mu przyświecał, to niestety - nie udało się!



# ROZDZIAŁ 4

Wydarzenia we Francji wzbudziły alarm w całym kraju i Sovay nieraz musiała chować się w zaroślach lub za wjazdem na farmę, żeby zrobić miejsce kolejnej bandzie ludzi, uzbrojonych w prowizoryczne dzidy. Czasem krzyczeli do niej, pytając, czy opowiada się za królem i ojczyzną, ale najczęściej ignorowali jej obecność na drodze, zakładając, że to dżentelmen, a do tego uzbrojony w szablę i pistolety.

Miała zamiar jechać szybko i unikać zajazdów, ale zrobiła się głodna i chciało jej się pić, a Brady był coraz bardziej zmęczony. Uznała, że jeśli chce, żeby koń wytrzymał jazdę do wieczora, musi dać mu odpocząć, napoić go i nakarmić. Tuż przy drodze ujrzała farmę, więc zagadnęła żonę gospodarza, która kręciła się na podwórzu.

Kobieta ochoczo zaproponowała jej gościnę, jaką często oferuje się podróżującym.

- Mogę dać panu chleb i ser - powiedziała. - W mleczarni jest też świeże mleko, gdyby pan chciał, młodzieńcze.

Sovay zsiadła z konia i odparła, że będzie bardzo wdzięczna za cokolwiek i że za wszystko chętnie zapłaci.

Żona farmera nie chciała jednak słyszeć o pieniądzach. Zawołała chłopca i kazała mu zaopiekować się Bradym, a sama wskazała Sovay mleczarnię.

Po ciężkiej jeździe chłód mleczarni wydawał się niezwykle kojący. Młoda dziewczyna oderwała się od ubijania masła i podała jej wiaderko mleka. Sovay wypila duszkiem zawartość kubelka i wytarła usta w rękaw. Dziewczyna nie spieszyła się z powrotem do pracy. Była bardzo ładna, miała duże oczy w odcieniu bławatków i uśmiechała się leniwie. Na policzkach kwitł jej różany rumieniec, a prosta sukienka z dekoltem obnażała nieskazitelną, kremową skórę na szyi i ramionach.

- Taki z pana przystojny młodzieniec. Dokąd jedzie pan w ten piękny letni dzień? - zapytała i podwinęła wyżej rękawy sukienki.

- Do Londynu - odparła Sovay.

- Chciałabym bardzo tam pojechać - westchnęła dziewczyna i podeszła bliżej. - Mówią, że tam tyle możliwości, że kobieta może coś osiągnąć. Pewnie tak jest. Może zabierzesz mnie z sobą?

- Nie mogę - Sovay pokręciła głową z uśmiechem. - Mam tylko jednego konia, a bardzo mi się spieszy.

- Spieszy, co? - zaśmiała się dziewczyna, ukazując rząd równych, białych zębów. - Skoro tak, to może zainteresuję cię czymś innym? Mam truskawki i wiśnie, słodkie i dojrzałe - powiedziała i mruknęła okiem. Na pulchny palec nawijała kosmyk długich, jasnych włosów, który wymknął się jej spod czepka i opadł na piersi.

- Gdzie? - Sovay rozejrzała się dookoła, ale nie zobaczyła żadnych owoców.

Dziewczyna zaśmiała się jeszcze głośniej.

- Bystry to ty nie jesteś! - powiedziała. - A skoro chcesz tylko mleka, to może byś chciał mi za nie zapłacić?

- Oczywiście - Sovay sięgnęła do kieszeni.

- Nie pieniędzmi, głuptasie - dziewczyna podeszła zupełnie blisko. - Całusem.

Sovay odsunęła się dalej. Ta urocza mleczarka po prostu z nią flirtowała! Ta gadka o truskawkach i wiśniach - dziewczyna miała na myśli coś zupełnie innego! Sovay zaczerwieniła się wbrew sobie i ukloniła się nisko, by pokryć zmieszanie. Musiała się jeszcze sporo nauczyć, jak to jest być mężczyzną.

- Chętnie bym na to przystał - powiedziała i złożyła pocałunek na rękę dziewczyny - ale obawiam się, że spieszno mi w dalszą drogę.

To mówiąc, przesłała mleczarce całusa spod drzwi i odeszła, starając się, by jej krok wyglądał pewnie i dumnie.

Zaledwie wyjechała na główny trakt, kiedy nagle drogę zajechał jej pędzący powóz.

- Z drogi! - krzyczał woźnica, zmuszając ją do gwałtownego zatrzymania konia.

Nachyliła się nad Bradym i poklepała go po szyi. Szeptala mu coś cicho do ucha, próbując go uspokoić, a potem skierowała ponownie na drogę. Czowała narastający gniew. Mogła spaść z konia. Brady mógł zostać ranny. Nie będzie tolerowała takiego zachowania. Jak on śmiał zepchnąć ją z drogi?

Kiedy w końcu uspokoiła konia, powóz zniknął już prawie zupełnie na horyzoncie, ale i tak go poznała. James Gilmore tyle razy chwalił się eleganckim pojazdem będącym w posiadaniu jego rodziny - polakierowanym na ciemnoniebieski kolor, z czarno-złotymi kołami, najnowszymi resorami i nowoczesnym zawieszeniem, ciągniętym przez dwa idealnie dopasowane, silne i odważne konie.

Wyobrażała sobie, jak sir Royston siedzi w środku kołysany na boki i knuje jakąś następną intrygę.

Wściekłość wróciła ze zdwojoną siłą. Ten człowiek uknuł spisek przeciwko jej rodzinie, wysłał swojego syna na przespługi, sprowadził hołotę pod jej dom, by terroryzować ludzi jej ojca, a teraz nieomal zmiotł ją z drogi! Nie zamierzała, co prawda, więcej bawić się w rozbójnika, ale skoro tak - popędziła konia na skróty, przez porośnięte wrzosem pagórki, zdecydowana dać nauczkę sir Roystonowi.

Odnalazła pusty kawałek drogi na niewielkim wzniesieniu. W tej samej chwili na horyzoncie pojawił się powóz. Odczekała, aż się z nią zrówna, a wtedy wyjechała na drogę.

- Pieniądze albo życie! - krzyknęła, unosząc wysoko pistolety. Woźnica zawahał się, ale po chwili uznał jednak, że lepiej będzie się zatrzymać.

W oknie ukazała się głowa sir Roystona, który chciał wiedzieć, co u diaska się dzieje. Na widok Sovay otworzył szeroko oczy.

- Po co się zatrzymałeś, ty przebrzydły tchórze! - wrzasnął na woźnicę. - Jedziemy, dalej!

Woźnica uniósł bat, jakby zamierzał posłuchać swojego pana. Sovay wystrzeliła w powietrze, a wtedy opuścił rękę. Dziewczyna wycelowała drugi pistolet w sir Roystona.

- Ty tam! - krzyknęła. - Wysiadać!

Sir Royston ukazał się w całej okazałości. Jego poszarzałą twarz pokrywały plamy, co przypominało zepsutą wołowinę.

- Wszystko, co masz - powiedziała Sovay. - Tutaj - dodała i rzuciła mu sakwę, odbezpieczając broń.

- Doprawdy? A niech to licho - powiedział i uśmiechnął się. W jego małych oczkach czaiły się złośliwe ogniki. - Poznaję tego konia. I znam twój sekret, panienczko!

Rzucił się do przodu, żeby złapać za uzdę Brady'ego. Koń przestraszył się gwałtownego ruchu i stanął dęba, uderzając kopytem w klatkę piersiową mężczyzny. Sovay z trudem utrzymała się w siodle, a woźnica wykorzystał nagle zamieszanie i sięgnął po broń, którą trzymał w skrzyni pod nogami. Sir Royston przewrócił się na ziemię i leżał, nie mogąc złapać oddechu, a tymczasem woźnica wystrzelił w kierunku Sovay.

Brady wystraszył się huku i odskoczył, więc kula chybiła. Woźnica miał jeszcze jeden pocisk, a drugi strzał z pewnością byłby celny. Sovay zawróciła Brady'ego i wycelowała własny pistolet w woźnicę. Też chybiła, ale mężczyzna wystraszył się i puścił lejce. Konie zdenerwowane głośnymi wystrzałami skoczyły do przodu jak z procy, przewracając powóz.

Sovay odjechała, popędzając Brady'ego. Nie wszystko poszło tak, jak planowała. Satysfakcja z widoku sir Roystona na ziemi, a jego eleganckiego powozu rozbitego w rowie została przyćmiona przez świadomość tego, że jej tajemnica się wydała. James z pewnością powiedział ojcu. Postanowiła, że wyprze się wszystkiego, bo któż uwierzyłby w tak niewiarygodną historię? Tak czy inaczej, to wydarzenie zasiało w niej wątpliwości i chociaż ogromną radość sprawił jej widok sir Roystona, tarzającego się w kurzu i pyłe, to jednak zdawała sobie sprawę z tego, że to niebezpieczny przeciwnik który wykorzysta ten sekret przeciwko niej.

Postanowiła, że lepiej będzie, jeśli do zmroku nie wróci na główną drogę. Jechała z dala od jakichkolwiek śladów cywilizacji. Zaczynało już zmierzchać, mgła zgęstniała w dolinach, a zachodzące słońce odbijało się złotym blaskiem na niebie, kiedy dojrzała wreszcie unoszący się w powietrzu dym. We wgłębieniu pomiędzy wzgórzami, wzdłuż wstęgi drogi, przycupnęło miasto. Poprawiła kapelusz, naciągając go głębiej, by cień przesłonił jej twarz, i zdała sobie sprawę, że nadal tkwi tam gałązka żarnowca. Odpięła ją pospiesznie i rzuciła w krzaki. Kiedy wjechała do miasta, w oknach domów i chatek rozbłysło już światło. Była zmęczona, a i Brady miał już dość jazdy. Czas było gdzieś odpocząć.

Podjechała pod zajazd i zeskoczyła z konia. Na dźwięk stukających na brukowanym dziedzińcu końskich kopyt pojawili się ludzie. Sovay podała wodze chłopcu o brązowych lokach.

- Opiekuj się nim dobrze - powiedziała i wsunęła mu w dłoń kilka monet. - A rano dostaniesz więcej.

Chłopiec skinął głową i szybko schował pieniądze, żeby pozostali ich nie dojrzeli. Sovay weszła do zajazdu, naciągając chustkę na twarz i opuszczając kapelusz. W niskiej sali gospody panował ścisk i rejwach. Kamienna podłoga śliska była od rozlanego piwa, a powietrze zgęstniało od dymu z fajek i zapachu cebuli. Sovay zawołała właściciela. Początkowo twierdził, że zajazd jest pełen, ale kiedy sięgnęła po sakiewkę i wyjęła garść monet, oznajmił, że może dzielić pokój z innymi gośćmi. Pokazała mu jeszcze więcej złota, a wtedy dostała to, czego chciała. Nie wyglądała, jakby brakowało jej pieniędzy.

Musiała poczekać, aż właściciel usunie poprzednich lokatorów. Kupka złotych gwinei podarowała jej pokój bez towarzystwa od frontu budynku, dzięki czemu mogła obserwować ulicę. Zasłony wokół łóżka były pokryte grubą warstwą kurzu, czystość pościeli też pozostawiała wiele do życzenia, ale w pokoju przyjemnie grzał kominek, a i jedzenie było znośne. Sovay była głodna, przez cały dzień niewiele miała w ustach, więc szybko pochłonęła pieczoną wołowinę z ziemniakami i kapustą, a resztę sosu wytarła chlebem. Po posiłku zamówiła dodatkowe świece oraz dzban wina, a kiedy je przyniesiono, wydała polecenie, by nikt jej nie przeszkadzał. Jedyne wygodne krzesło w pokoju przysunęła do kominka, naląła sobie wina i zabrała się za badanie zawartości teczki, którą ukradła urzędnikowi sądowemu.

Było tam mnóstwo papierów i dokumentów. Na samym zaś dnie znajdowała się duża skórzana sakiewka pełna złota. To dlatego teczka było nadzwyczajnie ciężka. Sovay nie spodziewała się znaleźć pieniędzy, a już na pewno nie tyle. Było tam więcej gwinei, niż kiedykolwiek widziała. Zanurzyła dłoń w sakiewce, a monety niczym ryby prześlizgiwały się jej między palcami. Wydobyła papierowy zwitek - nominały tych cienkich białych kartek przyprawiły ją o zawrót głowy. Schowała wszystko z powrotem do sakiewki i zawiązała mocno sznurkiem. Kiedy została rozbójniczką, przyświecały jej konkretne cele, natomiast zupełnie nie obchodziło ją zabierane złoto. Przysparzało jej najwięcej kłopotów - co z tym robić? A ten łup oznaczał jeszcze większe problemy.

Tymczasem na dole w sali gospody rosła sława Sovay. Cledbury to mała miejscina, gdzie nic się nigdy nie dzieje, więc lokalni mieszkańcy nadzwyczaj żywo interesowali się wszelkimi podróznymi. Zaskoczył ich jeździec, który nie zechciał się do nich przyłączyć i zaintrygowała ich okazała ilość gotówki, jaką miał przy sobie.

- Sakiewka pełna złota - powiedział właściciel, chichocząc na samą myśl o tym, ile pieniędzy udało mu się uzyskać za wynajęcie pokoju.

- I jest taki przystojny - powiedziała w rozmowie z barmanką Betty służąca Emilia, która usłużywała Sovay. - Szczupły jak trzcina ma piękne, długie włosy, błyszczące niczym jedwab. Zupełnie jak jakiś kawaler. Zażądał świeczek. Jak myślisz, po co?

Betty nie miała pojęcia i Emilia też nie potrafiła się domyślić. Rozważania przerwały im wieści ze stajni - Merrick, chłopak, który opiekował się koniem podróżnego, trafił na coś tak istotnego, że nie był w stanie zatrzymać tej informacji tylko dla siebie. Była to gałązka żarnowca.

- Znalazłem ją zaplątaną w uździenicę - wysapał i podniósł do góry żółte kwiatki, pełen niekłamane podziwu. - To chyba Ognisty Kapitan.

Wieści o tym, że na drodze pojawił się nowy przystojny rozbójnik, szybko krążyły od jednych rogatki do następnych, wzdłuż tras pokonywanych przez dyliżansy. Merrick skupił na sobie uwagę wszystkich zebranych.

- Ach! - odezwał się siedzący w kącie przy kominie Jeremiah Berrow. - Słyszałem, że jest w okolicy. Podobno zjechał z głównej drogi i wybłągał kubek mleka na farmie Harrisonów. Za mleko zapłacił pocałunkiem - tak przynajmniej powiedziała Jemowi młoda Jenny, która tam pracuje. Ale dla Jema nie miała buziaka - zaśmiał się chrapliwie mężczyzna.

- I jeszcze wywrócił ten elegancki powóz - dodał Merrick.

Powóz sir Roystona przyjechał z trudem po południu i był właśnie w naprawie. On sam zmuszony był kontynuować swoją podróż w dyliżansie.

Jeszcze długo dyskutowano nad tym, czy tajemniczy gość z pokoju na piętrze jest rzeczywiście tym słynnym rozbójnikiem, a jeśli tak - to co należy w tej sprawie uczynić. Po głębszych przemyśleniach uznano, że nic. Rozbójnicy cieszyli się skrywaną estymą, a do tego byli zwykle uzbrojeni po zęby i znani z gwałtownej i brutalnej natury. Cledbury nie miało policjanta, a straż była nic nie warta - nikt z obecnych w zajeździe nie odważył się wystąpić przeciwko tajemniczemu podróżnemu.

W najdalszym kącie gospody siedział samotnie jeszcze jeden obcy. Digby Clayton był ekspertem w zachowywaniu anonimowości, tak więc nikt praktycznie nie zauważył drobnego mężczyzny w zakurzonym czarnym stroju i taniej, niedopasowanej peruce. Siedział sam, skubiąc chleb i ser i popijając piwo z niedużego kufla. Mówił mało i nie wzbudzał zainteresowania ani innych podróżnych, ani miejscowych, a jednak w niezauważalny sposób przysłuchiwał się uważnie dyskusji, notując dokładnie, kto co powiedział. Poruszał tylko lekko ustami, powtarzając pod nosem każdą usłyszaną wypowiedź, jakby chciał zapisać ją w pamięci. Za kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy będzie w stanie wyrecytować to wszystko słowo w słowo. To niezwykle cenna umiejętność. Skoczy później spotkać się z chłopakiem, który ma dla niego szkapę na dalszą podróż na południe. A gdy już będzie w stajni, spojrzy na konia tego tajemniczego dżentelmena. Po koniu można wiele wyczytać.

W tym czasie na piętrze obiekt ich domysłów, czyli Sovay, czytała właśnie plik papierów znajdujących się w teczce. Była dokładna, każdemu dokumentowi przyglądała się uważnie. Niektóre napisane zostały po francusku. Znała ten język na tyle dobrze, że zrozumiała, iż wyszły spod pióra szpiegów komentujących wydarzenia w Paryżu. Odłożyła je na bok i zaczęła przeglądać pozostałe, segregując je według sobie tylko znanego klucza.

Były tam nakazy aresztowania i rewizji, listy, pisemne zeznania oraz raporty ze spotkań odbytych na terenie całego kraju. Wszystkie oświadczenia podpisane zostały inicjałami *D.C.*, *D.P.*, *J.E.* i *L.C.* bądź imionami: *Sykes*, *Oskar*, *Warner* lub też pseudonimami takimi jak *Dawid Kapelusznik*, *Tomasz ze Spitafields* czy *Jan Misjonarz*. Domyśliła się, że wynikało to z potrzeby dochowania tajemnicy. Część dokumentów to były oryginały, resztę przepisał ktoś drobnym, równym pismem. Na niektórych stronach widniały inicjały bądź litera X. Sovay uznała, że są to zapisy ustnych zeznań. Pośród papierów trafiały się zarówno dokumenty napisane uczonym stylem, jak i takie, które pisał niemalże analfabeta. Co jakiś czas pojawiała się nazwisko jej ojca i jego przyjaciół z Towarzystwa Poniedziałkowego lub podobnych organizacji z całego kraju. Byli wśród nich lekarze, pastory, naukowcy i przemysłowcy. Powszechnie szanowani ludzie, a jednak szpiegowani i traktowani jak rewolucjoniści. Ich listy były otwierane, ich zawartość skrupulatnie przepisywana, zainteresowanie innymi organizacjami odnotowywane, a co radykalniejsze stwierdzenia - zapisywane, żeby mogły być później wykorzystane przeciwko nim. Dowody gromadzono ze wzmoczoną skrupulatnością. Zresztą inni również doświadczali podobnego traktowania: drukarze, księgarze, sprzedawcy, szewcy, tkacze, ludzie wszelkich profesji, także kobiety. Nic tych ludzi nie łączyło oprócz umiłowania wolności.

Jeden zapisek szczególnie przykuł jej uwagę - dotyczył jej ojca i był podpisany inicjałami J.G.

*Jadłem obiad w C. - wielokrotnie i często słyszałem wywrotowe wypowiedzi JM. W mojej obecności powiedział: „Nie jestem politykiem, ale szczerze nienawidzę tyranii i wierzę w to, że wszyscy ludzie urodzili się równi. Król burboński zachował się jak despota i więził naród francuski. Spotkał go taki koniec, na jaki sobie zasłużył. Taki sam los powinien spotkać każdego monarchę, który podobnie traktuje swoich poddanych.*

Sovay wstała i zaczęła kroczyć po pokoju. J.G. to inicjały Jamesa Gilmore'a, była tego pewna. A więc to jego ojciec wysłał Jamesa, by się do niej zalecał - wszystko po to, by mógł szpiegować papę. Aż nią wstrząsnęło, kiedy przypomniała sobie jego pocałunki, te wszystkie intymne chwile. Została tak wykorzystana... Niczego bardziej nie pragnęła, jak tylko zmiąć ten papier i cisnąć w ogień, ale nie poddała się pokusie. Nie może pozwolić, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Wygladziła starannie kartkę papieru i odłożyła na kupkę, na której leżały już dokumenty dotyczące jej ojca i osób z nim związanych.

Po dłuższym czasie skończyła czytanie. Usiadła wygodniej na krześle i próbowała zrozumieć sens informacji znajdujących się w dokumentach. To właśnie były dowody, o których wspominał ten

Amerykanin - Virgil Barrett. Miały zostać rozwieszone po całym kraju. Sovay pozwoliła sobie na delikatny uśmiech satysfakcji - osoby wymienione z nazwiska mogły chwilowo spać spokojnie. Tylko jak długo? W palenisku przewróciła się kłoda, świeczka zamigotała - Sovay rozejrzała się dookoła. Skoro wszędzie są szpiedzy, komu można zaufać? Posiedziała jeszcze chwilę, wpatrując się w ogień, a potem starannie schowała wszystkie dokumenty i zamknęła skórzaną teczkę.

Nadal nie miała pojęcia, co zrobić z pieniędzmi. Zabieranie dokumentów nie kojarzyło jej się z kradzieżą, ale pieniądze, to zupełnie inna sprawa. To już było przestępstwo, za które mogli ją powiesić.

Ziewnęła. Jutro będzie się tym wszystkim martwić, wino i ciepło bijące od kominka podziałały na nią usypiająco. Nawet nie zauważyła, że jest taka zmęczona. Ze sztywnych zasłon wokół łóżka posypał się kurz. Popatrzyła z obrzydzeniem na brudną narzutę, a jedno spojrzenie na poplamioną pościel wystarczyło, by zdecydowała się spać na krześle. Nie było zbyt wygodne, ale przynajmniej nie będzie ryzykowała, że pogryzą ją pluskwy. Dopięła wino i okryła się płaszczem, niczym kocem. Sen jednak nie nadchodził. Po głowie krążyły jej pytania i domysły. Gdzie jest papa? Jak ma go znaleźć? Czy on zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu grozi? Kim są ci ludzie o dziwnych imionach i tajemniczych inicjałach? Ktoś musi stać za tą siatką pełną intryg. Czowała czyjąś obecność w papierach. Niektóre raporty brzmiały oficjalnie i beznamiętnie, ale w innych czaił się strach. Kim jest ten pająk w samym środku sieci? I co robi, kiedy odkryje, że skradziono dokumenty? Z całą pewnością, był to potężny i zapewne bezlitosny człowiek. Co zrobi, jeśli dowie się, że to ona zabrała teczkę?

Zasnęła, nie znalazłszy odpowiedzi na żadne pytanie.

Obudził ją dotyk zimnej lufy przytkniętej do policzka.

## ROZDZIAŁ 5

Kiedy Gabriel dojechał do Oksfordu, udał się prosto do college'u Hugh, usytuowanego w bok od Broad Street. Popatrzył na wieżę ozdobioną herbami, kolorowymi akcentami na miodowych kamieniach budowli. Nikogo nie było przy wejściu, a brama była zamknięta. Wyszedł z powrotem na brukowaną uliczkę i zapukał do drzwi. Nie było odzewu, grube drewno skutecznie tłumiło największy nawet łomot.

Zastanawiał się właśnie, co robić, kiedy nagle otworzyły się małe drzwi osadzone w większych i wybiegł jakiś młody człowiek w powiewającej todze. Gabriel wykorzystał zbieg okoliczności i znalazł się na progu, zanim drzwi zamknęły się ze skrzypieniem.

- W czym mogę panu pomóc? - z kantorka wyszedł portier, gotów bronić uczelni przed intruzem. Kiedy tylko obcy przekroczył próg, portier od razu wiedział, że nie ma prawa tu być. Nosił co prawda porządny płaszcz, eleganckie buty i bryczesy, ale nie zasługiwał na uprzejmość. Miał szerokie

bary i muskularną posturę, opalone ręce i twarz, a do tego nosił szeroki kapelusz wieśniaka. - Mów, po co przyszedłeś, człowieku, bo nie mam czasu.

Gabriel poczerwieniał w obliczu pogardliwego spojrzenia i aroganckiej postawy portiera. Obrócił w rękę kapelusz.

- Nazywam się Gabriel Stanhope - powiedział. - Mam pilną wiadomość dla pana Hugh Middletona.

- A kim ty jesteś, człowieku? Jego przyjacielem? - zakpił portier i cofnął się do swojego kantorka.

- Jestem synem zarządcy majątku Compton.

- Naprawdę?

Mężczyzna postanowił najwyraźniej ignorować Gabriela, bo zabrał się za segregowanie listów. Portiernia była małą klitką wyłożoną drewnem, pełną półek i oznakowanych szufladek. Zabrzęczały klucze, które trącił portier skupiony na jakichś drobnych czynnościach. W kącie pomieszczenia trzaśkał ogień. Portiernia przypominała ciasną psią budę.

- Mam do przekazania pilną wiadomość - powtórzył Gabriel.

- No, to już słyszałem - powiedział portier, nie odrywając się od listów. - A dlaczego uważasz, że go tu znajdziesz?

- Z tego, co wiem, uczęszcza do tego college'u - wyjaśnił cierpliwie Gabriel. Czy ten portier był tępakiem?

- Uczęszczał - poprawił go mężczyzna. - Pan Middleton nie jest już studentem tego uniwersytetu - dodał tak poważnym i uroczystym tonem, jakby był co najmniej rektorem tej uczelni. Podniósł nawet głowę znad swojej pilnej pracy, żeby przekonać się, jaki efekt wywarły jego słowa na tym młodym wieśniaku. - Został usunięty na końcu trymestru jesiennego.

- Trymestru jesiennego?

- Dla twojej informacji - przed Bożym Narodzeniem - powiedział portier i uśmiechnął się z wyższością przekonany o ignorancji Gabriela.

- Wiem doskonale, czym jest trymestr jesienny - odparł Gabriel. - Tylko że to dawno temu. A czym sobie zasłużył na taką karę?

- Podpisał się pod wywrotową publikacją.

- Nic nam o tym nie było wiadomo...

Portier znowu się uśmiechnął, napawając się zakłopotaniem Gabriela.

- Zapewne nie chciał, by dowiedział się o tym jego ojciec. Jeśli to wszystko, ja wracam do pracy. College jest własnością prywatną, mogą tu wchodzić tylko jego członkowie. Odejdź stąd, człowieku, zanim zostaniesz aresztowany.



Gabriel czuł, jak palą go policzki. Stał roztrzęsiony, z ręką na kapeluszu i próbował powstrzymać wściekłość. Gdyby był panem, zostałby potraktowany zupełnie inaczej. Miał ochotę chwycić tego człowieczka za chudy kark i cisnąć nim tak, by zarył nosem w jedną z tych półeczek na listy, które tak zajmowały jego uwagę. Jak on śmie oceniać człowieka po stroju i pozycji w życiu? Spojrzał na wejście do college'u, a kiedy mignął mu przed oczami świat, do którego nie miał wstępu, poczuł, że jego gniew narasta. To nie dla ludzi takich jak on. Nigdy tak nie będzie. Nawet służba traktowałaby go jak śmiecia.

W tej samej chwili z cienia wyszedł jakiś młody, szczupły człowiek w todze. Gabriel czuł jeszcze większe poniżenie, ten mężczyzna z pewnością wszystko słyszał. Na widok młodzieńca zachowanie portiera zmieniło się całkowicie. Wyskoczył ze swojego kantorka, uśmiechając się promiennie.

- Pan Fitzwilliam! W czym mogę panu pomóc? Ten człowiek już wychodzi - dodał i pokazał ruchem głowy na drzwi.

Fitzwilliam spojrzał na obu mężczyzn jasnobrązowymi oczami i błyskawicznie ocenił całą sytuację. Zignorował portiera i podszedł bezpośrednio do Gabriela.

- Gabriel Stanhope, prawda? - Jestem Gerald Fitzwilliam - powiedział i potrząsnął przyjaźnie ręką Gabriela. - Spotkaliśmy się w Compton, nie wiem, czy pamiętasz. Kiedyś przyjechałem latem razem z Hugh, zabrałeś nas na polowanie do lasu. Co tu robisz? Chodźmy - dodał i poprowadził go przez wielkie drewniane drzwi wychodzące na ulicę. - Tu niedaleko jest karczma. Możemy tam usiąść i porozmawiać.

Portier przytrzymał drzwi panu Fitzwilliamowi i życzył mu udanego popołudnia. Młodzieniec wyszedł z college'u, jakby zupełnie go nie widział, przez cały czas rozmawiał bowiem z Gabrielem. Ten musiał chwycić drzwi, bo omal nie uderzyły go w nos, ale tym razem ta nieuprzejmość wcale go nie rozżłościła. No i widzisz, chciał powiedzieć portierowi, może to i nie mój świat, ale twój też nie. Zestarzejesz się, zachorujesz i wyrzucą cię tak, jak wyrzuca się zużyte buty. Konia wyprowadza się chociaż na pastwisko i może się paść do końca, ty nie będziesz miał tyle szczęścia.

Portier wrócił do swojego kantorka i zamknął za sobą drzwi. Ktoś z domu pytający o pana Middletona? To może być interesująca wiadomość. Polecono mu obserwować niektórych studentów, wśród nich był Middleton. Na uniwersytecie były inne osoby, które relacjonowały przebieg spotkań, tematy prywatnych rozmów i dyskusji, ale jego rola była równie ważna. Każda osoba wchodząca na teren uczelni musiała się u niego meldować, przez jego ręce przechodziła też poczta, zarówno wychodząca, jak i przychodząca. Doskonale potrafił otwierać listy, a potem zaklejać je bez śladu, a i zdarzało się, że niektóre przesyłki ginęły. Każda ciekawsza treść była przekazywana pod pewien londyński adres, a za to portier otrzymywał miły dodatek finansowy do swojej nędznej pensji.

Dwaj mężczyźni zajęli miejsce na drewnianej ławie w kącie ciemnej, wąskiej gospody. Fitzwilliam zamówił piwo.

- Jadłeś coś? - zapytał i spojrzął na Gabriela z troską. - Może coś zamówię? Mają tu wyśmienitego królika, to ich popisowe danie.

Mimo głodu Gabriel odmówił. Nadal jeszcze cierpiał po spotkaniu z portierem - pogardliwe traktowanie całkowicie odebrało mu apetyt. Przypomniawszy sobie tę rozmowę i zacisnął bezwiednie szczęki. Nie podobało mu się takie traktowanie drugiego człowieka. Wszyscy ludzie są równi. A jednak odniósł zupełnie inne wrażenie. Wcześniej wielokrotnie słyszał te słowa, ale nie przykładał do nich wagi. Teraz dopiero zrozumiał ich znaczenie. Prawdziwa waga wszystkich innych słów, które kiedyś usłyszał lub przeczytał, spłynęła na niego nagle i wryła się w głowę.

- Co tu robisz? - Fitzwilliam próbował przerwać milczenie Gabriela. - Czemu szukasz Hugh?

Gabriel opowiedział mu o kłopotach, jakie zawisły nad Compton i o groźbie aresztowania sir Johna. Pominął skandaliczne wybryki Sovay, oznajmił tylko, że wyjechała do Londynu, by szukać ojca i podkreślił konieczność odnalezienia Hugh.

- On musi wiedzieć, co się dzieje w domu. Musimy też odszukać jego ojca. Trzeba go ostrzec o niebezpieczeństwie i zagrożeniu.

Gerald Fitzwilliam wysłuchał go z uwagą i widocznym współczuciem. Był starym przyjacielem Hugh, znali się jeszcze z ławy szkolnej, a później Hugh poszedł w ślady kolegi i wstąpił na tę samą uczelnię. Gerald, nieco starszy, był już członkiem kolegium uniwersyteckiego, ale różnica wieku nie przeszkodziła im przyjaźni. Fitzwilliam zaniepokoił się bardzo sytuacją, a także tym, że Hugh nie był w domu od Bożego Narodzenia.

- Nie powiedział, że został usunięty z wydziału?

- Nie, nie pisał nawet słowem. Nie wydawał się jednak zdenerwowany, był taki jak zawsze. Co takiego zrobił, że zasłużył na karę?

- Razem z innymi studentami wydał broszurę wychwalającą pod niebiosa rewolucję we Francji i nakłaniającą obywateli brytyjskich, by w podobny sposób wystąpili przeciwko tyranii. Niestety, nie spodobało się to władzom college'u - powiedział Fitzwilliam. W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia. - Hugh został wezwany przed oblicze rektora i ważniejszych członków kolegium. Przyznał się do autorstwa, ale odparł zarzuty i odmówił podania nazwisk innych osób, które brały udział w tym przedsięwzięciu. Dalsze przesłuchanie prowadził inspektor - młody człowiek wzruszył swoimi wąskimi ramionami. - Skończyło się na tym, że polecono mu się spakować.

- Gdzie on może teraz być? - zapytał Gabriel.

Odsunął na bok własne czarne myśli i zaczął martwić się zniknięciem Hugh.

- Nie odezwał się do was?

- Myśleliśmy, że jest tu albo w Londynie z przyjaciółmi. Wcześniej już też zdarzało się, że nie pisał przez kilka miesięcy.

- W takim razie nie wiem. Byłem pewien, że jest w Compton. A przynajmniej taką miałem nadzieję - dodał Fitzwilliam i zmarszczył brew. - Mówił, że chce... - zaczął, ale pokręcił głową. - Nie, nawet on nie byłby aż tak szalony. To tylko nagła zapalczywość.

- Co było tą nagłą zapalczywością? - zapytał Gabriel. - Co chciał zrobić?

- Powiedział, że chciałby pojechać do Francji. Do Paryża. Przyłączyć się do *citoyens*. Wziąć udział w rewolucji - powiedział Fitzwilliam i zamilkł na chwilę. - To, co powiedziałaś, bardzo mnie zaniepokoiło, ale o tak późnej porze nic już nie zdziałamy. Może jednak skusisz się na tego królika? Ja na pewno się posilę, tobie też by się przydało po długiej podróży. A potem proponuję, żebyśmy znaleźli ci jakiś pokój na noc, a rano ruszymy dyliżansem do Londynu. Mam zamiar przyłączyć się do ciebie - dodał, widząc zdziwione spojrzenie Gabriela. - Hugh jest moim przyjacielem - powiedział z nagłą powagą. - Martwię się o niego i o jego rodzinę. W tej chwili nic ważnego mnie tu nie trzyma. Odnalezienie Hugh wydaje się zdecydowanie ciekawsze niż tłumaczenia z greki.

## ROZDZIAŁ 6

Sovay otworzyła oczy.

- Niech się pani nie rusza - usłyszała polecenie wydane cichym głosem. - A przynajmniej nie gwałtownie.

Mężczyzna zrobił krok do tyłu i przysunął jej do twarzy zapaloną świecę. Próbowwała dostrzec coś za poświatą, ale widziała tylko ciemny zarys postaci. Aksamitny rękaw, koronkowy mankiet, błysk pierścieni na palcach ręki, która trzymała broń i nic poza tym.

- Chciałem sprawdzić, co to za człek wpadł na pomysł, żeby robić mi konkurencję.

- I do jakich wniosków pan doszedł? - zapytała Sovay, która nawet nie drgnęła, wpatrywała się tylko w wycelowaną w siebie broń.

- Że to niezwykle ciekawa osoba, zaiste - powiedział. Płaszcz osunął się niżej, a mężczyzna lufą pistoletu odgarnął jej poluzowane wiązanie koszuli. - Nie spodziewałem się zupełnie kogoś takiego.

Sovay spojrzała na pustą kaburę wiszącą na drzwiach. A więc zabrał jej pistolet. Wyjęła drugi spod płaszcza i wycelowała mu w brzuch.

- Jaki byłby ze mnie rozbójnik bez drugiego pistoletu! - powiedziała. - Proszę rzucić broń, albo będzie pan żałował.

Przez moment patrzył jej prosto w oczy, a potem podjął jakąś decyzję.

- Powiedziałbym, że podstępny - odezwał się. - Skoro tak chowa drugi pistolet - dodał, po czym odłożył swoją broń na stół i uniósł ręce do góry. - A do tego pełen niespodzianek.

Wyciągnęła rękę i rozchyliła lufą jego płaszcz.

- To też proszę odłożyć - rozkazała. - I jeszcze to.

Miał pod spodem prawdziwy arsenał.

- Może jeszcze sprawdzimy moje buty? - zapytał. Odkorkował butelkę i nalał sobie wina. - Nie zabije mnie pani - stwierdził.

- Skąd ta pewność? - zapytała, cały czas celując w niego z pistoletu.

- Nie ma pani natury zabójcy. Może ogłosimy rozejm? - mężczyzna zaśmiał się i zgiął się w głębokim ukłonie. - Kapitan Jake Greenwood, do usług - usiadł na krześle naprzeciwko. - To teraz może dowiem się, kim pani jest i co pani kombinuje.

Powiedziała mu tyle, ile uznała, że może wiedzieć - zarówno o sobie, jak i swoim pochodzeniu. Kiedy skończyła, uśmiechnął się.

- A więc, panno Sovay, co też panią skłoniło do wyjścia na drogę?

- Nie złoto i nie srebro - odpowiedziała, postanawiając, że nie przyzna się do niespodziewanego znaleziska na dnie teczki.

- Innymi słowy, nie pozbawia mnie pani środków do życia - zaśmiał się. ale chwilę później spoważniał. - W takim razie jaki jest powód? - zapytał, patrząc na nią z zaciekawieniem. - Tylko głupiec marzący o stryczku podjąłby się takiego życia dla samej ekscytacji. Nie znam lepszego sposobu na szybsze zawiśnięcie na szubienicy. A nie wygląda mi pani na głupią, panno Sovay.

- Za pierwszym razem była to sprawa osobista.

- A potem?

- Inna sprawa osobista.

- I uzyskała pani to. co chciała? Udało się rozwiązać tę... eee... prywatną sprawę tak, jak pani chciała?

- Owszem, ale nie rozumiem, co panu do tego.

- I tu się pani myli. To, co pani wzięła - cokolwiek to jest - jest dla kogoś niezwykle cenne. Ten człowiek bardzo chciałby to odzyskać. Radziłbym pani pozbyć się tego przy pierwszej sposobności. Drogi są obserwowane, pojawiły się dodatkowe patrole, a to z pewnością odbije się na nas wszystkich.

- Skąd pan o tym wie? Jak on...

- Wieści szybko się rozchodzą - mężczyzna wzruszył ramionami. - A ten człowiek, o którym mowa, ma wszędzie swoich szpiegów.

A więc zrobiła sobie wroga. To ta sama osoba, która wysłała urzędnika, by aresztował jej ojca, która zgromadziła dowody przeciwko papie. Na myśl o tym, że teraz uwaga tego człowieka skieruje się na nią. aż ciarki przeszły jej po plecach.

- Kto to jest? - zapytała.

Greenwood zawahał się, jakby musiał rozważyć, czy mądrze będzie zdradzić dziewczynie jego tożsamość.

- Nazywa się Dysart - odezwał się w końcu. - Zbudował wielką siatkę, ma na swoich usługach wielu ludzi, i ważnych, i zwykłych. Za informację przewidziana jest nagroda.

- To dlatego pan tu jest? Żeby mnie okraść i zgłosić się po nagrodę?

- Nie - pokręcił głową. - To nie w moim stylu. Byłem tylko ciekawy. No dobrze, kto wie o pani przebraniu?

- Gabriel.

- Kto to taki?

- Syn naszego zarządcy.

- Można mu zaufać? Zachowa milczenie?

- Pomógł mi w napadzie.

- Czyli możemy założyć, że tak, o ile nie chce zawisnąć u pani boku. Im mniej osób wie, tym lepiej. Ktoś jeszcze?

Zamyśliła się. Był jeszcze ten Amerykanin. O mały włos, a zapomniałaby, że i on wie o wszystkim. Teraz ten rozbójnik. No i Gilmore'owie. Co też w nią wstąpiło, żeby zatrzymać powóz sir Roystona? To nie było mądre posunięcie. Pozwoliła, by lekkomyślność przysłoniła jej rozwagę. Dostrzegła mądrość w słowach tego rozbójnika. Kiedy wyjechała na drogę po raz pierwszy, nie szukała przygody ani nowych wrażeń, z czasem jednak i jedno, i drugie zauroczyło ją całkowicie. Wizja niebezpieczeństwa i podekscytowanie tym, co robiła, rozpałyły w niej uczucia, których dotychczas nie doświadczyła. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pełna życia jak wtedy, gdy wyjeżdżała na wrzosowisko, słyszała skrzypienie kół i parskanie koni, a potem powóz zbliżał się i widziała zaskoczenie na twarzach ludzi. Wiedziała, że może stracić życie w jednej sekundzie, ale czuła podświadomie, że ich strach jest jeszcze większy. Teraz dostrzegła, że zapuściła się na nieznane sobie terytorium. Grunt pod nią zaczął się niebezpiecznie osuwać, istniała groźba, że wciągnie ją w bagna.

- Rozumiem, że zmierza pani do Londynu - odezwał się rozbójnik. - Ja też tam jadę. Powinniśmy ruszyć. Już teraz - dodał, rozchylając ciężkie zasłony. - Już prawie świta, niebo jest czyste. Piękny poranek, ale długo to nie potrwa. Musimy jechać, zanim wszyscy się obudzą - powiedział i stanąwszy z boku okna, wyjrzał ukradkiem na zewnątrz. - Nie wiemy, kto tu się kręci.

- Dlaczego miałabym jechać z panem? - Sovay nadal nie była pewna, czy może mu zaufać.

- A dlaczego nie? Bezpieczniej jest podróżować w towarzystwie. Drogi są niebezpieczne, mnóstwo tam podejrzanych typków. Chyba coś pani o tym wie?

Uśmiechnął się do niej, a białe zęby zaśniły na jego opalonej twarzy. Miał wyraźne, regularne rysy z właściwą odrobiną szorstkich męskich cech. W jego oczach krył się arogancki uśmiech. Bez wątplenia był przystojny i doskonale zdawał sobie sprawę ze swojej atrakcyjności. Nad górną wargą odznaczał się cieniutki wąsik, co nadawało mu wygląd króla z talii kart. Długie, ciemnokasztanowe włosy opadały mu luźno na ramiona. Wyglądał, jakby urodził się o sto lat za późno. Ubranie miał sta-

rannie dobrane, z odpowiednią dozą ostentacyjności. Kapelusz z piórami leżał na łóżku, mężczyzna zaś miał na sobie aksamitną, srebrno-czarną marynarkę, spod mankietów i przy szyi wystawała obfita koronka. Wyglądał w każdym calu na eleganckiego rozbójnika: wysoki, w jasnobrązowych bryczesach i czarnych, obcisłych butach sięgających kolan.

Koń był tak samo okazały jak jego właściciel. Piękny, ciemny gniadosz z subtelnie ukształtowanym łbem, nieco spłaszczonym pyskiem i ruchem ogona, który świadczył o arabskiej krwi. Sovay nie kryła zachwyty.

- Tak, to dobry koń - zaśmiał się Greenwood. Przykuł kiedyś moją uwagę na drodze w Newmarket. Pewien młody dżentelmen musiał wracać do domu pieszo. Pani też ma niezwykle pięknego siwka. Cóż za zarys głowy!

Brady odsunął się od dotyku ręki w rękawicy. Sovay położyła dłoń na jego szyi, by go uspokoić.

- Wspaniały koń, ale zbyt charakterystyczny, nazbyt łatwo go rozpoznać. Musi się pani jeszcze wiele nauczyć - dodał i pomógł jej usiąść w siodle, a potem sam dosiadł swojego gniadosza. - Jak tylko przyjedziemy do Londynu, musimy zostawić go w jakiejś stajni, inaczej wpadnie pani przez niego.

W okienku na poddaszu gospody poruszyła się zasłona. Pokój był mały i tani, ale idealny dla celów lokatora. Położony wysoko, blisko nieba, oferował dobry widok na dziedziniec i drogę.

Digby Clayton był rannym ptaszkiem. Tylko sowy wstają wcześniej niż Digby, zwykł mawiać o sobie. Obserwował tych dwoje, jak wjeżdżają na drogę prowadzącą do Londynu, a potem usiadł, by zapisać coś na świstku papieru. Kiedy skończył, złożył kartkę w małą kostkę, a potem otworzył jedną z wąskich klatek, które trzymał w sakwie podróźnej, i wyciągnął z niej ptaka. Zagruchał do niego i pogładził kolorowe piórka na jego grzbiecie, a następnie pomasaował delikatnie podgardle, jednocześnie przytwierdzając kartkę do obrączki na jego nodze. Otworzył okno i szepcząc cicho słowa zachęty, wypuścił gołębia w powietrze.

Ten usiadł na chwilę na kominie, a potem odleciał - okrążył czerwone dachy nad miasteczkiem i pomknął na południe, w stronę Londynu.

# ROZDZIAŁ 7

Kiedy Sovay i jej nowy znajomy jechali do Londynu, Gabriel spotkał się z Fitzwilliamem przez zajazdem Mitre.

- Dlaczego nie pojedziesz razem ze mną w dyliżansie? - zapytał młody nauczyciel akademicki, lustrując współtowarzyszy podróży. Wyglądali na nudziarzy. - Konia możesz przywiązać z tyłu. Pogoda nie wygląda optymistycznie, a ja z chęcią sobie z tobą porozmawiam.

Zanosilo się na deszcz i rzeczywiście ledwie Fitzwilliam wypowiedział te słowa, z nieba zaczęły spadać na ziemię pierwsze ciężkie krople. Gabrielowi nie uśmiechało się moknąć, więc przystał z ochotą na propozycję. Pojazd skręcił w nowo wybudowaną drogę przez Headington Hill, a stamtąd na Londyn. Mimo że Fitzwilliam deklarował chęć rozmowy, wkrótce smacznie spał. Gabriel przyglądał się mijanym obcym okolicom i zastanawiał się, jak sobie radzi jego koń. Podróż dyliżansem nie należała do najwygodniejszych, a do tego konno byłoby szybciej. Zaczął rozmyślać, czy na pewno podjął właściwą decyzję, ale zanim doszedł do jakiegokolwiek wniosku, zasnął tak samo jak jego towarzysz.

Obudził się, gdy dojechali do White Hart, ostatniego zajazdu przed Londynem i woźnica powozu zadał w róg. Pojazd zatrzymał się przed budynkiem, a Gabriel z radością wysiadł. Nawet kiedy stanął już na twardym gruncie, czuł jeszcze kołyszący ruch pojazdu. Pasażerów skierowano do sali jadalnej, tymczasem strażnik sprawdził broń, a woźnica dopilnował wymiany koni. Jadalnia znajdowała się na końcu budynku. Obiad kosztował pół korony, ale było to wliczone w cenę podróży dyliżansem. Na podróżujących czekał długi stół z chlebem i sztucami. Obrus z pewnością służył co najmniej raz wcześniej, a sądząc po plamach, może nawet i kilka razy. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, wniesiono rozmaite dania i ustawiono przed gośćmi. Potrawy były niewyszukane, ale jedzenia było w bród. Mieli tylko dwadzieścia minut, a Gabriel był już bardzo głodny. Zabrał się do jedzenia z zapalem, choć gorący rosół parzył mu usta, stek był żylasty, gotowana baranina zbyt tłusta, a ziemniaki rozgotowane na zewnątrz i twarde w środku. Jego towarzysz jadł z nieco mniejszym smakiem, ale uznał, że jedzenie „Nie jest takie złe. Nie gorsze niż to, co dostajemy w college'u”.

Dźwięk rogu przywołał wszystkich z powrotem do dyliżansu. Tym razem Gabriel zdecydował się jechać konno - źle się czuł w dusznym, trzęsącym się powozie. Strażnik był zadowolony z takiego obrotu sprawy - przyda mu się druga para oczu, a Gabriel wyglądał na człowieka, który poradzi sobie w razie walki.

- Niech pan przygotowuje broń, proszę pana. Żeby była naładowana i gotowa do użycia - poradził, kiedy ruszali. - Następny odcinek drogi jest opustoszały i często grasują na nim bandyci i rozbójnicy.

- To dobre miejsce - powiedział Greenwood i zjechał na bok drogi. - Teraz może się pani czegoś nauczyć. Widzi pani, jak droga się zwęża? Drzewa niemal zachodzą na siebie. A do tego nawierzchnia jest źle utrzymana - padało i zawsze tu jest mokro - wskazał ręką na liczne kałuże. - Ja stanę tu, gdzie

dyliżans musi się zatrzymać, żeby ominąć błotniste dziury. Pani podjedźcie na szczyt wzniesienia, ukryje się dobrze i zagwiżdże, widząc, że nadjeżdża - powiedział i uśmiechnął się do Sovay. - Potrafi pani gwizdać?

- Potrafię - odparła. - Ale po co to wszystko?

Przez cały czas jechali w zacinającym deszczu, była przemoczona i wyczerpana. Chciała jak najszybciej znaleźć się w Londynie.

- Ponieważ jestem rozbójnikiem - wyjaśnił cierpliwie. - To mój zawód. Chyba teraz nie traci pani odwagi, co? To, co zrobiła pani do tej pory, starczyłoby, żeby powiesić panią dwukrotnie. Ta jedna eskapada niczego już nie zmieni.

- Nie brak mi odwagi, jeśli to właśnie pan insynuuje. Chciałam powiedzieć tylko, że to niepotrzebna zwłoka w podróży - powiedziała i próbowała dojrzeć coś w deszczu lejącym się z jej kapelusza. - Nie ma pan nawet pewności, że będzie tędy jechał dyliżans. W ten sposób możemy czekać cały dzień.

- Słyszałem dźwięk rogu i widziałem powóz przed zajazdem White Hart. Musi się pani nauczyć słuchać i patrzeć, jeśli chce przeżyć - powiedział i zamilkł na moment. - Nie musi pani rabować, jeśli to panią niepokoi. Proszę tylko stanąć na straży. Jeśli chce pani zostać ze mną, proszę zrobić, co powiedziałem.

- Nie, to mnie nie niepokoi - odparła, urażona posądzeniem jej o zbyt dużą delikatność. - Tak jak pan powiedział, zrobiłam tyle, że mogłabym zawisnąć dwa razy. Jednakże spieszo mi do Londynu. Co będzie, jeśli zostawię tu pana i pojedę sama?

- I co pani robi? - zaśmiał się pogardliwie. - Po pięciu minutach zostanie bez tego pięknego konia, zakładając optymistyczne rozwiązanie. Tak więc, jeżeli chciałaby pani nadal być panną Sovay na włościach i kiedykolwiek ujrzeć na oczy swój śliczny domek, będę potrzebny. Proszę uważnie patrzeć - to mówiąc, wyciągnął elegancki zegarek kieszonkowy. - Myślę, że już skończyli tę niejadalną baranię i jadą dalej.

Sovay nie podobało się, że mężczyzna tak nią komenderuje, ale uznała, że zastosuje się do jego poleceń. Być może będzie potrzebowała jego pomocy, kiedy już znajdą się w Londynie. Schowała się w młodym zagajniku i ustawiła tak, by widzieć drogę. Poczula nawet, że wraca częściowo dawna ekscytacja. Właśnie nadjeżdżał dyliżans, tak jak przewidział Greenwood. Przygotowała broń, czując przyspieszone bicie serca. Naciągnęła maskę na twarz i poczuła dobrze sobie znany dreszcz na plecach. Już włożyła dwa palce do ust i miała gwizdnąć, kiedy nagle zauważyła, że obok dyliżansu jedzie samotny jeździec. Było w nim coś dziwnie znajomego. Wyciągnęła szyję - koń, sposób siedzenia w siodle i trzymania wodzy.

Po chwili była już pewna. Zaszło jej w gardle, a gwizd zamarł jej na ustach. Ten czarny koń z białą gwiazdką to Gwiazdor należący do jej brata. Na koniu zaś jechał Gabriel.



Wyjechała z ukrycia w tej samej chwili, w której dyliżans znalazł się na szczycie wzniesienia i przejechała galopem tuż przed jego nosem. Konie przestraszyły się, a woźnica z trudem utrzymał nad nimi panowanie. Pojazd zaczął się zsuwać po błotnistej stromiźnie. Gabriel podjechał czym prędzej i chwycił za lejce jednego z koni, by go uspokoić i zatrzymać, zanim powóz się przewróci. Strażnik chwycił za broń i spodziewając się ataku, strzelił w kierunku uciekającego jeźdźca.

- Co pani u diaska robi? - Greenwood był wściekły. - Jechali prosto w zasadzkę jak tłusta gęś w łapy rzeźnika!

- Musiałam pana ostrzec. Powstrzymać. Ten jeździec to mój znajomy.

Co Gabriel tu robił? Nie miała jednak czasu, żeby zastanawiać się nad tą kwestią. Strażnik zdążył już przeładować pistolet i zauważył miejsce, w które wjechała. Tuż nad ich głowami, pośród gałęzi drzew, śmignęła kula. Ale to nie wszystko. Strzały zaalarmowały innych. Słychać było krzyki, stukot końskich kopyt na bruku i dalszą strzelaninę. Kula trafiła w drzewo, obsypując ich liśćmi i ścinkami drewna.

- O mały włos - powiedział Greenwood, otrzepując się. - To patrol konny. Lepiej stąd znikajmy. Proszę jechać za mną i mocno pochylić głowę. Mam nadzieję, że potrafi pani jechać na tym ślicznym koniku - będzie miał okazję rozprostować nogi. I proszę się pozbyć tego - powiedział, po czym wyciągnął szablę i przeciął sznur mocujący tobolek z tyłu siodła. - To tylko spowolni ucieczkę. Kiedy dojedziemy do końca lasu, proszę pędzić tak, jakby sam diabeł panią gonił!

Rzeczy Sovay wysypały się na błotnistą ziemię, ale nie miała teraz czasu się tym martwić ani zastanawiać, co włoży na siebie w Londynie. Z drogi oraz pól okalających las dochodziły nawoływania mężczyzn i wystrzały z broni palnej. Sovay popędziła Brady'ego i ruszyła w ślad za Greenwoodem uciekającym slalomem wokół gęsto rosnących drzew. Przywarła do szyi konia, starając się jednocześnie uchylić od kul i uniknąć kontaktu z niższymi konarami, grożącymi jej obcięciem głowy.

Gabrielowi mignęli przed oczami dwaj jeźdźcy z trudem znajdujący drogę pośród drzew. Odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wydostali się na otwartą przestrzeń i uciekli ku wolności. Pędzili tak szybko, że ścigający ich patrol konny rozpierzchnął się po wzgórzach, bez jakiegokolwiek szansy na dogonienie. Strażnik z dyliżansu strzelił raz jeszcze w ich stronę, ale na linii ognia stanęły drzewa. A kiedy uciekający jeźdźcy wyjechali z lasu, byli już tak daleko, że żadne strzały nie mogły ich dosięgnąć.

- Widział pan, kim byli? - zapytał woźnica.

- Jake Greenwood, jak nic! - odparł strażnik. - Poznałem go po piórach na kapeluszu. Łajdak lubi się popisywać. Tego drugiego na siwku nigdy wcześniej nie widziałem - dodał i popatrzył na Gabriela z niechęcią. - Miał pan łotra na muszce. Mógł go pan odstrzelić albo chociaż ranić - powiedział, po czym odchrząknął i splunął. - Wy ze wsi nie potraficie strzelać tak, jak się przechwalacie.

Pasażerowie z powrotem zajęli swoje miejsca, a woźnica trzasnął biczem i dyliżans ruszył w dalszą drogę do Londynu.

Gabriel jechał z tyłu zatopiony w myślach. Natychmiast poznał konia i powstrzymał się od strzelania. Nie wspomniał o tym Fitzwilliamowi, nie chciał komplikować spraw - ale była to nie lada zagadka. Co też Sovay mogła robić w towarzystwie prawdziwego rozbójnika?

## ROZDZIAŁ 8

Gabriel udał się wraz ze swoim towarzyszem do jego mieszkania przy Hanover Square.

- Trochę spartańskie warunki, ale idealne dla takiego kawalera jak ja - zaśmiał się Fitzwilliam, a w jego orzechowych oczach pojawił się figlarny błysk. - Mój służący wszystko dla nas przygotowuje. - Rufus! - zawołał, wchodząc pod schodach. - Rufus!

Weszli do wysokiego, eleganckiego pomieszczenia, w którym ściany wyłożone były jasnozieloną jedwabną morą, a na podłodze leżał czerwony dywan perski. Duże okna wychodziły prosto na plac. Pod jednym z nich stało biurko ze skórzanym blatem, a obok niego mahoniowy sekretarzyk. Całą jedną ścianę zajmowały wysokie, przeszklone regały.

- To jednocześnie salon i biblioteka. Lubię mieć wszystko pod ręką.

- Pan Fitzwilliam. Nie spodziewałem się pana - w drzwiach pojawił się młody człowiek o wąskiej twarzy usłanej ciemnymi piegami i krótko przystrzyżonymi rudymi włosami.

- Ale tu jestem - oznajmił Fitzwilliam, zdejmując rękawiczki. - Przyjechał ze mną przyjaciel, pan Gabriel Stanhope. Zabierz, proszę, nasze płaszcze i przynieś wino. Aha, i przygotuj pokoje. Pan Stanhope przenocuje w pokoju Henry'ego. Marzę o kąpieli, pan Stanhope z pewnością też będzie chciał się wykąpać. A potem poprosimy o coś do jedzenia - skocz do gospody po steki i pieczeń. No, nie stój tak i się nie gap. Jazda!

Rufus odszedł pospiesznie, powtarzając sobie pod nosem polecenia, żeby nie pomylić ich kolejności.

- Jest młody, ale pełen zapału. Zaraz wróci. Nie jest mi potrzebny w college'u, ale boję się, że w mieście się rozleniwi - Fitzwilliam ziewnął i złapał się za krzyż. - Dobrze zrobiłeś z tą jazdą konną. Te dyliżansy są diabelnie niewygodne.

Rufus powrócił z tacą, na której stała karafka z winem oraz dwa kieliszki. Fitzwilliam podziękował służącemu, podał kieliszek Gabrielowi, a sam podniósł swój, żeby wznieść toast.

- Za nasze przedsięwzięcie. I za powodzenie w poszukiwaniach. Siadaj i rozgość się - dodał i wskazał na dwa fotele z orzecha z popielatą jedwabną tapicerką, stojące po obu stronach paleniska. Gabriel otaksował je nerwowo - nie ośmielił się sprawdzić, czy cienkie nogi fotela wytrzymają jego ciężar. Fitzwilliam napił się wina.

- Doprowadzimy się do ludzkiej postaci po tej paskudnej podróży, a potem pojedziemy do Soho. Wpadniemy do domu, zobaczymy, czy nie ma jakiś wiadomości, a następnie odwiedzimy pannę Sovay. Z pewnością dotarła już na miejsce.

Gabriel pochylił głowę. Nie chciał oponować swemu gospodarzowi, ale jakoś wątpił w jego słowa.

A jednak Gabriel nie miał racji. Sovay była już na miejscu. Nie przyjechała w męskim przebraaniu, ale na widok jej stroju - choć damskiego - pani Crombie wzniosła oczy do góry. Sovay wykręciła się od niewygodnych pytań, mówiąc, że została napadnięta i musiała pożyczyć ubranie. Zignorowała ciekawość gospodyni i nie wyjaśniła, jakiego pokroju musiała być osoba, która miała tak dziwaczne stroje.

Pani Crombie nie widziała pana od co najmniej tygodnia.

- Nie mówił, dokąd się wybiera?

- Został gdzieś wezwany. Powiedział, że to pilna sprawa.

- Tylko tyle?

- Nie wtrącam się w prywatne sprawy pana, panno Sovay - odpowiedziała, ukrywając zaniepokojenie pod maską szorstkości. - A pan mi się nie zwierza. Myślałam, że wrócił do Compton - dodała i zmiękła nieco. - Mówi panienka, że nie ma żadnego znaku od pana?

Sovay pokręciła głową.

- Może pojechał kogoś odwiedzić - rozchmurzyła się nagle pani Crombie i założyła ręce na swym obfitym biuście. - Tak, na pewno. Pan lubi składać wizyty, ma przyjaciół dosłownie wszędzie. Może jest u któregoś z nich.

- Może - zgodziła się Sovay, chociaż ciężar na sercu podpowiadał jej, że to mało prawdopodobne, nie chciała jednak bardziej martwić pani Crombie. - To możliwe.

- No właśnie! - ucieszyła się gospodyni. - A teraz panienka musi zmienić to okropne ubranie.

Pani Crombie zawsze nosiła się na czarno - z szacunku dla swojego zmarłego męża, chociaż ten odszedł tyle lat wcześniej, że Hugh wątpił w ogóle w jego istnienie. Mimo tego pani Crombie znała się na modzie i doskonale wiedziała, kto i co powinien ubierać w danych okolicznościach.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego, no chyba że w teatrze - ale oczywiście nie chodzi o tego typu przybytków. Nie mam pojęcia, co za dama pożyczyła panience taki strój - zauważyła sarkastycznie, zła na Sovay za jej milczenie. Pani Crombie musiała mieć ostatnie słowo w tej kwestii. - Proszę iść do góry. Dobrze, że Lidia już przyjechała i przywiozła panience porządne stroje - to mówiąc, pogoniła Sovay na górę. Przed przyjazdem do londyńskiej rezydencji gospodyni pracowała w Compton i miała tendencję do traktowania Sovay tak, jakby była nadal małą dziewczynką, którą zapamiętała. A jeśli chodzi o tę Lidię, kiedy pani Crombie opuszczała Compton, dziewczyna była pyską

podkuchenną. Gospodyni nie miała pojęcia, w jaki sposób udało jej się awansować do roli pokojówki panienki.

- Lidia przygotowała już chyba kąpiel. I niech panienka każe jej coś zrobić ze swoimi włosami!

Zanim Gabriel i Fitzwilliam pojawili się w rezydencji. Sovay zdążyła się już wykapać i przebrać, a Lidia uczesała jej włosy - była gotowa na przyjęcie gości.

Obaj mężczyźni zostali poproszeni do salonu. Gabriel nie był wcześniej w londyńskiej rezydencji, ponieważ nigdy nie pojawiła się okazja, by tu przyjechać. Dom był starszy niż mieszkanie Fitzwilliama, pokoje mniejsze i ciasniej umeblowane, ale Gabriel czuł się tu swojsko i bardziej mu się podobało.

Sovay udała wielkie zdziwienie na jego widok, ale widząc towarzysza Gabriela, nie musiała udawać wcale zaskoczenia.

- Pan Fitzwilliam. Miło mi pana widzieć. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Panno Sovay - Fitzwilliam z uśmiechem ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Był doskonałym flirciarzem. - To dla mnie zaszczyt, a także ogromna przyjemność spotkać panią ponownie, ale obawiam się, że przybyliśmy tu w poważnej sprawie.

- Poważnej? - Sovay zabrała rękę. - Co to znaczy? - Zwróciła się do Gabriela. - Co się stało?

Gabriel spojrzał na nią z zakłopotaniem. Chociaż teraz w każdym calu przypominała damę i wyglądała niewinnie jak gołębica, to jednak przed oczami miał jej obraz, jak przebrana za rozbójnika popędza konia w czasie napadu. Sovay uciekła przed jego zmartwionym spojrzeniem. Zawsze potrafiła odgadnąć myśli Gabriela.

- Chodzi o Hugh - powiedział w końcu. - Pojechałem do Oksfordu do jego college'u. Hugh został usunięty.

- Usunięty? - Sovay zmarszczyła czoło. - Co to ma znaczyć?

- Poproszono go o opuszczenie uniwersytetu - wyjaśnił Fitzwilliam.

- Na litość boską, dlaczego?

Fitzwilliam wyjaśnił jej powody wydalenia z uczelni.

- Sądziłem, że siedzi bezpiecznie w Compton - dodał - ale Gabriel poinformował mnie, że tak nie jest.

- Nie widzieliśmy go od świąt. Ojca nie ma, teraz Hugh... - pokręciła głową ze smutkiem.

- Nie ma sir Johna?

- Nie - odpowiedziała. - Już od ponad tygodnia. Gdzie on się może podziewać?

- W tym cały problem - odezwał się Gabriel. - Może być jeszcze gorzej...

- Gorzej? - Sovay spojrzała na niego zdumiona. - Jak może być jeszcze gorzej niż jest?

Gabriel czuł się coraz bardziej niezręcznie. Spojrzał na Fitzwilliama, szukając pomocy.

- Być może Hugh wyjechał do Francji, do Paryża, żeby przyłączyć się do rewolucji.

- Czy to pewne?

- Nie do końca - Fitzwilliam wzruszył ramionami. - Jednak wspominał o tym przy wielu okazjach.

- Czy sądzicie panowie, że papa pojechał za nim? - zapytała, patrząc to na Fitzwilliama, to na Gabriela.

- To możliwe - odparł Gabriel. - Jeżeli sądził, że Hugh grozi niebezpieczeństwo, mógł chcieć go sprowadzić z powrotem.

- Tego nie wiemy - przerwał mu Fitzwilliam. - Najpierw musimy zasięgnąć języka tu, w Londynie - wśród jego znajomych, ludzi, których mógł spotkać.

- Ale jeśli wyjechał do Francji... - Gabriel potrząsnął głową z rozpaczą. Mniej szokująca byłaby świadomość, że sir John pojechał za swoim synem do samego piekła.

- Wtedy pojedziemy za nimi - Sovay zaczęła chodzić po pokoju.

I z pewnością to zrobi. Gabriel patrzył na nią, a rozpacz ustępowała rezygnacji. Przecież miał jeszcze przed oczami jej obraz sprzed niecałych sześciu godzin. Nie zdziwi go już nic, co ta dziewczyna Powie lub zrobi.

- Odważne postanowienie, panno Sovay - Fitzwilliam uklonił się lekko. - Godne pochwały, ale obawiam się, że realizacja może nie być możliwa. We Francji zrobiło się niebezpiecznie. Zaraz po wylądowaniu zostalibyśmy aresztowani i sądzeni jako szpiedzy.

- W takim razie co z Hugh? Co z papą?

- Jeżeli Hugh wyjechał w Boże Narodzenie; nie było tam jeszcze tak katastrofalnie. Poza tym mówi płynnie po francusku, mogą go wziąć za miejscowego. Niestety, o nas tego nie można zapewne powiedzieć.

- Pan Fernand mnie także uczył - zaprotestowała Sovay. - Znam trochę francuski.

Ojciec nalegał, by jego dzieci uczyły się razem, lecz Sovay była sporo młodsza. Opanowała gramatykę i słownictwo, jednak gorzej radziła sobie w konwersacji.

- Ale nie podróżowała pani z nim przez rok po Francji - uśmiechnął się Fitzwilliam, ujęty jej odwagą. - A także po Szwajcarii, Italii i innych krajach. Fernand jest - czy raczej był - człowiekiem liczącym się w siłach rewolucyjnych. Być może uda mu się ochronić Hugh, chociaż nic nie wiadomo, sytuacja zmienia się z dnia na dzień.

- A co z moim papą?

- Nawet nie wiemy, czy tam jest - Fitzwilliam próbował ją uspokoić. - A jeśli tak, może też znalazł protekcję Fernanda.

- W przeszłości papa korespondował z wieloma osobami we Francji. Z panem Paine'em i innymi. No tak, o ile sobie przypominam, pan Paine został aresztowany - Sovay zatrzymała się nagle, uświadamiając sobie w pełni niebezpieczeństwo grożące jej ojcu. - Co my teraz mamy robić?

- Tak jak powiedział pan Fitzwilliam - Gabriel odezwał się nie tylko, żeby uspokoić Sovay, ale i samego siebie - nie wiemy nawet, czy tam jest. Zanim zaczniemy wyciągać wnioski, może lepiej byłoby, gdybyśmy zasięgnęli języka w Londynie?

- Tak - odparła Sovay i znowu zaczęła krążyć po pokoju. - To brzmi sensownie. Rozsądnie. Mam nadzieję, że mogę polegać na waszej pomocy? - zwróciła się do obu mężczyzn.

- Oczywiście! - powiedzieli jednocześnie.

- To dobrze, bo gdybyście się nie zgodzili, musiałabym działać sama.

To śmiałe stwierdzenie zakończyło ostatecznie dyskusję. Fitzwilliam zaczął się żegnać, ale Gabriel mu przerwał.

- Zanim pojedziemy, chciałbym jeszcze zamienić słówko z panną Sovay - powiedział, patrząc na Fitzwilliam. - W sprawie majątku.

- Oczywiście - uśmiechnął się Fitzwilliam, który zrozumiał aluzję. - Proszę bardzo. Macie tu piękne obrazy, które chętnie sobie bliżej obejrzę.

Ruszył podziwiać holenderskie malowidła, a w tym czasie Sovay otworzyła drzwi gabinetu ojca.

Pomieszczenie stanowiło mniejszą kopię biblioteki sir Johna w Compton - wzdłuż ścian stały regały z książkami i oszklone szafki. Przy biurku obłożonym szkiełkami, książkami i papierami znajdowały się globus oraz kuliste astrolabium. Wyglądało tak, jakby sir John przed chwilą wstał z krzesła i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Tuż przy kałamarzu stał przenośny mikroskop. To wszystko było tak typowe dla sir Johna. Gabriel poczuł nagły lęk o swojego pana - miał nadzieję, że nie spotkała go żadna krzywda.

Tymczasem Fitzwilliam porzucił kontemplowanie dzieł holenderskich mistrzów i podszedł do niedokładnie zamkniętych drzwi. Początkowo podsłuchiwał z czystej ciekawości, ale to, co usłyszał, niezmiernie go zainteresowało.

- To się już więcej nie powtórzy - mówiła Sovay.

- Mam taką nadzieję, to szaleństwo.

- Zostałam... - zaczęła Sovay, ale przerwała. - Zresztą, nie muszę się tłumaczyć przed tobą.

- Sovay, co robiłaś w jego towarzystwie? Kto to w ogóle jest?

- A jakie to ma znaczenie?

- Po prostu chcę wiedzieć. Skoro nie ma ojca i brata, ja...

- Chcesz przejąć kontrolę nade mną? O nie, Gabrieliu.

- Chcę tylko cię chronić, to chciałem powiedzieć. Widzę jednak, że wolisz opiekę tego łobuza.

- To kapitan Greenwood.

- Kapitan? - prychnął Gabriel. - Każdy rozbójnik nazywa się kapitanem.

- W takim razie po prostu Jake Greenwood, jeśli to ma jakieś znaczenie. A ponieważ zapewne nigdy w życiu już go nie spotkam, nie sędzę, by miało.

- Nie kłóćmy się. Przecież potrzebujesz mojej pomocy.

- Tak - westchnęła Sovay i jej waleczność osłabła. - Ta teczka, którą zabrałam - chciałabym, żebyś przejrzał razem ze mną jej zawartość. Te dokumenty mogą nam coś powiedzieć o tym, gdzie szukać papy.

- Jeśli jest we Francji.

- Tego przecież nie wiemy. Tam są nazwiska, umowy. Ludzie, którzy mogą coś wiedzieć. Chciałabym, żebyś mi pomógł z tymi papierami. Przyjdź jutro, ale nie mów nic Fitzwilliamowi...

W tej samej chwili rozległy się czyjeś kroki i Fitzwilliam odsunął się szybko od drzwi. Nie miał ochoty, by służba nakryła go na podsłuchiwanie.

- Czy czegoś panu potrzeba? - zapytała go pani Crombie.

- Nie, nie. Podziwiałem właśnie tę wspaniałą kolekcję porcelany z Sèvres. Pani Crombie, prawda? - uśmiechnął się. Szczycił się tym, że zapamiętywał nazwiska służących.

- Tak, proszę pana. Czy ja nie widziałam pana kiedyś w Compton z paniczem Hugh?

- To prawda, wiele lat temu - Fitzwilliam uśmiechnął się szerzej. - To niesamowite, że pani pamięta.

- Niczego nie zapominam, proszę pana.

Twarz gospodyni zamknęła się niczym okiennica. Pamiętała go dobrze, ale było w nim coś, co jej się nie podobało. Był mądrym dzieckiem, trochę zanadto czarującym wszystkich dookoła, ale miał coś dziwnego w oczach. Wiecznie rozbiegane, widziały zbyt wiele. Nie zmienił się wcale. Mogłaby przysiąc, że wcale nie podziwiał zawartości gabloty z porcelaną, tylko podsłuchiwał pod drzwiami.

W drodze powrotnej do Hanover Square Fitzwilliam zapytał, czy Gabriel zamierza jeszcze odwiedzić pannę Sovay.

- Prosiła, żebym wpadł jutro rano. W sprawach majątkowych - dodał Gabriel, pamiętając o prośbie, by przyszedł sam.

- Rano, powiadasz? W takim razie beze mnie. Po nocy w mieście rano kiepski ze mnie towarzysz. A sprawy majątkowe brzmią niezmiernie nudno - zaśmiał się Fitzwilliam. - Aż dziw, że ktoś chce zaprzętać nimi swoją piękną główkę.

- Panna Sovay nie jest głupia - odparł Gabriel. - Może bywa zawzięta, nawet uparta, ale to nie jest niemądra osoba. Wręcz przeciwnie - podczas nieobecności ojca i brata to właśnie na niej spoczywa odpowiedzialność i trzeba przyznać, że dziewczyna ma głowę na karku.

- Czy ona nie ma czasem ciotki? - zainteresował się Fitzwilliam. - Z pewnością...

- Lady Harriet choruje i rzadko opuszcza swój pokój - odpowiedział Gabriel. - Panna Sovay doskonale sobie radzi, mogę pana zapewnić.

- Ależ wcale nie zaprzeczam - powiedział łagodnie Fitzwilliam.

- Jest po prostu bardzo młoda i tyle - dodał i poklepał Gabriela po ramieniu. - To dobrze, że ma ciebie do pomocy.

Ciotka Harriet lubiła sobie wypić. Zapamiętał to ze swoich wizyt w Compton - starszy od Hugh i bardzo spostrzegawczy odczytał znaki, które rodzina próbowała ukryć. Sam zresztą miał ciotki, które zapadały w drzemkę po paru brandy zaprawionych nalewką opiumową. Fitzwilliam uważał Hugh za niezmiernie ciekawą osobę - głównie dzięki jego pasjom i poezji. Był on jednym z nielicznych chłopców, którzy w ogóle go interesowali, a trudno było mu znaleźć takich nawet wśród własnych rówieśników. Nie przeszkadzało mu zupełnie, że Hugh jest młodszy. Reszta to byli tacy nudziarze - no może oprócz jednego czy dwóch ładniejszych chłopców, którzy byli zabawni na swój sposób. Hugh miał i odpowiedni wygląd, i prowadził fascynujące rozmowy. Urocza kombinacja. W zamian Hugh wielbił swojego starszego przyjaciela aż do dziś, co było takie przyjemne.

- Wieczór jeszcze wczesny - odezwał się Fitzwilliam, kiedy doszli do jego mieszkania. - Co byś powiedział, gdybyśmy wybrali się do mojego klubu? Poszukać rozrywki.

Gabriel odmówił, wykręcając się zmęczeniem i brakiem odpowiedniego stroju.

- Ależ to nonsens! - Fitzwilliam otaksował go wzrokiem. - Jesteś podobnej postury, co mój brat Henry. On zawsze zostawia mnóstwo ubrań, Rufus ci pomoże - na pewno znajdziesz coś odpowiedniego.

Gabriel wybrał strój w najbardziej stonowanym kolorze, jaki znalazł - granatowy z minimum ozdób. Fitzwilliam wykazał się większą ekstrawagancją. Być może chciał ubrać się inaczej, niż zwykle nosi się nauczyciel akademicki z Oksfordu - włożył najmodniejsze ubranie i upudrował włosy. Miał na sobie zielony, aksamitny frak z jedwabnymi wyłogami w kolorze kości słoniowej. Poły ozdobione były błyszczącymi w świetle cekinami i świecidełkami. Czarne, aksamitne spodnie opinały mu uda, miał też trzewiki na niskim obcasie ze stalowymi kłamrami. Obejrzał się uważnie, by się upewnić, czy białe jedwabne pończochy nigdzie się nie marszczą, i zaśmiał się na widok reakcji Gabriela.

- Przeobrażenie nauczyciela - powiedział i nalał sobie brandy z karafki, którą Rufus zostawił w salonie. - Jestem trzecim synem z kolei. W mojej rodzinie trzeci syn zostaje oddany kapłaństwu. Uważam jednak, że uniwersytet to przyjemniejsze miejsce niż jakaś wiejska parafia. College bardziej przypomina klub - piwnica win, doborowe towarzystwo, tylko jedzenie pozostawia wiele do życzenia.

Po wyjściu z domu Fitzwilliam zatrzymał dwie lektyki i nakazał zawieźć siebie i Gabriela do St James's. Gabriel czuł się niezręcznie, nie chciał wcale być niesiony, a poza tym żał było mu tych biedaków, którzy będą musieli dźwigać jego ciężar. Fitzwilliam nie miał takich skrupułów.

- A jak mamy się tam dostać? - zapytał. - Ulice są pełne nieczystości. Nasze buty byłyby brudne, zanim byśmy skręcili za róg. Zresztą ci nieszczęśnicy z chęcią przyjmą nasze pieniądze. Chyba nie chcesz pozbawić ich środków do życia?



Fitzwilliam popatrzył na Gabriela. To miły chłopak, ale widać w nim było naiwność i brak wyrobienia. Zaczął się zastanawiać, czy zabranie go do klubu jest na pewno dobrym pomysłem.

Fitzwilliam poszedł grać w karty i zostawił Gabriela samego sobie. Ten zaczął chodzić od pomieszczenia do pomieszczenia, przyglądając się, jak bywalcy klubu jedzą, piją, śmieją się i grają. A więc tak bawią się bogaci ludzie? Gabriel usiadł przy ścianie, wziął łyk wina i uśmiechnął się pod nosem. Wcale się to nie różniło od wiejskiej gospody, no może nie licząc zamożności i braku kobiet. Gabriel przypuszczał, że goście klubowi kobiety odwiedzają później.

Przyglądając się scenom dziejącym się w klubie, nie przypuszczał, że sam też jest obserwowany. Sir Robert Dysart rzadko podnosił wzrok znad kart, ale zauważył Fitzwilliamia w momencie, w którym ten wszedł do klubu. Zwrócił też uwagę na jego towarzysza. Nigdy nie widział wcześniej tego młodego mężczyzny, lecz od razu poznał, że nie jest on przyzwyczajony do tego typu lokali. Z drugiej jednak strony zachowywał się bardzo swobodnie, a przy tym cechowały go naturalny wdzięk i godność. To już wystarczyło, by się wyróżniał w tym tłumie. Sir Dysart wyłożył swoje karty, co pozostali gracze przywitali z ulgą. Dysart był znany z tego, że zawsze wygrywa. To dlatego grali z nim jedynie ci, którzy byli równie dobrymi graczami, oraz głupcy, którym wydawało się, że uda im się go ograć. I jednych, i drugich nie brakowało w klubie.

Dysart był dość wysoki, ale szczupła, zgarbiona sylwetka sprawiała, że wyglądał na niższego. Nosił staroświecką perukę z lokami przy skroniach i warkoczem z tyłu. Miał chudą twarz i szpiczasty nos osadzony nad wąskimi ustami i ostro zarysowanym podbródkiem. Wydawało się, że jego jasne oczy na niczym konkretnym się nie skupiają, ale Dysart zauważał wszystko: kto gra, a kto nie, kto wygrywa, kto przegrywa, kto obstawia, a także co i za ile. Ustąpił miejsca innemu graczowi i zaczął krążyć po pomieszczeniu. Schludny, aż na granicy pedantyczności, zawsze ubierał się na czarno - przez to wyróżniał się w towarzystwie tylu modnisiów, niczym kruk pośród kolorowych pawów.

W klubie gromadzili się najbogatsi i najbardziej wpływowi ludzie w kraju: politycy, członkowie arystokracji. Witali się z Dysartem dość serdecznie, ale mało kto zatrzymywał się, by zamienić słowo czy zatrzymać na nim wzrok. Dysart szedł, kłaniając się i rozdając delikatne uśmiechy. Oczy miał jednak zawsze poważne. Nie przyszedł tu, by się udzielać towarzysko, praktycznie każdy z nich interesował go z jakiegoś powodu i chętnie przypominał wszystkim o swojej obecności.

Rzecz jasna, Dysart wiedział sporo o Fitzwilliamie. Młodzieniec tkwił po uszy w długach. Kiepsko mu szła gra w karty, ale uwielbiał hazard. Jego lekkomyślność rosła z każdym kiepskim rozdaniem, a na stół rzucał tak własne pieniądze, jak i pożyczone. Był młodszym synem bogatego, lecz skąpego człowieka i pozostawał zależny od ojca, a przy tym lubił luksus i żył ponad stan. Idealnie odpowiadał celom Dysarta: miał koneksje i był zdesperowany. Przystojny, sympatyczny, otwarty i czarujący, poruszał się z wdziękiem w wielu kręgach. Bez względu na to, jaka podłość kryła się w jego duszy, ludzie go zwykle lubili i obdarzali zaufaniem. Ten młody irlandzki nauczyciel akademicki wy-

glądał w każdym calu na arystokratę i dżentelmena, ale wystarczyło, by Dysart upomniał się o spłatę choćby jednej dziesiątej weksli, jakie miał w swoim posiadaniu, a Fitzwilliam wylądowałby w więzieniu Newgate w oddziale dla dłużników.

Dysart stanął za plecami młodzieńca. Znowu nie miał szczęścia przy rozdaniu - żadnych dobrych kart, żadnych lew. Zabierając Fitzwilliama od stolika, wyświadczył tylko przysługę zarówno jemu, jak i jego partnerowi.

- Fitzwilliam. Znowu pan przegrywa, jak widzę. Może przejdzie się pan ze mną?

- Ach - Fitzwilliam odwrócił się, kiedy ręka Dysarta spoczęła na jego ramieniu. - Dysart...

- Kim jest ten młody człowiek, z którym dzisiaj pan przyszedł?

- To Gabriel Stanhope, przyjaciel Hugh Middletona.

- Raczej syn jego zarządcy - Dysart zaśmiał się sucho i chrapliwie, bez cienia radości.

- Skąd pan wie? - Fitzwilliam był naprawdę zaskoczony.

- Nie jest pan jedynym moim szpiegiem w tym pańskim wiekowym przybytku nauki. Czy mówimy o tym samym Hugh Middletonie, który został wyrzucony z uniwersytetu i obecnie przebywa w Paryżu? Tym tchórzliwym zdrajcy?

- Skąd pan wie...? - zaczął Fitzwilliam, ale nie było celu kończyć pytania. Przecież Dysart wiedział wszystko.

- Rozumiem, że ojciec Hugh, sir John Middleton, dołączył niedawno do syna. To mnie jednak nie interesuje. Chwilowo zastanawia mnie, czy nie wie pan przypadkiem czegoś o panie Sovay Middleton.

- Właśnie byłem u niej w domu! - zdziwił się Fitzwilliam. - Cóż za zbieg okoliczności!

- Być może - sir Robert uśmiechnął się cierpko. - Jeśli ktoś wierzy w zbiegi okoliczności. Ja nie. W każdym razie - Dysart wrócił do poprzedniego tematu, zręcznie manipulując rozmową, jakby za pomocą dokładnego instrumentu - chciałbym wiedzieć, czy jest w mieście. Kiedy przyjechała?

- Wydaje mi się, że dzisiaj.

- Naprawdę? - sir Robert pokiwał głową, chociaż Fitzwilliam nie widział w tej wiadomości nic szczególnego. - Sąsiad Middletonów, sir Royston Gilmore, też przyjechał do Londynu.

- Kolejny zbieg okoliczności? - Fitzwilliam zaśmiał się piskliwie. Podczas rozmów z Dysartem zawsze robił się nerwowy.

- Mówiłem już panu, że w nie nie wierzę.

- Czy on tu jest? - Fitzwilliam rozejrzał się dookoła. Sir Royston był jeszcze gorszym graczem w karty niż on sam, więc jego obecność stanowiłaby doskonałą wymówkę, by oddalić się od Dysarta.

- Niestety, nie. Nie czuje się najlepiej. Na drodze napadł na niego jakiś bandyta, biedak został paskudnie potraktowany. Uważa, że to ten sam łajdak, który wcześniej zaatakował jego syna i jeszcze parę innych dylizansów. Nowicjusz w tej profesji, rozbójnik zwany Ognistym Kapitanem.

- Ach, ci rozbójnicy są wszędzie. Ledwo nam się udało ujść z życiem w drodze z Oksfordu. Powinien pan coś z tym zrobić, panie Dysart.

- To samo powiedział sir Royston. Jestem panu zobowiązany, Fitzwilliam - Dysart odwrócił się, jakby chciał odejść. - Chyba że ma pan jeszcze coś dla mnie?

Fitzwilliam zaczął gorączkowo myśleć. Dobrze byłoby przekazać jakąś wiadomość Dysartowi, ale w jego towarzystwie czuł się jak w obecności kostuchy - niepokojąca osoba Dysarta sprawiała, że człowiekowi wszystko ulatywało z głowy.

- Chwileczkę! - powiedział, kiedy Dysart zrobił krok do przodu. - Stanhope i panna Middleton odbyli coś w rodzaju sprzeczki. Niechący podsłuchałem, rozumie pan? - Dysart kiwnął głową z niecierpliwością. - Stanhope oskarżył dziewczynę o zadawanie się z jakimś rozbójnikiem - ale nie padła nazwa Ognisty Kapitan, tylko Greenwood.

- Naprawdę? - szeroki uśmiech na twarzy Dysarta świadczył o jego zadowoleniu.

- I jeszcze coś - Fitzwilliam ośmielony sukcesem przypomniał sobie jeszcze jedną rzecz. - Teraz mi przyszło do głowy...

- Ale co, człowieku?

Coś w tej rozmowie najwyraźniej zniecierpliwilo Dysarta. Fitzwilliam czuł pokusę, by przedłużyć opowieść i kazać mu czekać na informację, ale na widok lodowatego spojrzenia zmienił zdanie.

- Rozmowa zesłała na temat jakiejś teczki i dokumentów. Nie wiem, co w nich jest, ale pannie Middleton zależało za wszelką cenę, bym się o nich nie dowiedział.

Dysart pokiwał głową, a jego usatysfakcjonowanie wyraziło się kolejnym złowieszczym uśmiechem. - Jestem panu bardzo zobowiązany, Fitzwilliam.

Fitzwilliam chciał jeszcze zapytać okreśną drogą, czy jego informacja na coś się przyda, ale Dysart już odszedł.

- Kim był ten człowiek? - zapytał Gabriel, gdy Fitzwilliam znalazł się u jego boku.

- Sir Robert Dysart. Mistrzowski szpieg. Niektórzy mówią, że to najpotężniejszy człowiek w całym Londynie. A na pewno najbardziej niebezpieczny - zaśmiał się Fitzwilliam. - Nazywają go Doktor Syfilis. Trzeba go unikać za wszelką cenę.

Tak jak Dysart nie wierzył w zbiegi okoliczności, tak samo nie istniały dla niego tajemnice. Wszystko miało jakieś rozwiązanie. Potrzebne były tylko powody, logika - no i informacje. Ot, jak każda losowa gra. Ostatnio zajmował swój umysł, próbując odkryć tożsamość tajemniczego Ognistego Kapitana. Tego wieczoru sir Royston rozdał mu zwycięską kartę.

- Niechętnie to panu mówię, Dysart. To nie wygląda dobrze, jeśli mnie pan rozumie, ale w zaistniałej sytuacji, w obecnej kondycji naszego kraju nie mogę pozwolić, by duma rodzinna przysłoniła prawdę - w tym momencie sir Royston westchnął ciężko, a delikatny szeszlony aż jęknął pod ciężarem jego ciała. - Chodzi o mojego syna Jamesa. Zdemaskował gniazdo zdradzieckich żmij, ale pozwolił, by

ta mała lisica go pokonała - i sir Royston opowiedział Dysartowi historię napadu. - Początkowo nie chciał mi powiedzieć, zapewne zbyt się wstydził, ale kiedy napadła na urzędnika sądowego i ukradła nakaz aresztowania, mój syn wiedział, że musi spełnić swój obywatelski obowiązek.

- W rzeczy samej - odpowiedział Dysart. - A więc uważa pan, że tym Ognistym Kapitanem jest panna Sovay Middleton.

- Jestem tego pewien. Chociaż trudno w to uwierzyć - sir Royston pokręcił głową. - To zupełnie nienaturalne. Walpole nazywa takie kobiety hienami w halkach, ale ona przypomina mi wilczycę. Tak samo zepsuta jak jej ojciec i brat. A nawet bardziej, w moim mniemaniu. Groziła mi i moim oficerom, podczas gdy wypełnialiśmy nasze obywatelskie obowiązki, a następnie zaatakowała mnie i wywróciła powóz.

Sir Royston długo by tak perorował w podobnym tonie, gdyby Dysart mu nie przerwał.

- To ona jest Ognistym Kapitanem? Jest pan pewien?

- Oczywiście! Ten koń, na którym jeździ, ten siwek - pochodzi z mojej własnej stajni. Prezent na zaręczyny, wyobraża pan sobie?

Dysart zostawił go złorzeczącego i przeklinającego. A więc dowiedział się tego, czego chciał. Tajemniczy Ognisty Kapitan to panna Sovay Middleton. Fitzwilliam potwierdził, że miała coś, co należało do Dysarta, a on chciał to odzyskać.

Po wyjściu z klubu kazał jechać woźnicy do Old Bell w Holborn. Miał nadzieję, że znajdzie tam pana Slevina, z którego usług korzystał wiele razy. Człowiek ten miał liczne talenty, a przy tym był najlepszym włamywaczem w Londynie. Dysart miał dla niego zlecenie w Soho, do wykonania w ciągu najbliższej nocy.

## ROZDZIAŁ 9

Sovay obudziła się z emocjonującego snu: po galopie przez dzikie pustkowia znalazła się w labiryncie wąskich uliczek, a potem w domu, w którym każde pomieszczenie było sypialnią, a każdy człowiek znajdował się w negliżu. Dziwne to było, bo chłopcy zamieniali się w dziewczęta, a dziewczęta w chłopców - trwało to bez końca i bardzo ją dezorientowało. Stara kobieta w jaskraworudej peruce liczyła monety i spoglądała lubieżnie zza zdezelowanego lakierowanego stołu. Jej zniszczona twarz pokryta była grubą warstwą pudru i różu, a brązowe zęby wystawały niczym pstre pniaki pomiędzy wymalowanymi wargami. To wszystko działo się przy akompaniamencie powtarzającego się refrenu. Sovay obudziła się, nucąc tę melodię, i długo nie mogła się jej pozbyć z głowy.

Jej myśli wróciły do wydarzeń minionego dnia. Jednak sny mają to do siebie, że nie kierują się kompasem, a śniący mogą poruszać się bez ograniczeń, jakie narzuca im życie na jawie. Sovay obudziła się rozemocjonowana snem i na nowo przeżywała porywającą i niebezpieczną ucieczkę przez

wrzosowisko, dochodząc do wniosku, że był to najbardziej ekscytujący dzień w całym jej życiu. W natłoku obrazów i doznań z trudem jednak oddzielała jawę od snu. Niektóre sceny widziane w ciągu dnia, miejsca, w których była, teraz zdawały się należeć do świata snu, a przecież zdawała sobie sprawę z ich realności.

Kapitan Greenwood obiecał postarać się dla niej o damski strój i zabrał ją do wysokiego, kościelnego budynku w Covent Garden, pełnego najdziwniejszych ludzi. Była tam stara wiedźma o jaskrawych włosach i zepsutych zębach, zwaną Matką Pierce. Miała małe, okrągłe oczka przypominające paciorki liczydła, a w jej domu dosłownie wszystko było na sprzedaż. Wyciągnęła rękę na powitanie Greenwooda, ledwie ten przestąpił próg jej domu. Młoda, ładna dziewczyna w peruce z mnóstwem loków zaprowadziła Sovay po schodach na górę. Dziewczyna miała upudrowaną i pomalowaną twarz, a brwi nad błękitnymi oczami zostały wyskubane do cieniutkiej kreseczki. Miała na sobie suknię z dekoltem. Dopiero kiedy się odezwała, Sovay zauważyła, że dziewczyna jest... chłopcem. Tak zarządziła tego dnia Matka Pierce. Sovay nie próbowała nawet zrozumieć logiki, jaka za tym stała, ani co w ogóle dzieje się w tym domu. Wystarczająco dużo informacji dawały jej obrazki na ścianach. Niepokoiła ją myśl o spotkaniu klientów tego przybytku, ale było wcześniej i interes jeszcze nie zaczął się rozkręcać, jak wyjaśnił jej chłopak. Ta wiadomość przyniosła jej ogromną ulgę. Chłopiec zaśmiał się. Zwracał się do niej z dużą pewnością siebie i tak, jakby doskonale orientowała się w zasadach obowiązujących w tego typu instytucjach. Miał na imię Toby, co oznajmił, potrząsając swoją lokowaną peruką, i zamierzał tu pracować, dopóki nie zarobi na naukę rzemiosła. Słyszając to, kapitan Greenwood prychnął pogardliwie i odparł, że wszystkie dziewczyny opowiadają tę samą bajkę o tym, jak to kiedyś staną się powszechnie szanowane. Sovay polubiła jednak chłopaka i miała nadzieję, że uda mu się wyrwać z pazurów Matki Pierce. Toby przyniósł jej najskromniejsze ubranie, jakie udało mu się znaleźć, ale i tak - mimo że chłopak oderwał falbanki i ozdóbki - suknia wydawała się jej nazbyt krzykliwa, a głębokość dekoltu przyprawiała ją o rumieniec.

- Ale przynajmniej jest czysta - oznajmił radośnie Toby. - Właśnie wróciła z pralni.

Sovay pomyślała sobie, że chociaż jest coś, za co powinna być wdzięczna. Tymczasem Greenwood czekał na nią na dole i przechadzał się z niecierpliwością. Kiedy zeszła, aż gwizdnął na jej widok i uśmiechnął się szeroko.

- Była pani urocza jako chłopak, ale w tym wygląda pani zdecydowanie lepiej. Proszę ze mną - to mówiąc, podał jej dłoń. - Zaraz zamówię dla pani lekturę. Za moment znajdzie się pani w domu i znowu będzie pani panną Sovay.

- Zwykle tak się nie ubieram - odparła, spoglądając na swój głęboki dekolt.

- A to szkoda - zaśmiał się. W jego ciemnoniebieskich oczach pojawiły się wesołe iskierki.

Próbowała znaleźć odpowiednią ripostę, ale zrozumiała, że Greenwood się z niej naigrywa, i uznała, że najlepiej będzie milczeć. Matka Pierce wyszła z małego kantorka służącego jej za biuro.

- Wychodzi pan, kapitanie? - zapytała, po czym zwróciła się do Sovay. - Oczekuję zwrotu sukni, młoda damo. Nie śpię na pieniądzach!

- Oj, mateczko! - Greenwood pogroził jej palcem. - Zapłaciłem za ten łachman podwójną cenę.

- Łachman, mówi pan? - upudrowane policzki Matki Pierce pokryły się jeszcze głębszą czerwienią. - Musi pan wiedzieć, że moje dziewczęta noszą najlepsze sukienki, jakie można kupić w Mayfair! Nigdzie w okolicy nie dostanie się lepszych!

- Ach, mateczko - kapitan pogładził ją po policzku. - Twój gniew mnie tylko rozpala.

Chwycił Matkę Pierce w pasie i zakręcił nią dookoła ku radości „dziewcząt”, które stały dookoła, śmiejąc się i klaszcząc. Żadna jednak nie pospieszyła jej na ratunek. Kapitan potrafił oczarować każdą kobietę; nawet Matka Pierce nie mogła mu się oprzeć. Widać było, że pochlebiają jej jego zaloty, nawet jeśli głośno protestowała.

Kapitan tańczył z nią wokół pomieszczenia i śpiewał:

*Na jej policzkach kwitną lilie i róże,*

*Ale jej usta słodsze są od kwiatów.*

*Tulić ją,*

*Pieścić,*

*Z rozkoszą*

*Całować,*

*Oddać się rozkoszy, błogiemu wytchnieniu.*

Sovay rozpoznała arię z *Opery żebraczej* i rozbawiło ją, że śpiewa to prawdziwy rozbójnik i to takiej kobiecie!

- A kysz, łotrze! - trąciła go Matka Pierce, kiedy w końcu udało jej się wyswobodzić z jego objęć i starannie poprawiła perukę. - Zmykaj i zabierz ze sobą tę swoją panienczkę.

Kapitan Greenwood skłonił się szarmancko kapeluszem i wyprowadził Sovay za drzwi. Kiedy znaleźli się na ulicy, objął ją ramieniem, by ochronić przed ciżbą. Sovay czuła jego bliskość, delikatny zapach skóry, z której wyrabiana jest końska uprząż, oraz sierści konia. Odwrócił się do niej tak, że jego twarz znalazła się tuż obok jej twarzy, i zaczął znowu śpiewać - tym razem ciszej i wolniej, tak że słowa uzyskały właściwe znaczenie.

*Na jej policzkach kwitną lilie i róże,*

*Ale jej usta słodsze są od kwiatów.*

Nucąc arię, musnął palcem w rękawiczce jej policzek i przejechał nim przez wargi. Zanim zdążyła pomyśleć, co on robi, pocałował ją namiętnie w usta. Nikt nie zwrócił na nich uwagi: w tym rejonie obejmujące się pary stanowiły powszechny widok na ulicach. Sovay wiedziała, że powinna protestować, ale tego nie zrobiła. Ten pocałunek należał do dziewczyny, która napadała na dyliżansy;

kiedy tylko zdejmie z siebie ten strój dziwki i założy własny, znowu stanie się prawdziwą Sovay. Zresztą ten całus podeksycytował ją bardziej niż jakakolwiek pieszczota Jamesa Gilmore'a.

Greenwood puścił ją i uśmiechnął się, unosząc brew.

- Jest pani lepsza w całowaniu, niż się spodziewałem - powiedział. - Pani jest pełna niespodzianek, panno Sovay.

To mówiąc, zatrzymał lektykę i kazał odwieźć ją na Soho Square. Kapitan mógł się poszczycić pięknym głosem: mocnym, czystym tenorem. Przez całą drogę powrotną, kiedy tragarze przepychali się przez zatłoczone ulice, słyszała jego śpiew: *Tulić ją, pieścić...*

To właśnie ta melodia tak uporczywie chodziła jej teraz po głowie.

Z zamyślenia wyrwał ją cichy dźwięk i delikatny powiew chłodnego powietrza. Serce zaczęło jej mocniej bić, a kiedy otworzyła oczy, zauważyła ciemny kształt, cień za ledwie, który oderwał się od ciężkich zasłon i bezszelestnie sunął przez środek pomieszczenia. Skoro nie wierzyła w duchy, musiał to być włamywacz nasłany, by ją okraść. Ubrany był całkowicie na czarno i poruszał się, nie wydając żadnego dźwięku. Tylko białka jego oczu świeciły w ciemnościach, gdy podszedł do sekretarzyka i podważał szufladkę za szufladką.

Nie znalazł tego, czego szukał, i zaczął rozglądać się dookoła, jakby zastanawiając się, gdzie jeszcze mógłby zajrzeć. Wtedy właśnie musiał zauważyć jakieś poruszenie na łóżku. Podszedł do Sovay z wyciągniętą ręką, jak gdyby chciał zdławić jej ewentualny krzyk.

- Nie będę krzyczeć ani wołać - powiedziała szeptem - ale trzymam pod poduszką pistolety i nie zawaham się ich użyć.

- Nie strzelaj. Nie chcę cię skrzywdzić, ale błagam - cicho - chłopak podszedł do niej ostrożnie. - On jest na dole i jak tylko usłyszy hałas, zabije nas oboje.

- Kto jest na dole? - Sovay chwyciła za broń, tak by mógł ją zobaczyć.

- Nieważne. Lepiej, żebyś nie wiedziała, to koszmarny typ. Panna Sovay, prawda? - zapytał, po czym ściągnął czapkę, którą miał naciągniętą na twarz. - Byłaś u Matki Pierce z kapitanem. Jestem Toby, Toby White, chociaż tam inaczej mnie nazywają. To moją sukienkę pożyczyłaś.

Odwrócił wzrok, a na jego bladej twarzy zakwitł rumieniec, jakby chłopak wstydził się przyznać, że takie rzeczy się dzieją.

- Pamiętam - odparła. - Chociaż wyglądasz teraz nieco inaczej.

Przypomniała sobie jego delikatną buzię, ciemne długie rzęsy, błękitne oczy. Naprawdę myślała wtedy, że jest dziewczyną.

- Bo bez tych kobiecych ubrań? - uśmiechnął się, a w ciemności błysnęły jego białe zęby.

- Co tu robisz?

- Kiedy nie noszę damskich łasek, jestem grasantem - zawahał się, szukając słowa, które by znała. - Włamywaczem. Wchodzę przez okna na piętrze, bo jestem mały. I potrafię otwierać zamki.

Wszędzie wlezę i z każdego miejsca się wydostanę. To moja chluba. Ale żadnej brudnej roboty, to już niech robią inni.

- Inni? - Sovay nieco się wystraszyła. - Jest was cała banda?

- W tej chwili nie - odpowiedział Toby, przysiadając na łóżku.

- Tylko ja i tamten, ale on wystarczy.

- Czego szukacie? Bizuterii? Srebra? Porcelany? Toby pokręcił przecząco głową.

- Nic takiego. On chce dostać teczkę. Skórzaną, zapinaną z przodu. Mniej więcej takiej wielkości - Toby pokazał rękoma. - On szuka na dole, ja na górze. Ciii - położył palce na ustach. - Idzie tu! To ciężki człowiek. Słyszałem skrzypienie schodów. Udawaj, że śpisz, powiem, że nic nie znalazłem, ale nie wiem, czy mi uwierzy - Sovay myślała już, że chłopak sobie poszedł, ale nagle usłyszała cichy szept tuż przy uchu.

- Pozbądź się tego, czego on szuka, i to jak najszybciej. W przeciwnym razie tu wróci, a jeśli nie dostanie jednym sposobem, to będzie próbował innym. Nie wszystkie jego metody można nazwać łagodnymi.

Toby wyszedł tak samo bezszelestnie, jak wcześniej się pojawił. Sovay nie miała zamiaru udawać, że śpi. Usiadła na łóżku z pistoletem u piersi. Rozwali pierwszego człowieka, który wejdzie przez drzwi, nawet jeśli to będzie ten uroczy chłopiec. Słyszała, jak przeszukują pokój jej brata, a nie znalazłszy niczego, idą do mieszkania papy piętro wyżej. Sądząc po tym, ile czasu minęło, szukali bardzo dokładnie. W końcu usłyszała ich kroki na schodach. Chłopaka - niemal niesłyszalne, jakby był kotem, i tego drugiego - ostrożne stąpanie ciężkiego człowieka, który chce być cicho.

Odeszli z pustymi rękoma. Teczka spoczywała bezpiecznie pod jej poduszką.

Rano pójdzie od razu do prawników papy i złoży teczkę w sejfie. Tu jej nie może trzymać. Tylko kto wie, że to ona ją ma? Kto ją zdradził? Co mówił Greenwood? - Nikomu nie można ufać. Jak widać, miał zupełną rację.



## ROZDZIAŁ 10

Zanim nastał świt, jej strach ustąpił gniewowi. Ktoś ją zdradził.

Do czasu, kiedy zaanonsowano Gabriela, Sovay doszła do wniosku, że albo Gabriel postąpił wbrew jej instrukcjom i zwierzył się Fitzwilliamowi, albo winny jest Greenwood. Niechętnie myślała o nim w tych kategoriach, ale niestety - dowody świadczyły przeciwko kapitanowi. Wiedział o teczce. Znał adres jej domu w Londynie. Trzymał się z opryszkami i rzezimieszkami. Wiedział, czego należy szukać, nie trzeba było wielkiego umysłu, by ustalić, gdzie dokumenty są przechowywane.

Wprowadziła przyjaciela do gabinetu ojca. Gabriel przeraził się tym, jakie niebezpieczeństwo jej groziło i zaprzeczył gwałtownie, jakby miał z tym cokolwiek wspólnego. Przysiągł, że nic nie powiedział Fitzwilliamowi, i przykro mu było, że Sovay coś takiego przeszło w ogóle przez myśl. Przeprosiła go za to zwątpienie. W takim razie zostawał tylko Greenwood - to musiała być jego sprawka.

- Własną matkę by sprzedał za garść srebra - powiedział Gabriel. - Niech to posłuży za nauczkę. Ludzie jego pokroju tacy właśnie są.

- Ta znajomość nie wyszła z mojej inicjatywy! - broniła się.

- Ależ ja wcale tego nie twierdzę - Gabriel podniósł ręce, jakby chciał odepchnąć jej złość. - Nie kłóćmy się, Sovay.

Poczuła się nieco udobruchana, ale nadal poirytowana, więc zajęła się wykładaniem dokumentów, żeby Gabriel mógł je przejrzeć. Potrzebowała czyjejś opinii, zanim zdeponuje papiery u pana Oldfielda, w firmie prawniczej, z którą współpracował papa.

Gabriel usiadł przy biurku pokrytym zniszczoną zieloną skórą i zabrał się za studiowanie dokumentów. Czytał je z obrzydzeniem, starając się ich w ogóle nie dotykać. Niektóre były pogniecione i brudne, inne śmierdziały czymś, co przypominało zapach zgniłej cebuli. Gabriel miał wrażenie, że wszystkie cuchną jednakowo intrygami i szpiegostwem - tak odrażająco i paskudnie, jak zanieczyszczone i zatłoczone ulice miasta za oknami.

- Jak myślisz, co one oznaczają? - zapytał. - Dlaczego zostały wysłane?

- Nakazy to sprawa oczywista. Natomiast reszta to w większości dowody świadczące przeciwko konkretnym osobom, tak jak te, które zebrano przeciwko mojemu ojcu. Urzędnik działał jako posłaniec i miał je dostarczyć do sądów rozsianych po całym kraju. Co do pozostałych - Sovay pokręciła głową - to nie jestem pewna. Wydają się bez znaczenia - niewinne listy na zupełnie nieistotne tematy, ale jeśli tak, dlaczego znalazły się w tej teczce? Mam nadzieję, że pan Oldfield nam coś więcej wyjaśni - powiedziała i złożyła dokumenty. - Przekażę mu to wszystko. Greenwood miał przynajmniej rację w jednym - zbyt niebezpiecznie jest je trzymać przy sobie.

Kancelaria Oldfield & Oldfield umiejscowiona była niedaleko Ludgate Hill, tam gdzie Carter's Lane schodziła się z Shoemaker Row. Sovay od lat nie odwiedzała tego miejsca, ostatni raz była tam z ojcem jako mała dziewczynka.

Młody pan Oldfield wyszedł osobiście z biura, by przywitać się z Sovay. Był powszechnie znany jako młody Oldfield, chociaż tak naprawdę zbliżał się już do wieku średniego. Jego twarz pod nieskazitelną, białą peruką wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętała, z marsową miną i zmarszczonym permanentnie czołem. Sovay była śmiałym dzieckiem, ale coś w jego surowym sposobie bycia wzbudziło jej nieufność. Siedziała w kącie kancelarii cicho jak myszka i choć ogromnie pragnęła pobawić się tymi wszystkimi ołówkami, kałamarzami, papierami i wstążkami, to jednak uznała, że lepiej będzie się nie ruszać. Teraz pan Oldfield nie wydawał się jej już tak groźny. Nadal miał zaciśnięte usta, ale nie odbierała tego jako wyrazu złości czy okrucieństwa; szare oczy patrzyły surowo, ale nie były nieprzyjemne. Była to twarz człowieka, który mógłby być zimny i okrutny, ale wybrał inaczej.

- Panna Sovay - na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Ależ się pani zmienia. Rozświetliła pani swoją obecnością to nasze szare biuro, prawda, Skidmore? - zapytał swojego pracownika, który wpatrywał się w dziewczynę z podziwem. - Może napije się pani herbaty? Skidmore, nie stójże tak i się nie gap. Herbata dla panny Sovay i to prędko! - to mówiąc, zaprosił ją do środka. - Czym mogę pani służyć?

W gabinecie stały regały pełne książek prawniczych oraz stosów dokumentów związanych wstążkami, które tak interesowały ją, gdy była dzieckiem. Drewno na ścianach sprawiało, że pomieszczenie wydawało się ciemniejsze, a małe, zielono-szare szybki okienne pokryte były żółtawym brudem londyńskich ulic i przez to wpuszczały mało światła. Mimo wczesnej pory pomieszczenie oświetlone było lampionami, a w kominku palił się jasno ogień. Może na zewnątrz było lato, ale profesja prawnicza nie zna pór roku i w kancelarii przez cały rok panowała zima.

- To jest pan Stanhope - Sovay przedstawiła Gabriela. - Syn zarządcy papy i mój zaufany przyjaciel. Chciałabym, żeby został.

- Ależ oczywiście - Oldfield uklonił się lekko. - Witam, panie Stanhope. Bardzo mi miło pana poznać - powiedział i zajął miejsce za szerokim dębowym biurkiem zawalonym stertami związanych papierów. Z boku leżała gazeta, jakby właśnie ją odłożył.

- No dobrze - powiedział i powtórzył pytanie: - Czym mogę służyć? - to mówiąc, przeniósł wzrok z Sovay na Gabriela.

Oboje zajęli miejsca po drugiej stronie biurka.

- Najpierw chciałabym wiedzieć, czy widział pan ostatnio mojego ojca - odezwała się Sovay, patrząc Oldfieldowi prosto w oczy.

- Sir John nie zaglądał do kancelarii Oldfield & Oldfield już od Paru miesięcy. Skidmore będzie w stanie powiedzieć pani dokładnie, kiedy nastąpiła jego ostatnia wizyta. Oczywiście, kiedy przyniesie już herbatę - dodał i skoczył do drzwi. - Skidmore!

Urzędnik był młodym, wysokim chłopakiem w wieku około dziewiętnastu lat, miał na sobie czarny prawniczy strój i starannie związane z tyłu czarne, kręcone włosy. Kiedy podniósł wzrok, można było zobaczyć, że jego zielone oczy patrzą tak samo przenikliwie jak oczy jego pracodawcy. Postawił na biurku tacę, którą przyniósł, i zabrał się za nalewanie herbaty.

- Szesnastego lutego - powiedział. - Wtedy sir John był u nas po raz ostatni. Doskonale to pamiętam.

- Dziękuję ci, Skidmore. Możesz odejść, zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny. Rewelacyjna pamięć - dodał, kiedy Skidmore wyszedł. - Zupełnie jak jego ojciec. Stary Skidmore też nigdy niczego nie zapomniał. Ożenił się późno, potem na świecie pojawił się ten chłopak. Jego ojciec już starowina, zupełnie jak mój. Nie przychodzą już do kancelarii. No tak, herbata smakuje? - zapytał i spojrzał na Sovay. Bruzda na jego czole pogłębiła się jeszcze. - Zaginął pani ojciec, a pani się martwi.

Sovay przypomniała sobie o jego typowej niekonsekwencji w rozmowie - mówiąc o jednym, myślał już o czymś innym.

- Tak - potwierdziła. - I Hugh też.

- Hugh? On także zaginął?

- Został usunięty z college'u.

- Kiedy to się stało?

- Podobno w okolicach Bożego Narodzenia.

- Sporo czasu. Z jakiego powodu?

- Napisał wywrotowy pamflet - przy słowie wywrotowy twarz Oldfielda stężała. - Nie był w domu od Nowego Roku - dodała szybko Sovay. - Nie odzywał się od tego czasu i nie wiemy, gdzie może być. Tylko...

- Tylko?

- Pan Fitzwilliam, nauczyciel akademicki, wspomniał, że Hugh chciał jechać do Paryża...

- Hmm - prawnik spojrzał na nią zza swoich chudych palców.

- Niezbyt mądrze wybrany cel, zważywszy na obecną sytuację polityczną. Jednakże jeśli znajdziemy jednego, to i drugi się odnajdzie. Pani ojciec zawsze mu zbyt pobłażał, wiecznie wydostawał go z jakichś tarapatów. Nie potrafi mu niczego odmówić, odkąd zmarła wasza matka. Hugh ciężko zniósł jej stratę. Pani była zbyt mała, żeby pamiętać, ale on był w takim wieku... No dobrze - Oldfield wrócił do poprzedniego wątku, chwytając za oparcie krzesła, jakby chciał skoczyć do działania - coś trzeba zrobić. Trudna sprawa. Zagadkowa - dodał, spoglądając na gazetę. - Sytuacja pogarsza się z

dnia na dzień - powiedział. Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. - Trzeba to przemyśleć. Tak, koniecznie. Zagadkowa sprawa, jak powiedziałem, ale - uśmiechnął się nagle - ja lubię zagadki.

Podszedł do okna i zaczął wyglądać przez zaplamione szare i zielone szybki.

- Tak - odwrócił się ponownie do Sovay. - A jaka jest ta druga sprawa, która panią tu sprowadza?

- Skąd pan wie...?

- W moim zawodzie warto się przyglądać ludzkim twarzom tak samo uważnie jak dokumentom i ustawom - powiedział i spojrzął na Gabriela. - Przez cały czas trwania naszej rozmowy pani towarzyszył spogląda na tę walizeczkę. Trzyma ją tak mocno, jakby w środku znajdowało się żywe stworzenie, które może uciec. Od czasu do czasu rzuca spojrzenie w moją stronę, jakby było coś ważnego, o czym i chce, i nie chce mi powiedzieć - to mówiąc, wrócił za swoje biurko.

- Daj mi to, proszę, młody człowieku. Uwolnię cię od tego kłopotu, cokolwiek to jest.

Gabriel otworzył małą walizeczkę, którą miał przy sobie, i wyjął z niej teczkę. Oldfield zdjął z biurka sterty papieru i na wolnym miejscu ułożył dokumenty, które podała mu Sovay. Kiedy leżały tak, jak trzeba, oparł ręce na przeciwległych krawędziach biurka i pochylił się nad papierami, uważnie studiując je po kolei. Stał tak przez dłuższą chwilę i analizował je z poważną miną. Kiedy podniósł wzrok, jego szare oczy rozjaśniły się jak niebo po burzy.

Sovay postanowiła, że nie przyzna się do tego, w jaki sposób weszła w posiadanie teczki. Cóż miała bowiem powiedzieć, jeśli nie chciała zdradzić swojego występku? Oldfield był przede wszystkim prawnikiem, a ludzie jego profesji nie pochwalali łamania prawa, bez względu na to, jaki przyświecał temu cel. Nie wierzyła, że Oldfield oddałby ją w ręce sędziów, ale nie chciała stać się obiektem jego ostrej krytyki.

Oldfield nic nie miał przeciwko jej skrytości, ale w duchu się uśmiechnął. Jego jako prawnika obowiązywała zasada - nie obchodzi go to, czego nie wie. Czy nikt jej o tym nie powiedział?

- Nie będę pytał, w jaki sposób te dokumenty trafiły w pani ręce, panno Sovay - powiedział z poważną miną - ale bardzo dobrze, że pani przyszła z nimi do mnie. Tak, słusznie pani postąpiła - dodał i znowu zaczął spacerować po biurze z rękoma założonymi na plecach. - Te papiery mają wielkie znaczenie. Ogólnopaństwowe. Należy oddać je rządowi, który - tu zawahał się, szukając właściwego eufemizmu - je zgubił. Jestem pewien, że ucieszy ich ten zwrot - Sovay drgnęła, przestraszona takich pomysłem. Oldfield uśmiechnął się i unióś dłoń do góry, jakby chciał uprzeczyć jej sprzeciw. - Nie przekażę informacji, w jaki sposób wszedłem w posiadanie tych dokumentów; w tej kwestii może pani być spokojna.

- Nie to mnie niepokoi - odparła cicho. - Martwię się o osoby zainteresowane, o to, że mogą stracić wolność.

- Wiem. Mnie też to niepokoi, być może z zupełnie innych powodów, ale jest pani moją klientką i pani bezpieczeństwo jest moim nadrzędnym celem. Kiedy pozbędzie się pani dokumentów, nikt po nie nie przyjdzie - powiedział i spoglądał przenikliwie, to na Sovay, to na Gabriela. - Czy ktoś już panią niepokoił? - Sovay pokręciła lekko głową, ale Gabriel skinął potakująco. Oldfield zauważył wymianę spojrzeń między tym dwojgiem. - W takim razie należy je niezwłocznie oddać.

Sovay wyraziła zgodę. Przyniosła te papiery tylko na przechowanie, nie spodziewała się, że będzie musiała je oddać, a już na pewno nie głównemu zainteresowanemu. Przypomniała sobie jednak to, co Toby wyszeptał jej do ucha, i dostrzegła logikę w argumentacji Oldfielda. Pragnął tylko jej dobra.

- Istnieje pewne niebezpieczeństwo, a na pewno jego groźba, ale znajdę sposób, żeby odsączyć jad - kontynuował Oldfield, przekładając pisma końcówką noża do otwierania listów, jakby były pokryte trucizną. - Poinformuję wszystkich zainteresowanych tak, by nie zwracać uwagi na własną osobę. Ani na was. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie podzielam opinii pańskiego ojca ani innych wymienionych tu osób. Jestem człowiekiem innego pokroju, wyznaję inny światopogląd.

Wrócił do biurka i podniósł ostatni numer „London Chronicle”.

- Potępiam rewolucję we Francji, żal mi tego biednego kraju i przeraża mnie myśl, że coś podobnego może wydarzyć się także u nas. Żyjemy w bardzo niebezpiecznych czasach, panno Sovay, przerażających czasach. Każdego dnia z Francji dochodzą wieści o kolejnych okrucieństwach, tak samo niewyobrażalnych jak poprzednie. Strach rodzi represje. Tylko prawo może nas ochronić, ale nasze prawo w kwestii działalności wywrotowej, a nawet zdrady państwa jest niejasne i uzależnione od interpretacji. Istnieje pokusa, by wprowadzić złe prawo, prawo, które przyniesie więcej szkody niż pożytku. Ustawy, które zamiast chronić, będą prześladować. Niestety, tak właśnie się dzieje, a to, co tu mamy, jest na to niezbitym dowodem - Oldfield wskazał nożem na dokumenty. - Tylu różnych ludzi jest aresztowanych na podstawie plotek i pogłosek, często wynikających z czyjejś złośliwości albo informacji od szpiegów opłacanych za fałszowanie faktów - niestety, w tych niepewnych czasach to wystarczy, by skazać człowieka. Takiego na przykład jak pani ojciec. A kiedy tak się już stanie, niewinnych zgarnia się razem z winnymi, o ile tacy w ogóle są. Stowarzyszenia, otwarte debaty i dyskusje są tłumione i uznawane za bezprawne. Kiedy ludzi pozbawia się wolności, którą się do tej pory cieszyli, pojawia się groźba rebelii. I to, czego wszyscy obawiali się najbardziej, staje się faktem.

Wygłosiwszy ten wykład, Oldfield wbił wzrok w podłogę i skrzyżował ręce na piersi. Pociągnął nosem, a jego cienkie nozdrza rozszerzyły się, a potem zaczął podnosić pisma po kolei.

- Hmm - powiedział, podtykając je sobie pod nos. - Co my tu mamy?

Jeden z listów przyłożył do lampy tak, że światło prześwitywało na wylot papieru. Nadal nieusatysfakcjonowany rezultatem, zabrał go do paleniska. Sovay poderwała się z miejsca, myśląc, że chce wrzucić pismo w ogień.

- Panie Oldfield! Nie powinien pan... - zaczęła, ale prawnik jej nie słuchał.

- Proszę podejść - powiedział. - Niech pani sama zobaczy.

Przestraszyła się, że się poparzy, tak blisko trzymał rozłożone pismo przy czerwonych płomieniach. W przebijającym od tyłu świetle papier wydawał się niemal zupełnie przezroczysty. Sovay pochyliła się niżej, ignorując gorące powietrze buchające z kominka. Na rozgrzewającym się papierze jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęły się pojawiać linie pisma.

Gabriel przyłączył się do nich, marszcząc brwi.

- Co to jest? - zapytał. - Co to oznacza?

- Atrament sympatyczny; sądząc po zapachu - sok z cebuli. Pojawia się dopiero pod wpływem wysokiej temperatury. A jeśli chodzi o wiadomość - Oldfield przybliżył papier do twarzy - jest zakodowana - powiedział i przyjrzał się uważnie kartce. - Tego się nie spodziewałem. A to, co niespodziewane, zawsze budzi moje podejrzenia. Nie ufam tajemnicom, wolę rzeczy jawne i odkryte. Nie widziałem tego szyfru od wielu lat, ale nie jest mi obcy - odsunął pismo od ognia i symbole zniknęły. - Jestem bardzo ciekaw, co zostało utajone w taki sposób. Dobrze przyjrzę się tym papierom, zanim przekażę je prawowitym właścicielom. Tak, tak właśnie zrobię.

Wrócił zamyślony do biurka i zafrapowany tajemnym kodem, zaczął na nowo przeglądać dokumenty. Sovay uznała, że czas się zbierać.

- Dziękujemy panu za poświęcenie nam czasu, panie Oldfield. Da mi pan znać, jeśli coś pan odkryje?

- Ach, wychodzicie? - podniósł niewidzący wzrok znad papierów. - Skidmore was odprowadzi do wyjścia. Skidmore! - Urzędnik pojawił się błyskawicznie. - Odprowadź pannę Middleton i pana Stanhope'a.

Prawnik zamknął drzwi od swojego gabinetu, myśląc już tylko o tajemniczych dokumentach pisanych atramentem sympatycznym. Nie widział tego szyfru od czasów młodości, kiedy studiował w Niemczech na Uniwersytecie Ingolstadt. W czasie studiów przyłączył się do tajnej organizacji, która później zyskała złą sławę. Nosił pseudonim Luzus, wywodzący się od imienia towarzysza Bachusa. Oldfield aż westchnął na wspomnienie tamtych czasów; pomiędzy człowiekiem, jakim był teraz, a tamtym młodzieńcem, który wybrał sobie taki przydomek, istniała przepaść. Jednym z zadań, jakie musieli wykonać, by przejść do kolejnego stopnia wtajemniczenia w zakon, było opanowanie tajnego kodu.

Oldfield usiadł przy biurku i zaczął przepisywać. Kazał sobie przynieść świecznik i świece. Najpierw skopiuje dokument, a potem będzie mógł go spokojnie odszyfrować. Kiedy w końcu podniósł głowę znad pisma, ze świec zostały tylko nędzne ogarki, a w gabinecie zrobiło się ciemno. Westchnął i obrócił się na krześle, by spojrzeć na dogasający ogień w kominku. Młody pan Oldfield wierzył nade wszystko w prawo. Początkowo wcale nie był niechętny temu, co działo się we Francji, ale podobnie jak wielu innych, patrzył podejrzliwie na nowy rozwój wydarzeń. Uznawał, że niewielka

frakcja nie może przejąć kontroli nad całym narodem, wprowadzić swoich własnych praw po to, by je za chwilę łamać - a tak jego zdaniem właśnie było. Usunąć króla, a potem osądzić i stracić; w taki sam sposób potraktować królową; dokonywać masowych mordów niewinnych ludzi, dla których nie ma nadziei ani szansy na praworządny proces. Jeden z przywódców rewolucji powiedział nawet, że połyka ona swoje dzieci tak samo, jak robił to Saturn. Ten człowiek już nie żyje.

Oldfield uważał, że to wszystko jest niezgodne z prawem, to tyrania wywołana rządami pospólstwa. A właśnie pospólstwa Oldfield obawiał się najbardziej. Pamiętał jeszcze rozruchy Gordona - był wtedy młodym prawnikiem, zaczynał dopiero praktykę w kancelarii ojca.

Czegoś takiego nie dało się zapomnieć. Chociaż demonstracje zaczęły się dość spokojnie, on czuł wielki niepokój na widok cizby liczącej dziesiątki tysięcy głów, zmierzającej ulicami Londynu do budynków Parlamentu. Wszyscy mieli niebieskie rozety na kapeluszach, machali chorągiewkami i wołali „Precz z papizmem!”. Na ich czele stał lord George Gordon i niósł swoją petycję. Nie trzeba było długo czekać na to, by sytuacja się zaogniła - wystarczyło, aby nie wpuszczono ich do Parlamentu i nie przyjęto petycji.

Zanim zapadł zmierzch, miasto opanował tłum: splądrowano sklepy i lokale handlowe, włamało się do kościołów i kaplic, by je ograbić, na ulicę wywlekano ławy i sutanny, a następnie je palono. Na czarnym niebie nad Londynem unosiła się czerwona poświata od płonących budynków, a tymczasem pospólstwo, rozzuchwalone własną destrukcją, plądrowało ulice z niezmordowaną, dziką furją. Twarze mieli czarne od sadzy lub kredowobiałe od pyłu sypiącego się z tynków, wszyscy ogarnięci byli szaleństwem wynikającym z poczucia własnej siły i znaczenia.

Przez ponad tydzień miasto znajdowało się w rękach buntowników. Oldfield wraz z ojcem tkwili na miejscu, podglądając to, co się dzieje zza zamkniętych okiennic. Wszystkie cenne i ważne przedmioty ukryli w piwnicach, a tymczasem tłum spalił główny bank i przechwycił mosty nad Tamizą. W końcu wezwano piechotę i kawalerię - wspólnymi siłami udało im się przywrócić porządek w mieście. Do buntowników strzelano, a także traktowano ich szablami i bagnietami.

Oldfield nie gardził tymi ludźmi, nawet żał mu było nieszczęśników. Na ulicach leżały setki trupów, wielu skończyło na szubienicy w Tyburn. Nikt z nich nie wyszedł na tym dobrze. Nie, Oldfield zachowywał swoją pogardę dla ich przywódców, ludzi pokroju lorda George'a Gordona, dla których tłum był tylko ślepych narzędziem służącym do osiągnięcia własnego celu, jakim było dojście do władzy.

Prawnik skupił się z powrotem na niedawno przetłumaczonych dokumentach. Bo chociaż zamieszki w czasie tzw. rozruchów Gordona były straszne, to jednak były niczym w porównaniu z tym, co teraz planowano. Gordona i jego petycję można porównać do pochodni rzuconej w stóg siana - siano błyskawicznie zajęło się ogniem, z którego buchał żar tak gorący, że nikt nie mógł podejść bliżej, ale gdy się wypaliło do końca, ogień zgasł. Teraz miał do czynienia z czymś zupełnie innym, o wiele

bardziej niszczącym, jak ogień podłożony z rozmysłem pod każdą część budynku pełnego prochu i lontów. Wystarczyło tylko czekać na iskrę zapalną.

Tyle że w grę wchodził nie budynek, ale cała nacja. O ile Oldfield dobrze zrozumiał, w kraju uzbrojone grupy zostaną napuszczone jedna na drugą, aż wszystkie ulice miast staną się jedną rzeką krwi. Przywódcy narodowi po kolei zginą od kul, dzięki czemu będzie można pozbyć się szalonego króla i usunąć kiepskiego, rozwiążącego regenta. W tym momencie na scenę wejdą inni, którzy zostaną przywitani z radością przez przerażony i wyczerpany naród, wdzięczny każdemu, kto zechce przywrócić porządek - z czasem wprowadzą jednak taką tyranie, jakiej ten kraj nigdy jeszcze nie doznał. Był to niezwykle przebiegły i potworny spisek, już sama myśl o nim mroziła krew w żyłach. Wyjątkowo sprytny plan, a kiedy machina pójdzie w ruch, nic już nie będzie w stanie jej zatrzymać. Przy niej rozruchy Gordona pójdą w niepamięć. Poleje się tyle krwi i pojawi się taki chaos jak w rewolucyjnej Francji, tyle że nikt nie będzie udawał, że taka była wola narodu. Będzie to bowiem wola jednego człowieka - niezwykle okrutnego i przebiegłego. Powstrzymać go i pokonać może tylko równie podstępny plan.

Oldfield zebrał dokumenty i włożył je do teczki, jednocześnie zastanawiając się, co robić. Potem zawołał Skidmore'a.

- Przynieś mi sznurek i szary papier.

Sam zapakował teczkę i nakapał roztopionym woskiem na każdy supeł, uważnie wybierając pieczęć bez żadnych danych. Potem zaadresował paczkę: *Do rąk sir Roberta Dysarta, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Whitehall*, i wręczył ją Skidmore'owi z poleceniem nadania w urzędzie pocztowym na Lombard Street.

- Za późno, żeby zdążyć z wieczorną pocztą - odparł Skidmore i spojrzał na adres. - Zresztą jego biuro podlega innemu urzędowi, na Leggatt's Court. Mogę tam zanieść, jeśli pan sobie życzy.

Oldfield popatrzył na chłopaka, po raz kolejny zaskoczony jego wiedzą.

- Dziękuję ci za propozycję, Skidmore, ale tym razem zrób tak, jak cię proszę. No, idź już.

Kiedy wyszedł, Oldfield wrócił myślami do Sovay. Miał nadzieję, że to, co robi, podziała jak piorunochron i odciągnie od niej niebezpieczeństwo. Dziewczyna nie zdawała sobie zupełnie sprawy z wagi swojego przypadkowego odkrycia. Była tylko zainteresowana losem ojca i jemu podobnych, a przecież nakazy aresztowania, dowody, to wszystko było nieistotne, tyle że stanowiło element układanki. Sovay nie miała pojęcia, co kryją te niewinnie wyglądające pisma. Miał nadzieję, że Dysart to zrozumie, a zwrot teczki odciągnie jego uwagę od dziewczyny. Oldfield nie chciał, by ta uwaga skierowała się teraz na niego - nie obawiał się niebezpieczeństwa, ale trzeba postępować ostrożnie, by nie wzbudzić podejrzeń Dysarta. Zaszifrowane wiadomości adresowane były do osób trzecich, pośredników, którzy mieli przekazać je dalej tak, by nikt nie poznał tożsamości konspiratorów. Nie daliby się zidentyfikować w żaden sposób, gdyby nie jedna nić łącząca wszystko. To byli *Illuminati*.



# ROZDZIAŁ 11

Sovay opuściła kancelarię z ulgą, że pozbyła się teczek. Wielki zegar na katedrze St Paul's wybił właśnie pełną godzinę. Razem z Gabrielem przeciskała się z trudem przez ciżbę ludzi na Ludgate Hill, którą stanowili urzędnicy z kancelarii z teczkami pod pachą, prawnicy w togach i perukach, kupcy, ludzie interesu, tragarze i służba. Wszyscy napierali na nich zajęci własnymi sprawami, nie ustępując drogi nawet damie. Chodniki były zatłoczone, a po ulicach sunęły powozy, dyliżansy i lektyki. Sovay była szczęśliwa, że może oprzeć się na silnym ramieniu Gabriela. Przeszli przez skrzyżowanie Fleet Market i Bridge Street, a jakiś chłopiec utorował dla nich drogę. Wkrótce znaleźli się na równie tłocznej Fleet Street. Sovay tak się rozglądała w poszukiwaniu banku Turnbull's, do którego zamierzała wstąpić, że nieomal zderzyła się z przechodniem i Gabriel musiał ją przytrzymać, bo straciła równowagę.

- Przepraszam najmocniej, ja... - zaczęła, ale przechodzień przerwał jej niezwłocznie.

- Ależ nie, to ja... - zaczął i już zdejmował kapelusz, by się skłonić, kiedy nagle rozpoznał ją i się uśmiechnął. - Ależ to panna Middleton. Nie wiedziałem, że jest pani w Londynie.

- Pan Barrett, nieprawdaż? - zapytała, patrząc w niebieskoszare oczy Amerykanina, który wcześniej chciał widzieć się z ojcem.

- Tak, to ja! Niezwykle miło mi znów panią spotkać, choć okoliczności są zupełnie przypadkowe. Prawdę powiedziawszy, mam dla pani wiadomość... - zaczął, ale dostrzegł jej towarzysza i zamilkł.

- Pan pozwoli, że przedstawię pana Gabriela Stanhope'a. To zaufany przyjaciel rodziny.

- Bardzo miło mi pana poznać. Czy mogę państwu towarzyszyć?

- Z przyjemnością - odparła Sovay. - Jaką ma pan wiadomość?

Mimo anonimowości tłumy na ulicy Virgil Barrett wołał zachować ostrożność. Rozejrzał się, a potem chwycił Sovay pod drugie ramię i nachylił się.

- Kiedy odjechałem z Compton, pojechałem na północ, do Manchesteru, żeby ostrzec tamtejsze środowiska, a potem dalej, do Liverpoolu. Stamtąd udałem się do Dublina i właśnie tam dowiedziałem się czegoś o pani ojcu.

- W Dublinie! - zawołała Sovay.

- Cii, proszę ostrożniej. Trudno przewidzieć, kto się kręci w pobliżu. Tak, pani ojciec pojechał do Dublina, szukając wieści o Hugh.

- Czy on tam nadal jest?

- Nie, wyjechał do Francji w towarzystwie sir Henry'ego Fitzwilliama, przywódcy Towarzystwa Zjednoczonych Irlandczyków. To właśnie z nimi chciałem się spotkać.

- Fitzwilliam? - zapytał Gabriel. - Czy to jakiś krewny Geralda Fitzwilliama?

- Jego starszy brat? Zna pan Geralda?

- To nauczyciel Hugh w Oksfordzie - wyjaśniła Sovay.

- Naprawdę? - Amerykanin zmarszczył czoło. - Proszę na niego uważać. To człowiek o światopoglądzie zupełnie innym niż jego brat, o ile w ogóle interesuje go cokolwiek oprócz własnej osoby. Tak czy inaczej, nie można mu ufać - pozostaje na usługach niebezpiecznych ludzi.

- Ma pan rację, panie Barrett - przyznała Sovay. - To nie jest rozmowa na ulicę - dodała, bo doszli już do banku. - Niestety, musimy się w tym miejscu pożegnać. Może odwiedzi mnie pan w domu? Na przykład dzisiaj po południu, około czwartej?

- Z przyjemnością - odparł i zwrócił się do Gabriela: - Zamierza pan towarzyszyć panie Sovay w środku, czy mogę panu zaproponować kawę? Tu obok jest kawiarnia Brown's.

- Z chęcią panu potowarzyszę - powiedział Gabriel. Virgil Barrett uśmiechnął się.

- Doskonale - powiedział. - W takim razie do zobaczenia, panno Sovay - podniósł kapelusz. - Życzę pani miłego dnia.

Siedziba banku Turnbull's nie była wielkim gmazyskiem i - nie licząc krat w oknach i portiera w liberii - właściwie nie odróżniała się zbyt od pozostałych budynków na tej ulicy. Rodzina Sovay korzystała z jego usług od samego początku, kiedy to w 1625 roku pan Turnbull, złotnik, otworzył bank w Cheapside, pod szyldem Złotej Butelki. Obecną siedzibę przy Fleet Street wszyscy nazywali nowym bankiem, choć prawdę powiedziawszy, stary nie istniał już od ponad stu lat, zniszczony w wielkim pożarze. Na szczęście zasoby bankowe zostały uratowane z pożogi, dzięki temu, że przechowywano je w bezpiecznych skarbcach pod ziemią. Bankierzy nigdy nie lubili ryzykować.

Kiedy Sovay podeszła do okienka, urzędnik podniósł wzrok znad księgi. Wyjrzał pomiędzy rzędu cynowych świeczników oraz podstawki pełnej indyczych piór i zapytał, czego sobie życzy.

- Przyszłam zobaczyć się z panem Turnbullem. Urzędnik skinął ręką na posłańca.

- Pani godność? - zapytał.

Podawała wizytówkę posłańcowi, a urzędnik wrócił do swojej księgi. W pomieszczeniu słychać było tylko tykanie wysokiego stojącego zegara i skrzypienie pióra na papierze. Walizeczka, którą wcześniej niósł Gabriel, była ciężka, więc oparła ją o stół i zaczęła przyglądać się wystawie zgromadzonej w oszklonej gablocie. Starła się nie liczyć mijających sekund. Cisza panująca w banku działała jej na nerwy. Z głównego hallu prowadziły liczne drzwi. Co pewien czas któreś z nich się otwierały, wychodził jakiś człowiek i znikał za innymi drzwiami. Czasem był to urzędnik bankowy, innym razem ktoś w zwykłym stroju, pojawiali się też dżentelmeni obwieszeni złotem. Nikt nie zwracał na nią uwagi, wszystkie drzwi zamykały się cicho, kryjąc za sobą świat skarbców, ksiąg rachunkowych, zamków, tajemnic i przekręcanych kluczy.

W końcu wrócił posłaniec i zaprowadził ją przez jedne z tych cichych drzwi do gabinetu pana Adama Turnbulla, należącego do czwartego pokolenia Turnbullów zarządzających bankiem. Na mar-

murowym kominku stały popiersia przodków, a na ścianach wisiały portrety prezesów i partnerów, sięgając wstecz aż do założyciela instytucji.

Pan Turnbull wstał ze swojego fotela i podprowadził ją do krzesła. Był tak majestatyczną postacią, że Sovay miała ochotę dygnąć. Był to człowiek wzrostu nieco powyżej średniego, statecznie, ale elegancko ubrany w ciemnopopielate jedwabie i aksamity. Idealnie dopasowana lniana peruka opadała lokami nad uszami, a skóra tego mężczyzny aż błyszczała od zdrowia i dobrobytu.

- Co mogę dla pani zrobić, panno Sovay? - zapytał, wracając na swoje miejsce za szerokim, mahoniowym biurkiem. Spojrzał na nią ponad złożonymi rękoma, a skóra wokół brązowych oczu zmarszczyła się, jakby w przygotowaniu do uśmiechu.

- Chciałabym, żeby zaopiekował się pan tym - Sovay otworzyła walizeczkę, wyjęła skórzaną sakwę pełną gwinei i położyła ją z trudem na biurku. Poluzowała wiązanie i część monet wysypała się na blat.

- Wielkie nieba! - Adam Turnbull zerwał się z miejsca, jakby brzęk monet był ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać. - Mam nadzieję, że nie przyszła tu pani bez eskorty z taką ilością złota przy sobie. Na ulicach bywa niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie.

- Nie, nie, panie Turnbull, proszę się nie obawiać. Zostałam odprowadzona aż po same drzwi pana banku.

- Co za ulga! - powiedział. Zaczął wyciągać banknoty i sprawdzać ich nominały, a następnie wysypał resztę złota na stół. Liczył gwinee, układając je na stosiki, jakby nigdy nie zapomniał umiejętności nabytych za czasów młodszej praktyki w kasie.

- Zgrabna sumka, panno Sovay - odezwał się, kiedy stańczyk - Doprawdy zgrabna. Czego pani ode mnie oczekuje?

- Chciałabym, żeby się pan zaopiekował tymi pieniędzmi.

- Na rachunku pani ojca?

Pokręciła przecząco głową. Skoro pieniądze pochodziły z podejrzanego źródła i zostały uzyskane w jeszcze bardziej kontrowersyjny sposób, uważała, że powinny być trzymane na osobnym rachunku.

- Własny rachunek? Niespotykane w tak młodym wieku. Ale oczywiście da się zrobić - dodał, opierając się wygodniej. - Możemy otworzyć rachunek na panią, jednak będzie konieczne pisemne pozwolenie pani ojca.

Sovay przygryzła wargę.

- To może być trudne. Widzi pan, ja nie wiem, gdzie on jest...

Bankier spojrzał na nią zatrwożony. Sir John nie należał do osób, które ot tak sobie ginęły.

- Przyjechałam do Londynu - ciągnęła dziewczyna - z nadzieją, że uzyskam tu jakieś informacje na temat miejsca jego pobytu, jednak nie ma go w domu i nikt go od pewnego czasu nie widział...

- Z całą pewnością spróbuję się czegoś dowiedzieć. A pani brat, pan Hugh...

- On też zaginął - powiedziała. - Nie ma go w Oksfordzie, otrzymałam wiadomość, że może być w Paryżu. Uważam, że istnieje możliwość, iż mój ojciec mógł tam za nim pojechać.

Zaskoczyły ją własne słowa. Kiedy wchodziła do tego gabinetu, nie zamierzała wcale zdradzać tych wszystkich informacji.

- W Paryżu, hmm? - Pan Turnbull odchylił się do tyłu na fotelu i spojrzał na nią znacząco. Nie miał w zwyczaju potwierdzać oczywistych faktów i nigdy nie wtrącał się w prywatne sprawy swoich klientów, ale oni i tak często mu się zwierzali. - Nasza francuska filia jest zamknięta - ciągnął - ze względu na... ehm... miejscową sytuację - prawda była taka, że większość klientów uciekła z Francji, ale on nie widział powodu, dla którego miałby jej to mówić. - Nadal jednak są tam nasi przedstawiciele doglądający interesów. Rozpytam się wśród nich. Znajdziemy pani ojca i brata, młoda panno, proszę się nie obawiać - ufam, że całych i zdrowych. Tymczasem - chociaż to nietypowa procedura - te fundusze będą do pani dyspozycji. Są takie specjalne przepisy dla sierot i tak dalej. Niezwykłe czasy wymagają niezwykłych rozwiązań.

- Dziękuję panu, panie Turnbull - powiedziała. - Dziękuję również za dyskrecję - dodała świadoma tego, że ani razu nie zapytał, w jaki sposób weszła w posiadanie tak wielkiej sumy.

- Bankierzy znani są z dyskrecji, droga panno - powiedział, po czym wstał, by odprowadzić ją do drzwi. - W przeciwnym razie nie bylibyśmy w stanie prowadzić interesów. Proszę się nie wahać ze mną kontaktować, jeśli będę mógł pani w jakikolwiek sposób pomóc.

Sovay opuściła gabinet Turnbulla z pustą i lekką walizeczką. Gabriel czekał na nią przy wyjściu, ale bez Amerykanina.

- Virgil Barrett przesyła pozdrowienia. Odwiedzi cię później, ale nie ma zbyt wiele do dodania na temat miejsca pobytu sir Johna - powiedział Gabriel i rozejrzał się dookoła, lustrując mijający ich tłum. - Powiedział też, że jego zdaniem możemy być śledzeni. Najlepiej będzie zachowywać się jak zwykli goście odwiedzający miasto i rozmawiać o nieistotnych sprawach, dopóki nie znajdziemy się w domu.

Dlatego też przeszli ulicą Strand, zaglądając w okna wystawowe sklepów i wrócili do domu przez Covent Garden Market. W pewnym momencie Sovay stwierdziła, że ulice wyglądają dziwnie znajomo, jakby pamiętała je z jakiegoś snu. Rozejrzała się dookoła pewna, że musiała tu być wcześniej. Skręcili w wąską uliczkę i chociaż w świetle dziennym wszystko wyglądało zupełnie inaczej, jeden z krzywych, wysokich domów stłoczonych przy chodniku był tym miejscem, do którego zabrał ją kapitan Greenwood. Była tego pewna. Mimo wczesnej pory na rogach stały już dziewczki z wyzywającym makijażem i w zbyt skąpych strojach. Patrzyły bezczelnie na przechodzących mężczyzn, a Gabriel przeklął w duchu człowieka, który wskazał im tę właśnie drogę. Co on sobie myślał, żeby wysyłać tędy damę? Tymczasem Sovay milczała.

Nie miała najmniejszego zamiaru zdradzać Gabrielowi, że była tu wcześniej i do tego w towarzystwie Greenwooda.

Wąskie uliczki otworzyły się na elegancki plac z podcieniami, szczelnie wypełniony ludźmi. W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów, na chodnikach stały wielkie, czubate kosze owoców i warzyw. Wokół kręcili się kupujący, uśmiechem reagując na zaproszenie do skosztowania i zakupu, zatrzymując się to przy tym stoisku, to przy innym, by poznać najświeższe trendy, przyjrzeć się nowościom, czy choćby pogłodzić jedwabście miękkie tkaniny. Uliczni sprzedawcy przedzierali się przez ciżbę, wykrzykując swoją ofertę, straganiarze zajmowali kabiny lub rozkładali się na kawałku wolnego chodnika, a szarlatani z fiolkami w dłoniach oferowali lekarstwa na wszystkie możliwe choroby tego świata. Tłum widzów gorąco kibicował bokserom - czarnoskóremu i białemu - oblanym krwią i potem. Jakiś człowiek w stroju błazna podskakiwał dookoła, wybijając rytm na bębenu. Tuż obok niego biegł mały biały piesek z kryzą u szyi, a dziki tłum dzieci krzychał: „Pan Punch! Pan Punch!”.

Po chwili dziatwa zasiadła przed wysoką sceną, a Sovay zrobiła to samo, ciągnąc Gabriela za sobą. Była bardzo ciekawa, co znajduje się za czerwoną kurtyną. Widzowie zamarli w oczekiwaniu, a po chwili kurtyna rozsunała się i ukazała się bardzo osobliwa postać o purpurowych policzkach i zakrzywionym nosie, ubrana w czerwony płaszcz i szpiczastą czapkę. Człowieczek ten miał niezwykle skrzekliwy głos, rozśmieszający publiczność, a przy tym wymachiwał groźnie laską, co wywoływało kolejne salwy śmiechu. Gabriel śmiał się głośno i oznajmił, że Punch przypomina mu strażnika kościelnego, pana Pollocka, a żona Puncha Judy to wykapana Betty, jego małżonka. Wkrótce Sovay płakała ze śmiechu, patrząc, jak Judy objęła skórę swojemu mężowi za upuszczenie dziecka, i oglądając ogólny chaos przedstawiany na niewielkiej scenie. Publiczność chichotała i gwizdała, gdy na scenie wirowały kielbasa i dziecko, a pan Punch przyjmował rozmaitych gości, w tym duchy i krokodyle. Temu wszystkiemu towarzyszyła paplanina skrzeczącym głosem.

- Jak on uzyskuje taki dźwięk? - rzuciła Sovay w powietrze.

- Ma takie specjalne urządzenie - usłyszała w uchu czyjś przyjazny głos. - Tam się kryje profesor. To Włoch, zawsze się tu kręci. Miły człowiek, ale lubi sobie popić. Prawie tak samo czerwony na twarzy jak Punch.

Sovay nie od razu poznała, że stojący obok niej chłopiec to Toby.

- Patrz - uśmiechnął się do niej. - Teraz będzie najlepsze.

Sovay śmiała się razem z resztą widowni, patrząc, jak pojawia się urzędnik z nakazem aresztowania oraz policjant, by zabrać Puncha do więzienia. Aplauz sięgnął zenitu, gdy Punch potraktował policjanta swoją laską. Wrzawa ucichła nagle, bo na scenę wyszedł kat Jack Ketch ze sznurem w dłoni, a tuż za nim wyskoczyła szubienica. Protestujący Punch miał zostać powieszony, ale ku radości widowni udawał, że nie rozumie, co ma zrobić. Tłum mruczał w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków - tymczasem poirytowany Jack Ketch z pogardą skrzeczał coś o głupocie Puncha i zademonstro-

wał mu osobiście, co należy zrobić, zakładając pętlę na własną szyję. Pomruk widowni przeszedł w zagłuszający aplauz, gdy Punch powiesił kata, ale przedstawienie jeszcze się nie skończyło. Na scenę wyskoczył diabeł z zamiarem zaciągnięcia głównego bohatera do piekła. Widownia zaryczała ze śmiechu, kiedy Punch rozprawił się z diabłem i wyskrzeczwał: „Hurra! Hurra! Zabiłem czarta!”

- Uwielbiam ten kawałek - Toby wytarł oczy rękawem. - Zawsze mnie śmieszy. A tak w ogóle, to kapitan przesyła pozdrowienia - dodał i mrugnął do Sovay, po czym ukłonił się czapką. - Miłego dnia, życzę.

- Kto to był? - zapytał Gabriel, który zauważył, że Sovay zarumieniła się, kiedy chłopiec odszedł. - Obraził cię?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła i wrzuciła kilka monet do kapelusza, który krążył pośród widowni. - To tylko chłopiec, który wyjaśnił mi, jak to jest robione.

Kiedy wracali spacerem do Soho Square, miasto ucichło i zaczął zapadać zmrok. Po drodze rozmawiali o przedstawieniu kukielkowym, śmiejąc się głośno - przynajmniej chwilowo zniknęły zmartwienia. Tak bardzo zajęci byli rozmową, że zapomnieli o ostrzeżeniu, jakiego udzielił im Amerykanin. A w istocie - przez cały czas ktoś ich śledził.

Po powrocie do domu okazało się, że jest dla Sovay wiadomość. To Virgil Barrett napisał parę słów, wyjaśniając, że zatrzymują go interesy i dlatego będzie mógł ją odwiedzić dopiero następnego dnia. Poczula lekkie rozczarowanie. Polubiła tego Amerykanina i chociaż wiedziała, że nie powie jej wiele więcej o miejscu pobytu papy, to jednak czerpała otuchę z jego obecności, z poczucia, że potrafi dużo zdziałać - przynosiło jej to ukojenie pośród otaczającej ją niepewności i z chęcią by z nim jeszcze porozmawiała.

Przebiegła szybko wzrokiem notkę, bo dojrzała leżącą na srebrnej tacy wizytówkę. Imię i nazwisko otaczała gruba czarna ramka, jakby nadawca znajdował się w głębokiej żałobie.

*Sir Robert Dysart, Bart.*

- Kiedy to przyszło? - zapytała ostro. Lidia nie spieszyła się z odpowiedzią, zbyt była zajęta kręceniem się wokół Gabriela i spoglądaniem na niego z ukosa. Chichotała nerwowo, pytając go o zdrowie i ogólnie zachowywała się dziwnie. Sovay wiedziała, że Lidia ma na niego chrapkę i chętnie by go usidliła - normalnie żartowałyby sobie z dziewczyny, ale w tej sytuacji jej zachowanie ją tylko irytowało.

- Pytałam, kiedy to przyszło?

- A niedawno, oba przyszły niedawno. Tuż przed powrotem panienki. Ten liścik przyniósł posłaniec, a wizytówkę dostarczono osobiście. Dziwne, że panienka go nie spotkała - wysoki, cienki jak patyk, cały w czerni.

- Dość tego, Lidio - przerwała jej sucho pani Crombie. Była zła na dziewczynę za robienie maślanych oczu do Gabriela, a poza tym uważała, że służącym nie wolno komentować gości. - Jeśli panna Sovay już cię nie potrzebuje, chodź i pomóż mi posortować pranie.

Błagalne spojrzenie Lidii nie spotkało się ze zrozumieniem i musiała pokornie pójść za gospodynią. Sortowanie prania należało do najbardziej nie ulubianych przez nią zajęć domowych (na równi z rozpalaniem ognia w palenisku), a poza tym, ponieważ praktycznie nie wyściubiała nosa na zewnątrz, była spragniona opowieści o Londynie.

Gabriel poszedł sobie niemal od razu, żeby zabrać swoje rzeczy od Fitzwilliama. Sovay przeszła do salonu, pocierając brodę wizytówką, po czym ustawiła kartonik na kominku i zaczęła się w niego wpatrywać. Czegóż Dysart może od niej chcieć? Poczowała dreszcz ekscytacji podszyty cienką warstwą strachu. Odwróciła się od wizytówki, odsuwając od siebie lęk. Dysart z pewnością nic nie wie, a nawet jeśli tak, co może zrobić?

Postanowiła nie czekać na jego wizytę, co więcej - wymazać ją chwilowo z pamięci. Zamiast tego skoncentrowała się na obowiązkach domowych i przygotowaniu pokoju dla Gabriela. Słyszając to, Lidia ochoczo zgłosiła się do przejęcia obowiązków.

- On ci się podoba, prawda? - zapytała Sovay, przechylając głowę. - Tak sobie pomyślałam, kiedy widziałam, jak się przy nim zachowujesz.

- To tylko niewinny flirt - powiedziała Lidia, wyciągając pościel z maglownicy. - To nic nie znaczy.

- Wiem - odparła Sovay i położyła jej rękę na ramieniu. - Nie chciałam na ciebie naskoczyć.

Uśmiechnęła się, a Lidia odpowiedziała uśmiechem, zadowolona, że znowu wszystko między nimi wróciło do normy.

- Podoba mi się - przyznała nagle Lidia i zarumieniła się. - Nic na to nie poradzę. Jest przystojny i dobrze zbudowany. Lubię silnych mężczyzn, ale Gabriel jest inny niż wszyscy nasi chłopcy.

- To znaczy? - zainteresowała się Sovay.

- Jest delikatniejszy w sposobie bycia i mówienia. Nigdy nie przeklina przy kobietach i zawsze ma w kieszeni książkę. Nie mówi wiele, ale dużo myśli. Ja nie znoszę gadułów i typów przywódczych, Gabriel nie zadiera nosa, ale zachowuje się jak dżentelmen - zaśmiała się Lidia. - Jest większym dżentelmenem niż niektórzy panowie, to na pewno. Nie mam u niego szans - powiedziała z rezygnacją. - Ale spróbować mogę - dodała, wchodząc na schody.

- Dlaczego uważasz, że nie masz u niego szans? - zapytała Sovay, wnosząc kwiaty do pokoju Gabriela. - Oczywiście, że masz. Jesteś ładna i inteligentna, masz dobre serce i jesteś wielkoduszna. Będiesz doskonałą żoną i matką, no i przyjaciółką. Będzie szczęściarzem, jeśli weźmie cię za żonę.

- Nie - Lidia pokręciła głową. - On jest wpatrzony tylko w jedną osobę. Proszę mi wierzyć, już niejedną próbowała.

- Naprawdę? - Sovay zaczęła układać róże w wazonie. - A któż to taki?

- No przecież, że panienska - Lidia uśmiechnęła się, kiedy spotkała wzrok Sovay w lustrze. - Nie wiedziała panienska o tym?

## ROZDZIAŁ 12

Sir Robert przysłał liścik informujący, że odwiedzi ją następnego dnia o godzinie dziesiątej rano. Sovay postanowiła wstać wcześniej, żeby przygotować się do spotkania.

Lidia uczesała ją tak, by wydobyć naturalny blask jej włosów i upięła starannie jej piękne pukle. Sovay chciała wyglądać jak najbardziej naturalnie, z włosami związanymi wstążką i lokami opadającymi na ramiona. Zdecydowała się założyć skromną sukienkę z hinduskiej bawełny. Uznała, że bez względu na to, co Dysart wie i czego chce, najlepiej będzie udawać niewinną i naiwną. Nieśmiałość nie leżała co prawda w jej naturze, ale - ani w zachowaniu, ani w wyglądzie - nie chciała zdradzić żadnych oznak śmiałości, które mogłyby świadczyć o tym, że jest rozbójniczką i zatrzymuje dyliżansy, łupiąc dobytek pasażerów. A przynajmniej nie od razu.

Kiedy sir Robert Dysart został zaanonsowany punktualnie o dziesiątej, Sovay była gotowa.

- Sir Robert - wstała z miejsca, by się przywitać. - Chyba nie mieliśmy jeszcze okazji się spotkać.

- To prawda, panno Middleton - skłonił się i ujął jej dłoń. - Nie mieliśmy, ale jest mi niezmiernie miło, że to w końcu nastąpiło.

Sovay przypomniała sobie opis Lidii. Dysart był wysoki i ubrany całkowicie na czarno. Trudno było określić jego wiek, bo staroświecka peruka z białymi lokami dodawała mu lat. Kiedyś mógł być nawet przystojny, lecz jego twarz przybrała teraz szary odcień, typowy dla osób, które rzadko wychodzą na zewnątrz. Miał zapadnięte policzki z wystającymi kośćmi policzkowymi, skórę naciągniętą na kościste czoło i duży nos - wyglądał, jakby coś zjadało go od środka. Kogoś albo coś jej przypominał. Ach tak - uświadomiła sobie nagle. Dysart wyglądał jak jedna z kukielek, które widziała poprzedniego dnia w Covent Garden. Jack Ketch, kat z przedstawienia, był chyba zrobiony na jego wzór. Oczy Dysarta miały bowiem dziwny kolor - żółtawozielony, matowy i mętny jak krzemień. Kiedy ujął jej dłoń, poczuła, że jego długie i cienkie palce są suche i kościste. Ponad kostkami i na zewnętrznej stronie dłoni wyrastały szorstkie czarne włosy, długie paznokcie miał poplamione atramentem. Sovay zabrała swoją dłoń tak szybko, jak tylko uprzejmość jej na to pozwalała.

Dysart obserwował, jak dziewczyna krząta się, przygotowując herbatę. Zręcznie udawała prostotę, chciała wydać się ładna i urocza, mimo silnych rysów i śniadej cery. Dysart bacznie przyglądał się jej profilowi, gdy napełniała filiżanki. Musiał przyznać, że była ładna, miała duże oczy, wyraźnie



zarysowane brwi i prosty, grecki nos. Jej rysy były zbyt regularne, by można było uznać ją za piękność, ale kto wie, czy z czasem nie przerodzi się w kobietę wielkiej urody.

- Miałem nadzieję, że spotkam pani ojca - Dysart rozejrzył się dookoła, jakby zdziwiony, że nie znajduje go tutaj.

- Chwilowo go nie ma. Jaką pan pije?

- Z cukrem, bez mleka - odparł i spojrział na niebieską filiżankę z podstawkiem, którą mu podała. - To chyba dzieło pana Wedgwooda, o ile mnie wzrok nie myli.

- Tak - uśmiechnęła się. - Serwis do herbaty o identycznym wzorze był prezentem podarowanym ojcu przez pana Wedgwooda podczas jego ostatniej wizyty w Compton. Ojciec zamówił drugi taki sam do mieszkania w Londynie. - Z kolekcji etruskiej. Mój ojciec jest wielkim miłośnikiem jego porcelany.

- I bliskim przyjacielem? - Dysart upił łyk gorącej herbaty i podniósł ciemną brew. Josiah Wedgwood znany był ze swoich radykalnych poglądów.

- Chyba się znają - odparła.

To więcej niż tylko znajomość, pomyślał Dysart, ale nic nie powiedział. Trzymają się razem jak para złodziei, razem z tym zdradzieckim Josephem Priestleyem i całym samozwańczym towarzystwem z Lunar Men.

- Przykro mi, że minąłem się z pani ojcem. Kiedy spodziewa się pani jego powrotu?

- Nie potrafię powiedzieć... - zawiesiła głos.

- A jednak los przywiódł panią tutaj - powiedział Dysart i odstawił filiżankę. - Dlaczego pani tu jest, panno Middleton?

- Przyjechałam do ojca. Papa chciał wprowadzić mnie do towarzystwa. Obiecał mi całą szafę nowych rzeczy, ale kiedy tu przyjechałam, okazało się, że jego nie ma.

Sovay odgrywała rolę rozpieszczonej córeczki pobłażliwego ojca. Wszyscy wiedzieli, że pan Middleton zwariował na punkcie córki. Wystarczyło przypomnieć sobie ten absurdalny portret, który zamówił u malarza idioty, któremu nie udało się uchwycić niczego istotnego. Była to wiarygodna rola, ale do Sovay zupełnie nie pasowało odgrywanie pustej główki. Dysart wbił w nią zimny wzrok. Nie mrugnęła nawet, wytrzymała jego spojrzenie, odwzajemniając się spojrzeniem tak pustym, że odbijało się w nim jego własne.

Była dobra. Niezwykle inteligentna i sprytna. To zaskakujące, zważywszy na młody wiek, no i płeć. Dysart nigdy nie spotkał się z taką kobietą. Miała tupet - musiał przyznać, ale chyba nie sądziła, że uda jej się zyskać nad nim przewagę? Przecież to tylko młoda gąska. Kiedy Dysart odstawił filiżankę na spodek, ręka mu nieznacznie zadrżała. Już on w niej to wytepi. Zatrząśnie podstawami jej jestestwa, a potem będzie jeszcze długo nią trząsł.

- A pani brat? - zapytał od niechcienia, jakby wypytywał o swoją najbliższą rodzinę. - Jak sobie radzi w Oksfordzie?

- Chyba dobrze. Nie zwierza się mi.

- Słyszałem, że jest kimś w rodzaju poety. I nawet zyskał już pewien rozgłos, także w Londynie.

- Doprawdy? - wzruszyła ramionami. - Hugh jest bardzo skromny i nie chwali się swoim talentem. Do nas na wsi takie wieści nie dochodzą.

- Wyjechał na trymestr zimowy?

Sovay zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi. Oczy Dysarta niczego nie zdradzały, ale ona przypomniała sobie, co Hugh powiedział jej w dzieciństwie: nie należy kłamać, chyba że to absolutnie konieczne.

- Tak sądziłam, ale...

- Ale?

- Jego nauczyciel akademicki, pan Fitzwilliam, był tu wczoraj z wizytą i powiedział, że nie widział mojego brata od pewnego czasu.

- Naprawdę? - Dysart pokiwał głową, jakby właśnie przyswajał sobie tę informację. - Ciekawe, gdzie w takim razie przebywa.

Sovay przyjęła na chwilę zatroskany wyraz twarzy, a potem uśmiechnęła się.

- Może pojechał do kogoś w odwiedziny. On ma przyjaciół w tylu miejscach.

- I naprawdę nie dał żadnego znaku życia? Aż trudno w to uwierzyć.

- Oczywiście, przychodziły czasem listy... ale ostatnio niewiele.

- Wysyłane z Oksfordu?

- Nie przyglądałam się stemplom pocztowym, sir Robercie.

- Z Paryża?

- Z całą pewnością nie - Sovay udała przerażenie. - To bym zapamiętała.

Twarz Dysarta pozostawała kamienną maską.

- Fitzwilliam mówił mi, że tak właśnie może być.

- Naprawdę? - poderwała się z miejsca i o mały włos nie rozlałyby herbaty. - Mnie tego nie powiedział.

- Może chciał pani oszczędzić zmartwień - odparł gładko Dysart. - Paryż to bardzo niebezpieczne miejsce.

- To prawda - Sovay zaczęła kroczyć po pokoju. - To niezwykle niepokojąca wiadomość, zwłaszcza że nie ma papy.

- No właśnie, pani ojciec - Dysart usiadł wygodniej. - Może pojechał za pani bratem.

- Mam nadzieję, że nie! - przygryzła mocno wargę, by do oczu napłynęły jej łzy. - Mam wielką nadzieję, że tak nie jest!

- Ja również - odparł. - To byłby wyjątkowo niezręczny splot okoliczności, zważywszy na to, że sir John nie cieszy się najlepszym zdrowiem. Miejmy nadzieję, że nie znajduje się teraz w miejscu, które mogłoby pogorszyć jego stan.

- Och - Sovay zachwiała się i przytrzymała oparcia. Chyba nie przesadza z reakcją? - Sir Robercie, proszę mnie nie straszyć - popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. - Słyszałam, że jest pan wpływowym człowiekiem. Proszę, niech pan zrobi, co w pana mocy, by dowiedzieć się, gdzie jest papa!

- Oczywiście, że tak zrobię, panno Middleton - Dysart uśmiechnął się, ale uśmiech na jego trupiej twarzy wyglądał jak grymas.

- Może pani na mnie polegać. Przyjechała pani do Londynu niedawno? - zapytał, zamykając temat i kierując rozmowę na inne tory. Cały czas bacznie ją obserwował.

- Owszem. Przedwczoraj - odpowiedziała i z powrotem usiadła na swoim miejscu, nie spuszczać z niego oka. Był niezwykle szczwanym lisem.

- Rozmawiałem z pani sąsiadem, sir Roystonem Gilmore'em. On chyba przyjechał tego samego dnia, co pani. Jak rozumiem, jest pani zaręczona z jego synem.

- Nie... już nie - Sovay zarumieniła się, mimo że pragnęła ukryć przed Dysartem swoje prawdziwe uczucia.

- Przykro mi to słyszeć - spojrzał na nią z cieniem współczucia - ale jestem pewien, że nie brak pani adoratorów. Sir Royston wspominał, że został napadnięty przez rozbójnika. Ledwie uszedł z życiem. A pani nic takiego nie spotkało? Młoda dama, podróżująca samotnie. Bo przecież była pani sama...

- Jechałam ze służącą Lidią - powiedziała i spojrzała mu prosto w oczy, jakby chciała stłamsić w zarodku jakikolwiek sprzeciw.

- Nie miałyśmy po drodze żadnych kłopotów. Bardzo współczuję sir Roystonowi. To niezwykle szokujące.

- Szokujące, to prawda. Już ja dopilnuję, by każdy z nich znalazł się w rękach sprawiedliwości i zawisł na szubienicy - powiedział Dysart, obserwując ją tak, jak myśliwy obserwuje łanię. - Zbyt wielu ich się namnożyło. Ten opryszek, który napadł na sir Roystona, to ktoś nowy, ale najwyraźniej połączył siły z niejakim kapitanem Greenwoodem. Tego bandytę znamy i jego dni na wolności są już policzone, może być pani pewna. No, dobrze - Dysart wykonał ruch, jakby chciał wstać. - Muszę już iść. Mój departament odpowiedzialny jest za utrzymanie porządku i bezpieczeństwa, mamy agentów zarówno w kraju, jak i za granicą. Także w Paryżu - popatrzył na nią bacznie, a w jego oczach widać było ciężar niewypowiedzianych słów. - Niewiele może nam umknąć. Może być pani pewna, że zrobię wszystko, by zlokalizować pani ojca i brata. Paryż to niezwykle niebezpieczne miejsce dla Anglików.

Dysart wstał z miejsca. Przekazał ostrzeżenie. Było oczywiste, że doskonale wie, gdzie oni są i informował ją tylko, że ma ich w swojej władzy.

- Dziękuję panu, sir Robercie - Sovay także wstała, żeby odprowadzić go do wyjścia. - To duża ulga wiedzieć, że zrobi pan, co w pańskiej mocy. Naprawdę musi już pan iść?

- Obawiam się, że tak. I tak zabrałem pani czas. Prawdę powiedziawszy, przyszedłem tylko, żeby podać pani to - to mówiąc, wręczył jej zaproszenie. - Urządzam małe spotkanie w moim domu, w Thursley Abbey. Miałem nadzieję, że pani ojciec będzie mógł przyjść, będzie mi niezmiernie miło, jeśli dotrzyma mu pani towarzystwa. A gdyby nie wrócił do tego czasu, będę zaszczycony, jeśli go pani zastąpi.

- To bardzo miłe z pana strony, sir Robercie. Bardzo dziękuję w imieniu papy. Słyszałam o Thursley, z wielką chęcią obejrzę . pańską posiadłość - powiedziała, a potem zmarszczyła czoło. - Ale to już za kilka dni. Jeśli papa nie wróci, obawiam się, że nie będę mogła skorzystać z pańskiego zaproszenia. Nie wypada, bym pojawiła się sama.

- Proszę się nie martwić, młoda damo - usta Dysarta wydłużyły się na kształt uśmiechu. - Wśród moich gości będzie lady Bingham. Z pewnością ją pani zna. To powierniczka pani ciotki, a niegdyś bliska przyjaciółka pani matki. Przyjaciółka rodziny - lepszej osoby nie mógłbym chyba znaleźć? Będzie pani przyzwoitką - poproszę ją, by panią odwiedziła.

A więc wszystko miał już rozpracowane. Czy tego chce, czy nie chce, musi pojechać do Dysarta.

- W takim razie z przyjemnością przyjmuję zaproszenie - odparła Sovay i obdarzyła Dysarta uśmiechem tak szczerym jak jego własny.

- Zatem do zobaczenia - skłonił się i pocałował rękę, którą mu podała.

- Do zobaczenia - powiedziała i zacisnęła drugą dłoń w pięść, by powstrzymać nagłą chęć wyrwania palców spod jego dotyku.

Kiedy odprowadzała go do drzwi, wytarła wierzch dłoni o sukienkę. Jego pocałunek odebrała jak pieśczętę pary cienkich, szarych ślimaków, które niszczyły rośliny w przykuchennym ogródku. Wróciła do salonu i zaczęła studiować wytłaczone zaproszenie. Dysart ewidentnie chciał, żeby przyszła. Tylko dlaczego? Wiedział dobrze, gdzie są ojciec i Hugh - tyle zdołała wywnioskować z rozmowy. Jeśli uczestnictwo w przyjęciu miało ułatwić jej odnalezienie ojca i brata, to tak właśnie robi. A jeśli będzie trzeba, poradzi sobie z lady Bingham. Pamiętała, że ojciec uważał ją za toksyczną wicherzycielkę, wywierającą zły wpływ na wszystkich i przynajmniej częściowo odpowiedzialną za załamanie nerwowe ciotki Harriet. Sovay przypomniawszy sobie jej ziemistą cerę i cienkie włosy w kolorze Inu, ukrywane pod wyszukanymi perukami. Lady Bingham zawsze nosiła najmodniejsze suknie, choć wisiały one na jej chudym ciele jak na wieszaku.

Dama ta była niestrudzoną organizatorką spotkań i gościem na wszystkich możliwych przyjęciach. Zachęcała do zwierzeń i gromadziła plotki oraz informacje, jak szuler gromadzi złoto, a potem obficie z tego czerpała. Ta wiedza otwierała jej wszystkie drzwi i salony. Nieprzyjemny charakter lady Bingham nie ograniczał w ogóle jej pozycji towarzyskiej - wręcz przeciwnie, nawet jej pomagał. Sovay nie zdziwiło wcale to, że kobieta była zaprzyjaźniona z Dysartem. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy tych dwoje nie jest kochankami. Niezła byłaby z nich para. Zaśmiała się głośno na samą myśl.

Sir Robert Dysart zostawił liścik dla lady Bingham w jej londyńskim domu przy Cavendish Square, a sam wrócił do swoich biur w Leggatt's Court - usytuowanych przy ciemnym dziedzińcu, pozbawionym promieni słonecznych, w samym środku płataniny ulic za Fleet Street. Tu pracował, w pewnej odległości od imponującego przepychu Whitehall, a w pokojach na piętrze urządził sobie apartament i mieszkał w nim w czasie, gdy przebywał w Londynie. Jego departament odpowiadał bezpośrednio przed utworzoną niedawno Tajną Komisją, a charakter pracy, jaką wykonywał, oznaczał, że nikt nie wiedział o Dysarcie, choć był on jedną z najbardziej wpływowych postaci w całym kraju. Sir Robert nie piastował też żadnego oficjalnego stanowiska. Lokalizacja biura idealnie odpowiadała jego zajęciom. Ludzie, którzy odwiedzali jego lub - częściej - jego pracownika Gribbona, czuliby się nienaturalnie i niezręcznie w budynkach rządowych.

Sam budynek był całkiem stary i to się Dysartowi podobało. Był częścią wąskiego szeregu kamienic otaczającego z jednej strony wilgotny dziedziniec. Strome dachy, przypominające rząd nierównych zębów, odbijały się na tle nieba. Pomędzy niedużymi cegłami, poczerniałymi od dymu i ognia, prześwitywały stare, popękane drewniane belki. Jakimś cudem budynki te ocalały z wielkiej pożogi, choć z otaczających je domów pozostały tylko zgliszcza.

Gribbon siedział w biurze, wysoki, chudy, zgarbiony nad biurkiem. Był ubrany na czarno, podobnie jak jego pracodawca, ale ten strój miał w sobie coś skostniałego, a jego głowa pochylała się nisko na wychudzonej szyi. Urzędnik przywodził Dysartowi na myśl czapkę - zupełnie, jakby słowa na kartce, nad którą ślęczał, były rybami, które za chwilę złapie.

- Mniemam, że wizyta okazała się sukcesem.

- Tak mi się wydaje, Gribbon. Tak mi się wydaje.

- Czy ma pan dla mnie coś do zrobienia?

- Nie sędzę. Nie w tym momencie. Chociaż... - Dysart przerwał, bo przypomniał sobie coś, o czym myślał w drodze do biura. - Wezwij znowu Digby'ego Claytona. Być może będę chciał wykorzystać jego szczególne uzdolnienia.

Gribbon skinął głową. Clayton był najlepszym detektywem, jakiego zatrudniali. Sięgnął po skoroszyt, w którym znajdowały się informacje na temat jego miejsca pobytu.

Dysart udał się do swojego gabinetu. Jedyne światło z zewnątrz wpadało przez wąskie okienko wychodzące na niewielki dziedziniec otoczony ze wszystkich stron budynkami. Ciemny bruk porośnięty był kępami mchu i pokryty zielonkawą pleśnią. Dysart lubił tę atmosferę opuszczenia i zaniedbania: to, jak chwasty i nieliczne drzewa rosły, a potem obumierały, próbując sięgnąć do światła, do którego nigdy nie było im dane dotrzeć.

Zdjął perukę i odwiesił ją na wieszak. Nie lubił jej nosić, kiedy był sam. Przejechał dłonią po krótko obciętych szpakowatych włosach i zapatrzył się na planszę powieszoną na ścianie. Mapa jego kampanii, pełna rozlicznych symboli, od wschodu do zachodu i od północy na południe. Najwięcej znaczków otaczało stolicę, ale sporo symboli znajdowało się także wokół innych dużych miast: Birmingham, Sheffield, Manchesteru, Norwich, Nottingham i stolic hrabstw. Oznaczenia były częścią skomplikowanego systemu wymyślonego przez Gribbona i ukazywały rozmaitych agentów, a także ludzi, których obserwowano - pojedyncze jednostki, jak i całe grupy. Gribbon był genialny w tego typu sprawach. Wykazywał się niezwykłą skrupulatnością w swojej przebiegłości i geniuszem we wszystkich podstępnych planach. To on wprowadził pocztę gołębią; Dysart był początkowo nastawiony sceptycznie, ale musiał w końcu przyznać, że jest to dobry system - szybki i tajny. Dysart nie miał przed nim zbyt wielu tajemnic. Kiedy nadejdzie czas, Gribbon otrzyma zaszczyty, na jakie zasłużył - jeszcze nie w tej chwili, ale już niedługo.

Gribbon dodał do mapy kolejne symbole: Dziewczyna, Wieśniak, Prawnik, Rozbójnik. Za jakiś czas na mapie pojawi się pajęczna sieć, odwzorowująca każdy ich ruch. Dysart zastanawiał się przez chwilę, czy rozbójnik nie mógłby mu się do czegoś przydać, w końcu nie łączyły go żadne więzi z pozostałymi i nie musiał zachowywać wobec nich żadnej lojalności. Jednakże wiedział z doświadczenia, że rozbójnicy byli trudną do rozpracowania grupą. Nie można było im zaufać. Byli przekupni. Co prawda każdy z nich miał swoją cenę, a uchronienie przed więzieniem i groźbą stryczka stanowiły znaczącą zachętę do działania, ale wchodzenie z nimi w konszachty to było coś zupełnie innego. Rozbójnicy działali w pojedynkę, nikomu nie ufali i wierzyli tylko samym sobie. A ten, o którego chodziło, ten kapitan Jake Greenwood, był chyba jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż jego pobratymcy. Jednak życie poza prawem czyniło z niego bardziej bezbroną ofiarę niż z pozostałych osób z tej grupki, których Dysart uważał teraz za konspiratorów.

Kradzież teczek nie zniweczy planów Dysarta. Zresztą dokumenty zostały zwrócone, ale odbyło się to w niezwykle podejrzany sposób. Dysart wyczuwał w tym jakiś spisek, a co jak co, lecz spisków to on bardzo nie lubił - no chyba że były to jego własne. Ta dziewczyna, Sovay Middleton, wyjeżdżała na drogi w przebraniu rozbójnika, przez co wzbudzała podejrzenia. Ich spotkanie tylko go utwierdziło w przekonaniu, że jest winna. Nie była tym, kogo udawała, oszukiwała go chytrze, a przede wszystkim był z niej kawał drania, a Dysart nie lubił takich ludzi. Jeśli jego plany miały się powieść, nic nie można było zostawić przypadkowi. Każda osoba uwikłana w kradzież teczek, każdy, kto cokolwiek

wiedział na ten temat, zostanie sprowadzony do Thursley, a on rozprawi się z nimi we właściwym czasie. Gdyby zaczął eliminować ich pojedynczo, z pewnością zwróciłoby to uwagę. A tak? Będzie mógł z nimi zrobić, co tylko mu się spodoba.

Thursley to było jego królestwo. Ogromny gmach usytuowany pod Londynem został wzniesiony na miejscu dawnego opactwa zniszczonego w czasie reformacji. Dysart włączył ruiny dawnej budowli w jedno ze skrzydeł budynku, a resztę odbudował na wzór oryginału - czy raczej tego, jak jego zdaniem oryginał powinien był wyglądać - przypory, wysokie, zaokrąglone okna z witrażami i rozetami oraz strzeliste wieże zakończone iglicami i gargulcami. Od południa dostępu do posiadłości broniła Tamiza, z pozostałych stron otaczał ją kamienny mur, wysoki na prawie trzy metry i długi na dziesięć kilometrów.

W skrzydłach i wieżach gmachu można było ukryć całe wojsko, a obszerne podziemia stanowiły bezpieczne schronienie dla niechcianych gości. Krypta została wyposażona przez Dysarta w średniowieczne narzędzia tortur sprowadzone z różnych zakątków Europy. Miło było widzieć, że znów działają. Doskonale wykonanie, niektóre miały już kilkaset lat, ale były tak zrobione, że z powodzeniem mogły udawać nowe. Na widok wprowadzonych w ruch urządzeń Dysart miał wrażenie, jakby przeszłość się odrodziła.

Ostatnio do jego kolekcji dołączył nowy nabytek - gilotyna, będąca wiernym odwzorowaniem paryskiej. Pod głównymi schodami musiał zbudować specjalne obniżenie, żeby ostrze gilotyny mogło skutecznie obcinać głowy. Dzięki temu mógł teraz dobijać swoje zakrwawione i połamane ofiary: informatorów, którzy postanowili wystawić go do wiatru, szpiegów, którzy zawalili sprawę lub niedostatecznie dobrze się spisali. Ten tłusty policjant od teczki też zapłacił za swoją głupotę. Jednak ze względu na gruby kark, nie wystarczyło jedno opuszczenie gilotyny, trzeba było je powtórzyć. To wszystko można wytłumaczyć naukowo, wyjaśniał Gribbonowi. Trzeba było wziąć pod uwagę wysokość, ciężar i siłę impetu. Sir Robert przeprowadził własne eksperymenty i doszedł do tego, że jeśli wysokość będzie nieodpowiednia albo ostrze zbyt delikatne, wówczas głowa nie zostanie czysto odcięta.

Francuzi wprowadzili wynalazek doktora Guillotina dla zasady równości, wcześniej ścięcie głowy zarezerwowane było wyłącznie dla arystokracji. Teraz to głównie jej głowy padały pod ostrzem. Równość w obliczu śmierci, tak jak we wszystkim innym. Bez względu na pobudki była to idealna forma kary śmierci, zwłaszcza jeśli w grę wchodziły większe grupy ludzi. Zdecydowanie lepsza niż wieszanie. Dysart zarządził niedawno wykopanie pokrytego wapnem zbiornika na zalesionym terenie swojej posiadłości, by móc pozbywać się bezgłowych ciał.

Z niechęcią oderwał się od przyjemnych rozważań i spojrzał na mapę: Dziewczyna, Wieśniak, Prawnik, Rozbójnik - wszyscy podejrzani. I jeszcze jedna osoba. Dysart zauważył z zainteresowaniem, że Gribbon dodał miniaturową flagę amerykańską.

# ROZDZIAŁ 13

Sir Robert dotrzymał słowa i następnego dnia lady Bingham siedziała w swoich jedwabiach na sofie w mieszkaniu Sovay i poklepywała dziewczynę po ręce.

Najpierw wypytała o zdrowie „tej biedaczki Harriet”, ale zanim Sovay zdążyła odpowiedzieć, kontynuowała dalej.

- Co za wstyd! Droga Harriet taka chora i jeszcze twoja biedna mama... - lady Bingham zawiesiła głos ze smutkiem na sekundę, po czym błyskawicznie ożywiła się. - Potrzebujesz kobiecej ręki - powiedziała i spojrzała na Sovay dużymi, niebieskimi oczami. - Z całą pewnością. Ile masz lat, drogie dziecko?

- Siedemnaście.

- Siedemnaście! Ależ to praktycznie staropanieństwo! Co ten twój ojciec sobie myśli, żeby cię trzymać na wsi! - powiedziała i spojrzała na książkę, którą Sovay trzymała w ręku. - Musisz wejść w towarzystwo, a ja ci w tym pomogę. No dobrze, moja droga, mam tu dla ciebie listę...

Lady Bingham wygłosiła całą litanię zajęć, dzięki którym kalendarz Sovay miał się wypełnić aż do połowy lata. Uroczyste obiady, kolacje, wieczorki i herbatki w rozmaitych miejscach, w modnych dzielnicach Londynu, organizowane przez przyprawiający o zawrót głowy krąg dam, z których każda była dla lady Bingham „jej drogą przyjaciółką”.

Sovay słuchała ze spuszczoneym wzrokiem i rozmyślała. Oczywiście spodziewała się tej wizyty, ale nie oczekiwała, że nagle ktoś przejmie kontrolę nad jej życiem.

- Lady Bingham - zaczęła - to miłe z pani strony...

- Zatem ustalone! - rozpromieniła się kobieta. - A teraz - dodała, obrzucając Sovay krytycznym spojrzeniem - twoje stroje.

- Mam dosyć sukienek - sprzeciwiła się Sovay.

- Z zeszłego sezonu - powiedziała lady Bingham, zupełnie jakby tłumaczyła półgłówkowi. - To jest Londyn! Te prowincjonalne krawcowe - zamknęła oczy i pokręciła głową, jakby sama myśl o tym ją przerażała. - Jutro przyślę tu moją krawcową. To Francuzka, jest doskonała. Pracowała dla najlepszych francuskich rodów, szyła nawet dla samej królowej. Zobaczmy, czego potrzebujesz - lady Bingham zaczęła wyliczać na palcach poszczególne elementy ubioru. - Oczywiście suknieienne. Suknie wieczorowe odpowiednie na różne okazje. Nie wypada ubierać ciągle tego samego. Dalej kapelusze, rękawiczki... Ależ to zajmie całe tygodnie! - wykrzyknęła. - Co ja sobie wyobrażam?! Wstań, moje dziecko - zakomenderowała. - Niech ja ci się przyjrzę. Mogłabyś być całkiem ładna, gdyby ktoś o ciebie zadbał - z całą pewnością - zaczęła odwracać Sovay na wszystkie strony. - Jesteś wzrostu mojej Charlotty. Ona też jest szczupła. Tak, duże podobieństwo. A ona ma więcej sukni niż jest w stanie wynosić przez cały rok.



- Ależ nie! - Być może jej prowincjonalna garderoba pozostawiała wiele do życzenia, ale tego było za wiele. - Nie mogę nosić ubrań po kimś. Papie by się to nie podobało.

- W takim razie powinien był lepiej wyposażyć swoją córkę - zauważyła cierpko lady Bingham. - To już ustalone. Niczym się nie martw - powiedziała i ścisnęła ją mocniej za ramię. - Madame Chantal potrafi zdziałać cuda! No i oczywiście masz jeszcze wizytę w Thursley. Nawet, jeżeli zapomnimy chwilowo o pozostałych przyjęciach, to przecież na tę okazję chciałabyś chyba ładnie wyglądać, prawda?

A więc lady Bingham prawdziwy powód swojej wizyty zostawiła na sam koniec.

- Oczywiście - odparła Sovay. - Już się nie mogę doczekać. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby ominęła mnie taka okazja.

- Bardzo dobrze, moja droga. To nie jest okazja, którą można omijać.

Na twarzy kobiety przez cały czas tkwił przyklejony wieczny uśmiech, ale Sovay miała wrażenie, jakby na moment przerodził się w wyraz triumfalnego okrucieństwa. Niebieskie oczy lady Bingham były zimne i twarde jak odłamki szkła na ziemistej twarzy.

Sovay nie zdążyła jeszcze zebrać myśli po wizycie lady Bingham, kiedy Lidia zaanonsowała przybycie Virgila Barretta.

- Jeden gość za drugim! - zawołała z błyskiem podekscytowania w oku. - Nie tak jak w Compton. Tu nawet złapać oddechu nie ma kiedy!

Wraz z Amerykaninem przyszedł Gabriel, co częściowo mogło tłumaczyć blask w oczach Lidii.

Kiedy Lidia wyszła, Sovay nie traciła czasu na uprzejmości. Cały czas miała w pamięci przerwana dzień wcześniej rozmowę i chciała wiedzieć dokładnie, co Barrett wie na temat jej ojca. Amerykanin nie powiedział jej jednak nic więcej ponad to, co już wiedziała.

- A więc mój ojciec jest bezpieczny u boku Henry'ego Fitzwilliama?

- Nie do końca - Virgil Barrett ważył słowa. Nie chciał jej przestraszyć, ale z drugiej strony wiedział, że jest niezwykle dziewczyną, a wśród jej cech wyróżniała się szczerłość. Zasługiwała na uczciwe postawienie sprawy. - Jeszcze do niedawna obecność Fitzwilliama była gwarancją bezpieczeństwa. Francuzi byli zainteresowani wywołaniem powstania w Irlandii, a Fitzwilliam chętnie im w tym pomagał. Sprawy we Francji przyjęły jednak ostatnio dość dramatyczny obrót i teraz nikt już chyba nie jest bezpieczny - powiedział i zamilkł na chwilę, by opanować wzbierające emocje. - Przepraszam - odchrząknął. - Nie chciałem ulec afektowi, ale mieliśmy takie nadzieje. Teraz okazuje się, że wolność zginęła, a rewolucja staje się tyranią kilku osób ponad całym narodem. Nie mogę pani pocieszyć - zwrócił się do Sovay. Jego stalowoniebieskie oczy wydawały się jeszcze większe, kiedy zaszyły łzami. - Nie mogę prosić, żeby się pani nie martwiła, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby dowiedzieć się, co się stało z pani ojcem i bratem. Ma pani na to moje słowo.

- Dziękuję panu, panie Barrett - powiedziała poruszona intensywnością jego uczuć. - Postaram się znaleźć w tym jakąś pociechę. Cieszę się, że pan tu jest. I że ty tu jesteś, Gabrielu - dodała. Podniosła z półki nad kominkiem zaproszenie od Dysarta. - Miałam wczoraj gościa i chętnie zasięgnę waszej rady. Zostałam zaproszona do Thursley Abbey - to mówiąc, podała im zaproszenie.

- Hmm - Barrett obracał je w ręku zamyślony. - Dziwna sprawa.

- Zaproszenie jest dla sir Johna - zauważył Gabriel.

- On wie, że pani ojciec jest w Paryżu - powiedział Amerykanin.

- Jest pan pewien? - zapytał Gabriel.

- Z pewnością. On wie o wszystkim.

- To prawda - potwierdziła Sovay. - A przynajmniej tyle wywnioskowałam z naszej rozmowy.

- Skoro to wie, po co zaprosił Sovay? - Gabriel spojrzął z niepokojem na Barretta.

- Nie mam pojęcia - Amerykanin wzruszył ramionami. - Ale z pewnością to nic dobrego - dodał i zwrócił się do Sovay: - Pokrzyżowała mu pani plany, a on bardzo tego nie lubi. Co gorsza, prawdopodobnie zmusiła go pani do działania, zanim się jeszcze na to przygotował. To spotkanie było zaplanowane na środek lata, a więc zostało przyspieszone.

- Skąd pan to wie?

Barrett uśmiechnął się i nagle wyglądał zupełnie jak mały łobuz.

- Ponieważ jestem szpiegiem, panno Sovay. Czyż nie domyśliła się pani? - Z twarzy Amerykanina zniknął szelmowski uśmiech, mężczyzna zaczął kroczyć po pokoju. - Dobrze byłoby poznać jego plany, dowiedzieć się, co knuje...

- Sugeruje pan, że powinnam jednak pojechać do Thursley?

- Ależ skąd! - wykrzyknął i znalazł się przy niej. - Nic podobnego nie przysłoby mi do głowy. To byłoby zbyt niebezpieczne.

Sovay spojrzała na Gabriela.

- A co zrobiłby papa? Albo Hugh?

- Pojechaliby, ale...

- To mężczyźni - dokończyła za niego. - Skoro oni uważaliby to za swój obowiązek, to i ja tak zrobię. Zresztą już przyjąłam to zaproszenie.

- Proszę nie decydować się pochopnie - powiedział Virgil Barrett. - Ostatnio dużo się dzieje w Londynie. Coraz więcej aresztowań, przesłuchania podejrzanych. Zawieszono ustawę zabraniającą dokonywania aresztowań bez nakazu sądowego. Jutro o siódmej odbędzie się protest w Golden Globe w Cheapside, zobaczymy, co się tam wydarzy - to mówiąc, wyjął z kieszeni zegarek, ten sam, który oddała mu wtedy w Compton. - Mam spotkanie z komitetem organizacyjnym, obawiam się, że jestem już spóźniony. Przykro mi, ale muszę iść. Miłego dnia, panno Sovay.

Barrett wyszedł. Z dalszej rozmowy z Gabrielem wynikało, że zamierza on wziąć udział w proteście.

- W takim razie idę z tobą - powiedziała.

- Nie możesz... - zaczął Gabriel, ale przerwała mu.

- Mogę - powiedziała. - I pójdę. Hugh zrobiłby to bez wahania i papa również. Kto wie, czemu w tej chwili muszą stawić czoła w obronie idei, w które wierzą. Myślisz, że tylko mężczyźni pragną wolności? Jestem gotowa zrobić wszystko to, czego i oni by się podjęli.

## ROZDZIAŁ 14

Następnego ranka Wallace, londyński kamerdyner, zaanonsował przybycie jakiejś francuskiej damy. To madame Chantal pojawiła się z zastępem tragarzy, którzy nieśli naręcza sukien. Sovay niemal zapomniała o zapowiedzianej wizycie i miała ochotę odesłać krawcową. Nie miała czasu na zajmowanie się głupotami, ale Lidia - której oczy aż się zaświeciły na widok takich wspaniałości - przekonała ją, by pozwoliła kobiecie zostać.

- Przecież nie szkodzi zobaczyć, co ma do pokazania - zachęcała. - Zresztą, kto wie? A nuż to wyjdzie panience na dobre.

Sovay uległa. Może w ten sposób oderwie się od problemów. Po długim podlizywaniu się Lidii pozwoliła jej nawet zostać i pomóc w przymiarkach, o ile powstrzyma się od wydawaniu ochów i achów przy każdej koronce i obwódce.

Madame była drobną, ruchliwą kobietą o ciemnej karnacji, ciemnych oczach i energicznym, szczerym sposobie bycia. Miała jedwabną suknię w żółto-niebieskie pasy i starannie uczesane włosy, upięte wysoko nad idealnymi lokami opadającymi na gładkie czoło. Sovay uznała, że kobieta albo ma perukę, albo stosuje jakiś barwnik. Nie widziała jeszcze tak czarnych i tak połyskujących włosów. Twarz madame była fachowo upudrowana i pokryta różem, a nad oczami błyszczącymi niczym dwa czarne paciorki unosiły się cienkie linie ciemnych brwi. Mówiła dobrze po angielsku, choć z silnym akcentem, a kiedy weszła, rozpoczęła lament nad okropnymi wydarzeniami, które zmusiły ją do opuszczenia ojczyzny, udania się w ślad za klientelą do Anglii i otwarcia na New Bond Street w dzielnicy Mayfair sklepu pod szyldem „Madame Chantale z Mayfair, magazyn mody, kapelusznictwa oraz krawiectwa”.

- To okropne, *mademoiselle*. Bardzo okropne. To, co się dzieje w moim biednym kraju - powiedziała. - *Le Roi. Tué. La Reigne. Tuée! Et tous les autres? Ils sont des monstres! Monstres vraiment!* - madame przeszła na francuski, jakby jej znajomość angielskiego nie wystarczała przy takich bezeceństwach. - Dawniej królowa, dwór, damy dworu. Jakie koafiury! Jakie suknie! A na dworze! *Les panniens* - zakreśliła ręką szerokie koło. - *Comme ça! Et les robes!* Takie bogate i wspaniałe. *La belle*

*mode*. A teraz - nic nie zostało - madame potarła policzek, jakby chciała obetrzeć łzę, czy to uronioną za Francję, czy też za swoich klientów, dawny system, czy może królową Marię Antoninę - to nie było jasne. - Nie ma piękna. Nie ma elegancji. Szkło zamiast diamentów, wszyscy do siebie podobni, a jak nie to... - tu wykonała wiele znaczący gest na swojej szyi. Sovay zrozumiała, że chodzi o gilotynę. - Kobiety noszą worki, a mężczyźni - krótko obcięte włosy! - wzdrygnęła się madame. - I jeszcze te okropne pantaloney!

W Londynie niewiele bardziej jej się podobało. Pogoda jej nie odpowiadała - zbyt mokro i zimno. Szkodziła dłoniom i nie sprzyjała interesom.

- Anglicy oglądają każdego pensa z dwóch stron. Nie lubią wydawać pieniędzy na stroje.

- A co z francuską emigracją? - zapytała Sovay. - To na pewno dobrzy klienci.

- Ech! - madame Chantal machnęła ręką z rezygnacją. - Są tu, ale nie mają pieniędzy. Ciągłe tylko przerabiam i sztukuję, tylko tyle mogę zrobić. Nic nowego! Przed rewolucją każdy rok był inny, każda pora roku! A tu? - skrzywiła się z obrzydzeniem, jakby nie znajdowała właściwych słów. - Anglicy nie mają pojęcia o modzie.

- Ale przecież te suknie - Sovay dotknęła tkaniny - są bardzo ładne.

Rzeczywiście były. W garderobie Sovay wisiały suknie do przymiarki, uszyte według najnowszej mody. Dziewczyna mogła tylko podziwiać piękne zdobienia, srebrne koronki, brokatowe polonecki i delikatne wzory tkane na jedwabiu.

- Francuscy tkacze ze Spitalfields! - triumfowała madame. - Czy Anglicy byliby w stanie stworzyć coś takiego?

Suknie były przepiękne, ale Sovay nienawidziła z całego serca przymiarek. Nie cierpiała mierzenia, wpinania szpilek, obracania to na jedną, to na drugą stronę, popychania i dotykania. To między innymi dlatego wołała proste stroje. Teraz jednak pogładziła suknię z połyskującej bawełny w kremowo-czerwone pasy, cudnie ozdobioną różami w obu kolorach, i poczuła, że traci swoją obojętność.

- Och, panienko! - zawołała Lidia. - Jest śliczna! Będzie panience pasowała.

- *C'est jolie, n'est pas?* - Madame aż pojaśniała, widząc, że dziewczyna jest urzeczona piękną tkaniną. - Do tej pani cery! - gestem wyraziła idealne dopasowanie. - Od niej zaczniemy.

Wkrótce przymiarki szły pełną parą, a paplanina krawcowej została przerwana przez konieczność trzymania szpilek w ustach. Wszystko zajęło więcej czasu, niż można się było spodziewać, mimo ochoczej pomocy Lidii. Wbrew zapewnieniom lady Bingham Charlotta była jednak niższa i zdecydowanie szersza. Kiedy madame skończyła, odsunęła się do tyłu, by ocenić swoje dzieło, sapiąc przy tym i dysząc. Suknie będą wymagały wielu przeróbek. Madame westchnęła i wzniosła do góry swe pracowite rączki. A potem obeszła Sovay dookoła, przyglądając się jej pod każdym możliwym kątem, zupełnie jakby była posągiem.

- *Chère mademoiselle* - odezwała się w końcu. - Z taką cerą może pani nosić wszystko, ale jednolite kolory będą chyba najlepsze. Córka madame Bingham uwielbia wyszukany styl, który chyba nie przypadnie pani do gustu - Sovay spojrzała na bogato zdobiony i haftowany brokat i przytaknęła. - A więc! - Madame klasnęła w dłonie, a jej oczy zaświeciły niczym dwa czarne cekiny. - Oto, co proponuję: mam delikatne jednobarwne jedwabie, szkarłat, turkus, róż, *jaune de primevère*, *vert d'émeraude* - przepiękne, jak ailes d'ange, skrzydła anioła utkane z klejnotów. Pochodzą od samej krawcowej Marii Antoniny. Chciałabym uszyć dla pani suknię, prostą, *mais élégante*. Zgadza się pani?

Sovay zawahała się. Madame miała rację, garderoba Charlotty nie przypadła jej do gustu, z wyjątkiem może jednej czy dwóch sukni, a sama myśl o noszeniu czyichś używanych rzeczy przyprawiała ją o obrzydzenie. Chciałaby suknię uszytą tylko dla siebie z opisanych przez madame tkanin...

- Jeśli problemem są pieniądze... - szepnęła taktownie krawcowa.

- Ależ nie - Sovay pokręciła głową. - Nie chodzi o to. Tylko zastanawiałam się, czy mamy czas - i wyjaśniła kwestię swojej wizyty w Thursley. - Ta suknia będzie mi wkrótce potrzebna.

Madame rozpromieniła się, a szeroki uśmiech groził obsypaniem się starannie nałożonego pudru.

- Proszę się nie martwić, *chère mademoiselle*. Będzie pani *la plus belle, vraiment*. Proszę zaufać madame Chantal.

Całe to mierzenie i przymierzanie przypomniało Sovay o czymś, co planowała, odkąd tylko dojechała do Londynu. Wysłała Lidię z Perkinsem, synem lokaja, jako przewodnikiem - mieli się udać do krawca szyjącego dla Hugh z poleceniem, by przygotował dwa zestawy ubrań, łącznie z koszulami, butami i innymi akcesoriami. Ubrania miały być przeznaczone dla kuzyna, pana Jamesa Middletona. Sovay załączyła wymiary, ponieważ kuzyn był nieco niższy od Hugh i szczuplejszej budowy. Ten młody człowiek został po drodze obrabowany, skradziono mu cały bagaż, więc pilnie potrzebował ubrań na zmianę. Na wszelki wypadek, gdyby dom miał być pod obserwacją, Sovay wysłała Lidię ubraną w jej własną suknię.

Kiedy o szóstej wieczorem Sovay wyszła z domu, wyglądała zupełnie inaczej. Znowu zmuszona była skorzystać z garderoby brata. Wybrała najprostszy strój, jaki udało jej się znaleźć - brązowe buty, płowe spodnie, brązowy wełniany płaszcz i prostą kamizelkę nałożoną na lnianą białą koszulę z wysokim kołnierzykiem, a do tego pasujący halsztuk. Zaczesała włosy do tyłu i przewiązała czarną wstążką, założyła kapelusz z wąskim rondem i przekrzywiła go na jedną stronę. Lubiała to uczucie wolności, jakie dawały jej ubrania Hugh. Mogła pójść wszędzie, gdzie chciała, zrobić, co miała do zrobienia, i nikt jej nie pozna. Uśmiechnęła się do siebie, wychodząc z domu. Wkrótce będzie miała własne męskie ubrania.

Gabriel czekał na nią na placu pod platanem. Ukłoniła się kapeluszem i na powitanie rzuciła: „Dobry wieczór”. Rozpoznał ją dopiero po drugim spojrzeniu.

Gwizdnął na czekającego woźnicę, a ten popędził konie. Sovay starała się nie zapomnieć, że nie może czekać na pomoc przy wsiadaniu. Chwyciła się boków i podciągnęła. Tuż za nią wsiadł Gabriel.

- Golden Globe, Cheapside - krzyknął do woźnicy i powóz ruszył.

Ani Gabriel, ani Sovay nie zauważyli jednak, że w pobliżu kręci się mały, ubrany na czarno człowieczek. Jeśli Sovay chciała przechytryć Digby'ego Claytona, to jej się to niestety nie udało. Zauważył, że z domu wychodzi służąca ubrana w suknię swojej pani, ale ją zlekceważył. Nie wystarczył jej jedwabie i wymyślne nakrycia głowy, żeby nabrać starego Digby'ego. A potem z budynku wyszedł młody mężczyzna, chociaż wcześniej wcale do niego nie wchodził. Coś było znajomego w jego wyglądzie. Digby nigdy nie zapominał twarzy, o nie, ale tu nie tylko o twarz chodziło. Postawa, sposób chodzenia, inne drobne szczegóły - to wszystko zdradzało, że ma do czynienia z panią tego domu przebraną za mężczyznę. Bardzo ciekawa sprawa. Usłyszał polecenie wydane woźnicy i ruszył w ślad za powozem. Digby uznał, że nie musi wcale wykosztowywać się na powóz - ulice były tak zatłoczone, że zapewne uda mu się dotrzeć do Golden Globe przez nimi.

## ROZDZIAŁ 15

Kiedy Sovay i Gabriel przybyli na miejsce, zastali chaos i zamieszanie. Tłumek mężczyzn i kobiet kłębił się na wąskim chodniku przed karczmą i wylewał na ulicę.

- Co się dzieje? - Gabriel zwrócił się do człowieka stojącego nieopodal.

- Karczmarz nie pozwolił nam skorzystać z pokoi na piętrze - wyjaśnił człowiek. - Mówi, że spotkanie jest nielegalne, a on nie chce, żeby mu zamknęli gospodę.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Sovay. Nigdzie nie było widać Virgila.

- Poczekamy i zobaczymy, co z resztą - odparł mężczyzna, który uznał, że pytanie jest do niego skierowane. - Aresztowano Toma Hardy'ego i pana Adamsa. Nikt nie wie, co robić.

- Pan Stanhope, prawda? - Za plecami Gabriela pojawił się młody człowiek i dotknął jego ramienia.

- A pan jest...?

- Algernon Skidmore, do usług. Przyjaciele zwać mnie Algie. To francuskie imię, po dziadku ze strony mamy. - Mężczyzna miał na sobie zgniłozielony surdut, taką samą kamizelkę oraz ciemne spodnie. Uśmiechnął się, widząc, że Gabriel bezskutecznie próbuje sobie przypomnieć, kim jest. - Był pan wczoraj u mojego pracodawcy wraz z panną Middleton. Niezła - mrugnął do Gabriela i postukał palcem po nosie. - Wie pan, co mam na myśli.

- Ach tak, oczywiście. Pan pracuje w kancelarii pana Oldfielda - Gabriel z ledwością poznał urzędnika w stojącym przed nim modnie ubranym człowieku. Szybko odwrócił się do Sovay. - Pan pozwoli, że przedstawię. To pan James Middleton, kuzyn panny Sovay.

- Miło mi pana poznać. To, co mówiłem... - zaczął z zakłopotaniem - nie miałem niczego złego na myśli. Nie chciałem obrazić.

- Nie obraził pan - odpowiedziała szorstko.

- Ładna dziewczyna, to tylko chciałem powiedzieć.

- Oczywiście. Ma powodzenie. - Sovay odwróciła się, z nadzieją, że się nie rumieni.

- Nie wątpię. Mówiłem mojemu przyjacielowi Morrisowi, który pracuje w sąsiednim biurze, że...

- Co pana tu sprowadza, panie Skidmore? - przerwał mu Gabriel, chcąc zmienić temat rozmowy.

- Przychodzę tu regularnie - Skidmore skinął głową w kierunku ciżby ludzi. - Żeby posłuchać. Nie mam wykształcenia, a tutaj tyle uczonych osób czyta, przemawia i dyskutuje. Lubię słuchać, co mówią, bo to brzmi bardzo sensownie. Pan Oldfield nie wie, że tu przychodzę - kontynuował Skidmore. - I byłbym wdzięczny, gdyby nadal nie wiedział. Nie bardzo zgadzamy się w kwestiach politycznych - zaśmiał się. - Oj, nie bardzo. Ja jestem zwolennikiem pana Paine'a, a on woli pana Burke'a. Nie, żeby zabraniał komukolwiek posiadania własnych opinii i ich wygłaszania, ale nie podobałoby mu się to zamieszanie.

- Dlaczego? - zapytała Sovay. - Uważa pan, że ktoś specjalnie nie dopuścił do spotkania?

- Nie mam co do tego wątpliwości! Od miesiący próbowali nas powstrzymać. Nie, panu Oldfieldowi wcale by się to nie spodobało. To nie jest nielegalne, przynajmniej jeszcze nie, a jego interesuje tylko prawo. Jak ono się zmienia, to i on zmienia zdanie, to bardzo dobry prawnik. Prawo to jego religia, można powiedzieć. Nie akceptuje żadnego łamania prawa, bez względu na pozycję i nazwisko. Nikt nie może być ani ponad prawem, ani też poza nim - tak mi powtarza. Prawo ma chronić nas przed nami samymi i to wszystkich bez wyjątku. Czasem jednak coś mu się nie podoba. Jak wczoraj, na przykład. Pamięta pan te dokumenty, które pan przyniósł z panną Middleton na przechowanie?

Gabriel przytaknął.

- Coś w nich sprawiło, że się zdenerwował. Nie rozzłościł, rozumie pan, bo to nie w jego stylu, ale nie był zadowolony, oj nie był. Znam go, cały czas z nim pracuję. Wszystko odłożył na bok, a przecież mamy pełne ręce roboty. Zamknął się w gabinecie i nie kazał sobie przeszkadzać. Słyszałem, jak chodzi tam i z powrotem, a to oznacza, że coś jest nie tak. Wysłał mnie na pocztę, a kiedy przyszedłem następnego ranka, był już w kancelarii przede mną i pełno było wypalonych świeczek. Pewnie siedział tam prawie całą noc. O ile w ogóle poszedł do domu.

Zanim Sovay zdążyła zapytać, a nawet pomyśleć o tym, co tak zaniepokoiło pana Oldfielda, tłum nagle się ruszył.

- Dobry wieczór.

Gabriel uklonił się przybyszowi.

- Witam pana, panie Barrett. Pan pozwoli, to pan Skidmore - przedstawił. - Urzędnik kancelarii Oldfield & Oldfield w centrum Londynu. A to - odwrócił się do Sovay - pan James Middleton.

- Panie Middleton - Virgil uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie. Nie zdradził się niczym, że zna prawdziwą tożsamość rzekomego kuzyna, ale w jego stalowoniebieskich oczach czaił się uśmiech. - Nie mieliśmy dotąd przyjemności się poznać. Virgil Barrett, do usług. Musimy ruszać - powiedział, patrząc na tłum. - Spotkanie odbędzie się na powietrzu, na Fender's Field.

- Mam wiadomość dla panny Middleton - oznajmił po drodze. - Otrzymałem wieści z Francji na temat jej ojca i brata.

- Czy są bezpieczni? - zapytała Sovay swoim normalnym głosem, ze zdenerwowania zapomniała bowiem, że jest w męskim przebraniu.

- Chciałbym móc udzielić odpowiedzi na to pytanie - odparł i rozejrzał się dokładnie. - Mogę tylko powiedzieć, że żyją. Proszę przekazać panie Sovay, żeby była cierpliwa. Będę wiedział coś więcej za kilka dni.

Zaniepokoiły ją poważnie te słowa, ale gwar i ścisk na wąskich ulicach uniemożliwiły dalszą rozmowę. Szli razem z ciżbą w kierunku Fender's Field. Wśród tłumu byli mężczyźni i kobiety wszystkich możliwych klas i pozycji, w większości jednak ludzie przeciętni: handlarze, kupcy, drukarze, aptekarze, portierzy i magazynierzy. Ci bez grosza przy duszy, żebracy, bezdomni czy zmiatacze ulic mieli większe problemy niż reformy parlamentarne i powszechne prawo wyborcze. Po drodze dołączali do nich inni, niektórzy z przypiętymi trójkolorowymi rozetami symbolizującymi wolność. Pośród tłumu panowała atmosfera radosnego oczekiwania i świętowania. Sympatycy, zwolennicy oraz gapie wychodzili z domów - jedni, by się przyjrzeć, inni, by wiwatować, jeszcze inni, żeby się przyłączyć. Tłum wysypał się ze wszystkich kierunków na Fender's Field, akurat na przemowę powitalną.

- Bracia i siostry - zaczął mówca. - Towarzysze i obywatele...

- To John Baxter, złotnik - szepnął Skidmore. - Jest przewodniczącym Towarzystwa Korespondencyjnego. Jeszcze nie wydali na niego nakazu aresztowania.

Sovay wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć. Mówca był ledwie widoczny wśród takiej masy ludzi, ale kiedy tylko się odezwał, tłum ucichł. Mówił o dobrze znanych rzeczach: wolności, równości, braterstwie, prawie dla wszystkich mężczyzn i kobiet do posiadania dachu nad głową, jedzenia w żołądku i chleba na stole. Dzięki zdolnościom oratorskim każde słowo i każda idea wydawały się zupełnie nowe, jakby mówca zasypywał słuchaczy niesamowitym bogactwem, którego mieli użyć z nastaniem nowego dnia.

Mówca przypominał Sovay jej własnego ojca. Żałowała, że nie ma przy niej papy, że nie może on tego słuchać z tyłoma ludźmi wokół o podobnych przekonaniach. Kiedy wyobraziła sobie, jak uśmiecha się i potakuje przy każdym punkcie przemowy, oczy nabiegły jej łzami. Słyszała w głowie jego szept „Czyż nie mówiłem tego samego, kochanie?”.



- Nie ma się czego wstydzić, młody człowieku - Skidmore podał jej chusteczkę. - Kiedy pierwszy raz słuchałem, szlochałem jak dzieciak. I nie tylko ja.

Sovay była tak poruszona przemową, że zupełnie zapomniała, że nie jest sama. Gabriel stał obok, wysoki i masywny, ale nigdzie nie było widać Virgila. Amerykanin zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Znowu skupiła się na słowach mówcy.

Ludzie w środku tłumu i na jego czele słuchali w skupieniu, ale na obrzeżach zapanowało poruszenie. Przemieszczało się falą ku przodowi jak ogień na polu suchej kukurydzy, aż mówca zamilkł. W ciszy, która nagle zapanowała, dał się słyszeć brzęk metalu. Z bocznych ulic wybiegli uzbrojeni mężczyźni.

- Żołnierze! Żołnierze! - wzniosły się okrzyki. W rozpraszającym się tłumie pojawiła się wściekłość skierowana na wrogów wolności, którzy ośmielili się pokazać swoje twarze. Mówca prosił o spokój, przekonując, że żołnierze to też bracia, ale była to nieregularna armia, pozbawiona przyjaznych uczuć.

Pochód prowadzili urzędnicy rządowi i policjanci, torując sobie drogę pałkami, by aresztować przywódców. Virgil dojrzał ich wcześniej i wymknął się. Rozglądał się w poszukiwaniu Sovay i Gabriela, ale w ferworze walk nie sposób było nikogo odnaleźć. Strzały wzmogły tylko panikę i przesłoniły wszystko kłębami dymu.

Słyszać było echo wystrzałów oraz płacz i krzyki przerażonego tłumu. Na placu zapanował chaos i zamęt. Wielka ciżba ludzi szukała za wszelką cenę dróg ucieczki. Kto mógł, biegł w stronę wychodzących na plac ulic, ale po chwili cofał się, zmuszony do odwrotu. Pierwsze szeregi uciekających zawróciły, przewracając tych, którzy biegli tuż za nimi. Ludzie upadali, jeden za drugim, potykając się o siebie nawzajem. Paniczne wrzaski przerodziły się w przeraźliwe okrzyki bólu i trwały tak długo, aż ciężar napierających ciał nie zmiażdżył tych, którzy znaleźli się na samym dole.

Sovay została wyrwana z mocnego uścisku Gabriela i z trudem utrzymywała równowagę, popychana przez tłum ludzi poruszający się to w tę stronę, to w tamtą. W końcu, poobijana i z trudem łapiąca oddech, zatrzymała się w jakichś drzwiach po przeciwległej stronie placu, jak szczątki rozbitego wraku zatrzymują się na plaży. Przywarła do framugi i cofnęła się w głąb, w obawie, że tłum znów ją porwie. Tuż obok chwiejnie przeszedł jakiś mężczyzna - przytrzymał głowę, a spod palców ciekły strużki krwi. Sovay widziała przesuwające się twarze ludzi, niezwracających na nią uwagi, obojętnych wobec innych, skupionych tylko na ratowaniu własnej skóry. Nikogo nie знаła. Zniknęli Gabriel, Skidmore i Virgil. Była sama, ale nie odważyła się ich szukać. Wszędzie widać było ochotników, którzy kolbami pistoletów bili uciekających ludzi. Złapali kogoś na tyle odważnego lub głupiego, że założył *bonnet rouge*, frygijską czapkę wolności, noszoną we Francji przez zwolenników rewolucji. Sovay odwróciła wzrok, kiedy mężczyzna został powalony na ziemię, otoczony przez żołnierzy i brutalnie pobity.

Wzdłuż Leggatt's Court biegła Hobb's Alley, tego dnia pełna posłańców zmierzających w jedną i drugą stronę. Niektórzy nieśli pisemne wiadomości dla pana Gribbona, inni przynosili ustne przekazy. Gribbon oceniał wartość każdej informacji i opłacał posłańców lub nie, według własnego uznania. Rzadko kiedy zwracał się do Dysarta z prośbą o rozstrzygnięcie, choć oczywiście każdy raport był mu niezwłocznie przekazywany.

Dysart siedział w swoim gabinecie i robił notatki w księdze, a obok niego rosła sterta raportów. Pozwolił sobie nawet na lodowaty uśmiech. Był zadowolony z wiadomości, które przychodziły z Fender's Field. Tajna Komisja będzie usatysfakcjonowana działaniem, jakie podjął, by rozbić niebezpieczne zgromadzenie. Wolałby użyć kartacza, jak to zrobili rewolucjoniści w Lyonie, ale niestety naród nie był jeszcze na to gotowy. Chwilowo musiało wystarczyć postraszenie przez armię ochotników. Ci, którzy zgromadzili się na placu, w większości należeli do pospólstwa. Kiepska praca albo własny nieduży interes, w każdym razie niewiele ponad biedę i nędzę. To wśród nich rozpanoszyła się epidemia z Francji. To oni byli rzecznikami idei wykraczających daleko poza zajmowaną pozycję. Że polityka powinna być dostępna dla wszystkich. Że każdy człowiek powinien mieć prawo głosu, decydowania o przyszłości narodu, o tym, kto ma rządzić, a kto nie. Już on ich nauczy. Przerwie wszystkie spotkania, zniszczy lokale, doprowadzi do tego, że stracą pracę i cały swój marny dobytek. Będzie ich ścigał od jednej wynajętej rudery do drugiej, aż wylądują w rynsztoku, a to dopiero będzie początek. Doprowadzi do aresztowania przywódców. Nie trzeba już do tego zezwolenia sądu, więc będą gnić w Newgate do końca życia. A podczas, gdy mężczyźni będą czeznąć w więzieniu, co stanie się z ich żonami i dziećmi? Spotka ich głód i nędza, bo na nic innego nie zasługują. To będzie dla nich nauczka. Tylko ludzi majątnych stać na zajmowanie się polityką. Tak było, jest i tak zawsze będzie.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł Gribbon.

- Raport, proszę pana.

Dysart nawet nie podniósł wzroku.

- Dołącz go do innych.

- Od Digby'ego Claytona. Przysłał posłańca.

Dysart wyciągnął długą rękę.

- Pokaż.

Gribbon podał mu niewielką złożoną kartkę papieru.

*Wiadoma osoba. Będę śledzić, o ile nie otrzymam innych instrukcji.*

Lakoniczna wiadomość. Jak większość od Digby'ego.

- Skąd przysłał?

Gribbon wycofał się. Rozległ się płacz, kiedy pociągnął małego posłańca za ucho.

- Z Fender's Field.

Dysart złożył kartkę i odłożył ją na stertę raportów. Clayton miał obserwować dom Middletonów, a zwłaszcza pannę Sovay. Dysart pozwolił sobie na rzadką chwilę podekscytowania. Co też ona robiła na Fender's Field?

Kiedy Sovay wyjrzała ponownie, nie było śladu człowieka, który został tak brutalnie pobity. Tłum zabierał ze sobą rannych i poturbowanych. Po kilku minutach plac opustoszał, została tylko ogromna połać udeptanego błota, stratowanej trawy i poplamionego bruku. Tu i ówdzie leżały pozostałości po bitwie: dziecięcy bucik, męska apaszka, chusteczka jakiejś kobiety albo czerwony skrawek materiału, który mógł być częścią *bonnet rouge*.

Wyszła z ukrycia bez śladów paniki. Armia ochotników zniknęła razem z tłumem, a ona była przebrana za mężczyznę, więc nie powinna przyciągać niepotrzebnej uwagi. Zresztą ulice chociaż biedne, wyglądały dość przyzwoicie. Sovay nie знаła dobrze Londynu, ale nie straciła poczucia kierunku. Wiedziała, że znajduje się na północ od rzeki, bowiem ani razu nie przechodzili przez most. Pamiętała, że poruszali się na wschód, a to oznaczało, że musi teraz kierować się na zachód, ku opadającemu za horyzont słońcu.

Uliczka, którą wybrała, wyglądała na opuszczoną. Sklepy zostały zabite deskami, okiennice zamknięte, a drzwi zaryglowane ze względu na ostatnie wydarzenia. Zachodzące słońce przeświecało przez zakrzywione dachy, rzucając długie cienie i dziwną bursztynową poświatę na całą okolicę. Drobin kurzu wisiały w powietrzu widoczne w promieniach słońca, zupełnie jak uosobienie ciężkiej ciszy. Wyglądało to tak, jakby nagły wybuch przemocy wyssał całe powietrze i sprawił, że wszystko zawisło nieruchomo.

Digby Clayton pozwolił, by dziewczyna oddaliła się nieco, dopiero wtedy ruszył w ślad za nią. Wybrał pozycję na obrzeżach tłumu, by móc go bacznie obserwować i łatwo odnaleźć osoby, które go interesowały. Skinieniem głowy zlecił swoim ludziom pilnowanie Stanhope'a i Amerykanina. Ta dziewczyna należała do niego i tylko do niego. Po tylu latach rzadko odczuwał ekscytację, ale tym razem było inaczej. Zainteresował się nią w momencie, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na schodach domu w Soho.

Sovay nie od razu zdała sobie sprawę z tego, że jest śledzona, ale miała dobry słuch, więc idąc opustoszałymi ulicami wyłapała cichy odgłos czyichś kroków za plecami. Kiedy odwróciła się, nikogo nie było, ale jak tylko ruszyła dalej, kroki znowu dały się słyszeć. Początkowo myślała, że to tylko wytwór wyobraźni po scenach, jakich była świadkiem, ale nie - kiedy zwalniała, kroki za plecami też zwalniały, a gdy przyspieszała - one też wydawały się przyspieszać. Im dalej odchodziła od Fender's Field, tym więcej pojawiało się życia na ulicach, ale nadal wyczuwała z tyłu czyjąś obecność. Była przyzwyczajona do polowania z Gabrielem i Hugh, kiedy to na polach czy w lesie trzeba było nasłuchiwać i wyławiać najmniejsze nawet dźwięki. Tutaj hałas był inny: głos podniesiony w gniewie, płacz niemowlęcia, marudzenie dziecka, trzask bata, rżenie konia, skrzypienie przejeżdżającego powozu -

ale sytuacja wcale nie różniła się od tego, co znała. Tyle że tym razem nie tropiła sarny, zająca czy bażanta. Teraz było to polowanie na nią.

Digby Clayton zatrzymał się i rozejrzył po ulicy. Dziewczyna wymknęła mu się jakoś - zapewne uskoczyła w uliczkę za rogiem. Digby znajdował się całkiem niedaleko, ale wąskie wejście pozostawało poza zasięgiem jego wzroku. Zanim dotarł na miejsce, dziewczyna zniknęła. Przeklął się w duchu za to, że nie przewidział takiej okoliczności. Rozejrzył się po okolicy - nie była to najlepsza dzielnica. Od uliczki odchodziły obskurne przejścia i cuchnące podwórka. Pozostałości po dawnym mieście. Pomiędzy eleganckimi placami, szerokimi ulicami pełnymi sklepów i domów dla bogaczy mieściły się oazy nędzy. Clayton zajrzał w hałaśliwą uliczkę pełną śmieci i nieokreślonych nieczystości. Oderwał się od ściany, lepiej będzie, jeśli znajdzie swoją ofiarę, zanim zapadnie zmrok. Wkrótce pomiędzy tymi ruderami będzie ciemno jak w jaskini, a młody „dżentelmen” stanie się idealnym celem napadu i znajdzie się w rynsztoku z poderżniętym gardłem.

Sovay niemal natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd, ale bała się cofnąć, z obawy przed spotkaniem swojego prześladowcy. Musiała iść dalej, z trudem znajdując drogę pomiędzy zwałami nieczystości. Rozpadające się budynki po obu stronach wąskiej uliczki stały tak blisko siebie, że docierało tu niewiele i tak już znikającego światła. Były to rudery, a krusząca się cegła tworzyła czerwone rany na tle ciemnego osadu z sadzy. W niektórych miejscach przybito deski do dziur w murach i ustawiono podpórki, by odsunąć w czasie i tak nieuchronne zawalenie się budynków. Drewniane drzwi przegniły tu i tam, a w oknach brakowało szyb, niektóre zasłonięte były papierem, przez inne wiatr hulał do woli. Z ciemnych korytarzy obserwowały ją skulone dzieci. Bose, ubrane w łachmany, z wielkimi oczami widocznymi na tle umazanych twarzy. Niektóre trzymały bezkształtne zawiniątka, być może były to malutkie dzieci. Tu i ówdzie któreś dziecko wyciągało do niej ręce z niemowlęciami, ale większość była zbyt osowiała, by żebrać.

Sovay skręciła za róg, a wtedy podeszła do niej młoda dziewczyna i wydychając opary dżinu, zapytała desperacko, czy młody dżentelmen nie ma ochoty na towarzystwo. Dziewczyna była chyba niewiele starsza od dzieci siedzących na progu domów, jej ubranie stanowił dziurawy łachman, z ledwością osłaniający jej nagie ciało. Sovay sięgnęła do kieszeni po monetę, a potem ruszyła do przodu z nadzieją, że ucieknie, ale inne dziewczęta zaczęły pojawiać się jak duchy, z tym samym desperackim błaganiem kryjącym się za pozornie zwykłym pytaniem, z takimi samymi poszarzałymi, wychudłymi twarzami jak u podstarzałych wrózek. Sovay miała łzy w oczach, widząc, że niektóre z nich próbowały ubarwić sobie zgrzebne łachmany odważnym i świeżym akcentem w postaci czerwonej chustki czy żółtej wstążki. Przypomniała sobie mleczarkę, którą spotkała po drodze do Londynu i zaczęła się zastanawiać, ile z tych dziewcząt przyjechało tu ze wsi z rumianą buzią, w nadziei na lepsze życie. Ile przybyło tu już z przegrany życiem? Zmuszone do zarabiania na chleb w jedyny sposób, jaki im pozostał, uwiedzione i porzucone przez kogoś takiego jak James Gilmore.

Skręciła w lewo, by uniknąć dalszych zalotów, znaleźć się w jakimś znanym sobie miejscu, a przynajmniej poczuć się bezpieczniej na szerszej i bardziej zaludnionej ulicy. Mimo dość skromnego ubrania brata w tej dzielnicy tak samo rzucała się w oczy, jak gdyby włożyła dworską suknię i przystroiła się w jedwabie i aksamity. Ściemniało się coraz bardziej i z każdych drzwi, z każdego narożnika patrzyły na nią zachłanne i drapieżne oczy. Nie miała przy sobie broni i wiedziała, że nie odeprze żadnego ataku.

Złapali ją, kiedy już myślała, że jest bezpieczna. Zauważyła, że alejka dochodzi do szerokiej ulicy, dostrzegła przelotnie dobrze ubranych ludzi, dobiegły ją dźwięki powozów. Westchnęła z ulgą i pospieszyła tam, gdzie - jak sądziła - nic jej już nie grozi. Zaalarmowana nagle jakimś wewnętrznym instynktem uchyliła się pospiesznie i uniknęła ciosu, który z pewnością rozłupałby jej czaszkę. Pałka uderzyła ją za prawym uchem, przebiła skórę i ześlizgnęła się po kości.

Sovay upadła nieprzytomna. Bandyta pochwycił ją i zaciągnął w alejkę, w której się wcześniej zaczął. Szybko, zręcznie zaczął przeszukiwać jej ubranie.

- A niech mnie - na twarzy o szorstkich rysach pojawił się uśmiech. Bandyta dla pewności jeszcze raz obmacał swoją ofiarę.

- Co znalazłeś? - towarzysz bandyty, stojący dotąd na czatach, obejrzał się i spojrzał na rozciągnięte na ziemi ciało. - Coś ciekawego?

- Można tak powiedzieć, Cuddy. Można tak powiedzieć.

- A więc coś cennego?

- Może. Dla właściwej osoby - to mówiąc, podniósł Sovay za ręce, jak gdyby nie ważyła więcej niż dziecko i zarzucił sobie na krzepkie ramiona, zupełnie jakby niósł worek z drewnem na opał. - Całkiem możliwe.

Digby Clayton patrzył jak znikają w głębi uliczki i w głowie pisał już raport do Dysarta, który sporządzi po powrocie do swojego mieszkania w Whitefriars. Jego rola nie polegała na wtrącaniu się. Miał tylko obserwować i meldować, nic więcej. Nie obchodził go los obserwowanej dziewczyny. Może ci dwaj byli łowcami ciał. W takim wypadku, nieszczęsny „młodzieniec” trafi na stół do pobliskiego St Bart's, a tamtejsi lekarze z pewnością ucieszą się ze świeżych, ciepłych jeszcze zwłok i nie będą zadawać żadnych pytań. Clayton odwrócił się i odszedł ze zgarbionymi ramionami i rękoma w kieszeniach. Myślał już o tym, co kupi sobie na kolację, i o kuflu portera czekającego na niego w Black Lion.

## ROZDZIAŁ 16

Sovay nie miała jednak trafić na stół anatoma. Cały czas nieprzytomna została zanieśiona do lokalu Matki Pierce, na Chandois Street w Covent Garden.

- No, nie wiem, panie Slevin - Matka Pierce podrapała się pod intensywnie fioletową peruką i rozgniotła w palcach to, co tam znalazła. - To nie moje zasady, rozumie pan, co mam na myśli?

- Droga pani, na pewno jest warta okrągłą sumkę! - Slevin jeszcze bardziej zmarszczył swoje szerokie czoło buldoga. - Niestychanie ładna - dodał i obrócił głowę Sovay, by pokazać mniej zakrwawioną część twarzy. - Niech pani sama popatrzy - skóra jak brzoskwinia. I pewnie dziewica. Dostanie pani za nią najwyższą cenę.

Pani Pierce westchnęła.

- Normalnie owszem, panie Slevin, ale moi klienci to mężczyźni pewnego pokroju, nie zauważył pan?

- Mollies, przecież wiem, ale to nie jest zwykła lala. Nie przychodzą do pani kobiety? Przecież wiem, że są...

- Nie lubię, jak się ktoś tak wyraża o mojej klienteli, panie Slevin - skrzywiła się Matka Pierce. - Nie. Żadnych kobiet. A przynajmniej ja żadnych nie widuję. To lokal wyłącznie dla mężczyzn.

- Tak czy inaczej - zakończył dyskusję Slevin - jak już powiedziałem, z pewnością można zrobić na niej interes.

Matka Pierce chwyciła Sovay za brodę i zaczęła się jej przyglądać.

- Ładniutka, to prawda, jak już wyczyści się tę krew. Powiem panu, co zrobię, panie Slevin. Jestem uczciwą kobietą, więc skontaktuję się z Matką Marples, która prowadzi podobny przybytek na Maiden Lane. Ona stosuje bardziej konwencjonalne zasady i tak, jak pan mówi, może i zapłaci niezłą sumkę za tę laleczkę - powiedziała Matka Pierce i zamyśliła się. Dziewczyna może rzeczywiście być wiele warta. Jej uroda i pochodzenie sprawią, że stanie się łakomym kąskiem dla młodych dżentelmenów. W ostateczności, Matka Marples będzie mogła sprzedawać ją wielokrotnie jako świeżą, młodą krew, dopóki oczywiście ta świeżość nie zostanie zepsuta. - Jeśli Matka Marples się zgodzi, podzielę się z panem zyskiem.

- Po połowie?

Matka Pierce pokręciła głową.

- Jedna trzecia i to moje ostateczne słowo. Niech pan pomyśli, ile kłopotów mnie to będzie kosztować, żeby ją umyć i ubrać. Może pan ją sam tam zabrać - dodała - ale jest w takim stanie, że wątpię, żeby dostał pan za nią dobrą cenę.

- Twarda z pani sztuka, Matko Pierce - powiedział Slevin.

Kobieta zaśmiała się, a z jej ust wydobył się opar nieświeżego oddechu i ukazał się rząd nierównych pozostałości po zębach.

- Jestem z tego znana. I szczycę się tym. A jak inaczej dama mojego pokroju mogłaby poradzić sobie w tym okrutnym świecie?

Slevin uściskał jej rękę i wyszedł, marudząc pod nosem, chociaż wiedział, że ubił dobry interes. Kto jak kto, ale Matka Pierce potrafiła uzyskać najwyższą stawkę.

- No, dobrze - Matka Pierce klasnęła w dłonie. Wokół niej zgromadzili się bowiem chłopcy. - Przedstawienie skończone. Wracajcie na swoje miejsca.

Chłopcy się rozpierchli. Było jeszcze wcześniej, przedstawienia teatralne jeszcze się nie skończyły, a biznes nie zdążył się rozkręcić, ale Matka Pierce nie martwiła się tym zbytnio.

Jeden z chłopców nie posłuchał jednak polecenia.

- A ty jeszcze tu? - huknęła na niego. - Zjeżdżaj mi z oczu albo dostaniesz w skórę.

- Znam ją, psze pani - powiedział chłopak. - Kapitan ją tu kiedyś przyprowadził, pamięta pani? Daliśmy jej ubranie.

- Coś sobie przypominam... - Matka Pierce potarła podbródek i zamyśliła się. Dżin sprawiał, że pamiętała wszystko jak przez mgłę, a ostatnio wypłała go całkiem sporo. Po chwili jednak pamięć zaczęła wracać. - A więc znowu tu jest, nawet podobnie ubrana. No, no, nie spodziewałam się, że ją tu jeszcze kiedyś zobaczę, a do tego przerzuconą przez ramię pana Slevina jak worek z węglem. Dziwne to wszystko, bardzo dziwne. A jeszcze jest mi winna ubranie.

- To znajoma kapitana - kontynuował Toby z nadzieją, że uratuje Sovay przed losem, jaki szykowała jej Matka Pierce. - A on nie chciałby, żeby stało się jej coś złego.

- A mnie co to obchodzi? - Matka Pierce spojrzała podejrzliwie na chłopaka.

- Znaczy, może nie powinna pani jej sprzedawać. Grymas na twarzy kobiety nie wróżył niczego dobrego.

- A ty czego podsłuchujesz prywatne rozmowy? To, co ja robię, czy czego nie robię, prowadząc mój interes, to nie jest sprawa kapitana ani twoja, panie Toby White.

- Wiem, wiem - powiedział Toby i zaczął pospiesznie myśleć. Trzeba spróbować z innej strony. - Ale kapitan przynosi do pani swoje najlepsze lupy. Jeśli się dowie, może zacząć zanosić je gdzie indziej.

Matka Pierce była nie tylko burdelmama, ale i paserką. Pomyślała przez chwilę nad tym, co powiedział jej Toby, ale uznała, że dziewczyna jej się bardziej opłaci.

- A niech spróbuje. Jestem najlepsza i on o tym wie.

- Ona pochodzi z dobrej rodziny - Toby był zrozpaczony. - Będą jej szukać.

- No i co z tego? Została porwana i zniknęła, nie ona pierwsza, nie? I nie ostatnia. Jeżeli chciała uniknąć takiego losu, mogła siedzieć w domu, a nie włączyć się po ulicach przebrana za elegancikę. A

kto jej będzie szukał? Pewnie wymknęła się z domu, żeby zaznać przygody, takie jest moje zdanie. Idę o zakład, że jej rodzina nie wie nawet, że zniknęła. Nie, mój Toby, możesz sobie prosić i błagać, ja już podjęłam decyzję. Ona znajdzie się u Rosie Marples. A jeśli ona tak cię interesuje - dodała i szturchnęła go w ucho - to ją umyj.

To mówiąc, Matka Pierce oddaliła się do swojego pokoiku, który nazywała buduarem, by się orzeźwić. Wyjęła korek z butelki dzinu i zamknęła za sobą drzwi.

Toby rozejrzył się dookoła w poszukiwaniu pomocy.

- Pomóż mi, George - zawołał do chłopaka, który właśnie wszedł ubrany jeszcze w uliczny strój.

Chwycili Sovay i wnieśli ją po schodach.

- Zrób coś dla nas - szepnął mu Toby, kiedy położyli dziewczynę na łóżku. - Znajdź kapitana. Pewnie jest w Cross, naprzeciwko St Martin's. Jeśli go znajdziesz, zapłacę ci.

- A co z Matką?

- Jest u siebie w towarzystwie butelki dzinu - powiedział Toby i skrzywił się ze współczuciem, kiedy delikatnie odwrócił głowę Sovay, by przyjrzeć się ranie za uchem. - A kiedy będziesz szedł, to zawołaj tu Jacka. Niech przyniesie igłę i nitkę.

Kiedy George wyszedł, Toby wziął czysty ręcznik, nalał wody z dzbana i zaczął zmywać z twarzy Sovay zaschnięte strużki ciemnej krwi. Odwrócił jej głowę, delikatnie odsunął włosy i zaczął przemywać ranę. Robił to powoli i starannie, nie chciał, żeby już odzyskała przytomność. Rana była paskudna, długa, poszarpana, nadal sączyła się z niej krew. Będzie konieczne szycie. Jack, zanim tu przyszedł, terminował u chirurga-aptekarza i był zdecydowanie lepszym felczerem niż ten śmierdzący brandy konował, którego zatrudniała Matka Pierce do badania swoich podopiecznych. Ten to nigdy nie trzeźwiał, a ręce mu się tak trzęsły, że nie potrafił nawet nawlec igły. Jack będzie wiedział, co robić.

Sovay obudziła się, sądząc, że nadal śni i to ten sam koszmar, który nawiedził ją kilka nocy wcześniej. Znajdowała się w tym samym miejscu, też spoglądały na nią z góry czyjeś twarze, ale kiedy odwróciła głowę, ból był tak silny, że chyba by ją obudził? Nie od razu zdała sobie sprawę z tego, że to jednak nie jest sen. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znowu była w tym samym miejscu. Zaniepokojona próbowała usiąść, ale natychmiast zrobiło jej się słabo i niedobrze. Opadła na szorstki lniany ręcznik okrywający poduszkę, czując, że strasznie boli ją głowa, a żołądek podchodzi do gardła. Niepewnie dotknęła głowy za uchem. Włosy były mokre, a skóra za uchem wydawała się dziwnie pomarszczona i pofałdowana. Kiedy spojrzała na palce, dostrzegła na nich ślady krwi.

W jednej z pochylonych nad sobą twarzy rozpoznała Toby'ego, ta druga była zupełnie obca - ciemnowłosy chłopak o nieskazitelnej cerze i twarzy piegowatej jak przepiórcze jajo. Wyraziste kości policzkowe podkreślone były nałożonym różem, a długie rzęsy otaczały piękne fioletowoniebieskie



oczy pomalowane proszkiem do powiek. Zarówno Toby, jak i ten chłopak mieli na sobie damskie suknie z cienkiego, połyskującego materiału, z dużym dekoltem, mocno ściśnięte w pasie.

- Spokojnie - zaśmiał się chłopak. Jego akcent brzmiał z irlandzka. - Nieźle pani oberwała, więc pewnie czuje się trochę ogłupiona. Paskudna rana, ale zszyłem ją czyściutko. Zostanie blizna, ale przykryje ją pani włosami. Ma pani teraz guza wielkiego jak pięść, ale to zniknie.

Sovay próbowała znów się podnieść, jednak chłopak popchnął ją delikatnie na poduszki.

- Niech pani odpoczywa - powiedział. - I nabiera sił.

- Ja to załatwię z Matką Pierce - odezwał się Toby i nachylił nad dziewczyną z widoczną troską.

- Posłałem po kapitana, na pewno jest tam, gdzie zwykle, w Golden Cross. Zaraz tu powinien być, to niedaleko Charing Cross. On pomoże pani stąd się wydostać.

- Greenwood? - Nie! - szwy naciągnęły się, kiedy pokręciła głową. - Nie ufam mu. On mnie zdradził... nieprzyjacielowi.

- Niemożliwe! - Toby był w szoku, że coś takiego przyszło jej w ogóle do głowy. - On na pewno by tego nie zrobił. Nie kapitan. On nie donosi na nikogo, to dżentelmen. Prawdziwy. Kiedyś był kapitanem w wojsku, ale został usunięty za coś, czego nie zrobił.

- Tak powiedział tobie.

- A ja mu wierzę. Spotkałem paru łgarzy, panno Sovay, całkiem sporo, powiedziałbym, ale on do nich nie należy - z dołu doszły do nich głosy i jakiś hałas. - Muszę iść, bo Matka Pierce się wścieknie. Niech pani tu zostanie i odpoczywa. Postaram się, żeby nikt pani nie przeszkadzał, a jeśli mi się uda, będę do pani wpadał.

Kiedy Sovay obudziła się ponownie, w pokoju panowała ciemność. Początkowo nie wiedziała, gdzie się znajduje. Przez niedomknięte drzwi wpadało wystarczająco dużo światła, by mogła dostrzec pstrokate zasłony, łuszczące się lustro i parawan w kącie, kryjący miednicę oraz nocnik. Odwróciła wzrok od nieprzyzwoitych obrazków na ścianie, próbując jednocześnie nie wdychać wszechobecnego odoru męskiego potu i tanich perfum. Musi się stąd wydostać. Usiadła powoli, tym razem już nie było jej tak słabo. Opuściła nogi na jedną stronę łóżka i odczekała chwilę, zanim spróbowała się podnieść. Przytrzymała się kolumnienki od baldachimu, stanęła i zrobiła kilka kroków. Nagle kolana się pod nią ugięły.

Chwyciły ją silne ramiona, a znany głos powiedział.

- Już dobrze.

Przytrzymała się przez chwilę kapitana Greenwooda, a on z uśmiechem pomógł jej wrócić do łóżka.

- Muszę stąd wyjść!

- W swoim czasie. Jestem niezmiernie ciekawy, jakim cudem się tu pani znalazła.

- Ja... nie pamiętam. Byłam na spotkaniu, które skończyło się walką. Straciłam z oczu moich przyjaciół, zapewne wracałam do domu, kiedy ktoś na mnie napadł.

- Była pani na Fender's Field? Słyszałem, że pojawiły się kłopoty.

- Tak, a ja muszę wracać do domu.

- Najpierw musi pani wydobrzyć.

- Nie zostanę ani chwili dłużej w tym okropnym miejscu!

- Wszystko w swoim czasie, jak powiedziałem - kapitan usiadł i uśmiechnął się do Sovay. - Powinna być pani wdzięczna Matce Pierce, gdyby nie ona, byłaby pani teraz zamknięta w jakimś burdelu i czekała na najlepszą ofertę. A i ja sporo za panią zapłaciłem.

- A więc panu też muszę być wdzięczna?

- Myślałem, Sovay, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jak mogę przyjaźnić się z kimś takim jak pan?

- Jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej towarzyszami po fachu, dżentelmenami znającymi się z drogi.

Sovay rzuciła mu groźne spojrzenie i skrzywiła się, bo zaboląła ją głowa. - Gdyby był pan dżentelmenem, zabrałby mnie pan stąd. I to natychmiast.

- We właściwym czasie. Poczekaj tu pani, aż poczuje się lepiej, a droga będzie wolna - nachylił się nad nią z poważną miną na przystojnej twarzy. - Skąd ta wrogość? Proszę mi powiedzieć.

- Wydał mnie pan Dysartowi.

- Nic podobnego! - oburzył się kapitan. - Nigdy nie zdradziłbym przyjaciela. Nigdy, przenigdy! A po tym, co razem przeszliśmy, uważałem panią za przyjaciela - próbował zrobić groźną minę, ale wygrała kpiarska natura. - Jestem rozczarowany, że pani tak nie uważa. O ile pamiętam, rozstaliśmy się bardzo serdecznie.

Sovay zarumieniła się na to wspomnienie.

- A jednak ktoś mnie zdradził - powiedziała, zmieniając temat. Po namyśle uznała, że protest Greenwooda brzmi szczerze. Toby powiedział, że kapitan by jej nie zdradził, a było coś w naiwności i prostocie chłopca, co budziło jej ufność. Skoro nie Greenwood, *to* kto?

- A skąd pani wie, że ktoś panią zdradził? - zapytał kapitan.

- Przeszukano mój dom. Szukano teczki.

- To nie ja, to ktoś inny. A z drugiej strony, nie była pani zbyt ostrożna. Pół hrabstwa wiedziało, że jeździ pani w przebraniu rozbójnika.

- To nieprawda - zaprotestowała. - Zresztą prawie nikt nie wiedział o istnieniu teczki.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Toby.

- Interes się rozkręca - powiedział. - Matka Pierce będzie potrzebowała tego pokoju. Musi pani wkrótce stąd odejść.

Pod drzwiami pojawiły się cienie.

- A tutaj? - zapytał piskliwy, trochę bełkoczący głos.

- Zajęte - odpowiedział mu inny.

- Znam skądś ten głos - powiedziała Sovay.

- To Jack - odparł Toby. - Zszywał pani głowę.

- Nie ten, ten drugi. Toby przyłożył oko do szpary w drzwiach.

- To pan Fitzwilliam. Stały klient. On jest... - zaczął chłopak, ale Greenwood rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. - Ale tego to wcale nie chce pani wiedzieć. Skąd pani go zna?

- To przyjaciel mojego brata. Ach!... - Toby i kapitan spojrzeli na nią wyczekująco. - Był wtedy, kiedy pokazywałam dokumenty Gabrielowi. Nie w tym samym pomieszczeniu, ale mógł nas podsłuchać.

- No to ma pani swojego donosiciela - odezwał się Greenwood, starając się, by nie brzmiało to, jakby się oczyszczał z zarzutów. - On przyjaźni się z Dysartem.

- Skąd pan wie?

- Widziałem ich razem. Tu - i w innych miejscach.

- Dysart też tu bywa?

- Nie tak, jak pani myśli - zaśmiał się. - Matka jest jego informatorką. Niech pani zapyta Toby'ego.

- Wysoki, zawsze ubrany na czarno - Toby opisywał Dysarta. - Cichy głos. Wygląda, jakby chciał powiesić człowieka tylko za to, że ten ośmiela się oddychać tym samym powietrzem co on? To on. Rozgląda się zwykle, patrzy, kto jest, a potem znika z Matką w jej buduarze.

- To bardzo korzystny układ dla obu stron. Ona dostarcza mu informacji, a w zamian on - tu Greenwood potarł palce - dostarcza jej pieniędzy. Na nas już czas - zwrócił się do Toby'ego. - Wyślij zwiadowcę i bądź tak miły, znajdź nam przy okazji jakieś stosowniejsze ubranie. Pójdiesz z nami.

- A co z Matką?

- Powiedz jej, że wynajmuję cię na wieczór - rozbójnik włożył rękę do kieszeni. - Daj jej to i powiedz, że to prywatna sprawa. Będę bardzo zły, jeśli ktoś się o tym dowie.

- Jak się pani czuje? - Greenwood zwrócił się do Sovay, kiedy chłopiec wyszedł.

- Trochę lepiej.

- Niech pani sobie łyknie.

- Co to jest?

- Brandy. Koniak. Przemyczony z Francji. Najlepsza jakość, zapewne z piwnic jakiegoś złupionego zamku.

Sovay pokręciła przecząco głową, ale kapitan to zignorował. Wyjął korek zębami i podał jej butelkę.

- Przepraszam panią bardzo, ale nie mam kieliszka. Proszę wypić!

Sovay była zbyt słaba, by protestować. Zastosowała się do polecenia i wkrótce jedwabście gładka ciecz rozeszła się po całym jej ciele, napęlniając ją błogością i przywracając siły w kończynach.

- Wystarczy! - Kapitan zabrał jej butelkę. - To mocny trunek - dodał i upił łyk, a następnie schował butelkę do kieszeni.

- Po co nam Toby?

- Bo to najlepszy włamywacz w całym Londynie. Jego ojciec był ślusarzem, wiedziała pani? Potrafi wszędzie wejść i z każdego miejsca się wydostać. Ma pani klucz do domu?

Sovay pokręciła głową.

- Tak myślałem. Jak więc chce pani wrócić? Proszę się o mnie oprzeć.

Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać.

- Poradzę sobie, dziękuję - odparła i w tej samej chwili opadła na łóżko, gdyż zakręciło się jej w głowie. Kapitan objął ją ramieniem i postawił na nogi.

- Spokojnie. Dobrze się pani czuje?

- Nigdy nie czułam się lepiej - zdobyła się na słaby uśmiech.

- Tym razem raczej lilie niż róże - powiedział i pogładził ją po policzku. - Jest pani blada jak ściana.

Jego dotyk groził, że straci resztkę sił, jakie jej jeszcze pozostały. Chwyciła się oparcia krzesła.

- Będę mogła iść bez pomocy, kiedy przestanie mi się kręcić w głowie.

- Z pewnością - odparł zaskoczony jej wybuchem. - Ale schody są strome i może pani sobie skrócić kark. Czy mój dotyk jest dla pani aż tak przykry?

- Nie to chciałam... - zaczęła. Zrobiła krok w kierunku drzwi i poczuła, że uginają się jej kolana.

- Chyba jednak skorzystam z pana pomocy.

Objął ją i sprowadził w dół. Gdyby ktoś ich obserwował, z pewnością uznaliby, że dziewczyna zbyt wiele wypila. To się zdarzało wszędzie i nie budziło zdziwienia. Toby czekał na nich na ulicy ubrany w swoje rzeczy.

Kapitan zatrzymał lektykę, zapłacił tragarzom i polecił im iść do Soho Square.

- Toby pójdzie z panią - powiedział. - I upewni się, że jest pani bezpieczna w domu. Powodzenia, Sovay.

To powiedziawszy, zniknął. Lektyka podniosła się z dziwnym przechylem, aż Sovay zebrało się na mdłości. Żeby zająć umysł czymś innym, zapytała Toby'ego o ojca.

- Był ślusarzem. Próbował być uczciwy, ale w tym zawodzie się nie dało. Przyciąga włamywaczy jak magnes żelazo. W każdym razie został przyłapany i skazany na zesłanie. Matka wylądowała na Fleet, a my, dzieciaki, na ulicy. Zajmuję się nimi cały czas. Jestem najstarszy, wie pani? Byłem mały i szybki i nauczyłem się paru rzeczy w warsztacie ojca, więc pan Slevin uznał, że mu się przydam -

chłopak zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiał, czy może się jej zwierzać. W swoim krótkim życiu nauczył się nie ufać ludziom. - Kiedy zarobię na terminowanie, nauczę się wszystkiego porządnie - znowu przerwał, nie wiedząc, czy zaufać Sovay. - Lubię robić różne rzeczy, sprawdzać, jak działają.

- Skąd wiesz, czy nie wejdiesz na drogę kryminalną jak twój ojciec?

- Kiedy skończę naukę, zamierzam wsiąść na statek do Ameryki - powiedział. - Uważam, że tam są większe szanse na uczciwe życie.

- A twoje rodzeństwo?

- Zabiorę je ze sobą. Wszyscy zaczniemy od nowa - odparł z uśmiechem, ale posępne spojrzenie sugerowało, że chłopak zdaje sobie sprawę z tego, że to tylko niemożliwe do zrealizowania marzenie.

Sovay życzyła mu powodzenia. Miała nadzieję, że ambicje chłopaka sięgają dalej poza fantazjowanie. Wszystko, byle tylko udało mu się wyrwać ze szponów Matki Pierce i jej jaskini rozpusty. Pomyślała o fortunie Dysarta ukrytej w podziemiach Turnbull i nagle przyszedł jej do głowy pomysł, który na chwilę złagodził ból czaszki. To będzie jednak musiało poczekać do następnego dnia, teraz chciała tylko znaleźć się we własnym łóżku. Z każdym krokiem tragarzy narastał ból głowy, był już tak silny, że przesłaniał jej widzenie. Ręce i nogi miała słabe, zupełnie jakby były z waty. To wszystko, co przeżyła w ciągu dnia, odbijało się teraz na niej i groziło, że za moment wpadnie w czarną otchłań. Musiała przysnąć na moment, bo następną rzeczą, z jakiej zdała sobie sprawę, był dotyk ręki Toby'ego na swoim ramieniu.

- Wszystko dobrze, proszę pani? Już prawie jesteśmy na miejscu.

Przełknęła ślinę i skinęła głową, bojąc się okropnie, że za chwilę zwymiotuje. Na szczęście tragarze postawili lektykę.

- Proszę tu poczekać - powiedział Toby i oparł ją o poręczę pod drzwiami domu. - Zaraz będę z powrotem.

Rozwiązał szmatkę, w której trzymał cały zestaw zawijasów, jak nazywał wytrychy, a także rozmaite inne narzędzia. Wybrał długie szczypce o cienkich jak igła końcówkach i zniknął na schodach prowadzących do piwnicy. Minęła krótka chwila i już otwierał drzwi Sovay.

- Proszę powiedzieć temu, kto zamyka drzwi, żeby założył rygle i wyjmował klucz z zamka.

Sovay podziękowała chłopakowi i poprosiła, by przyszedł do niej następnego dnia.

- Gdzie? Tu? Do domu? - Toby nie posiadał się ze zdumienia.

- Oczywiście, że do domu - uśmiechnęła się blado. - A gdzieżby indziej?

Chłopak zgodził się, a potem zniknął w ciemności. Sovay została sama na ciemnym, cichym placu, oświetlonym tylko srebrzystą poświatą księżyca. Wpatrywała się w pstrokate cienie rzucane przez ogromne platany i czuła się, jakby wróżki rzuciły ją na próg własnego domu. To mógłby być sen, tylko strój, który miała na sobie, i świdrujący ból czaszki świadczyły o tym, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Zamknęła cicho drzwi, przekręciła klucz w zamku, a potem wyjęła go i zarygłowała wejście. Starła się zachowywać bardzo cicho, choć służba już z pewnością poszła spać. Sovay powiedziała Lidii, by na nią nie czekała, Wallace miał tej nocy wolne i wyjechał do swojego brata, a pani Crombie spała zwykle jak zabita. To dobrze, że nie było tu więcej służących. Kiedy ojciec przebywał w domu, w hallu zawsze czekał lokaj.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, zdjęła z siebie ubranie brata. Zakrwawione i ubłocone nie nadawało się do włożenia do szafy. Postanowiła, że zwiąże je w tobołek i odda żebrakom, którzy wiecznie podchodzili do drzwi kuchennych, szukając resztek i niepotrzebnych rzeczy. W przyszłości - jeśli jeszcze wybierze się na podobną eskapadę - założy własne ubrania. Tymczasem założyła koszulę nocną i weszła do łóżka. Pragnęła się wykapać i zmyć zaschniętą krew z włosów, ale nie chciała obudzić całego domu. Kąpiel będzie musiała poczekać do rana.

Matka Pierce siedziała w swoim prywatnym salonie i liczyła złoto, cały czas przy tym knując i spiskując. Pewna ważna osoba interesowała się bardzo kapitanem, a więc otrzyma informacje, których pożąda. Żeby tak ją straszyć! Kim ten Greenwood jest, by ją szantażować! Próbować przekupić? Na to potrzeba by o wiele więcej złota, niż on mógłby zaoferować. Ostatnio kapitan miał o sobie zbyt wysokie mniemanie i pomysły wykraczające ponad zajmowaną pozycję. Wzięła od niego pieniądze, ale on zapłacił jej jeszcze więcej za wszystkie kłopoty. Rozbójników było tak samo wielu jak wron na wrzosowiskach, po których jeździli. Nie miała cierpliwości do ich roszczeń. Już ona sprowadzi go na właściwe miejsce. Zanim się dowie, kto na niego doniósł, będzie już wisiał w Newgate.

## ROZDZIAŁ 17

Sovay ledwo zdążyła wykapać się i przebrać, kiedy rozległ się gwałtowny łomot do drzwi.

- Na dole czeka jakiś chłopak - oznajmiła oburzona pani Crombie. - Powiedziałam mu, że pani nie może przyjmować gości, ale twierdzi, że musi się z panią pilnie zobaczyć.

Sovay zeszła pospiesznie na dół, spodziewając się ujrzeć Toby'ego, lecz jak się okazało, to Skidmore nerwowo dreptał po dywanie. Na głowie sterczały mu ciemne loki, a on sam wyglądał wyjątkowo niechlujnie. Nie było w nim nic z eleganckiego młodzieńca, którego widziała dzień wcześniej. Miał ubłocone i pomarszczone rajtuzy, płaszcz był podarty i brakowało mu paru guzików, a na przodzie koszuli widniała plama przypominająca zaschniętą krew. Skidmore został zraniony w policzek, miał opuchnięte ręce, kostki posiniaczone i zakrwawione. Nic dziwnego, że jego widok tak zaalarmował panią Crombie.

- Skidmore? - zapytała ze schodów. - Co się stało?

Odwrócił się do niej, a jego spojrzenie zaniepokoiło ją jeszcze bardziej. W jego oczach czaiła się jakaś dzikość i ogromna wściekłość. Ciemna skóra pokryła się rumieńcem, jakby cierpiał na wysoką gorączkę.

- Chodzi o Gabriela - powiedział. - Został poważnie ranny. Lepiej, żeby pani przyszła, panno Sovay.

- Gdzie on jest? - zapytała. - Jak to się stało?

- Brał udział w bitwie, w Clerkenwell, tam gdzie ja mieszkam. Poszliśmy tam prosto z Fender's Field.

Skidmore chciał mówić dalej, ale Sovay mu przerwała. Trudno było przewidzieć, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

- Opowie mi pan o tym za chwilę. Zatrzymam powóz.

- Gabriel powiedział mi, kim pani jest - wyjaśnił Skidmore po drodze. - Musiał, bał się bardzo, kiedy straciliśmy panią z oczu w tym zamieszaniu i chaosie. Szukaliśmy pani wszędzie, a kiedy nie znaleźliśmy, wróciliśmy do mojego mieszkania w Clerkenwell. Mam tam pokój w domu Dicka Chapmana, to drukarz i grawer. Na miejscu zastaliśmy zamieszki. Żona i dzieci Dicka płakały na ulicy. Bandyty niszczyli właśnie drukarnię. Ich kamraci plądrowali domy, wyrzucali ludzi na ulicę. Kobiety i dzieci. To był gest tchórzostwa, wiedzieli przecież, że większość mężczyzn znajduje się właśnie na Fender's Field - Skidmore zaśmiał się smutno. - Nie spodziewali się, że tak szybko wrócimy. Przepędziliśmy ich, a przynajmniej tak nam się wydawało. W środku nocy wrócili wielką zgrają, nastawieni całkowicie na destrukcję. Niszczycieli domy i warsztaty, wywalali na ulice meble, sprzęt, wszystko, co się dało. To, czego nie mogli zabrać, podpalali. Nie liczyli się z nikim. Staruszkę zrzucili ze schodów, ciężarną kobietę wyrzucili z łóżka. Znowu rozpętała się walka, ale tym razem to nam się oberwało. Gabriel został brutalnie pobity i skopany do nieprzytomności. Rano, kiedy wychodziłem, nie odzyskał jeszcze świadomości.

- Jakby tego było mało, dzisiaj rano, punktualnie o dziewiątej, pojawili się urzędnicy sądowi i rzucili się na pana Chapmana. Oskarżyli go o drukowanie wywrotowych materiałów i pomoc w reklamowaniu nielegalnego zgromadzenia. Odprowadzili go do magistratu, noc wcześniej skradziono ulotki z drukarni, żeby dostarczyć dowodów. Pan Oldfield próbuje go wydostać.

Sovay słuchała z ciężkim sercem długiego wywodu Skidmore'a. To, co się wydarzyło, bardzo go poruszyło, a kiedy weszli na Vine Street, uliczkę zabudowaną małymi domkami z cegły, Sovay mogła na własne oczy ujrzeć powód głębokiego zmartwienia młodzieńca. Na ulicy dogasał ogień. Wyciągnięte z niego osmalone krzesła, stoły i łóżka raczej nie nadawały się do odratowania. W drzwiach cisnęły się kobiety i wycierały fartuchami załzawione oczy. Dzieci tuliły się do nich w milczeniu, tymczasem mężczyźni stali z twarzami pozbawionymi wyrazu, zupełnie jak kukiełki, i przyglądali się,

jak idą z dymem ich środki do życia. Niektórzy nie mieli już nawet gdzie mieszkać, bo z domów zostały tylko wypalone skorupy.

A jednak ludzie ci zatroszczyli się o Gabriela, a nawet opłacili lekarza, by go zbadał. To nie dym z palonych przedmiotów sprawił, że oczy Sovay zaszczyły łzami, kiedy weszła do domu, w którym leżał Gabriel. Zaprowadziła ją do niego pani Chapman, wysoka, szczupła kobieta o ciemnych włosach i delikatnych rysach twarzy. Tuż za nią szła para ślicznych dzieci o włosach w kolorze lnu. Patrzyły na Sovay wielkimi niebieskimi oczami, ale nie opuszczały matki ani na krok.

- Oprzytomniał, proszę panienki - powiedziała pani Chapman. - I wypił trochę wody.

Gabriel leżał z obandażowaną głową i lewym okiem tak spuchniętym, że nie mógł go otworzyć. Sovay zarządziła, by woźnica zaniósł go do powozu.

- Nie będziemy już nadużywać pani gościnności - powiedziała do pani Chapman. - Ma pani dość własnych kłopotów. Są jakieś wieści o pani mężu? Dowiedziałam się od pana Skidmore'a, że został aresztowany.

- Na razie nie, ale cały czas mamy nadzieję. Algie pokłada wielką ufność w panu Oldfieldzie.

- To dobry człowiek - potwierdziła Sovay.

Pani Chapman odmówiła przyjęcia zapłaty za zajęcie się Gabrielem, nie chciała nawet zwrotu pieniędzy za wizytę lekarza.

- W takim razie mogę tylko pani dziękować za opiekę nad Gabrielem - powiedziała Sovay i wyciągnęła rękę. - Gdybym mogła coś dla was zrobić, pan Skidmore wie, gdzie mnie szukać.

Po powrocie na Soho Square Gabriel został zanieiony do swojej sypialni, a Sovay sprowadziła lekarza. Zbadał go dokładnie, ale uznał, że jego kolega po fachu wykonał dobrze swoje zadanie i nic więcej nie można zrobić.

- To silny młody człowiek - oznajmił lekarz. - Najlepszym lekarstwem będzie odpoczynek. Proszę dać mu się wyspać, a kiedy się obudzi, można podać mu rosół. Zostawię też krople na wypadek, gdyby coś bolało.

Gabriel obudził się dopiero późnym popołudniem. Sovay zaglądała do niego co pół godziny, aż w końcu przegoniła ją pani Crombie.

- Obudzi się w swoim czasie - powiedziała. - Słyszała panienka, co mówił doktor. Niepotrzebnie się panienka kręci i przeszkadza mu w odpoczynku. Lidia się zaoferowała, że przy nim posiedzi - mruknęła, najwyraźniej niezbyt podobał jej się ten pomysł, ale troska dziewczyny wydawała się szczerą. - Przy okazji zajmie się szyciem. Powiadomi panienkę, jeśli coś się zmieni.

Kiedy Sovay przysłała po raz kolejny, Gabriel siedział w łóżku i pił rosół z bulionówki, która wydawała się bardzo mała w jego dużych dłoniach.

- Gabriel! Jak się czujesz? - zapytała, podchodząc do łóżka. - Nieźle nas wystraszyłeś.



- Może jestem ranny na ciele, Sovay - odparł z uśmiechem - ale mój umysł i duch ocalały. Rozmawiałem ze Skidmore'em, Chapmanem i ich przyjaciółmi. Jeszcze nigdy nie słyszałem tak sensownych argumentów. A przecież nie mówili niczego nowego, te wszystkie poglądy i opinie znam z Compton, Hugh tłumaczył mi to wszystko godzinami, a ja zawsze podziwiałem jego pasję i siłę przekonań. Ale słuchanie tych ludzi to coś zupełnie innego. Oni mówili prosto do mojego serca, Sovay - Gabriel odłożył bulionówkę i złożył ręce przed sobą. - To zwykli ludzie, tacy jak ja - powiedział i zamilkł na chwilę. - Nie należę do twojej klasy i nigdy nie będę należał, zresztą wcale nie mam takich ambicji. Chciałbym tylko żyć w równości. Twoja rodzina może głosować i kandydować do parlamentu, jeśli ma na to ochotę, dlatego że posiada ziemię i majątek. Dlaczego ja też tak nie mogę?

Ja też nie mogę głosować, chciała powiedzieć Sovay, ale uznała, że lepiej nie nadweręzać się Gabriela niepotrzebną dyskusją. Kobiety niewiele różniły się od niewolników, bez względu na pozycję. Gdyby wyszła za męża, cały jej majątek, wszelkie bogactwa, wszystko - łącznie z nią samą - należałoby do jej małżonka. Z prawem głosu czy bez Gabriel był przynajmniej mężczyzną.

- Te podstawowe prawa nie są dane także mnie oraz innym kobietom, bez względu na ilość ziemi i bogactw - powiedziała cicho. - Przynajmniej to nas łączy.

- To prawda - przyznał Gabriel. - Na tym świecie jest tyle zła, trzeba będzie wielu wysiłków i walki, by to zmienić - dodał i spojrzał na Sovay. - Nie potrafię tego opisać, ale zupełnie jakbym wcześniej chodził po ziemi z zawiązanymi oczami, nie zauważając niczego oprócz miejsca, na którym stawiam stopy. Teraz wreszcie zdjęto mi z oczu bandażę i po raz pierwszy w życiu widzę wszystko wyraźnie. Wiem, że według niektórych zajmuję nienajgorszą pozycję. Twój ojciec to dobry i sprawiedliwy pan. Dzięki niemu mam wykształcenie i jestem mu za to wdzięczny, ale zawsze czułem się zawieszony gdzieś pośrodku. Uważam ciebie i Hugh za przyjaciół...

- Mam taką nadzieję! - chwyciła go za leżącą na pościeli dłoń, by dać mu do zrozumienia, że zawsze tak będzie.

- Ale nigdy nie będziemy równi, przynajmniej nie w obecnej sytuacji. Zarządca to dziwne stanowisko, jest ponad służbą i robotnikami, lecz nie należy do rodziny. Nie mamy ziemi ani szansy wejść w jej posiadanie. Zawsze będziemy musieli pracować dla innych. A ja chcę żyć własnym życiem, być niezależny. Nie wrócę, kiedy to się wszystko skończy. Mój ojciec jest jeszcze dość młody, poradzi sobie beze mnie. I Compton też.

Gabriel oparł się o poduszki wyczerpany przemową. Lidia, która przysłuchiwała się z uwagą, aż podniosła głowę przerażona, słysząc ostatnie zdania. Sovay nie wiedziała, co powiedzieć. Słowa Gabriela ją zszokowały, zachwiały spokojem ducha, o jaki siebie nawet nie podejrzewała. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby Gabriel tak długo przemawiał i do tego tak żarliwie. Poczula nawet ukłucie zadości wobec ognia, który płonął w nim takim czystym i jasnym płomieniem.

Będzie jej go strasznie brakować, zresztą wszystkim w Compton, także jej ojcu i bratu, ale przekonywać go do zmiany zdania?

Nie, to byłoby dziecinne, obraźliwe, a co gorsza, mogłoby wyglądać, że roszczą sobie wobec niego jakieś pretensje, sugerują, że ma obowiązek pozostać w Compton. Nie mogą być dla Gabriela łańcuchem.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem. Chciałbym jeździć po kraju, rozpowszechnić słowo wolności. Mogę zająć się czymkolwiek, kowalstwem, tokarstwem, hodowlą zwierząt, uprawą ziemi. Wiem tylko, że nie mogę żyć tak jak dotąd, obserwując wszystko z boku, zamykając oczy i uszy, nie dopuszczając do serca tego, co się wokół dzieje, co przytrafia się moim rodakom. Ale - uśmiechnął się - to później. Na razie zamierzam zostać tu i zobaczyć, jak to się wszystko skończy.

- Nie będę cię zatrzymywać, Gabrieliu, czy próbować odwieść cię od tego, co dyktuje ci serce, ale muszę przyznać - tu uśmiechnęła się do niego - że bardzo się cieszę, że jeszcze nie zamierzasz rozpocząć swojej włóczęgi.

Siedząca pod oknem Lidia pokiwała żarliwie głową. Też nie chciała, by Gabriel wyjeżdżał. W jej marzeniach nie było miejsca na włóczenie się po kraju niczym wózek druciarza.

Wieczorem tego samego dnia pani Crombie ogłosiła przybycie pana Oldfielda i jego urzędnika. Pierwszy wszedł prawnik, a za nim Skidmore z dokumentami. Sovay zaprosiła ich do gabinetu ojca. Przyszli prosto z sądu na Bow Street, pan Oldfield od razu zapytał o zdrowie Gabriela, ale nie bardzo słuchał odpowiedzi. Wydawał się błądzić myślami gdzie indziej, miał zaciśnięte usta, bladą twarz i oczy podkrążone ze zmęczenia i z nerwów.

Sovay posłała Wallace'a na górę, by przekazał Gabrielowi, że przyszedł prawnik i Skidmore. Wallace wrócił z wiadomością, że Gabriel chce koniecznie do nich zejść i dowiedzieć się, co się dzieje z jego przyjaciółmi. Wbrew zaleceniom pani Crombie został sprowadzony na dół przez Wallace'a i Perkinsa. Z tyłu szła Lidia z kocem i poduszką. Gabriel został posadzony na szeslongu i przykryty; był cichy i opanowany, ale policzki miał blade jak bandaż, którymi obwiązano mu głowę.

- To nie były pojedyncze ataki - Oldfield postukał palcem w dokumenty. - Nie były. Koordynowane z centrali - przerwane zgromadzenie, szaleństwo armii ochotników, aresztowania. To nie były zbiegi okoliczności. I nazwiska osób zabranych przez urzędników sądowych, Skidmore! - młodzieniec podał mu dokument ze sterty, którą trzymał. - To skromni ludzie, rozsądni. Najżarliwszych na razie zostawiono w spokoju. To wszystko część większego planu - powiedział i zwrócił się znów do swojego urzędnika. - Skidmore, co się stanie, jeśli ktoś usunie z paleniska zwilżone drewna?

- Ogień wybuchnie wielkim płomieniem - odparł młodzieniec. - Wymknie się spod kontroli.

- No właśnie! - uśmiechnął się do niego Oldfield, po czym odwrócił się do Gabriela.

- Pana przyjaciel, Chapman, jest w tej chwili bezpieczny. Udało mi się uzyskać jego zwolnienie dzięki pewnemu szczegółowi - urzędnicy wysłani, by go aresztować, przechwycili niewłaściwe materiały. Zamiast wywrotowych ulotek nawołujących naród do rewolucji zabrali rozprawy o samodoskonaleniu i porady na temat ekonomii. Następnym razem może już nie mieć tyle szczęścia. Kiedy urzędnicy przyjdą po raz kolejny do jego domu, będą lepiej przygotowani. Niestety, innym się tak nie poszczęściło. Mało prawdopodobne, by doczekali się procesu, w obecnej sytuacji spędzą w więzieniu zapewne długie miesiące, a może nawet lata, zanim staną przed sądem.

- Myślałem, że prawo zabrania trzymania ludzi w więzieniach bez procesu? - odezwał się Gabriel.

- Tak jest. A raczej było. Zawieszono ustawę zakazującą aresztowania bez nakazu sądowego. Zamiast tego wprowadzono prawo pozwalające trzymać więźniów bez wyroku przez nieokreślony czas. Widzę w tym pewien plan - wyjaśnił i wykorzystał znajdujące się na biurku przedmioty, by zademonstrować swoje przypuszczenia. Przystawiał je niczym figury na szachownicy. - Jeśli usunie się przywódców o umiarkowanych poglądach - Oldfield sięgnął po pojemniki na pióra i rozłożył na bibule rząd stalówek - wówczas ich bardziej radykalni kamraci znajdą się na pierwszym planie. Wyjdą na ulice, żądając uwolnienia towarzyszy i grożąc ogólnokrajowym powstaniem. Przeciwno nim postawi się lojalistów - to mówiąc, wyjął więcej stalówek i ułożył je naprzeciwko. - Taka sytuacja zaistnieje w całym kraju, jedna grupa zostanie napuszczona na drugą. A jeśli obie będą uzbrojone i opłacane przez Dysarta, wówczas...

Przechylił kałamarz z karminowym tuszem, zalewając obie armie. Plama rozprzestrzeniła się po całej bibule, otaczając je krwistą czerwienią.

- Dysart opłaca obie strony? - zapytała Sovay.

- Tak. Tyle wywnioskowałem z zawartości teczki, która - tu się zawahał - znalazła się w pani posiadaniu. To dlatego tak bardzo zależało mu na jej odzyskaniu. Początkowo sądziłem, że bał się ujawnienia tożsamości swoich agentów, ale nie. Chodziło o to, by nie wydał się jego wielki spisek.

- On chyba nie sądzi, że taki plan może się powieść? - Sovay pokręciła głową. Nie chciało jej się wierzyć, że ktoś może być tak szalony.

- Ależ sądzi. To bardzo przebiegły plan, i nikczemny. Dysarta nie można lekceważyć. Wymyślił coś, co kieruje się diabelską logiką, a kiedy maszyna zostanie wprawiona w ruch, trudno będzie ją zatrzymać. Wynikająca z niej przemoc zostanie zdławiona przez oddziały wierne Dysartowi i jego ekipie. Bo Dysart nie działa w pojedynkę, lecz stoi na czele grupy, kliki bardzo wpływowych ludzi, którzy pragną jeszcze większej władzy. Dokonają zamachu stanu i będą rządzić krajem jak Robespierre i jego Komitet Ocalenia Publicznego we Francji. Będą robić, co im się żywnie podoba, krzywdy narodu lecząc rozlewem krwi. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nastanie terror.

- A co z Jego Wysokością? - zapytał Skidmore.

- Jak to co? A czy ktokolwiek wie, kiedy wróca jego ataki szaleństwa? Zostanie zamknięty, bez względu na stan umysłu. Jego syna ogłoszą regentem, ale to Dysart będzie pociągał za sznurki. A jeśli regent okaże się nieprzydatny, wówczas Dysart się go pozbędzie. Takie sytuacje już się zdarzały, Francja nie jest jedynym krajem, który zamordował swojego króla - to mówiąc, zwrócił się do Sovay: - proszę mi powiedzieć, panno Middleton, czy Dysart się z panią kontaktował?

- Tak. Przyniósł mi to - podała mu zaproszenie do Thursley. - Powiedział, że to dla mojego ojca, ale nalegał, żebym przysłała w jego zastępstwie.

- Doprawdy? - Oldfield przyjrzał się uważnie zaproszeniu, gotyckim literom i czarnej obwódce. Zaczął krążyć po pokoju, drapiąc się zaproszeniem w brodę i zbierał myśli. W końcu zatrzymał się przed Sovay. - Nadszedł czas, byśmy zaczęli działać. Znam Dysarta od dawna, razem studiowaliśmy w Ingolstadt. Ja też dostałem to zaproszenie. Zbliża się czas... - Oldfield przeniósł wzrok z Sovay, na Skidmore'a i na Gabriela. - Jeśli chcemy uratować przyjaciół i zapobiec krwawej rewolucji w kraju oraz brutalnym prześladowaniom, powinniśmy udać się do Thursley.

Zanim Oldfield wyszedł, Sovay zapytała, czy może z nim porozmawiać w prywatnej sprawie.

- Oczywiście - odparł i skinął głową Skidmore'owi, by zaczekał w holu.

- Mam obowiązek ostrzec panią - powiedział, kiedy znaleźli się sami w pokoju. - Jeśli pojedzie pani do Thursley, znajdzie się pani w wielkim niebezpieczeństwie. Ma pani pełne prawo nie skorzystać z zaproszenia. Dysart nie toleruje, gdy ktoś się wtrąca w jego działania i z pewnością uderzy w każdego, kogo uważa za wroga. Jest znany z tego, że niszczy wszystkich, którzy coś wiedzą, nawet jeśli to wiedza marginalna - Oldfield nakreślił palcem na biurku koncentryczne koła. - A pani tkwi w samym środku sieci.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła. - Nie jestem głupia. Ale jeśli Dysart wygra, kto ochroni przyjaciół Gabriela? Kto stanie w obronie ich wolności? - Sovay wyprostowała się. - Jeśli będzie trzeba, stanę twarzą w twarz z niebezpieczeństwem.

- Nie wątpię w to - uśmiechnął się do niej. - Skidmore opowiedział mi co nieco o pani wczorajszych wyczynach - to mówiąc zamachał ręką, by uciszyć jej protesty i powstrzymać złość, jaką mogła czuć do młodego urzędnika kancelarii. - Proszę się na niego nie gniewać, on nie chciał pani zdradzić, był przerażony, że to zrobił, ale ja wiem, jak wydobywać z ludzi tajemnice. Nie byłbym dobrym prawnikiem, gdybym tego nie potrafił. Skidmore bardzo panią podziwia, panno Sovay - prawnik uśmiechnął się szerzej. - Aż dziw bierze, że nie paliły panią uszy. No ale do rzeczy, miała pani do mnie jakąś sprawę.

Sovay chciała omówić z Oldfieldem kwestię pieniędzy znalezionych w teczce. Były one własnością Dysarta, ale nie zamierzała mu ich oddawać. Nigdy. Tak czy inaczej, pieniądze zostały ukradzione i wyrzuty sumienia nie pozwalały jej przeznaczyć ich na swoje potrzeby. Jednak wydanie ich na inne osoby to było coś innego.

- Mam pewną sumę pieniędzy zdeponowaną na moje nazwisko w banku Turnbull's - wyjaśniła.
- Chciałabym, żeby pan je rozdysponował na konkretne cele.

Usiadła przy biurku, usunęła poplamioną bibułę i wyjęła czystą kartkę z szuflady ojca. Zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła pisać.

*Panu Toby'emu White'owi, przebywającemu w lokalu pani Pierce, na Chandois Street, Covent Garden, przekazuję sumę 100 funtów na opłacenie terminu u szanowanego ślusarza, a także podróży do Ameryki.*

*Panu Algernonowi Skidmore'owi, zamieszkującemu przy Vine Street, Clerkenwell, przekazuję sumę 100 funtów na opłacenie praktyki prawniczej w kancelarii Oldfield & Oldfield oraz na wszelkie inne koszty z tym związane.*

*Pozostałą kwotę proszę przekazać panu Gabrielowi Stanhope'owi do jego dyspozycji.*

Osuszyła atrament bibułą i podała kartkę Oldfieldowi. Prawnik przestudiował ją uważnie.

- Wspaniałomyślnie - powiedział, kiwając głową. - Bardzo wspaniałomyślnie. Doskonale wydane pieniądze na Skidmore'a, będzie z niego dobry prawnik. Ale jeśli chodzi o pana White'a... Ten lokal... O ile się nie mylę, to...

- Dobrze wiem, co to jest, panie Oldfield - spojrzała prosto na prawnika, a jej stalowoniebieskie oczy nagle poszarzały. - Proszę się do tego nie wtrącać. Chcę uratować tego chłopca przed wkroczeniem na drogę przestępstwa i rozpusty, ponieważ uważam, że na to zasługuje.

- Ależ oczywiście - odpowiedział pojednawczo Oldfield. Nigdy wcześniej nie widział, żeby wpadła w złość. - Od razu poczynię stosowne posunięcia, proszę się nie obawiać. Najpierw...

Oldfield zaczął tłumaczyć Sovay o depozytach i powiernikach. Tymczasem ona siedziała na krześle ojca i wpatrywała się w leżące na biurku zaproszenie od Dysarta. Przejechała palcem po wytłoczonym napisie i próbowała odpędzić od siebie dziwne wrażenie, że oto porządkuje swoje sprawy tak jak ludzie, którzy czują, że ich życie dobiega końca.

- Przyszedł jakiś chłopak, kiedy rozmawiała pani z panem Oldfieldem - oznajmiła pani Crombie, gdy prawnik wyszedł. - Jest na dole, w kuchni. Twierdzi, że nie jest głodny, ale jak dla mnie wygląda na zagłodzonego. Powiedziałam Lidii, żeby dała mu kilka plastrów wołowiny i kufel ale.

Kiedy Sovay weszła, Toby podniósł się z miejsca, ocierając usta wierzchem dłoni.

- Toby! - po wszystkim, co się wydarzyło, zupełnie zapomniała, że kazała mu przyjść. - Cieszę się, że Lidia się tobą zajęła. Jeżeli skończyłeś, choć ze mną do gabinetu mojego ojca. Tam możemy porozmawiać.

- Dobrze, panienko. Bardzo, bardzo dziękuję, proszę pani i pani. - Toby uśmiechał się i rozdawał ukłony Lidii oraz pani Crombie. - Bardzo było miło.

Sovay zaprowadziła go do gabinetu i zamknęła drzwi. Bardzo chciała podzielić się z chłopakiem planami, jakie miała wobec niego. I uzyskać jego zgodę.

- Chciałabym, żebyś znalazł sobie dobrego mistrza - powiedziała. - Uczciwego ślusarza i żebyś zgłosił się do niego na termin.

- Nie mam na to pieniędzy!

- Ja ci dam pieniądze - odparła - ale musisz mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Że nie wrócisz do Matki Pierce.

- Muszę, proszę panienki. Jak niby mam zarobić na życie?

- Przecież mówię, że dam ci pieniądze. Poczytałam pewne ustalenia z moim prawnikiem, panem Oldfieldem. Musisz tylko stawić się w jego kancelarii na Carter Lane. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, proszę pani. Przy Ludgate Hill, w dół od Świętego Pawła.

- Bardzo dobrze. Jeśli tam pójdziesz, on wszystko załatwi i dostarczy ci pieniądze na pokrycie kosztów. Kiedy będziesz potrzebował więcej, wystarczy, że się do niego zgłosisz.

Sovay usiadła z poczuciem, że wszystko mu dokładnie wyjaśniła. Toby spojrział na nią sceptycznie. Nigdy w życiu nikomu nie ufał i teraz też nie miał takiego zamiaru. Nie chodziło o samą Sovay, miała dobre serce i chciała dobrze, co do tego nie miał wątpliwości. W końcu jednak znudzi ją to wszystko albo się wystraszy i wróci do swojego domu na wsi, a on zostanie z niczym. Nie wierzył, że ktokolwiek przekaże mu pieniądze, a już na pewno nie prawnik. Oczywiście obieca panience, czemu nie, ale na razie nie zostawi Matki Pierce.

- Miałeś jakieś wiadomości od kapitana Greenwooda? - zapytała, wstając, by odprowadzić go do wyjścia.

Pytanie zabrzmiało zupełnie zdawkowo, ale Toby zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna nie zakochała się w kapitanie. Nie byłaby pierwsza, Greenwood miał powodzenie u kobiet. Wszystkie córki karczmarzy od Londynu do Bristolu uważały go za swojego szczególnego przyjaciela.

- Odkąd odszedł, nie. Pewnie gdzieś jeździ - odpowiedział Toby. - Ale lepiej niech uważa, jak wróci,

- A to dlaczego?

- Matka jest na niego cięta. A z nią nie można zadzierać, o nie, zresztą czasem to czysta złośliwość z jej strony - Prawdę powiedziawszy, Matka nastawiła się negatywnie także do Sovay, ale Toby uznał, że lepiej będzie jej tego nie mówić. Dziewczyna i tak znajdowała się poza zasięgiem wpływów Matki i ta nie mogła jej nic zrobić. Z kapitanem to już była zupełnie inna sprawa. - Kojarzy pani tego człowieka w czerni, o którym rozmawiała pani z kapitanem?

- Sir Roberta Dysarta?

- Tego samego. Coś dziwnego kombinują z Matką. Był wcześniej, a kiedy wyszedł, Matka była bardzo z siebie zadowolona. Zapytała o to, jak się ma mój przyjaciel, mając na myśli kapitana. „W

miarę dobrze, kiedy go ostatnio widziałem", odparłem. A ona na to: „Już niedługo" i miała w oczach taki paskudny błysk, i odeszła, rechocząc. Pewnie zamierza go sypnąć, kiedy wróci do miasta.

Co też Dysart mógł chcieć od kapitana, zastanawiała się Sovay, kiedy pani Crombie wypuszczała Toby'ego. Czy wszyscy zostaną złapani w jego sieć, tak jak sugerował Oldfield? Czy dla nikogo nie było ratunku?

## ROZDZIAŁ 18

Następnego ranka Sovay siedziała właśnie przy toalecie, kiedy weszła Lidia, by oznajmić, że dostarczono mnóstwo pudeł.

- Od Madame Chantal. Och, panienko! Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co tam jest!

- To chyba ja powinnam tak powiedzieć - uśmiechnęła się Sovay.

- Mam powiedzieć panu Wallace'owi i chłopakowi, żeby wnieśli wszystko na górę?

Zbiegła po schodach, nie czekając na odpowiedź. Po chwili pojawili się Wallace i Perkins, chłopaka ledwo było widać zza sterty jasnozielonych pudeł różnej wielkości, ze złotą obwódką i eleganckim czarnym napisem:

*Madame Chantal z Mayfair*

Magazyn mody

Postawili kartony na łóżku. Lidia aż się paliła do tego, by zobaczyć zawartość pudeł starannie opakowaną w delikatną bibułę.

Sovay pozwoliła jej otworzyć kartony i odrzucić cieniutki papier. Jak się okazało, madame nie próżnowała. Były tam suknieienne i wieczorowe, suknie *à la française* i *à l'anglaise*, żakiety, płaszcze, koszule i halki, słowem stroje na wszystkie okazje. W rzeczy samej, kompletna garderoba. Sovay pozostała nieczuła na błagania Lidii, by wszystko przymierzyła. Kazała rozpakować ubrania i odwiesić je w garderobie. Ostatnie pudło było jednak puste, Lidia zrobiła krok do tyłu.

- Och! - zawołała. - A to co? Tu jest tylko ta kartka - to mówiąc, podała liścik Sovay.

*Droga Mademoiselle,*

*Nie zapomniałam. Specjalna suknia będzie gotowa, proszę się nie lękać.*

*Pani przyjaciółka,*

*Hortense Chantal*

- Specjalna suknia? - Lidia zmarszczyła czoło. - Co to takiego, panno Sovay?

- To, co jest napisane. Coś, co madame szyje specjalnie na przyjęcie weekendowe, na które zostałam zaproszona - powiedziała Sovay z rezerwą. Nie miała ochoty rozmawiać o tym z Lidia. Czowała się dziwnie w związku z zaproszeniem - była podekscytowana, ale jednocześnie pełna obaw. Odczu-

wała łaskotanie w żołądku, przypuszczała, że podobnie muszą czuć się żołnierze wyruszający na wojnę albo żeglarze wypływający w morze. - Przynieś mi ubranie na dzisiaj.

Ale Lidia nie ruszyła się z miejsca.

- Nic panienka nie wspominała o przyjęciu. Czy pani Crombie wie?

- Nie, nie mówiłam jej.

- Skoro to taka szczególna okazja, będzie pani potrzebowała służącej.

- Niekoniecznie. Idę w towarzystwie lady Bingham. Jeśli będzie mi potrzebna pokojówka, skorzystam z pomocy jej służby. A teraz bądź tak dobra i przynieś mi ubranie.

Lidia patrzyła na swoją panią wzrokiem pełnym żalu i gniewu, który musiała powstrzymać.

- Wstydzi się panienka, prawda? - odezwała się w końcu. - Wstydzi się panienka przyjść ze służącą ze wsi.

- Ależ skąd ci to przyszło do głowy! Dlaczego miałabym tak myśleć? - Sovay uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń do Lidii. - Przecież ja też jestem ze wsi. - Nie proponowała Lidii, by jej towarzyszyła, ponieważ nie chciała narażać dziewczyny na niebezpieczeństwo. Ale nie miała też zamiaru tak ją urazić czy zostać źle zrozumianą. Kiedy przyjdzie czas, wymyśli jakiś sposób, żeby zatrzymać Lidię. - Skoro to tyle dla ciebie znaczy, oczywiście, że możesz jechać ze mną - powiedziała. - Będzie mi bardzo miło.

Ugłaskana Lidia przyniosła Sovay suknię i zaczęła odwieszać nowe stroje.

Na dole rozległ się dźwięk dzwonka. Jakby wezwany za pomocą czarnej magii, zjawił się służący lady Bingham z liścikiem dla Sovay. Wallace przyniósł jej pismo. Lady oznajmiała, że przyjedzie z wizytą o piętnastej.

Lady Bingham była zdeterminowana, by wprowadzić Sovay w towarzystwo londyńskie. Zaczęła od wizyty u lady Kilderry i przyjęcia wieczornego w rezydencji lady Sary Jersey przy Berkeley Square.

Pierwsze przyjęcie nie okazało się zbyt uciążliwe. Damy poklepały ją po ręce, uroniły łzę nad jej zmarłą matką i zapytały o zdrowie „naszej biednej, drogiej Harriet”, a potem w zasadzie ją zignorowały i zajęły się własnymi sprawami, plotkując o ludziach, których Sovay ani nie знаła, ani którymi się nie interesowała. Głosy czasem zamieniały się w szept albo radosne okrzyki, które już w ogóle wykluczały Sovay z rozmowy. Musiała tylko pamiętać o tym, by kiwać głową i się uśmiechać, kiedy tego od niej oczekiwano. Pozostałe młode kobiety obecne na spotkaniu nie włączały się do dyskusji, siedziały ze spuszczonej wzrokiem i zwracały baczność uwagę na swoje matki, żeby później wiedzieć, jak powinny zachowywać się zameżne damy. Sovay wyłączyła się z przysłuchiwania się pogaduszkom i zaczęła się zastanawiać, co tak właściwie tam robi.

Nadal nie miała żadnych wieści od papy i Hugh. Od czasu wydarzeń na Fender's Field nie wiedziała też Virgila Barretta i mimo obietnicy nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. No i jeszcze



ten kapitan. Wiedziała, że nie powinna się nim przejmować, gdyby ktoś zaczął podejrzewać, że go zna, zostałaaby wykluczona z towarzystwa.

Ale kto wie, co by się z nią stało, gdyby nie jego pomoc? Była jego dłużniczką i nie chciałyby, żeby przez nią wpadł w kłopoty. Już i bez tego wiódł wystarczająco niebezpieczne życie. Była pewna, że Greenwood doskonale potrafi się o siebie zatroszczyć, ale wolałyby mieć o nim jakieś wieści. Sama nie może się dowiadywać, ale gdyby tak wysłać Gabriela. Nie, to nie był dobry pomysł. Co prawda już wydobrzeał i niemalże wrócił zupełnie do zdrowia, ale zadawałby zbyt wiele pytań, a nie chciała, żeby dowiedział się o jej wyczynach w Covent Garden. Zresztą nie potrafiła sobie wyobrazić Gabriela w lokalu Matki Pierce. Uśmiechnęła się na samą myśl o czymś takim. Pozostawał jeszcze Oldfield. Może gdyby Toby...

- Cieszę się, że bawi cię nasze spotkanie - lady Bingham stanęła nagle tuż obok, czym ją przestraszyła. - Lady Kilderry uważa, że jesteś urocza, chociaż nieco nieśmiała. Zaprasza cię ponownie na przyszły czwartek, zanotuj to proszę w swoim kalendarzu. A teraz musimy już iść, jeśli mamy zdążyć na wieczorne przyjęcie.

Pomiędzy herbatką u lady Kilderry a kolejnym przyjęciem Sovay znalazła chwilę, by napisać liścik do pana Oldfielda z pytaniem, czy był u niego Toby. Kiedy złożyła kartkę, zaadresowała i zakleiła kopertę oraz wysłała Wallace'a na najbliższy urząd pocztowy, poczuła się o wiele lepiej.

Dobry nastrój nie trwał jednak długo. Wieczorne przyjęcie okazało się zdecydowanie cięższym doświadczeniem niż wizyta u lady Kilderry. Kiedy lady Bingham odkryła, że Sovay nie jest z nikim związana, rozpoczęło się przedstawianie młodzieńców - elegancików i błaznów. Traktowali ją z nadmierną atencją, pozwalali sobie na żarciki i flirtowali z nią nieustannie, aż cała twarz ją bolała od ciągłego uśmiechania się i było jej niedobrze od tej nadmiernej słodyczy. Wydawali się niezdolni do prowadzenia normalnej konwersacji. I tak poważne rozmowy wykraczały zapewne poza przyjętą etykietę.

Co nie oznacza, że tego typu przyjęcia były błahymi okazjami. Wręcz przeciwnie. Zwracano uwagę na każde spojrzenie i każdy gest, słuchano wnikliwie każdego słowa. Wszyscy obserwowali wszystkich, lady Bingham prześlizgiwała się pomiędzy towarzystwem jak szczupak prześlizguje się pomiędzy trzcina. Jak się jednak okazało, nie tylko Sovay miała pod swoimi skrzydłami, ale i inne młode damy. Sovay zaczęła się zastanawiać, czy lady Bingham dostaje za to jakąś prowizję. Właściwie co różniło ją od Matki Pierce? Wszystko sprowadzało się do kwestii pieniędzy, tak samo jak było na ulicy czy w burdelu. Dziewczęta szukające bogatego męża, zamożne starsze kobiety rozglądające się za atrakcyjnym młodym kochankiem. Mężczyźni gotowi wyświadczać przysługi w zamian za obietnicę bogactwa uzyskanego przez małżeństwo lub mecenat. Nieco później rozczarowani dżentelmeni oraz ci, których nie interesował rynek małżeński, zaczęli czynić wymówki i wymykać się z przyjęcia. Sovay wiedziała, dokąd pójść - o tej godzinie interesy zaczynały kwitnąć u Matki Pierce i Rosie Mar-

ples na ulicach Covent Garden. To kurtyzany były za wszystko winione, to one ryzykowały więzieniem lub wygnaniem, ale kto tak naprawdę za to odpowiadał? Nie byłoby dziwek bez klientów.

- Skąd taka ponura mina? - rozległ się w pobliżu czyjś głos. - Jeszcze sobie ktoś pomyśli, że nie bawi się pani dobrze.

Podniosła wzrok i ujrzała uśmiechniętego Virgila Barretta. Z trudem powstrzymała zaskoczenie. Nie spodziewała się ujrzeć go na takim przyjęciu. Wyglądał tak elegancko, że ledwie go rozpoznała - miał upudrowane włosy, wspaniały surdut w kolorze burgunda, a także aksamitne spodnie w podobnej tonacji. Pod surdudem widać było jasnozieloną jedwabną kamizelkę zdobioną drobnymi motywami kwiatów, z połami haftowanymi złotą nicią i ozdobionymi błyszczącymi cekinami oraz kwiecistą taśmą.

- Potrafię udawać modnisiaka tak jak większość tu obecnych mężczyzn - uśmiechnął się, widząc, jak taksuje go wzrokiem. - A może jest pani zdziwiona, że poruszam się w takich kręgach? - to mówiąc, rozejrzał się po towarzystwie. - Uważają mnie za dziwoląga. Kuzyna z Ameryki. Wiele osób sądzi, że nasza niepodległość to tylko etap przejściowy - dodał sarkastycznie. - Wierzą, że wkrótce dostreżemy własną omyłkę i wrócimy na łono ojczyzny i naszego ojca króla. Nie wyprowadzam ich z błędu. Jest tu parę osób, które mnie interesują.

Popatrzyła w ślad za jego spojrzeniem. Swatanie małżeństw nie było jedynym zajęciem uczestników przyjęcia. Na obrzeżach pokoju stały niewielkie grupki mężczyzn zatopionych w cichej rozmowie, jedno słówko szepnięte tu, drugie tam i oto ktoś wstrzymywał swój mecenat, ktoś go przyznawał; jedni zdobywali fortuny, inni je tracili.

Gra toczyła się o wysokie stawki, Virgil wskazał na głównych graczy - członków parlamentu, ministrów z rządu.

- Pani znajomy, Dysart, rozmawia właśnie z panem Burke. Pan Pitt ma podobno przyjść nieco później. Mają obecnie wiele trosk na głowie.

- Spodziewałam się jakiejś wiadomości od pana - spojrzała na niego z wymówką. - Po Fender's Field. Dokąd pan się udał?

- Zostałem wezwany w pilnej sprawie. Przejdźmy się może po pokoju, dobrze?

- Jest pan bardzo tajemniczy - uśmiechnęła się. - Pojawia się pan i znika.

- Taki mam zawód - odparł z uśmiechem. - Widzę, że nie wie pani, czy ufać mi, czy nie.

- Dlaczego miałabym panu ufać? - wzruszyła ramionami. - Kiedy tylko jest pan potrzebny, to gdzieś się pan zawierusza.

- Czuję się dotknięty takim stwierdzeniem, panno Sovay - Barrett z trudem udawał urażonego. - Ale może nie będzie pani taka zła, kiedy powiem, że miałem sprawę do załatwienia w Dover - powiedział niedbałym tonem, zupełnie jakby toczyli jakieś nieistotne pogaduszki. - Nie musi pani nic mówić, Dysart nas obserwuje. Nie będzie dobrze, jeśli domyśli się, że znamy się od dawna. Powodem, dla

którego tam pojechałem, była troska o pani ojca i brata. Cokolwiek sobie pani o mnie myśli, naprawdę ciężko pracowałem w pani sprawie - Sovay pojaśniała z radości na wiadomość o tym, że dowie się czegoś konkretnego po tak długim oczekiwaniu, ale Barrett spojrział na nią ostrzegawczo. - Wkrótce dowie się pani więcej. Być może będę miał niespodziankę, ale musi pani zachować cierpliwość. Teraz nie mogę mówić, tu jest zbyt niebezpiecznie.

W tej samej chwili zaproszono wszystkich na kolację. Sovay i Barrett zostali posadzeni na przeciwległych końcach stołu, więc nie miała już okazji z nim porozmawiać. Po posiłku udała się na odpoczynek wraz z innymi damami, a kiedy dołączyli do nich panowie, Virgil zdążył się już ulotnić.

- Najwyraźniej zgubiła pani swojego adoratora.

Siłą woli zmusiła się do tego, by nie podskoczyć na dźwięk głosu Dysarta.

- Adoratora? - zapytała, odwracając się.

- Tego Amerykanina. Barretta.

- Nie nazwałabym go adoratorem.

- Jest jednym z wielu.

- To bardzo miłe z pana strony, sir Robercie, ale skoro dopiero go poznałam, obawiam się, że to za wcześnie zaliczać go do ich grona.

- Doprawdy - Dysart uśmiechnął się, ale jego oczy mówiły: Przecież wiem!

Odwrócił wzrok, a jego mroczne spojrzenie kierowało się to na jedną, to na drugą osobę spośród gości. Kiedy znów popatrzył na Sovay, śmiał się jakby z dowcipu, który tylko on usłyszał. Nikt przede mną nie ucieknie, zdawał się mówić. Wiem wszystko o każdym z obecnych.

- Jeśli pan wybaczy - odsunęła się Sovay. Po tym, czego się o nim dowiedziała, źle się czuła w jego obecności. Nie chciała się jednak z tym zdradzić, a miała wrażenie, że Dysart potrafi czytać w myślach. - Lady Bingham mnie woła. Z tego, co wiem, nie lubi siedzieć do późna.

- Jeszcze chwileczkę - Dysart skinął głową w stronę kobiety, a ta błyskawicznie się odwróciła. - Nie będzie miała nic przeciwko, żeby zaczekać. Widzi pani? Już sobie kogoś znalazła. Bardzo się cieszę, że się pani z nią zaprzyjaźniła. Ona też bardzo panią polubiła w tym krótkim czasie. Teraz nie ma pani już żadnej wymówki, żeby nie przyjechać do Thursley. Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby pani się nie zjawiła. Niezwykle starannie dobieram swoich gości. Może się przejdziemy? Zna pani ministra wojny? - jakiś dżentelmen jej się uklonił, odpowiedziała tym samym. - Wojna bardzo dobrze się rozwija - dla nas - mówił Dysart, kiedy przemierzali się po salonie. - To oznacza też, że Paryż staje się coraz bardziej niebezpieczny dla angielskich dżentelmenów, którzy są szaleni na tyle, by się tam udać - Sovay spojrzała na niego, próbując odgadnąć powody, dla których jej to mówił. - Francuzi są z każdym dniem coraz bardziej bezwzględni. Wysyłają zarówno przyjaciół, jak i wrogów na spotkanie z Panią Gilotyną, bez względu na wiek i stan zdrowia - dodał i pokręcił głową. - W tym, co robią, za-

chowują się nieludzko. Nawet dotychczasowi sojusznicy, Amerykanie, są teraz podejrzani. A co pani o tym myśli, panno Middleton?

Spojrzał na nią, oczekując odpowiedzi, a jeśli w jego wzroku można było dostrzec wcześniej jakiegokolwiek oznaki uprzejmości, teraz czaiła się w nich wyłącznie groźba. Sovay zrozumiała przesłanie, chociaż wypowiedziane niebezpośrednio. Proszę przybyć do Thursley, wydawał się mówić Dysart, w przeciwnym razie sytuacja pani ojca i brata znacznie się pogorszy. I proszę nie szukać pomocy u Virgila Barretta.

- O czym?

- O wojnie z Francją. Wszak o tym rozmawialiśmy, prawda?

- Nie interesuję się polityką i mam na jej temat bardzo pobieżną wiedzę, dlatego nie mam zdania, sir Robercie - powiedziała i popatrzyła na niego. Wiedział, że kłamie, ale nic jej to nie obchodziło. Była zmęczona tymi gierkami, tym, że jest traktowana jak marionetka. Z chęcią by mu powiedziała, że nie musi jej wcale szantażować. Że i tak przyjedzie do Thursley, ale nie dlatego, że boi się tego, co zrobi jej i jej rodzinie. - Już się nie mogę doczekać mojej wizyty w Thursley - zmieniła temat. - Pana dom wydaje się niezwykle imponującą budowlą. Przybędę na pewno - spojrzała mu prosto w oczy i nawet nie mrugnęła. - Proszę się nie obawiać.

- Nie ma drugiego takiego w całej Anglii - lady Bingham podeszła właśnie do nich i usłyszała ostatnie zdanie wypowiedziane przez Sovay. - Czyż nie, sir Robercie? Zobaczysz cuda, moje dziecko.

- Wrodzona skromność nie pozwala mi potwierdzić - Dysart uklonił się w stronę lady Bingham. - Jednak panna Middleton musi się sama przekonać. A teraz, proszę mi wybaczyć - to mówiąc, uklonił się po raz ostatni i odszedł.

W czasie drogi powrotnej do domu lady Bingham trajkotała wyłącznie o Thursley. Wszystko tam było takie cudowne, od wysokości wieżyczek (prawie sto metrów) do kosztów budowy (czteryście tysięcy funtów, a to jeszcze nie koniec). Sovay z rezygnacją wysłuchiwała dokładnych wymiarów, tego, że główne drzwi mają prawie dziesięć metrów wysokości, a długość budynku z kierunku od północy na południe równa się długości Opactwa Westminsterskiego.

- Oratorium, galerie, biblioteki, krużganki i gabinety - lady Bingham wyliczała na palcach. - A nie wszystko widziałam. Pokoje wypełnione są bogactwem pochodzącym z całego świata.

Kobieta spojrzała wyczekująco na Sovay, spodziewając się jakiegoś komentarza.

- Nigdy nie marzyłam o tym, żeby zamieszkać w katedrze ani czymkolwiek podobnie wielkim - odezwała się w końcu dziewczyna. - Jestem pewna, że można tam zobaczyć różne cuda, ale z opowieści wynika, że to niezbyt wygodne miejsce do zamieszkania.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu. Każda z nich wyglądała przez swoje okno na mijane ulice. Lady Bingham zauważyła, że wraz z nastaniem zmierzchu ulice się wyludniają. Pomyślała sobie, że miasto bez takich tłumów wygląda zdecydowanie lepiej i już miała się podzielić tym przemyśleniem

z Sovay, ale dziewczyna siedziała posepnie. Ponura istota, kiepskie z niej towarzystwo. Lady Bingham nie będzie wcale przykro, kiedy to wszystko się skończy i dziewczyna zostanie dostarczona do Thursley. A co się z nią dalej stanie, to już nie jej sprawa.

## ROZDZIAŁ 19

Zanim powóz dojechał pod drzwi domu Sovay, wyczerpały się wszelkie pozory uprzejmości pomiędzy nią a lady Bingham. Sovay nie miała zamiaru zachowywać się niegrzecznie, ale towarzystwo tej damy ją wyczerpało. Pozornie ich kontakty wydawały się błahe, ale Sovay wyczuwała drugie - głębsze - dno. Nawet podczas najzwyczajszej rozmowy miała wrażenie, że bierze udział w jakimś skomplikowanym kotylionie, w którym musi sama odgadnąć każdy krok, a niewłaściwie postawienie stopy grozi katastrofą.

Zdjęła rękawiczki i nakrycie głowy i podała je bezwiednie pani Crombie, nadal rozmyślając o lady Bingham.

- Och, panienko Sovay!

Gospodyni stała w miejscu, gniotąc w rękę podane przez Sovay rzeczy. Balansowała na granicy śmiechu i łez, widać było, że rozsadza ją nadmiar emocji. Było to tak niepodobne do pani Crombie, że Sovay się przestraszyła.

- O co chodzi, pani Crombie? Co się stało?

- W gabinecie pani ojca. Przyjechał niecałą godzinę temu. Taki wychudzony... jak szkielet...

Sovay nie słuchała już dalej. Pobiegnęła przez hol, otworzyła z impetem drzwi do gabinetu papieża i rzuciła się w objęcia Hugh.

Rzeczywiście, sama skóra i kości, wyczuwała przez płaszcz jego żebra, ale miał na tyle sił, by podnieść ją i okręcić w koło, tak jak to robił zawsze, gdy wracał ze szkoły. Kiedy ją w końcu puścił, stanęli, patrząc na siebie, niezdolni odezwać się choćby słowem. Sovay tak się cieszyła z jego powrotu, że nie potrafiła tego wypowiedzieć. Zresztą sama nie wiedziała, co ma mówić. Wygląd brata bardzo ją zaskoczył. Był przeraźliwie chudy, ubranie na nim wisiało jak na wieszaku, ale jeszcze bardziej szokujący był sam strój. Hugh miał na sobie ubranie francuskiego patrioty: długie pantalone sankiulotów i czarne wywinięte buty. Włosy miał obcięte krótko, tak że okrywały czaszkę złotymi lokami, nadając mu wygląd młodego greckiego bożka lub rzymskiego herosa.

- Przynajmniej zdjąłem trójkolorową kokardę i czapkę wolności - powiedział, uśmiechając się na widok jej reakcji.

- I dzięki Bogu - odparła. Przypomniała sobie mężczyznę pobitego na ulicy i aż zadrżała na myśl, co mogłoby się z nim stać.

- Musisz mi wybaczyć, że pojawiaam się jako *citoyen*. Nie sądziłem, że aż tak cię to poruszy. Opuściłem Paryż w pośpiechu, tak jak stałem...

- Po co tam pojechałeś? Tak się martwiłam... - Sovay poczuła, że zbiera jej się na płacz.

- Ciii... - chwycił ją znowu w ramiona, tak jak pocieszał ją, gdy jako mała dziewczynka przewróciła się i stłukła sobie kolano. Po chwili odsunął siostrę i spojrzał w jej oczy. - Przecież teraz tu jestem, prawda?

- Tak, jesteś. Tylko czemu, do licha, nikomu nic nie powiedziałaś?

Popatrzyła na niego, jej załzawione oczy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Hugh nie potrafił powiedzieć, czy są szare, czy niebieskie. Może jak chmury burzowe na letnim niebie?

- Pojechałem do Francji, bo chciałem być częścią tego największego wydarzenia w naszych czasach, a może i w całej historii - odparł. - Musiałem tam być. Musiałem to zobaczyć na własne oczy. Działalem pod wpływem impulsu. Nie mówiłem nic ojcu, bo próbowałby mi to wyperswadować, a ja nie chciałem się z nim sprzeczać. Nigdy bym nie sądził, że pojedzie za mną - westchnął. - Tylko tego jednego żałuję.

- Wiesz, gdzie jest papa?

- Ukrywa się na wsi pod Paryżem. Nic mu tam nie grozi.

- Na razie - powiedziała, przypominając sobie zawołane ostrzeżenie Dysarta. Z trudem powstrzymywała ekscytację, ale i gniew na Hugh. Oto stai przed nią, cały i zdrowy, a tymczasem Bóg jeden wiedział, co działo się z ojcem.

- Jak mogłeś go tam zostawić? - zwróciła się do niego z oskarżeniem.

- Ojciec miałby trudności z podróżowaniem - powiedział Hugh i spuścił ramiona. Sovay pożałowała swojego wybuchu. - Anglicy są teraz niemile widziani, zostają od razu aresztowani pod zarzutem szpiegostwa lub wrogości wobec republiki. Ja mam stosowne dokumenty dzięki panu Fernandowi i mogę udawać *citoyena*, ale papa mógłby równie dobrze wytatuować sobie na czole flagę brytyjską. Udało mu się dotrzeć do Paryża razem z Henrym Fitzwilliamem, który jest tam znaną osobistością. Francuzi chcieli wywołać rewolucję w Irlandii, ojciec był więc bezpieczny z Fitzwilliamem, ale sytuacja zmienia się bardzo szybko - z każdym dniem, czasem nawet z godziny na godzinę. To, co dzisiaj jest bezpieczne, jutro może zaprowadzić człowieka pod ostrze gilotyny. Pomyśleliśmy, że ojciec będzie bezpieczniejszy poza Paryżem, mieliśmy wyjechać razem, przejechać do portu w Normandii i stamtąd statkiem przemytników na południe kraju. Ale... - Hugh zawahał się, nie wiedząc, jak jego siostra zareaguje. - Z ojcem nie jest najlepiej, Sovay.

- Co mu dolega?

- Lekarz zdiagnozował zator przy sercu. Zalecił absolutny odpoczynek, więc obawiałem się, że trudna podróż, ciągle niebezpieczeństwo, a potem długi rejs statkiem to mogłoby być zbyt wiele.

- Jak mogłeś zostawić go w takim stanie? - pokręciła głową. - Nie mogę tego zrozumieć.

- Błagał mnie, żebym jechał. Tam, gdzie jest, nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Niektóre rejony, nawet w pobliżu stolicy, pozostały nietknięte ręką Komitetu Rewolucyjnego i Trybunału, które wywołują *la terreur*.

- To nadal nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jak mogłeś zostawić papę i ratować samego siebie? - zapytała i odwróciła się. Znowu zalała ją fala gniewu, bała się, że nie uda jej się powstrzymać.

- Proszę się na niego nie gniewać - dobiegł cichy głos z zacienionego końca pokoju. - Przyjechał tu na moją prośbę. Nie chciał wcale opuszczać ojca, musiałem go długo przekonywać.

Sovay rozpoznała Virgila Barretta. Była tak poruszona powrotem Hugh, że nawet nie przeszło jej przez myśl, że w pokoju ktoś jeszcze może się znajdować.

- Powiedział pan, że ma pan dla mnie niespodziankę - odwróciła głowę zawstydzona jego obecnością.

- Virgil opowiedział nam o planach Dysarta, o przyjęciu w Thursley - odezwał się Hugh. - O tym, że zostałeś zaproszona. Sovay, nie zdajesz sobie nawet sprawy, na jakie niebezpieczeństwo on...

- To nie jest wystarczający powód, żeby zostawiać ojca samego - tym razem skierowała swój gniew na obu mężczyzn. - Nie musicie przyjeżdżać i ratować mnie z opresji, jak jakąś księżniczkę z bajki.

- Może tak, a może nie - Hugh ujął jej dłoń. - Chronienie ciebie przed twoją własną porywczą naturą to tylko jeden z powodów. Kiedy tylko ojciec usłyszał o tym wszystkim, nalegał, żebym wrócił do kraju i poszedł razem z tobą do Dysarta. Przyjechałem tu z jego polecenia. Dysart planuje pogrążyć nasz kraj w chaosie co najmniej tak krwawym jak ten, który opanował Francję. Ojciec chce, żebyśmy go powstrzymali - to mówiąc, wziął do ręki zaproszenie. - To nie będzie zwykłe przyjęcie. Jeżeli nie powstrzymamy Dysarta, będzie to początek zamachu stanu. To zaproszenie dla całej naszej rodziny, na szczęście nie jesteś już jej jedyną przedstawicielką. Mam prawo iść razem z tobą. O ile się orientuję, w Thursley odbędzie się spotkanie Illuminatów.

- Kim albo czym oni są? - Sovay nigdy nie słyszała o tej grupie.

- To tajne stowarzyszenie zawiązane w Ingolstadt w Bawarii, skąd rozprzestrzeniło się na całą Europę. Jestem nowicjuszem tej organizacji, zostałem wprowadzony w jej szeregi w Oksfordzie przez Fitzwilliama, a w czasie pobytu we Francji przyłączyłem się do bratniego stowarzyszenia Les Cordeliers założonego przez pana Fernanda,

- Ja też jestem członkiem Illuminatów - odezwał się Virgil. - Należę do loży z Portsmouth, w Wirginii. Pośród naszych członków znajduje się między innymi Tomasz Jefferson.

- Należycie do tej samej organizacji co Dysart! - Sovay patrzyła na nich przerażona. Nie była pewna, czy może nadal ufać własnemu bratu.

- To nie tak, jak się pani wydaje! - Virgil podniósł ręce do góry, by ją uspokoić. - Większość łóż to całkiem niewinne organizacje, zupełnie jak masoni. To okazje do spotkań mężczyzn o podobnych

poglądach, do zdobywania wiedzy przez lekturę i dyskusje. Niestety, niektóre loże zostały skorumpowane i stały się siedliskiem zdeprawowanych rozpustników. Inne z kolei, wykorzystwały sekretną naturę organizacji, by ukryć nieczyste intencje, pęd do bezlitosnego zdobywania władzy. Obawiam się, że loża Dysarta może łączyć obie te negatywne cechy.

- Po co jest potrzebna Dysartowi twoja obecność - Hugh chwycił ją teraz za dłonie - tego mogę się tylko domyślać. I właśnie dlatego wróciłem. Nie mogę narażać cię na niebezpieczeństwo.

- Potrafię zadbać o siebie - odparła.

Brat i siostra spojrzeli na siebie. Sovay uważała, że Hugh zmienił się całkowicie. Wyglądał na dużo starszego od obrazu, jaki przechowywała w pamięci. Na jego twarzy niewiele zostało śladów dawnego marzycielskiego poety, żarliwego wolnomyśliciela, który uwielbiał rozmaite idee i przeskaکیwał z jednej nowej koncepcji w drugą jak motyl z kwiatka na kwiatek. Pod przezroczystą skórą na skroniach i czole uwidoczniły się niebieskie żyły. Chudość pozbawiła go okrągłych policzków i zdrowego koloru; chłopięca dotąd twarz Hugh nabrała cech bladej, ascetycznej urody młodego renesansowego świętego lub uczonego. W wielkich oczach nadal widać było żar, ale błyszczała w nich także niebieszcąca się stal. Zaciśnięta szczęka i zmarszczki wokół napiętych ust świadczyły o sile nabytej podczas hartujących charakter doświadczeń.

On także zauważył przemianę w Sovay. Weszła do pokoju w sukni wieczorowej, skromnej, ale odkrywającej szyję i ramiona, co dodawało jej lat. Jej twarz także się zmieniała. Nastąpiła jakaś delikatna zmiana proporcji: za duże dotąd oczy, zbyt prosty nos, nazbyt wyraziste brwi i usta za peine jak na dziewczęcą twarz na skutek niewytłumaczalnej alchemii uległy zdecydowanemu przeobrażeniu. Stając się kobietą, zyskiwała wspaniałą urodę, którą jej przepowiadano. Tym silniejszy był efekt przeobrażenia, że ona sama nie zdawała sobie zupełnie z niego sprawy. W Hugh budziło to braterską opiekuńczość. Dawniej jej twarz zachmurzał często wyraz ponurego zamyślenia, teraz malowało się na niej ożywienie, co zdecydowanie bardziej do niej pasowało. Inteligentne spojrzenie dziewczyny nabrało delikatniejszego, bardziej zatroskanego charakteru, którego nigdy wcześniej nie zaobserwował.

- Hugh! - do pokoju wpadł Gabriel. - Pani Crombie powiedziała mi, że tu jesteś! Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę!

- A ja ciebie! - Hugh podszedł, by się przywitać. - Stary przyjacielu! Nie spodziewałem się zobaczyć tu ciebie!

Gabriel chwycił Hugh w mocnym uścisku, a Sovay zaczęła się zastanawiać, czy Lidia miała rację w swoim przekonaniu, co do obiektu uczuć Gabriela.

- Wracam z kancelarii Oldfielda - Gabriel zwrócił się do Sovay. - Pan Oldfield zajął się sprawą osób aresztowanych po wydarzeniach na Fender's Field. Tak jak przewidywał, przesłuchania zostały wycofane. Skidmore natrafił na coś interesującego - to mówiąc, spojrzął na Hugh i Virgila. - To pracownik kancelarii - wyjaśnił. - Bardzo przedsiębiorczy młodzieniec. Zajął się szpiegostwem - zaśmiał



się Gabriel. - I to wymierzonym w samego mistrza tego fachu. Skidmore ma przyjaciela, który pracuje na Leggatt's Court, tam gdzie są biura Dysarta. Włóczył się po okolicy i rozglądał w poszukiwaniu czegoś ciekawego.

- I co? - zapytała Sovay. - Znalazł coś?

- Mnóstwo ciekawych rzeczy. Przyjaciel Skidmore'a notował wszystkie wyjścia i wejścia. Tego wieczoru Gribbon - tak nazywa się pracownik Dysarta - wybiegł w pośpiechu z biura. Skidmore niby to przypadkiem wpadł na niego i rozsypały się listy, które niósł ten człowiek. Skidmore to uprzejmy młodzieniec, więc pomógł starszemu panu je pozbierać.

- Zauważył adresy?

- Oczywiście. Jak się okazuje, listy były skierowane do Dover. Gribbon niósł je na pocztę, na ostatni dyliżans.

- To listy, które z pewnością mają dotrzeć do Francji - odezwał się Virgil Barrett. - Jakimś statkiem przemytniczym, który ominie blokadę.

- To samo sądzi Oldfield - powiedział Gabriel i spojrzał na Hugh. - Ucieszy się z tego, że jesteś. I do tego cały i zdrowy. Ale co z naszym panem?

- Czy Oldfield jest jeszcze w kancelarii? - zapytał Hugh.

- Tak mi się wydaje. Ostatnio niemal tam zamieszkał.

- Chciałbym przedyskutować z nim kilka spraw - Hugh podszedł do drzwi. - Opowiem ci o ojcu po drodze.

Virgil zaproponował, że pójdzie razem z nimi i cała trójka wyszła, zostawiając Sovay samą w gabinecie papy. Nawet nie przeszło im przez myśl, żeby ją też ze sobą zabrać, pożegnali się pośpiesznie, wyszli pochłonięci rozmową i zapomnieli o niej, kiedy tylko znaleźli się za drzwiami.

- Czy coś jeszcze, panno Sovay? - do pokoju weszła pani Crombie i wyrwała ją z zamyślenia.

- Nie, dziękuję. Jestem zmęczona, pójdę już chyba spać.

- Zawołam Lidie.

- Nie trzeba, pani Crombie. Poradzę sobie sama. Dzisiaj już niczego nie będę potrzebować.

Sovay poszła na górę, myśląc o listach do Dover. Zapewne pojedą nocnym dyliżansem. Zatrzymała się na podeście i przez chwilę nasłuchiwała. W domu panowała zupełna cisza. Służba udała się już do swoich pokoi w suterenie.

Sovay weszła do pokoju. Lidia przyniosła jej wcześniej jeszcze jedną przesyłkę, zupełnie inną niż ubrania od madame Chantal. Te pochodziły od zakładu Hazell and Smith z Old Bond Street. Spisali się doskonale, pomimo niedokładnych instrukcji. Ubranie pasowało na nią o wiele lepiej niż stroje brata. Założyła płaszcz i kapelusz i stanęła przed lustrem, by podziwiać efekty. Tej nocy Ognisty Kapitan znów wyjedzie na drogę.

## ROZDZIAŁ 20

Sovay udała się do stajni, gdzie wynajmowała boks dla Brady'ego. Koń zarżał na jej widok i potrząsnął łbem na powitanie, jakby chciał powiedzieć: wiedziałem, że prędzej czy później po mnie przyjdiesz. Objęła jego jasną szyję, ciesząc się ze spotkania tak, jak wcześniej ucieszyła się na widok brata. Brady trącił ją pyskiem i zarżał ponownie. Dobrze tu o niego zadbano, wyglądał zdrowo i miał błyszczącą sierść. Wręczyła chłopcu stajennemu kilka monet w podziękowaniu za opiekę i wyjechała ze stajni. Ruszyła w dół Oxford Street, a potem Crown Street szczęśliwa, że znowu może jechać konno ponad tłumem i brudem ulicznym.

Zmierzała w kierunku rzeki, do zajazdu Golden Cross w Charing Cross. Modliła się w duchu, by znaleźć tam kapitana, pamiętała wszak, jak Toby mówił, że o tej porze można go tam zawsze zastać. Kiedy dojechała do karczmy, zsiadła z konia i wysłała sługę, by odszukał Greenwooda i przekazał mu, że przyjaciel czeka z pilną sprawą.

Kapitan wyszedł po kilku minutach, które wydawały się Sovay wiecznością. Uśmiechnął się, podchodząc do niej.

- Czy mam przyjemność z panem Middletonem? - zapytał, kładąc dłoń na szyi Brady'ego. - Czy to może Ognisty Kapitan? Sądząc po płaszczu i ostrogach, zapewne ten drugi - dodał, głaszcząc delikatnie jedwabistą grzywę konia. Tym razem Brady nie oponował, trącił go nawet przyjaźnie pyskiem. - Tak czy inaczej, czym mogę służyć?

- Potrzebna mi jest pańska pomoc - odpowiedziała głosem przytłumionym przez chustkę. - Muszę zatrzymać dyliżans do Dover.

- Musi pani? - zaśmiał się. - A mogę zapytać dlaczego?

- Przewozi coś, co jest mi potrzebne.

- Naprawdę? A cóż to może być? Człowiek, list czy może paczka?

- List.

- Rozumiem - odpowiedział i rozejrzał się dokoła. - Obawiam się, że się pani spóźniła - wyjaśnił, spoglądając na zegarek. - Odjechał godzinę temu. Punktualnie o ósmej.

- Wiem. Pomyślałam sobie, że może uda nam się go zatrzymać gdzieś po drodze.

- Doprawdy? - przyciągnął do siebie Brady'ego, tak że łeb i szyja konia zupełnie go zasłoniły. - Czy pani sugeruje napad z bronią w ręku? Ależ to byłoby niezgodne z prawem!

Odsunęła się o krok do tyłu, bliskość kapitana ją onieśmielała.

- Czy może pan przestać ze mnie kpić? Pomoże mi pan czy nie?

- Niech pani wsiada - powiedział, rzucając jej lejce. - Mają nad nami przewagę, ale powinniśmy ich dogonić w okolicach Shooter's Hill.

Wzgórze Shooter's Hill, przez które przebiegała droga do Dover, stanowiło ulubione miejsce ataku rozbójników. Było to dzikie, niezaludnione miejsce, wznoszące się ponad pustkowie Blackheath, a do tego otoczone z obu stron gęstymi lasami. Wzgórze było na tyle strome i często pokryte błotem, że pasażerowie nierzadko zmuszeni byli wysiąść z dyliżansu i pokonać wzniesienie pieszo, a pocztę i bagaże trzeba było przenieść.

Woźnicy często zatrzymywali się w jednej z przydrożnych karczm, by się posilić przed wjazdem na wzgórze. Na to właśnie liczył Greenwood. To była ich jedyna szansa na dotarcie do wzgórza przed dyliżansem.

Dyliżans stał na podjeździe przed zajazdem Catherine Wheel. Minęli go i pojechali w kierunku wzgórza. Przez cały dzień padało. Teraz deszcz ustał, ale noc była zimna i wilgotna, a na wrzosowiska wypełzała mgła. Po obu stronach drogi rósł janowiec, Sovay nachyliła się i urwała gałązkę. Greenwood zaśmiał się, kiedy przymocowała ją do kapelusza.

- Ognisty Kapitanie! Jak miło z tobą znowu ruszać w drogę! Greenwood zatrzymał się u podnóża wzgórza. Mgła była tu gęsta, a droga pełna wybojów i błota.

- Na pewno każą wysiąść pasażerom. Ziemia jest miękka, a jeśli koła się poślizgną, wszystko runie - powiedział, po czym ruszył cichym, ostrożnym stępem, cały czas rozglądając się dokoła.

- Oprócz nas nie ma tu chyba nikogo - odezwał się, gdy dojechali do szczytu wzgórza. - To dobrze. Shooter's Hill to miejsce popularne wśród rozbójników, a dzisiaj jest idealna noc na napad. Nie chcemy ustępować innej bandzie ani walczyć z konkurencją. Poczekamy tu na dyliżans, a wtedy się nim zajmujemy. Tak jak mówiłem, to miejsce cieszy się złą sławą, straż będzie uzbrojona i czujna. Ja się zajmę woźnicą i strażnikami, pani niech ma oko na pasażerów.

Kiwnęła głową na znak, że zrozumiała i wycofali się za drzewa. Mgła nie była tu tak gęsta, jej kłęby przesunęły się nad drogą, by zawisnąć pomiędzy drzewami niczym warstwa gazy. Z konarów i gałązek kapłała woda, pokrywając ich deszczem srebrzystych kropli. Wokół panowała cisza, nie licząc sporadycznego prychnięcia koni czy uderzenia ich kopyt o ziemię. Greenwood nasłuchiwał dźwięku rogu, stukania końskich kopyt i rytmicznego obrotu kół. Sovay także nadstawiała uszu, ale nic nie słyszała oprócz dziwnego skrzypienia.

- Co to za dźwięk? - zapytała Greenwooda. - Niech pan posłucha. O, znowu!

Kapitan wsłuchał się w ciszę.

- To szubienica - powiedział. - Tu niedaleko jest miejsce zwane Polem Szubieniczym, ten dźwięk pochodzi zapewne stamtąd. Nie potrafię powiedzieć, czy jakiś nieszczęśnik tam wisi, a jeśli tak, w jakim stanie rozkładu się znajduje. Całkiem prawdopodobne, że to ktoś taki jak my. Okradanie Jego Wysokości z poczty to przestępstwo karane strykiem. Lepiej, żeby pani o tym pamiętała, panno Sovay - dodał. W tej samej chwili zimne powietrze przeciął dochodzący z oddali przenikliwy dźwięk

rogu. Kapitan wypuścił z ust powietrze. - To oni, jeśli się nie mylę. Proszę pamiętać... - powtórzył wcześniejsze polecenie. - Niech pani się nie rusza, dopóki nie dam znaku. Ani mru-mru.

Wycofali się jeszcze głębiej w las. Oczekując na dyliżans, Sovay denerwowała się coraz bardziej, tak jak to było zawsze, ale kiedy tylko zobaczyła idące z mozołem konie, usłyszała okrzyki woźnicy i trzask jego bata, gdy poczuła na swoim ramieniu dłoń Greenwooda, cały lęk minął, jak ręką odjął. Poprawiła chustkę, wyjęła pistolet i popędziła ostro Brady'ego, by wyskoczył gwałtownie na drogę i stanął dęba, strasząc pasażerów, którzy dreptali za powozem. Udało jej się osiągnąć cel. Schowali się od razu za dyliżansem, przerażeni, że stracą życie i wieziony dobytek. Celowała w nich pistoletem, wypatrując najmniejszego nawet poruszenia. Tymczasem Greenwood zażądał, by rzucono mu worki z pocztą. Sovay nalegała, by nie zabierali niczego więcej, więc po kilku minutach było już po wszystkim, a oni galopowali w dół wzgórza, znikając we mgle. W ślad za nimi padło kilka strzałów, ale wszystkie chybiły.

Ruszyli w stronę Londynu, lecz mgła zgęstniała.

- Nie widać nawet własnej ręki - Greenwood skinął głową w kierunku karczmy. - Zostaniemy tu na noc.

Sovay zupełnie nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Chciała wracać czym prędzej do Londynu, ale Greenwood pokręcił głową.

- Konie są zmęczone, muszą odpocząć. Znam to miejsce, karczmarz to mój dobry znajomy - dodał z uśmiechem. - Ruszymy z samego rana. Dostarczę panią do domu, zanim mleczarz zacznie roznosić mleko. Proszę się nie obawiać.

Greenwood zamówił posiłek do pokoju.

- Obawiam się, że musi pani dzielić ze mną pokój. Przez tę mgłę wszystko jest zajęte.

Zaniósł na górę ciężkie worki z listami. Zasugerował, by po wszystkim wrzucić je do Tamizy, ale Sovay chciała tylko znaleźć przesyłki Dysarta i uważała, że nie ma prawa niszczyć pozostałych listów.

Kiedy Greenwood jadł, zabrała się za przeglądanie poczty. Wbrew przewidywaniom, wcale nie było trudno odnaleźć listów wysłanych przez Dysarta. Przeczytała je dokładnie, a potem zmieła w kulkę i rzuciła w ogień.

Listy między innymi donosiły na jej ojca i brata Komitetowi Bezpieczeństwa Powszechnego i zawierały instrukcje dotyczące ich domniemanego miejsca pobytu. Sovay schowała resztę poczty do worków.

- Możemy zostawić je u karczmarza, a on przekaże je następnemu dyliżansowi.

- Bardzo rozważna decyzja, żeby nie powiedzieć - odpowiedzialna - zauważył Greenwood. - Lubi pani życie, to pewne, ma pani liczne talenty, a ja mógłbym panią jeszcze wiele nauczyć. Obawiam się wszakże, że zawsze zwyciężą pani skrupuły. Mam wrażenie, że nie da się z pani zrobić

prawdziwego rozbójnika, panno Sovay. Niech mi pani powie, co zrobiła z pieniędzmi skradzionymi Dysartowi. Bo były tam pieniądze, prawda? - Sovay skinęła głową w odpowiedzi. - Wiedziałem! Chyba nie zamierza mu pani ich oddać?

- Oczywiście, że nie - zaprotestowała i opowiedziała kapitanowi o tym, na co je przeznaczyła, oraz o zabezpieczeniu przyszłości Toby'ego, Skiddmore'a i Gabriela.

Wysłuchał jej w milczeniu.

- Cóż, znów bardzo rozważnie - powiedział. - A teraz chodźmy spać. Ja biorę krzesło, dla pani jest łóżko.

Obudziła się, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Widziała tylko cień mężczyzny nad sobą. Krzyknęła, gdy złapał ją za ramię.

- Cii... To tylko ja - Greenwood przysiadł na krawędzi łóżka. - Krzyczała pani, chyba śnił się pani jakiś koszmar.

Potwierdziła skinieniem głowy. Śniło jej się, że to wszystko na nic. Że mogła tylko przyglądać się bezradnie, jak jej brat i ojciec ubrani w białe koszule, z rękoma związanymi na plecach, jechali kołyszącym się wozem w kierunku majaczącego na horyzoncie szafotu. Nawet nie spojrzeli w jej stronę, nie zwrócili uwagi, że tam stoi. Ich oczy utkwione były w to, co ich czekało, a ona stała samotnie w środku wyjącego tłumu, z poczuciem, że to wszystko jej wina.

- Zimno mi - powiedziała. Zęby jej dzwoniły. Nakrycie było cienkie, próbowała się nim otulić. Miała wrażenie, że mgła z zewnątrz przeniknęła do środka.

Greenwood zdjął płaszcz i okrył jej ramiona.

- Teraz lepiej?

Płaszcz był jeszcze ciepły, podniosła kołnierz, by ogrzać sobie szyję i ukryła twarz w jego ramionach, nadal przerażona i zrozpaczona tym, co przyniósł jej sen.

Obejmował ją tak długo, dopóki nie przestała drżeć.

- Wracam na moje krzesło - powiedział łagodnie i odgarnął jej kosmyk z twarzy. - Niech pani śpi - próbował wyswobodzić się z jej objęć. - Za parę godzin musimy ruszać w drogę.

- Nie podobam ci się? - zapytała cicho? - Nie... nie chcesz mnie?

Po horrorze, jaki przeżyła we śnie, pragnęła ludzkiego ciepła, jakichś dowodów uczucia. Ciemność panująca w pokoju dodała jej śmiałości.

- Skąd przyszło to pani do głowy? - zapytał ze śmiechem, zupełnie jakby kpił. W jego głosie przebijała jednak jakaś gorycz. Jest pani młoda, bogata i piękna, ale to wcale nie dlatego. Pragnąłem pani od momentu, kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy, śpiącą na krześle przy kominku.

- Więc...

- Nie, nie! - pokręcił głową, jakby chciał się uwolnić od śpiewu syren. - Proszę tak na mnie nie patrzeć! Pani oczy wyglądają jak chmury burzowe tuż przed uderzeniem pioruna - uśmiechnął się. -

Lubię pioruny. Lubię jeździć podczas burzy. I chciałbym bardzo rozpalić ogień, który w pani tkwi, ale - panno Sovay - ja jestem dżentelmenem. Bez względu na to, co pani sobie o mnie myśli. Nie wykorzystam pani - westchnął. - Ta przyjemność nie mnie jest pisana. Niech pani zachowa swoją miłość dla niego, ktokolwiek to będzie. W końcu go pani spotka - to mówiąc, zaśmiał się niskim, chropowatym głosem. - Będę diabelnie zazdrosny, więc musi się pani postarać, żeby był pani wart. - Greenwood zwrócił twarz do Sovay i pogłaskał ją po policzku. - Kiedyś to mogłem być ja. Mogłem pojechać do pani ojca i poprosić o pani rękę. Nie zawsze byłem takim potępieńcem, jakim jestem obecnie. Teraz jest już za późno. Co miałbym mu powiedzieć? Że zarabiam na życie jako rozbójnik, a moje perspektywy to szubienica? - odwrócił się. - Niech pani się we mnie nie zakochuje, ostrzegam panią. Nie wiem, ile jeszcze zostało mi czasu. W życiu nie ma miejsca na romantyczność, droga Sovay. To już zostawmy pieśniom i sztukom.

- Mógłby pan to wszystko rzucić! Mógłby pan...

- Mógłbym co? Tylko to potrafię. Niech pani mnie nie przecenia. Żyję tak, a nie inaczej, ponieważ sam sobie takie życie wybrałem. I nie zamieniłbym się z nikim - krótki żywot, ale wesoły, czyż nie tak mawiali piraci?

- Jeśli pana złapią, powieszą! Sam pan tak powiedział.

- Zgadza się. To tylko kwestia czasu. Życie na drodze jest krótkie, a ja już przeżyłem kilkakrotnie dłużej niż powinienem. Złapią mnie i powieszą, tak jak pani mówi. A kiedy to się stanie, mam nadzieję, że uрони pani choć jedną łzę nade mną.

- Nie chcę, żeby tak się stało. Chcę...

- Uratować mnie? Jak Toby'ego? I tego drugiego - Skidmore'a? I jak Gabriela oraz jego przyjaciół w Clerkenwell? I kogo jeszcze? Nie może pani wszystkich ocalić, Sovay. Nawet, gdyby dała pani wszystkie swoje pieniądze, a nawet całe pieniądze tego świata.

- A więc nie wierzy pan, że powinniśmy pomagać ludziom? Że trzeba zmieniać to, co się da zmienić? - odsunęła się od niego, a jej stłumiona namiętność przerodziła się w gniew. - Że człowiek powinien chcieć naprawiać świat?

- Tego nie powiedziałem i wcale tak nie myślę. Uważam tylko, że trudniej jest zmienić człowieka, niż się pani wydaje, że nie wspomnę już o zmienianiu całego świata. Ot, weźmy choćby takiego Toby'ego...

Przerwał, zły na siebie, że w ogóle o tym wspomniał, ale dziewczyna go sprowokowała. Podziwiał jej dobroć i wspaniałomyślność. Widać było, że nie zwraca uwagi na pozycję społeczną i pochodzenie. W przeciwnym razie, co by robiła w tej karczmie u jego boku? Nie chciał wcale naskakiwać na nią i krytykować jej ideałów. To nie jej wina, że jest młoda, że nigdy nie poznała głodu i pragnienia, że w życiu spotkała ją tylko dobroć. Nie mógł jej za to oskarżać, ale jeśli postanowiła poznać jego świat, powinna zobaczyć, jak on naprawdę wygląda. W przeciwnym razie, groziła jej katastrofa.

- Co z Tobym?

- Nic - odparł i wstał.

- Proszę mi powiedzieć!

- Skoro pani nalega. Był nalot na lokal Matki Pierce. Wszyscy zostali aresztowani, oprócz niej samej. Zanim policja przybyła na miejsce, ona zdążyła się już ulotnić.

- Mówiłam mu, żeby trzymał się z daleka od tej kobiety.

- Obawiam się, że nie posłuchał pani rady. Nie uda się pani utrzymać tych chłopców z dala od tamtej dzielnicy. To ich dom. Słyszałem, że zabrano go razem z innymi.

- Zabrano? Do więzienia?

- Normalnie tak właśnie bym pomyślał, ale ludzie mówią, że w sprawę wmieszany jest Dysart. Matka Pierce sprzedała swoich podopiecznych, Toby został zabrany wraz z innymi do miejsca zwanego Thursley.

- Do Thursley? - Sovay zmarszczyła brwi. - To dziwne. Sama tam się wybieram w najbliższy weekend.

- Jedzie pani do Thursley? - Greenwood wyglądał, jakby spadł na niego grom z jasnego nieba.

- Tak. Dysart urządza przyjęcie i zostałam zaproszona - wyjaśniła, nie bardzo wiedząc, co ma o tym wszystkim sądzić. - Ale o ile wiem, to całkiem szacowne przyjęcie. Po co mu Toby i pozostali? Nie rozumiem tego.

- O ile pani wie? Nic pani nie wie! A jeśli chodzi o zrozumienie... - Greenwood załamał rękę. - Żyła pani w bezpiecznej skorupie. Jak pani myśli, po co mu oni? Niech pani ruszy głową.

- Nie! - Sovay zbladła. - To niemożliwe!

- A jednak. Obawiam się, że nawet gorzej.

- Co może być gorszego?

- Dysart i jemu podobni. To źli ludzie. Gorszy niż jest to pani sobie w stanie wyobrazić. Uważa pani, że to przeciwnicy wolności. Skądże! Nie rozumiała ich pani. To libertyni. Są przekonani, że mają prawo robić, co im się żywnie podoba, z kim im się podoba i jak im się podoba. Uważają, że człowiek powinien cieszyć się niczym nie skrupowaną wolnością, ale ta zasada odnosi się tylko do nich samych, do bardzo wąskiej grupy ludzi. I do nikogo więcej. Inni są zabierani do Thursley, biorąc udział w tych jego przyjęciach i nigdy nie wracają.

- Chce pan powiedzieć, że on morduje ludzi? Greenwood spojrzał na nią z wielką powagą.

- Nie chciałem rozmawiać z panią o tych sprawach, ale skoro mnie pani zmusza... Z tego, co słyszałem, śmierć przychodzi jako wybawienie - powiedział i zamilkł na chwilę, starannie dobierając słowa. - Nie sądzę, żeby pani groziło coś podobnego. Dysart zwykle działa w tajemnicy, o jego ruchach wiedzą tylko nieliczni. Chłopcy i dziewczęta z ulicy są traktowani jak coś, co można wykorzy-

stać i wyrzucić. Na kogoś z własnej klasy z pewnością się nie porwie. Ale tak czy inaczej - potrząsnął głową - to szaleństwo, że bierze pani pod uwagę wizytę w Thursley.

- Nie pojedę tam sama. Będzie ze mną Hugh, a i Gabriel pojedzie jako woźnica. Będą tam też inni. W każdym razie muszę znaleźć Toby'ego. Po tym, co mi pan powiedział, czuję się za niego odpowiedzialna. To kolejny powód, dla którego powinnam tam być.

- Nie spotkałem jeszcze nikogo tak upartego i skłonnego do ryzyka jak pani - powiedział, po czym nachylił się i pocałował ją w czoło. - Już prawie świta. Niech się pani jeszcze zdrzemnie.

Wrócił na swoje krzesło, ale nie zmrużył oka. Skoro nie jest w stanie jej powstrzymać, w takim razie trudno. Pozwoli, by Dysart go złapał. Zrobi wszystko, żeby także znaleźć się w Thursley.

## ROZDZIAŁ 21

Zaczynało zmierzchać, kiedy Gabriel trzasnął batem, by pognać konie. Droga była opustoszała. Na mapie Thursley wydawało się niezbyt oddalone od Londynu, ale leżało w dzikiej i opustoszałej okolicy. W pobliżu niewiele było domostw i cały czas jechali przez posępne wrzosowisko, gdzieniegdzie upstrzone pojedynczymi zagajnikami. Powóz pędził, podskakując i trzeszcząc, a wiatr wzmagął się coraz bardziej, porywając w górę liście dębów i buków.

Sovay i Hugh siedzieli w środku powozu. Kiedy lady Bingham przyjedzie po nią, już jej nie zastanie. Hugh dotknął nagle jej ramienia, wskazując wielką bramę w kształcie łuku. Po obu stronach wjazdu, jak okiem sięgnąć, ciągnął się wysoki mur. Właśnie wjeżdżali do Thursley.

Żwirowana droga wiła się pomiędzy wzgórzami i gęstymi, ciemnymi lasami. Daleko w dole widać było szerokie zakole Tamizy i jej wezbrane, mlecznobrązowe wody. Minęli zakręt i Sovay poczuła rękę Hugh na swoim ramieniu.

- Oto i jesteśmy - powiedział głosem pełnym podekscytowania i podziwu, po czym nakazał Gabrielowi zatrzymać powóz.

Tuż przed nimi, na końcu wspaniałej alei obsadzonej drzewami, pyszniła się posiadłość Thursley Abbey. Sovay patrzyła równie urzeczona jak jej brat. Jeszcze nigdy nie widziała prywatnej rezydencji takich rozmiarów. Compton mógł się schować za jednym z jej skrzydeł i całkiem zniknąć z pola widzenia. To nie był dom, ale raczej zamek godny księcia albo nawet pałac królewski. Wieże i wieżyczki różnej wysokości pięły się ku niebu, niektóre kwadratowe, inne okrągłe lub szpiczaste. Niezwykle złożona budowla rozciągała się czterema skrzydłami wokół centralnie położonej wielkiej wieży majaczącej na tle zachodzącego słońca niczym gruby paluch ciemności. Wokół zwieńczonej blankami i iglicą wieży krążyły stada czarnych ptaków - wron, a może kruków - co wyglądało jak wirujące drobinki popiołu. Wysokie, lancetowate okna tworzyły wyłomy w murze na różnych wysoko-



ściach. Budowla wyglądała niezwykle archaicznie, była uosobieniem odległej i zapomnianej już dawno przeszłości.

Dziwne to było miejsce. Proporcje zostały zachwiane, zupełnie jakby budowla składała się z części innych budynków, nie do końca do siebie pasujących. Wyglądała jak jakaś posępna bestia, potwór z kolcami i grzebieniami, z głową od jednego stwora, a ogonem od innego. Mimo dziwnego wyglądu, posiadłość robiła wrażenie - było to miejsce, którego nie można było zapomnieć. Sovay miała silne przeczucie, że jeszcze wielokrotnie będzie odwiedzać je we śnie.

- Zadrzałaś - Hugh spojrział na nią z troską. - Zimno ci?

- Nie - pokręciła głową. - Tylko...

- Domyślam się, o co chodzi. Rzeczywiście przyprawia o dreszcz. Wyobraźnia jednego człowieka bywa fantasmagorią dla innych - zaśmiał się nerwowo.

Sovay skinęła głową. Nagle poczuła ogromną tęsknotę za Compton, za prostotą i elegancją czworobocznego budynku, ciepłym, miodowym odcieniem kamienia, z którego został zbudowany. Miała wielką ochotę poprosić Gabriela, by zawrócił powóz i zabrał ich do domu, ale wiedziała, że to niemożliwe. Compton nie był już spokojnym i bezpiecznym miejscem i nie miał być, dopóki wszystko układało się po myśli Dysarta.

Gabriel strzelił lejcami i konie ruszyły aleją pomiędzy równymi rzędami wysokich buków, aż do wejścia.

Dopiero zbliżając się do budynku, można było ocenić jego prawdziwą skalę. Sovay wyjrzała przez okno i otuliła się płaszczem podróżnym, bo wjechali właśnie w wielki cień rzucany przez centralną wieżę.

Hugh pomógł jej wysiąść, a Gabriel wyjął bagaże. Nie czekał na otwarcie drzwi, miał bowiem inne sprawy do załatwienia. Popędził konie i odjechał, zostawiając Hugh i Sovay pod drzwiami, których rozmiary wykraczały ponad jakąkolwiek ludzką skalę. Były to niezwykle wysokie drzwi, osadzone na ośmiu potężnych, zdobionych zawiasach, wykonane z belek dębowych długości całego drzewa. Otaczająca je ościeżnica była ozdobnie rzeźbioną, strzelistą konstrukcją. Zawieszona na jej szczycie tarcza znajdowała się tak wysoko, że nie sposób było dojrzeć, jaki herb został na niej przedstawiony.

Hugh pociągnął za wygiętą rączkę z kutego żelaza i rozległ się dźwięk dzwonka, donośny, ale posępny i złowrogi, jakby dzwonił na pogrzeb. Kiedy czekali na otwarcie drzwi, Hugh przejechał dłonią po szarym kamieniu okalającym wejście.

- To nie jest prawdziwy kamień - zauważył. Sovay przybliżyła się, by lepiej widzieć.

- Dla mnie wygląda jak prawdziwy - powiedziała.

- Ale nie jest. W czasie podróży z Fernandem widywałem prawdziwe gotyckie budowle. To prawdopodobnie drewniany szkielet pokryty jakimś cementem, tak zrobionym, by przypominał ka-

mień. To dzięki temu można było postawić tę budowlę tak szybko i nadać jej tak potężny kształt. Nic tu nie jest takie, na jakie wygląda - dodał i cofnął się lekko, by spojrzeć do góry. - Jakim cudem taki materiał dźwiga tak wielką wieżę? - zmarszczył czoło.

W tej samej chwili uruchomił się jakiś mechanizm i drzwi powoli się otworzyły. Przez chwilę Sovay nikogo nie widziała. W końcu spojrzała jednak w dół - człowiek, który otworzył te niewiarygodnie wielkie drzwi był niezwykle drobny, niewiele większy od sześć- czy siedmioletniego dziecka. Miał na sobie nieskazitelną liberię i mimo maleńkich rozmiarów widać było, że ma silne ręce i potężne bary. Miał szeroką twarz, duże policzki i nos jak łopatkę. Malujący się w jego ciemnych, skośnych oczach wyraz pustego okrucieństwa dławił w zarodku wszelkie potencjalne próby wyśmiewania się z jego wzrostu.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Przybyliśmy tu na zaproszenie sir Roberta Dysarta - oznajmił Hugh. - Pan Hugh Middleton oraz panna Sovay Middleton. Będzie pan uprzejmy nas zaanonsować.

Człowieczek nic nie powiedział, skinął tylko głową w stronę dwóch, równie drobnych, lokajów, którzy wyszli z cienia i zabrali ich bagaże, a następnie zaprowadził ich do wielkiego hallu. Sovay i Hugh mieli wrażenie, że wstępują do katedry. Drewniany dach wznosił się co najmniej dwadzieścia kilka metrów ponad podłogą. Zawieszane na krzyżowych belkach wytłaczane tarcze wydawały się z tej odległości małe niczym pinezki. Wysokie, szpiczaste okna z witrażami musiały wyglądać wspaniale, gdy przeświecało przez nie słońce, jednak wieczorem wydawały się matowe i przyćmione. Grube świece osadzone na ścianach i wielkich kandelabrach zawieszonych u sufitu rzucały żółte snopy migoczącego światła.

Z kątów wylaniała się ciemność, a potężne kamienne ściany sprawiały, że pomieszczenie wyglądało nieprzyjaźnie, zimno i ponuro. Sovay nie była przesadna, ale pusty dźwięk zamykanych za ich plecami wielkich drewnianych drzwi zabrzmiał jak złowieszcze ostrzeżenie, że już nigdy się stąd nie wydostaną. Zmusiła się do tego, by przejść przez ogromną kamienną podłogę, szerszą niżeli dziedzińiec w Compton. Była gotowa stanąć w obliczu fizycznego niebezpieczeństwa, ale to miejsce wytrącało ją z równowagi. Wielkie schody prowadziły do wąskiego przejścia, którego łuk odzwierciedlał dokładnie wejście do budynku.

Pasaż prowadził do ośmiobocznego pomieszczenia usytuowanego pod wielką wieżą. Kamerdyner nakazał im gestem, by poczekali. Sovay zaczęła przyglądać się strzelistym kolumnom, wysokim łukom i szpiczastym oknom. Z górnych galerii zwieszały się purpurowe zasłony, długie na co najmniej piętnaście metrów. Marszczyły się nieco i falowały pod wpływem wiatru lub powiewu powietrza, w pewnej chwili tkanina uniosła się nieco, ukazując ciemną przestrzeń. Dodało to tylko tajemniczości pomieszczeniu, zwróciło uwagę na istnienie obszarów ukrytych przed wzrokiem. Wielki ośmiokątny mosiężny lampion obracał się powoli, kołysząc się w podmuchach powietrza. Światło przesączało się

przez pomalowane szybki i delikatne aplikacje, rzucając kolorowe, falujące wzory, wyglądające orientalnie i niepokojąco. Dla Sovay było to najdziwniejsze miejsce, w jakim kiedykolwiek była.

Wszystko to miało na celu stłamszenie gościa, sprawienie, by czuł się jak baśniowy Jaś w zamku olbrzyma. Hugh chwycił ją za rękę i mocno uścisnął.

- Wygląda jak twierdza jakiegoś ogra - powiedział, werbalizując jej własne myśli. - A my jesteśmy jak dwójka dzieci, które zabłądziły w lesie. Popatrz tylko - wskazał do góry. - Widzisz je? On ma tu nawet nietoperze - Sovay nie zauważyła wcześniej stworzeń, który podlatywały do wielkiego lampionu i oddalały się od niego, śmigając dookoła niczym małe skrawki jedwabiu. - Początkowo przypominało mi to katedrę, ale teraz mam wrażenie, że nie ma tu absolutnie nic świętego.

- Jak myślisz, co się stanie? - zapytała.

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Hugh. - Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Będziemy próbowali pokonać przeszkody, kiedy zaczną się przed nami piętrzyć.

Rozmawiali szeptem, nie tyle z obawy przed podsłuchaniem, ile z wszechogarniającego poczucia, że znajdują się w kościele. Wysoko, ponad ich głowami, Dysart oparł się o balustradę balkonu i uśmiechnął się. Panowała tu taka akustyka, że ktokolwiek stał na Galerii Podsłuchu, słyszał każde słowo, jakie padło w Ośmiokącie. Często kazał tam czekać swoim gościom. Lubił przysłuchiwać się ich pierwszym wrażeniom, szeptanym słowom podziwu i lęku, jakie zwykle wzbudzała budowla. Nie miał najmniejszego zamiaru wyjść na powitanie gości. Co więcej, nie chciał nawet, by wiedzieli, że jest w domu. Skinął na Meldrona, swojego karłowatego kamerdynera, a ten zszedł z powrotem spiralnymi schodami.

Kamerdyner wrócił do Sovay i Hugh i nakazał im skinieniem, by podążyli za nim. Przeszli pod łukiem zwieńczonym chórem przez przedsionek prowadzący na długą galerię. Po zimnej pustce holu i Ośmiokąta, roztaczający się stąd widok przyprawił Sovay o przyspieszone bicie serca. Pomieszczenie nie miało końca, a wszystkie drzwi otwierały się na niesamowite bogactwa. Sufit miał fantastyczne sklepienie wachlarzowe, rozchodzące się od bogato zdobionych przypór niczym cienkie gałązki drzewa. Same przypory rzeźbione były w anielskie twarze. Podłoga wyłożona została wzorzystymi dywanami w kolorach niebieskim i czerwonym; z kolei ściany pokrywały jasnopurpurowe adamaszki. Pomieszczenie oświetlały wiszące lampy i świece osadzone w srebrnych lichtarzach. Miękkie światło odbijało się od mahoniowych regałów, wypełnionych od podłogi aż po sufit rzadkimi woluminami. Renesansowe malowidła pyszniły się kolorami klejnotów: młodzi mężczyźni w nakryciach głowy ze szmaragdowego aksamitu i tunikach w barwie rubinów; Trzej Królowie w perłowych pelerynach kłęzący przed madonnami odzianymi w kosztowne ultramaryny. Przynosili niespotykane przedmioty: owalny puchar wycięty z kryształu, złote pudło zdobione ptakami, wielką muszlę wspaniale ozdobioną i osadzoną na srebrnej podstawie czy filizankę z topazu, z jasnożółtą rączką w kształcie smoka o rubinowych oczach.

Bogactwo aż raziło, a jego nadmiar oszałamiał. Każdy przedmiot cechował się pięknem, rzadką naturą i wielką kosztownością.

W końcu kamerdyner skręcił w prawo i pchnął masywne, dwuskrzydłowe drzwi. Znaleźli się w kolejnym pokoju, równie wspaniałym, choć mniejszym, bardziej kameralnym. Na okrągłym stole ustawionym na środku pomieszczenia pyszniło się szkło i srebrna zastawa.

- Mój pan bardzo żałuje, ale nie może się z państwem w tej chwili zobaczyć - powiedział lokaj, zapraszając ich do środka. - Kilka spraw wymagało jego natychmiastowej uwagi. Wyraża jednak nadzieję, że państwo poczują się tu dobrze.

To mówiąc, wysunął krzesło dla Sovay, a potem dla Hugh. Nalał im wina i zniknął.

Stół był suto zastawiony. Na talerzach parowała zupa szczawiowa z jajkiem, był tam też kurczak w galarecie, pstrąg i łosoś, seler w śmietanie oraz faszerowane karczochy. Na stoliku z boku stała piramida owoców i słodczy: warstwy świeżych winogron, daktyli, fig oraz pomarańczy zwieńczone anansem; a także kandyzowane morele, mandarynki i imbir, kasztany w lukrze, liście z marcepana, bakalie i migdały pokryte srebrem i złotem.

- To dziwne - powiedziała Sovay, zanurzając łyżkę w zupie. - Jedzenie jest gorące i gotowe na nasze przybycie, zupełnie jakby się nas spodziewano. Ilość wystarczyłaby dla sporej grupy ludzi, a jednak stół jest zastawiony tylko dla dwóch osób - odłożyła łyżkę i zadrżała. - Czuję się, jakbym była częścią jakiejś opowieści.

Kiedy skończyli, natychmiast pojawił się lokaj.

- Może państwo zechcą pójść za mną - powiedział i otworzył im drzwi.

- Spotkamy się teraz z sir Robertem? - zapytał Hugh.

- Niestety, nie dzisiaj - poinformował ich lokaj. - Zatrzymały go pilne sprawy. Sir Dysart serdecznie państwa przeprasza, ale zobaczy się z państwem dopiero jutro. Ma nadzieję, że spodobało się państwu w Thursley.

Lokaj poprowadził ich znowu wzdłuż galerii. Tuż przed Ośmiokątem, skręcił na schody.

Zatrzymał się na pierwszym piętrze.

- To będzie pani pokój, panno Middleton - powiedział i wpuścił ją do przestronnego apartamentu. Wewnątrz znajdował się już jej kufer, stroje były rozpakowane, a nocna koszula leżała na łóżku.

- Panie Middleton, proszę za mną.

Kamerdyner i Hugh wyszli, a Sovay została sama w ciszy przepastnego domu.

## ROZDZIAŁ 22

Sovay przeszła do drugiego pokoju. W paleniskach w sypialni i salonie płonął ogień, oba pomieszczenia były dobrze oświetlone lampami. Urządzone z przepychem, z ciemną, dębową boazerią i ciężkimi meblami. W kącie sypialni stała wielka hebanowa szafa, a podstawa pod miednicę wykuta była z marmuru i ozdobiona onyxem. Sovay nie widziała nigdzie ani służącego, ani pokojówki, a jednak woda w dzbanie była ciepła.

Z łóżka zwieszał się jasnozielony jedwab, na lambrekinie i narzucie widniały wyszyte drobne kwiatki. Pościel była wyśmienitej jakości, a materac wypchany gęsim puchem wydawał się niezwykle wygodny, jednak Sovay nie czuła się zmęczona. Krążyła po pokojach, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Zaczęła się zastanawiać, gdzie może być Hugh, a także dlaczego nie ma gospodarza oraz innych gości.

Mimo że próbowała z tym walczyć, ogarnęło ją poczucie zagrożenia, niejasnego, ale wszechobecnego. Chociaż świeciły się lampy i w palenisku zarzył się ogień, czuła, jak wokół gromadzą się cienie. Spojrzała na wysoką szafę. Przeczytała dość książek w swoim życiu, by wiedzieć, że jeśli coś lub ktoś czai się w ciemności, to z pewnością tam właśnie się kryje. Nagle coś błysnęło bielą w kącie. Strach ścisnął ją za gardło, ale po chwili zaśmiała się nerwowo. Nie może pozwolić, by owładnęły nią dziecinne lęki. Ten biały „duch” to tylko jej własne odbicie w wielkim zwierciadle.

Wykorzystała szafę zgodnie z jej przeznaczeniem i powiesiła swoje ubrania, a następnie usiadła na rzeźbionym krześle przy kominku. Nadal nie mogła sobie znaleźć miejsca. Uznała, że lepiej będzie, jeśli czymś się zajmie, zamiast siedzieć i dawać upust wyobraźni. Wstała, by poszukać Hugh.

Nadusiła klamkę. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Wyjrzała na schody oświetlone osadzonymi na ścianach lampionami, po czym weszła ostrożnie do góry, na następne piętro. Tam też znajdowały się drzwi, podobne do prowadzących do jej pokoju. Zapukała i szepnęła imię brata, ale odpowiedziała jej cisza. Kiedy poruszyła klamkę, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Weszła jeszcze wyżej, z nadzieją, że Hugh ma pokój na kolejnym piętrze.

Korytarz rozwidlał się. Na lewo, za ciężką kotarą, znajdowało się wejście na długą galerię, zakończoną w oddali ciemną wieżyczką. Uznała, że nie warto tam iść. Po prawej stronie widniały wysokie dębowe drzwi. Ku jej zaskoczeniu nie były zamknięte na klucz. Odsunęła zasuwę i weszła do dużego pomieszczenia, o szerokości i długości odpowiadającej leżącemu poniżej Ośmiokątowi. Od razu poznała, że znajduje się w laboratorium, o wiele większym i wspanialszym niż jej ojca w Compton. W pomieszczeniu było gorąco, w ceglany palenisku płonął ogień. Tuż obok znajdowały się duży tygiel i miedziany aparat do destylacji. Duszną atmosferę pogłębiał ostry, gryzący zapach jakiejś substancji chemicznej z lekką nutą słodką i przyjemną.

Pomieszczenie oświetlało światło księżycy, sączące się przez wysokie okno zajmujące jedną ścianę. Ogromne urządzenie powiększające stało gotowe, by wyłapywać promienie słońca. Na sze-

rokiem, eleganckim biurku znajdowały się mikroskopy oraz inne instrumenty, ich miedziane elementy lśniły w księżycowym blasku. W pomieszczeniu stały także duże urządzenia, w jednym z nich Sovay poznała maszynę elektrostatyczną o wiele większą, niż kiedykolwiek widziała.

Na zawieszonych na ścianie półkach stały rzędy kolorowych buteleczek z różnymi płynami i substancjami chemicznymi. Ocynkowany stół przygotowany był do przeprowadzania eksperymentów, stał tam aparat do destylacji, szklane słoje i kuliste pojemniki, także większe niż te, których używał jej ojciec. Równoległe do stołu znajdowała się drewniana ława z odpływami po obu stronach. Z ławy zwisały grube skórzane pasy z klamrami. Pod przebarwionym przykryciem widniał jakiś kształt. Sovay podeszła niechętnie, a kiedy podniosła szare płótno, nieprzyjemny zapach się nasilił. Na ławie leżały częściowo pokrojone zwłoki. Opuściła szybko nakrycie, widząc szarżółte ciało z niebieskimi i czerwonymi żyłami oraz tętnicami. Delikatny, słodkawy zapach alkoholu nie był w stanie zamaskować wszechobecnego smrodu rozkładającego się ciała. Skórzany pas z klamrą zaplątał się przez chwilę w jej suknię, więc zaczęła się zastanawiać, do czego może służyć. Nagle zrozumiała: tylko żywych ludzi trzeba przywiązywać.

Nie chciała dochodzić do tego, jakie jeszcze odrażające tajemnice kryje w sobie laboratorium, ale kiedy ruszyła w kierunku wyjścia, zatrzymał ją dźwięk kroków na schodach i ludzkie głosy. Było już za późno na ucieczkę. Rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki i zaczęła się modlić, by w zasłoniętej kotarą wnęce z boku pomieszczenia znalazło się wystarczająco miejsca. Przybyli kolejni goście, zresztą może już od dawna przebywali w rezydencji. Thursley był tak ogromnym miejscem, że mogłyby tu stacjonować plutony wojska, a i tak nie wiedziałyby o swojej obecności. Ukryła się w ostatniej chwili. Drzwi otworzyły się i do ogólnego smrodu panującego w pomieszczeniu doszedł jeszcze aromat palonych cygar.

- Panowie, witam w moim laboratorium - głos Dysarta brzmiał całkiem blisko. - Będę wdzięczny, jeśli nie będą panowie niczego dotykać - dodał, słysząc szepty zachwyty i słowa uznania oraz widząc ogólne poruszenie. - Dla własnego bezpieczeństwa. Wiele tu niebezpiecznych substancji, trujących lub silnie żrących. Niektóre urządzenia są bardzo delikatne, wielu nie da się niczym zastąpić.

Odsunęli się od jej kryjówki, więc zaryzykowała i wyjrzała przez szczelinę w kotarze. Wokół ławy stało sześciu, może siedmiu mężczyzn. Niektórzy mieli na sobie mundury.

- Odtworzyłem eksperymenty przeprowadzone przez radykalnego Josepha Priestleya oraz znakomitego francuskiego naukowca Lavoisiera, który ostatnio stracił życie na gilotynie - oświadczył Dysart. - Udowodniłem ku własnej satysfakcji, że pierwiastek zwany tlenem jest niezbędny do życia. Co więcej, udowodniłem, że w tej kwestii nie różnimy się wcale od zwierząt - to mówiąc, położył ręce na jednym z wielkich szklanych słoików, tak dużym, że mógłby pomieścić dziecko. - Tak właśnie toczy się życie, tylko jak ono powstaje? To jest pytanie, panowie, które sobie teraz zadaję. Żyjemy w czasach, którymi rządzi rozum. Czas więc odrzucić pradawne przesady, ślepa wiarę w jakąś tajemniczą boską

siłę, której istnienia nie można dowieść. Dokonałem sekcji wielu nieboszczyków, niektórych jeszcze zupełnie ciepłych, ale nie znalazłem śladu duszy. Uważam więc, że tajemnica tkwi w czym innym, panowie. Proszę patrzeć, zaraz to zademonstruję.

Dysart przeszedł do skomplikowanego zestawu delikatnych instrumentów i zaczął kręcić kołem, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Kiedy zwiększyły się obroty, mechanizm zaczął buczeć i wirować. Pomieszczenie wypełniło się niskim brzęczącym dźwiękiem, a potem nastąpił głośny trzask. Niektórzy z obecnych krzyknęli ze strachu i odsunęli się do tyłu, gdy między jednym urządzeniem a drugim przeskoczyła fioletowa iskra, niczym miniaturowa błyskawica.

- Elektryczność, moi panowie, elektryczność! To iskra i siła życia! - Dysart puścił koło, a kiedy kręciło się coraz wolniej, iskra zaczęła gasnąć. - Gdyby udało się zgromadzić odpowiednią jej ilość, być może można by ożywić to, co już nie żyje. W tym celu podłączyłem ten mechanizm do szczytu wieży - chcę wykorzystać siłę pioruna, by udowodnić moją teorię. Jednakże nie przyprowadziłem panów tylko po to, by pokazać eksperymenty naukowe. To tylko przykład. Przybyliście panowie do Thursley, ponieważ możemy wspólnymi siłami odrodzić konającą politykę, która - panowie sami przyznają - jest tak samo martwa i cuchnąca jak te zwłoki pod prześcieradłem. Musimy zadziałać jak błyskawica: przynieść nowe życie, stworzyć coś nowego, czego nikt jeszcze nie widział, a co znajdzie się całkowicie w naszych rękach. Musimy przepędzić tych, którzy stoją na straży umierającej polityki. A potem odciągnąć sępy rewolucji, które nawet w tej chwili szukają padliny. Czy istnieje lepszy sposób, jak napuszczenie jednych na drugich?

Zaśmiał się konspiracyjnie, a reszta przyłączyła się do niego.

- Lonty zostały zapalone, panowie. Po jutrzejszym dniu wróćcie do swoich domów, do kraju i rządu, gotowi, by przejąć władzę po pogromie.

Wyciągnął rękę w stronę znajdującej się przed nim kuli, a pozostali patrzyli jak urzeczeni, kiedy pomieszczenie wypełniało się fioletowym i niebieskim światłem. Przypominające błyskawice nitki odchodziły od jego palców i mieniły się w środku kuli.

Mężczyźni wyszli z pokoju, prowadząc podekscytowane rozmowy, i zeszli na dół. Sovay oczekiwała w ukryciu, aż ucichną wszystkie dźwięki, nie licząc sporadycznego syczenia i wyrzucanych iskier z diabelskiego urządzenia Dysarta. A więc gospodarz był jednak w domu, jak się okazuje, wyłącznie dla przyjaciół. Spisek, który przedstawił, brzmiał tak nikczemnie, jak przewidywał Oldfield. Powinna znaleźć Hugh i opowiedzieć mu o wszystkim, tylko, że nie wiedziała, gdzie go szukać w tym ogromnym budynku. Rozmowa będzie musiała więc poczekać do rana. Lepiej nie błądzić tu w ciemnościach. Kto wie, jakie jeszcze horrory kryją się w zamczysku?

## ROZDZIAŁ 23

Sovay zakradła się z powrotem do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i przygotowała się do spania. Szybko zdjęła ubranie i włożyła koszulę nocną, a potem zdmuchnęła wszystkie lampki. To zrobiwszy, weszła pod przykrycie i naciągnęła je sobie na głowę.

Obudziła się z dręczących snów, z trudem łapiąc oddech. Coś siedziało jej na klatce piersiowej i dusiło, aż nie mogła znaleźć tchu... Spociła się cała, okryta szczelnie przykryciem, częściowo leżąc na łóżku, częściowo z niego zwisając. Wstała i zapaliła lampkę, postanawiając, że nie zmruży oka.

Mimo tego musiała jednak zasnąć, bo kiedy otworzyła ponownie oczy, był już ranek. Pokojówka rozsuwała zasłony i nalewała wodę do miednicy.

Słyszając, że Sovay się obudziła, dziewczyna odwróciła się. Była to Lidia. Sovay usiadła na łóżku, zaskoczona jej widokiem. Nie zamierzała jej tu zabierać, ale zapomniała już, jak zdeterminowana potrafi być Lidia.

- Jak tu się znalazłaś?

- Lady Bingham przyjechała wcześniej rano po panienkę. Powiedziałam, że panienka już pojechała, ale przez przeoczenie zapomniała mnie zabrać.

Triumfalny uśmiech zniknął z twarzy Lidii, kiedy Sovay wyskoczyła z łóżka i chwyciła ją za ramiona.

- Nie możesz tu zostać, Lidio.

- A kto będzie panience usługiwał? Lady Bingham przywiozła suknię i wszystko. Nie chce panienka zobaczyć? Jest...

- Nie, nie chcę zobaczyć. Chcę, żebyś stąd zniknęła, i to natychmiast.

- Skoro woli panienka pokojówkę lady Bingham... - Lidia była bliska łez.

- To nie o to chodzi. Jeżeli zostaniesz, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo?

- Nie wiem, ale grozi.

- No dobrze - Lidia podrapała się po nosie. - Uszykuję wszystko, a potem pojedę. Pan Hugh był tu, kiedy panienka spała. Prosił przekazać, że gdy panienka będzie gotowa, ma się z nim spotkać w Błękitnym Salonie. Mówił, że panienka będzie wiedziała, gdzie to jest.

Sovay umyła się szybko i ubrała, po czym zeszła na dół do Ośmiokąta. Dopiero światło dzienne ukazywało w całej pełni majestatyczność rezydencji. Słońce przeświecało przez wysokie witraże, dzięki czemu matowe płytki na środku pomieszczenia błyszcząły niczym inkrustowana klejnotami tarcza. Sovay przeszła tą samą galerią, co poprzedniego dnia. W świetle blade kamienie na sklepieniu przybrały ciepły, morelowy odcień, uwidoczniły się też delikatne rzeźbienia i splatające się wzory. Po lewej stronie znajdował się krużganek z fontanną pośrodku. Z góry zleciał jakiś wielki, czarny ptak,



usiadł na krawędzi rzeźbionego zbiornika i nachylił się, by napić się wody długim, wygiętym dziobem. Nagle podniósł łeb, zupełnie jakby wyczuł jej obecność, obrócił go w bok i spojrzał na nią ciemnym jak paciorek okiem.

Hugh już na nią czekał. Był po śniadaniu.

Sovay nasypała sobie owsianki do miseczki i naląła kawy do filiżanki.

- Dobrze spałaś?

- W miarę - odparła. - Zważywszy na to, co widziałam.

Opowiedziała mu o laboratorium Dysarta i ludziach, którzy z nim byli.

- A więc twierdzisz, że byli tam wojskowi? - Hugh dolał sobie kawy ze srebrnego dzbanka.

Sovay skinęła głową w odpowiedzi.

- To pewnie dowódcy pułków. Toczymy wojnę z Francją, oddziały zostały wysłane do Holandii i Belgii. Flota zajęta jest na Morzu Karaibskim i Śródziemnym - powiedział i zamilkł na chwilę z poważną miną. - Dysartowi wystarczy poparcie kilku pułków, żeby przeprowadzić zamach stanu. Nawet jeśli mu się nie powiedzie, pomyśl, ile krwi zostanie przez to rozlanej. - Hugh odstawił filiżankę. - Musimy go powstrzymać. I to dzisiaj. To nasza jedyna szansa - powiedział. Ujął dłonie Sovay i spojrzał jej głęboko w oczy. - Cokolwiek się stanie, my musimy się z tym zmierzyć. Wykonałaś wczoraj dobrą robotę, teraz kolej na mnie. Spróbuję się dowiedzieć, kimś są ci spiskowcy. Muszę porozmawiać z Oldfieldem, kiedy tylko się tu zjawi. I z Virgilem. Ale pamiętaj - ścisnął jej ręce - nikomu nie można ufać. Tylko sobie nawzajem.

- Co mam zrobić? - zapytała.

- Udawaj niewinną damę w gościnie. Przejdź się po posiadłości. Znajdź tę podstępna lady Bingham, a przede wszystkim miej oczy i uszy otwarte.

Sovay wyszła z budynku niewielkimi bocznymi drzwiami i ruszyła żwirowaną ścieżką pod rustykalnym przejściem ze sklepieniem łukowym, a dalej schodami w dół, na szeroki trawnik.

Przeszła przez trawiasty obszar, unosząc suknię, by jej nie pomoczyć. Trawnik kończył się nagle stromym uskokiem. Głęboko w dole znajdowało się duże jezioro. Brzegi porośnięte były trzcina i turzycą, ale ciemna, nieruchoma tafla wody świadczyła o wielkiej głębokości. Sovay drgnęła, bo nagle rozległ się głośny krzyk pardwy. Odpowiedział mu kolejny krzyk, ale żadne stworzenie nie zakłóciło czarnej, lustrzanej tafli. Z trzech stron jeziora brzegi wznosiły się wyżej, porośnięte drzewami. Jezioro znajdowało się zaledwie sto metrów od budynku, ale wydawało się odległe i tajemnicze, zupełnie jakby Sovay trafiła na bezdenny górski staw głęboko w lesie pośród wzgórz.

Pomiędzy gęstymi sosnami dostrzegła kopułę wieńczącą okrągły budynek. Niespotykany kształt i tajemnicze położenie budowli nadawało mu dość osobliwy charakter. Ruszyła w jego stronę, chcąc się przekonać, co to takiego. Znalazła ścieżkę porośniętą z obu stron wysokimi cisami. Ścieżka wiła się i zakręcała, zupełnie jakby tworzyła labirynt. W końcu oczom Sovay ukazała się świątynia.

Przysadzista, okrągła budowla wzniesiona z żółtawego kamienia opierała się na podwyższeniu, na które prowadziły schodki i otoczona była doryckimi kolumnami. Świątynia została wkomponowana w strome wzgórze, tak samo sztuczne i nie na miejscu w tej okolicy jak sama budowla. Kamieniste zbocze wznosiło się stromo, poprzecinane gdzieś tam wysokimi, ciemnymi cyprysami i strzelistymi topolami. Sovay domyśliła się, że miało to naśladować jakąś scenkę z Arkadii albo wzgórza Toskanii, jakie widniały w tle jednej z renesansowych madonn Dysarta.

Trudno było ocenić, czy budynek został wzniesiony, żeby dać upust ekstrawagancji, czy też służył jakimś konkretnym celom. Wejście stanowiły imponujące podwójne drzwi okute brązem. Z każdej strony widniała głowy Meduzy. Sovay chwyciła za okrągłą klamkę, ale drzwi były zamknięte. Odsunęła się do tyłu i spojrzała w górę, na ozdobny fryz biegnący pomiędzy dachem a szczytem kolumnady. Rzeźbienia wyglądały na nadgryzione zębem czasu, zupełnie jakby zostały skradzione z jakiejś świątyni pogańskiej, kamienie stały się gładkie tak, że trudno było powiedzieć, co przedstawiają. Kiedy wpatrywała się w kształty, zauważyła, że patrzą na nią lubieżne twarze, dostrzegła postacie, pół ludzkie, pół zwierzęce, splecione razem, centaurów i satyrów tańczących jakiś bluźnierczy taniec. Zniszczony fryz kontrastował z rzeźbieniami znajdującymi się nad wejściem: tu wielkie, kręte rogi Pana wyglądały tak, jakby dopiero co zostały wyciosane dłutem rzeźbiarza. Wąskie, skośne oczy bożka, spoglądające z obu stron szerokiego nosa, wyglądały niepokojąco naturalnie i żywo ponad kpiącym, kozim uśmiechem.

Mimo słonecznego dnia w cieniu rzucanym przez budynek było zimno. Sovay zadrżała, zupełnie jakby nad jej grobem przeleciał ciemny, złowrogi ptak. Nagle, jak na zawołanie, dwa wielkie ptaszyska najwyraźniej zamieszkujące posiadłość usiadły na szczycie wysokiej sosny, głośno skrzecząc i machając skrzydłami. Na ziemię, tuż obok Sovay, opadło pojedyncze czarne pióro. Podniosła je i wróciła do rezydencji. Miała już dosyć zwiedzania.

Ścieżka, którą wybrała, poprowadziła ją do otoczonego murem ogrodu w północno-wschodniej części rezydencji. Uważnie szła pomiędzy zadbanymi grządkami w stronę długiego skrzydła północnego. Nagle mignął jej przed oczami jakiś jaskrawy kolor na piętrze. Korytarzem nad długą galerią szła kobieta w pomarańczowej peruce. Sovay była pewna, że nie ma dwóch takich samych, rażących peruk w całym Londynie i okolicznych hrabstwach. To musiała być Matka Pierce. Ale co tu robiła? Sovay przyspieszyła kroku, postanawiając, że musi to sprawdzić.

## ROZDZIAŁ 24

Sovay dotarła na galerię w ostatniej chwili, zanim Matka Pierce nie zniknęła za drzwiami prowadzącymi do przysadzistej wieży, jednej z dwóch stojących na końcu północnego skrzydła. Weszła za nią i dojrzała rąbek sukni kobiety na zakręcie schodów. Ruszyła do góry, ostrożnie, by nie zdradzić swojej obecności.

Kobieta zatrzymała się na piętrze. Sovay zamarła słysząc głosy i schowała się za załomem muru.

- I jak tam dzisiaj moje kociaki? - usłyszała głos Matki Pierce. - Mam nadzieję, że już nie sprawiały kłopotów?

- Ciche jak myszki, psze pani - odpowiedział jej męski głos. - Jak myszki.

- I to mi się podoba - odparła kobieta. - A teraz wpuść mnie, dobry człowieku - dodała. Rozległo się brzęczenie szkła butelek. - Nie chcę ich upijać, ale mały łyeczek nie zaszkodzi. Nie można pozabawiać ich napoju życia.

- A co tam pani ma, dzin? - zapytał jeden z mężczyzn. - Nie dałaby pani buteleczki? Człowiekowi pić się chce, kiedy tak cały dzień tu siedzi.

- Mam tylko tę jedną. Muszę poprawić im humor.

Sovay usłyszała szcęk klucza w zamku. To zapewne tam trzymani są Toby, Jack i inni zabrani z ulicy. W jakim celu ich zamknięto, Sovay mogła się tylko domyślać, ale na samą myśl ogarnęło ją obrzydzenie i wściekłość. Przecież niektórzy z nich to jeszcze dzieci, kupowane i sprzedawane przez panią Pierce z chęci zysku po to, by spełniały zachcianki i żądze mężczyzn. Sovay postanowiła temu zapobiec, o ile jej się uda.

Matka Pierce nie siedziała tam długo. Wkrótce zamknęły się za nią drzwi i po krótkim przekomarzeniu ze strażnikami zeszła na dół i ruszyła korytarzem. Kiedy Sovay usłyszała trzask zamykanych drzwi, wyszła ze swojej kryjówki. Wróciła do pokoju i z zadowoleniem stwierdziła, że nie ma śladu Lidii. Włożyła najprostszą suknię i narzuciła szary, wełniany szal. Potem zadzwoniła po służbę i zamówiła butelkę wina.

Kiedy znalazła się u podnóża schodów prowadzących na wieżę, nałożyła na włosy szal. Zgarbiła się i spuściła wzrok, po czym podeszła do strażników pilnujących drzwi.

- Matka Pierce mnie przysyła - powiedziała cicho, patrząc na buty jednego z nich i pokazała szyjkę butelki.

- Teraz? - zapytał potężny strażnik.

- Tak - odparła. - Kazała mi przynieść jeszcze jedną butelkę.

- A gdzie ona cię trzyma, hę? - zapytał. Nie zrobił nawet ruchu, by otworzyć drzwi. - Ukrywa gdzieś najładniejsze dziewczuszki. A to przebiegła lisica.

Wstał i ruszył w jej stronę. Sovay zacisnęła rękę na butelce. Musiała wydostać stąd Toby'ego i pozostałych, i nie mogła dopuścić, by odkryli, kim jest, ale nie ręczyła, co zrobi, jeśli ta wstrętna kreatura zacznie ją obmacywać.

- Hej, Billy - drugi strażnik zaśmiał się i chwycił kolegę za ramię. - Nie można próbować towaru przed zakupem.

- Chyba nie - strażnik niechętnie sięgnął po pęk kluczy, wiszących mu na łańcuchu u pasa.

Sovay uchyliła się, kiedy próbował ją chwycić i stała najdalej jak mogła, kiedy otwierał drzwi.

- Ciężko wejść, co? - strażnik przytrzymał drzwi. Stanął tak blisko, że czuła słodkawy zapach dżinu w jego nieświeżym oddechu. Kiedy wchodziła do środka, otarł się o jej ciało.

W końcu jednak ją wpuścił. Postawiła butelkę, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. Oto odkryła kolejną niespodziankę, jaką kryło w sobie Thursley. Oprócz niezwyklej architektury, eleganckich pokoi i mebli, znajdował się tu prywatny burdel i choć wiedza Sovay na temat takich przybytków była raczej ograniczona, to jednak nie umknęło jej uwagi, że było to miejsce luksusowe. Urządzone tematycznie, jak wszystkie inne pomieszczenia w rezydencji, miało charakter tureckiego haremu, a przynajmniej tego, jak sobie taki harem ona wyobrażała: niskie sofy i leżanki obite najbardziej luksusowymi tkaninami, podłoga wyłożona poduszkami, zwieszające się z sufitu jedwabne zasłony i brokatowe markizy - luźno lub związane frędzlami. Na podłodze siedziała grupka chłopców grających w karty. Był wśród nich Jack, przyjaciel Toby'ego, młody Irlandczyk od Matki Pierce. Podniósł głowę, gdy weszła, tak samo zaskoczony jak ona, że się tu znalazła.

- Panno Sovay - powiedział, podchodząc do niej. - Co pani tu robi?

- Zobaczyłam panią Pierce i chciałam się przekonać, co knuje, więc przyszedłam tu za nią. Gdzie jest Toby?

- Nie wiem - Jack wzruszył ramionami. - Próbował uciec, więc go zabrali. To dlatego pilnują nas te dwa błazny.

- Nie ma go tu? - Sovay była załamana. Jak ma go teraz odnaleźć? - Co się stało?

- Złapali go i przyprowadzili z powrotem, żeby Matka mogła dać mu nauczkę. A potem go gdzieś zabrali.

- Dokąd?

- Nie wiem, ale słyszałem, jak Matka mówi, że jest na dole. Tylko tyle wiem.

- A to miejsce...

- Niezłe, prawda? Tu jest więcej pomieszczeń. Cały kompleks. I o wszystkim pomyślano. Jest tu nawet opium - powiedział Jack i skinął głową w kierunku wykładanej srebrem szafki z palisandru, pełnej skomplikowanych przyrządów do palenia i długich fajek. - Ale nie możemy tego ruszać. To dla panów - dodał. Ściszył głos i rozejrzał się ostrożnie dokoła. - Ci chłopcy cieszą się jak głupi. Wierzą w każdą bajkę, jaką opowie im Matka, ale mnie się to wszystko nie podoba. Toby'emu też się nie podoba.

bało, to dlatego postanowił dać drapaką - Jack pokręcił głową. - To zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Przez całe życie nikt nie okazywał mi dobroci, nikt mi niczego nie dał, a już na pewno nie ona. I nagle same przysmaki - wskazał palcem na okruszki pozostawione na leżącym na podłodze miedzianym talerzu. - Normalnie jak w bajce, jakby próbowali nas utuczyć przed śmiercią.

- Wydostanę was stąd, obiecuję - powiedziała Sovay, choć nie miała pojęcia, jak tego dokona. - Najpierw muszę odnaleźć Toby'ego.

- Będziemy czekać. Nie tylko jemu i mi, ale innym też tu coś brzydko pachnie. Kiedy znajdzie pani Toby'ego, niech mu pani to da - Jack podał jej pęk cienkich kluczy, od zupełnie małych po całkiem duże. - To jego wytrychy, może mu się przydadzą. Udało mu się wsunąć je do kieszeni strażnika, kiedy go przeszukiwano. A ja je stamtąd wziąłem. Dobrana z nas para - zaśmiał się chłopak. - A potem go zabrali.

Z sąsiedniego pomieszczenia, zataczając się, wyszła dziewczyna.

- Stara suka przyniosła dżin? - zapytała. Rozejrzała się, a jej niepewny wzrok spoczął na Sovay. - A co to, masz nową przyjaciółkę, Jack? - zapytała i podeszła chwiejnym krokiem. - Jak masz na imię? Nie widziałam cię dotąd. Nie przywitasz się? Nie zadajesz się z nami, co? O to chodzi? Na co tak się gapisz? - rzuciła się na Sovay z zaciśniętymi pięściami. - Nie gap się tak na mnie, ty wredna suko!

- Uspokój się, Rosie - zatrzymał ją Jack. - To dżin przez ciebie przemawia. Nie wściekaj się tak. Niech pani już lepiej idzie - szepnął do Sovay. - I powodzenia.

- Dziękuję, Jack - Sovay już szła do drzwi. - Uważaj na siebie.

Na dole - to jedyna wskazówka, jaką Sovay uzyskała co do miejsca, w którym mógł być Toby. W rezydencji nie brakowało schodów, a piwnice były z pewnością rozległe i rozciągały się pod całą budowlą. Zatrzymała się, kiedy doszła do wyższej galerii. Schody prowadziły stąd w dół. Było mało prawdopodobne, by zabrali Toby'ego - szamoczącego się i kapiącego - do odleglejszej części budynku. Zacznie więc od tego miejsca. Zeszła jedno piętro w dół, potem następne, zdecydowana iść tak długo, dopóki schody się nie skończą. Zimny zapach ziemi i kamienia świadczył o tym, że znalazła się już pod powierzchnią, ale stopnie nadal prowadziły w dół. Światło z góry już tu nie sięgało, dlatego szła po omacku. Była zła na siebie, że nie zabrała świecy, i już chciała wracać, kiedy dojrzała w dole bladą poświatę. Schody wkrótce się skończyły i Sovay znalazła się w sklepionym, ceglany przejściu. Wyjrzała ostrożnie na szeroki kamienny pasaż oświetlony osadzonymi na ścianach pochodniami. Po lewej i prawej stronie znajdowały się jakieś pomieszczenia, a szerokie wejścia wyglądały jak wykute wyloty jaskini. Kamień dookoła miał postać wielkich bloków ze śladami narzędzi. Był szary, zupełnie jak resztki ruin dawnego opactwa znajdujące się nad ziemią. Opactwo może i zniknęło z powierzchni ziemi, ale nadal istniało w jej głębi.

Sovay zrobiła krok do przodu, schylając głowę, by nie uderzyć w niskie stropy. Wyjęła pochodnię, żeby oświetlić sobie drogę, jednak załamała się na widok tego, co zobaczyła. Po prawej i lewej stronie znajdowały się piwnice win, ze stojakami pełnymi pustych butelek. Przecież piwnice mogą ciągnąć się całymi kilometrami! Mogą być wykorzystywane wyłącznie zgodnie z ich przeznaczeniem, to znaczy do przechowywania wina. Toby może być wszędzie i może nigdy go nie znajdzie. Doszła do rozgałęzienia korytarza i zatrzymała się, zastanawiając się, w który z nich skręcić. Kiedy tak rozmyślała, usłyszała nagle jakieś nieokrzesane głosy i chrapliwy śmiech, dochodzące z korytarza po prawej stronie. Ruszyła ostrożnie w tamtym kierunku, gasząc pochodnię i trzymając się blisko ściany. Nie chciała, żeby ją ktoś zauważył, zwłaszcza ktoś taki, jak ci dwaj u góry.

Mniej więcej w połowie korytarza znajdowały się otwarte drzwi. Sovay zawahała się, nasłuchując dudniących głosów i zastanawiając się, jak ma przejść, żeby strażnicy jej nie zobaczyli. Niepotrzebnie się obawiała. Czterej mężczyźni byli skupieni na rozłożonych przed sobą kartach. Przy łokciu każdego z nich stała butelka, a oni pili z małych kubków. Monety brzęczały i opadały na stosik znajdujący się na środku stołu. Nagle wszyscy cisnęli karty na stół. Jeden z mężczyzn zaśmiał się i zgarnął wygraną, inny zaprotestował. Poczekała, aż krzyki i śmiechy nasiliły się, a wtedy przemknęła obok drzwi.

Wzdłuż korytarza nie było już piwniczek win. Szerokie wejścia zostały zamurowane ceglami, a w środku wstawiono mocne, drewniane drzwi. A więc oprócz innych udogodnień Dysart miał także własne więzienie. Zajrzała przez niewielki okratowany otwór nad pierwszymi drzwiami i serce zabiło jej mocniej. Jeśli Toby jest w rezydencji, z pewnością znajdzie go tutaj. Doszła do końca rzędu drzwi i poczuła rozczarowanie. Cele były puste, nie licząc szczurów i myszy biegających po brudnej słomie. Nie widać było, żeby ktoś był w nich ostatnio przetrzymywany. Gdzie w takim razie jest Toby?

Skręciła za róg, zastanawiając się, czy tam też są dalsze cele. A jeśli nie znajdzie tu Toby'ego, co też mogli z nim zrobić? Korytarz rozszerzył się, tworząc rodzaj wewnętrznego dziedzińca. Sovay zatrzymała się, z trudem akceptując to, co właśnie jawiło się jej przed oczami. Oparła się o ścianę, a palce wbiła w miękki, gnijący mur.

Na środku dziedzińca stało urządzenie, Sovay od razu rozpoznała wysoki prostokąt i wielkie przekrzywione ostrze. Chociaż nigdy wcześniej go nie widziała, było jej znane tak samo dobrze jak szubienica. Gilotyna. Spod okrągłego kołnierza prowadził szeroki odpływ do kwadratowej studzienki w podłodze. Sovay znowu usłyszała głos Dysarta opowiadającego o trupach jeszcze ciepłych na stole laboratorium. Przełknęła ślinę, czując, jak ogarniają ją mdłości. Czy okrucieństwo tego człowieka nie znało granic? Nagle zrobiła krok do przodu. Czy na ostrzu widać było świeżą krew? Musiała to sprawdzić.

Coś uderzyło ją w ramię i niewiele brakowało, by wrzasnęła. Spojrzała w dół, u jej stóp upadł kamień.

- Tutaj! Sovay! Tylko nie krzycz!

Była tak wpatrzona w osobiste narzędzie śmierci Dysarta, że nie zauważyła celi zbudowanej naprzeciwko. Cella różniła się od pozostałych - od podłogi do sufitu prowadziły pręty, tak by nic nie zakłóciło skazańcowi widoku tego, co go czeka. Na przymocowanym do posadzki krześle siedział mężczyzna w kajdankach, z nogami skutymi łańcuchem umocowanym do podłogi. Miał podartą koszulę, zamknięte jedno oko, a twarz posiniaczoną i brudną od zakrzepniętej krwi. Kapitan Greenwood stracił nieco ze swojego wdzięku i animuszu, ale widać było po jego wzroku, że nadal tkwi w nim nieustraszony duch.

- Panno Middleton! Doprawdy, spotykamy się w zaskakujących miejscach - kapitan zdobył się nawet na bolesny uśmiech. - Proszę wybaczyć, że nie wstaję - dodał, podnosząc łańcuch. - Jak pani mnie znalazła? Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

- Nie wiedziałam. Szukałam Toby'ego.

- Zabrali go tam - Greenwood wskazał na ciemny korytarz z ceglana posadzką.

- Skąd się pan tu wziął? I co się panu stało?

- Pozwoliłem Dysartowi, żeby mnie złapał - odparł Greenwood i spojrzał na krępujące go łańcuchy. - Muszę jednak przyznać, że mój podstęp nie do końca się udał. Dysart uważa, że jestem częścią spisku wymierzonego przeciwko niemu - kapitan dotknął rany na policzku i posiniaczonej szczęki. - Nie mogę powiedzieć mu tego, czego nie wiem, ale on mi nie wierzy. To dlatego nie zostałem jeszcze przedstawiony Pani Gilotynie. Dokąd pani idzie? Sovay! - próbował wstać, ale łańcuchy mu na to nie pozwoliły. - Proszę mnie nie zostawiać! Oczekiwałem chociaż odrobiny współczucia!

- Muszę znaleźć Toby'ego - rzuciła przez ramię. - On może pana stąd wydostać. W każdym razie ma większe szanse niż ja.

- Nie rozumiem jak?! - kapitan potrząsnął łańcuchami.

- Niech mi pan zaufa.

Zdjęła pochodnię ze ściany i nachylając głowę, weszła w ciemny, niski korytarz, niewiele wyższy od tunelu. Zajrzała przez kraty do celi po lewej i prawej stronie, szeptem wypowiadając imię Toby'ego. Nie otrzymała odpowiedzi i już miała wracać, kiedy rozległ się ochryply szept.

- Tutaj.

Głos dochodził z celi na samym końcu korytarza, gdzie po ścianie pełzły jęczory zielonego szlamu i spomiędzy cegieł kapą wilgoć, tworząc nieruchome kałuże na nierównej podłodze.

Cella Toby'ego była mała i nędzna, z kamienną półką do spania i wiadrem w rogu. Musiał zostać ranny, bo z trudem podniósł się z legowiska i przywłókł się do kraty. Tak jak u kapitana, także i jego twarz była posiniaczona i zakrwawiona, a prawą rękę trzymał blisko ciała, tak jak zwierzę, które próbuje chronić zranioną łapę.

- Co oni ci zrobili? - Sovay przełożyła palce przez rozstawione blisko siebie pręty kraty, jakby to miało ją zbliżyć do chłopaka.

Toby próbował się uśmiechnąć, ale skrzywił się tylko i chwycił za twarz.

- Matce nie spodobało się, że próbowałem uciekać.

- Co oni zrobili z twoją ręką? - była sina i spuchnięta, a palce miał wykrzywione i nienaturalnie wygięte. Włożyła rękę do kieszeni i podniosła pęk kluczy, tak by mógł je widzieć. - Jack mi to dał, ale obawiam się, że i tak ich nie będziesz mógł wykorzystać.

Przygryzła wargę, żeby nie rozplakać się ze złości za to, co mu zrobili i z frustracji, że cały jej wysiłek poszedł na marne.

- Nie wiem. Mogę spróbować.

- Jak? Masz niesprawną rękę.

- Prawą, ale ja jestem mańkutem - Toby podniósł nienaruszoną lewą dłoń. - Nie wiedzieli o tym, nie? Niech mi pani to poda.

Znowu zaświtała w niej nadzieja, ale nie trwała długo. Pęk kluczy był za duży i nie mieścił się w drobnych otworach kratownicy.

- Nie przejdą!

- Wystarczy mi jeden. Niech no pani potrzyma je wyżej, to się przyjrzę. Ten długi powinien być dobry. Niech go pani zdejmie i poda przez kratę. A resztę może pani zostawić na podłodze, potem je wezmę.

Po odrobinie manewrowania klucz przeszedł przez otwór w kracie i upadł z brzękiem na kamienną podłogę celi. Po chwili z dołu korytarza dobiegł męski śpiew.

*Napełnij szklanki już, bo wino*

*To natchnienie Odwagi i miłości*

Śpiew stał się głośniejszy, słowa zostały niemal wykrzyczane.

*Bo wino i kobiety to życia cel*

*I nie ma nic na świecie lepszego*

Refren brzmiał jeszcze donośniej i gwałtowniej.

*Napełnij szklanki...*

- To kapitan! To ostrzeżenie dla nas! - szepnął Toby. - Straż robi obchód.

- Skończ z tym kocim wrzaskiem! - krzyknął ochrypły głos. - Bo ja cię zamknę!

Na końcu korytarza słychać było szcęk żelaznej kraty, a potem śpiew został przerwany przekleństwami i jękiem.

Sovay zgasiła pochodnię i próbowała powstrzymać ogarniającą ją panikę. Strażnicy przyjdą tu za chwilę, a ona nie ma jak uciec. Znalazła się w pułapce.



## ROZDZIAŁ 25

Wskoczyła do pustej celi i oparła się o zmurszałą ścianę, próbując oddychać jak najciszej. Modliła się w duchu, by strażnicy nie usłyszeli ani nie wyczuli jej obecności. Na szczęście sprawdzili tylko Toby'ego, a potem ich głosy zniknęły w oddali. Wtedy uznała, że może bezpiecznie wyjść.

- Wracają do picia - szepnął Toby przez kratę. - Powinna pani przejść bez problemów. Powodzenia, panno Sovay.

- Powodzenia, Toby.

Przeszła przez korytarz i dotknęła palcami jego dłoni, a następnie wróciła ostrożnie do kapitana.

- Toby ma klucze.

- W takim razie możemy się uważać za wolnych - powiedział Greenwood. Świeża krew pociekła mu z ust, kiedy próbował się uśmiechnąć. - Uważaj na siebie, Sovay - dodał z nagłą powagą.

- Proszę się o mnie nie martwić. Nic mi nie będzie. Niech pan się zaopiekuje Tobym i jego przyjaciółmi. Gabriel przyjedzie tu później powozem i...

Nie zdążyła dokończyć, bo przerwał jej okrzyk dochodzący z pokoju strażników.

- Znajdę go. Idź już, zanim cię złapią - powiedział i podniósł rękę w kajdankach na znak pożegnania. - Do następnego zobaczenia.

Kiedy strażnicy skupili się ponownie na kartach, Sovay przemknęła przez korytarz. Gdy dotarła do górnych pięter budynku, było już po dwunastej. Po drodze na szczęście nikogo nie spotkała i nie musiała się tłumaczyć, że zgubiła się na terenie posiadłości i przedzierała przez zarośla, stąd ta nieobecność i zmierzwiony wygląd.

Ledwie zdążyła się przebrać i doprowadzić do porządku, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

- Sovay! Gdzie ty byłaś? Wszędzie cię szukałam - lady Bingham weszła do pokoju, nie czekając na pozwolenie, i rozejrzała się z zainteresowaniem. Sovay dziękowała sobie w duchu, że schowała brudną suknię do szafy i zmięła pościel.

- Zasnęłam - odpowiedziała, pokazując na pogniecioną narzutę na łóżku. - Zmęczył mnie spacer po posiadłości.

- Wspaniałe tereny, nieprawdaż? - Lady Bingham łatwo dała się zwieść i zaczęła wychwalać arcydzieła ogrodnictwa swojego gospodarza, zamiast dociekać, co jeszcze Sovay robiła. - Nie żałował na nie pieniędzy, jak zresztą na wszystko. Jestem pewna, że nie ma drugiego takiego miejsca w całej Anglii. Obawiam się, że azalie i rododendrony już przekwitły, ale róże wypuszczają pąki. Widziałaś oranżerię?

- Nie - Sovay pokręciła głową. - Ale to, co obejrzałam, też było cudowne. Mam teraz wiele pomysłów na zaaranżowanie Compton.

- Musisz poprosić go, żeby pokazał ci oranżerię. Niesamowita kolekcja: lilie, kamelie, figi, brzoskwinie, ananasy i Bóg wie, co jeszcze. Same cuda, moja droga. Same cuda.

- A czemu właściwie zawdzięczam pani wizytę? - zapytała Sovay pewna, że kobieta nie przyszła, by dyskutować o egzotycznych roślinach.

- Mam powitać cię w Thursley. Ponieważ sir Robert nie jest żonaty, ja występuję w imieniu nieistniejącej pani domu. Jak rozumiem, przyjechaliście już wczoraj wieczorem? Sir Robert przeprasza was bardzo, ale został nagle wezwany i nie mógł powitać was osobiście. Mam nadzieję, że wszystko było dobrze?

- Tak, dziękuję, lady Bingham. Było idealnie.

- Przyszłam tu jeszcze w jednym celu - duże, niebieskie oczy lady Bingham rozbłysły tajemniczo. - Chyba nie zapomniałaś?

- O czym? - Sovay zmarszczyła brwi.

- No, jak to! - Lady Bingham przyjęła denerwująco zażyły i pochlebny ton: - Większość młodych dam tylko o tym by myślała.

- Przykro mi, lady Bingham, ale nadal nie wiem, o co chodzi.

Kobieta westchnęła i zaczęła mówić powoli, jakby zwracała się do idioty.

- Wczoraj złożyłam wizytę krawcowej w Mayfair, madame Chantal. Nalegała, żebym obejrzała pewną suknię, którą właśnie uszyła. Ponieważ nie było cię w domu i nie mogłaś odebrać jej osobiście, poprosiła mnie, żebym ją przywiozła. Twoja służąca ją ma.

- Lidia? Myślałam, że...

- Jest na dole z moją pokojówką Emilią. Przyślę ją tu zaraz. Poczekaj tylko, aż ją zobaczysz. Madame przeszła samą siebie. Wszystkie inne suknie wydają się przy tej niegustowne. To dzieło sztuki, Sovay, prawdziwe dzieło sztuki!

- Dziękuję pani za przywiezienie sukni, lady Bingham.

- Przyjęcie odbędzie się o osiemnastej trzydzieści w Salonie Lustrzanym. Bądź gotowa na czas. Widziałaś ten salon?

Sovay pokręciła głową. Nie widziała.

- Zachwycający. Podobno to kopia Szklanego Salonu z rezydencji Northumberland House. Widziałam i jeden, i drugi. Moim zdaniem salon sir Roberta jest okazalszy. Szkło sprowadzone z Francji, malarze z Włoch...

- Zbudowanie Thursley musiało kosztować ogromne pieniądze. Kogo na to stać?

- Sir Robert jest bardzo, bardzo bogatym człowiekiem - w głosie lady Bingham pojawiła się poważna nuta, jak zawsze, kiedy dama ta rozmawiała o posiadłościach lub pieniądzach. - Należy do najzamożniejszych ludzi w Anglii. Mógłby trwonić wszystko na własne przyjemności, ale on woli służbę dla króla.

- Proszę mi powiedzieć, bo tak się zastanawiam - co właściwie robi sir Robert? - zapytała nie-  
dbale Sovay.

- Istnieje wiele sposobów, w jakie dżentelmen może przysłużyć się ojczyźnie - powiedziała lady  
Bingham wymijająco. - Sir Robert odgrywa bardzo ważną rolę, możesz być tego pewna. Jaka szkoda,  
że nie ma komu tego wszystkiego przekazać.

- Nigdy się nie ożenił?

- Nie, moja droga. To najlepszy kawaler do wzięcia w całym kraju, nie licząc rodziny królew-  
skiej. Miałam nadzieję, że może Charlotta... ale niestety nie. Jest jeszcze Izabela - dama pojaśniała. -  
Podobno on lubi młodość.

Młodsza córka lady Bingham była jedenasto- czy dwunastoletnim dzieckiem o ziemistej cerze.  
Co ta kobieta sobie myśli? Sovay była oburzona.

- Nie martw się - lady Bingham źle odczytała wyraz twarzy dziewczyny i poklepała ją ze  
współczuciem. - Nie każdej tak los sprzyja jak moim córkom. Jestem jednak pewna, że w końcu i ty  
sobie kogoś znajdziesz.

Sovay ugryzła się w język, bo już chciała odpowiedzieć kąśliwie. Zamiast tego uśmiechnęła się  
tak słodko, jak tylko umiała. Na szczęście w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Sovay? Jesteś tam?

- Hugh! - wpuściła brata do środka. - Mam gościa - dodała szybko, zanim się odezwał. - Lady  
Bingham była tak miła, że postanowiła mnie odwiedzić.

- Lady Bingham - Hugh podszedł bliżej i uklonił się. - Cóż za niespodzianka.

- Panie Middleton - kobieta odpowiedziała ukłonem - jak dobrze, że wrócił pan bezpiecznie z  
Paryża - Hugh zmienił co prawda pantalon na krótsze spodnie, ale ona i tak otaksowała wzrokiem  
jego krótko obcięte włosy, nie kryjąc niechęci. - Czy to najnowsza moda we Francji? Dość niezwykła.

- Tak - odparł Hugh, a w jego oczach pojawiły się zabawne iskierki. Dotknął trójkolorowej  
wstążki w butonierce. - Mam nadzieję, że wkrótce wszędzie zapanuje - to mówiąc, przejechał ręką po  
krótkich lokach na głowie. - O wiele bardziej męska i higieniczna, nie sądzi pani?

- Być może ma pan rację, ale według mnie nie wygląda twarzowo. No cóż, muszę już iść. Jest  
tyle do zrobienia przed dzisiejszym wieczorem. Do zobaczenia później. Przyślę Lidię z twoją sukienką,  
drogie dziecko - zwróciła się do Sovay.

- Co to za sukienka? - zapytał Hugh, kiedy kobieta wyszła.

- Zamówiła u krawcowej z Mayfair - wyjaśniła Sovay. - Ale to nieważne. Mam ci dużo do  
opowiedzenia.

Szybko zrelacjonowała mu, co się wydarzyło, co odkryła w wieży i lochach. Hugh słuchał w  
milczeniu.

- Nie sądziłem, że aż tak się troszczysz o tego rozbójnika - powiedział z uśmiechem.

- Nie troszczę się! - zaprotestowała nieco zbyt gwałtownie. - Chodzi o Toby'ego i jego przyjaciół.

- Jeżeli to cię w jakiś sposób ucieszy, Dysart z pewnością nic im nie zrobi przed przyjęciem. Dlaczego miałby trwonić tak widowiskową rozrywkę? Zachowa ją dla swoich specjalnych gości.

- A co z Gabrielem? Zdąży na czas?

- Oczywiście! Ufam mu jak własnemu bratu! - Hugh wstał i podszedł do okna. - On jest dla mnie kimś więcej niż bratem. Powierzyłbym mu własne życie.

## ROZDZIAŁ 26

Sovay przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze z rozpaczą, bliska łez.

- Co się stało, proszę panienki? - Lidia nie rozumiała, dlaczego jej pani jest niezadowolona. - Wygląda panienka prześlicznie.

- Kwestia gustu - odpowiedziała Sovay, patrząc w lustro. - Ale dziękuję ci, Lidio za pomoc. Zrobiłaś, co mogłaś, teraz musisz jechać.

Lidia usiadła na łóżku. Nie chciała opuszczać panienki, ale nie miała też zamiaru jej denerwować, zwłaszcza kiedy ta była bez humoru. Była też trochę onieśmielona - w tej sukni panienka wyglądała jakoś inaczej, wydawała się starsza i jeszcze piękniejsza.

- Nie będzie mi specjalnie żal - odezwała się. - Coś tu się dzieje dziwnego. Cała służba wyjeżdża, są przestraszeni, nic nie chcą mówić. Nikt z nich tu nie mieszka, oprócz tego koszmarnego małego kamerdynera, paru lokajów i ludzi, których nazywają strażnikami. Po co mu strażnicy? I kim jest ta kobieta w okropnej peruce?

- Nieważne - Sovay odwróciła się do Lidii. - To dobrze, że służba wyjeżdża. Możesz wyjechać z nimi, nie zwracając niczyjej uwagi. Idź do bramy i poczekaj na Gabriela. Zostań z nim, cokolwiek by się działo. Musisz z nim zostać, rozumiesz? - Lidia skinęła głową i zaczęła pakować swoje rzeczy. - Dobra z ciebie dziewczyna - Sovay pocałowała ją w policzek. - Idź już.

Kiedy została sama, ponownie stanęła przed lustrem, być może z nadzieją, że zobaczy w nim coś innego, ale odbicie pozostawało nieubłagane takie samo. Nie do końca nieprzyjemne, ale nie poznawała w nim siebie. Miała wysoko upięte włosy z czarną opaską wysadzaną perłami. Lidia mocno się napracowała, by włożyć ciemne długie loki, opadające idealnymi spiralami na szyję i ramiona. Sovay nigdy wcześniej nie miała tak wydekoltowanej sukni i nie pokazywała tak dużo ciała. No i ten kolor. Ze względu na ciemną cerę, pasowały do niej jasne odcienie, założyła więc, że madame Chantal użyje tkaniny jasnożółtej, bladozielonej lub błękitnej, ale żeby coś takiego? Suknia była krwistoczerwona. Kolor pasował do jej cery, a wrażenie zostało podkreślone przez Lidie, która nałożyła na policzki Sovay trochę delikatnego różu, no i przez rumieniec, który zakwitł jej na twarzy. Suknia miała wy-

soki stan i nie mieściły się pod nią gorsety i halki, jedynie spodni lniany stanik. Przy każdym ruchu cienki jedwab przylegał jej do ciała, zupełnie jakby szła nago. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Jak ona ma włożyć suknię w takim kolorze i fasonie?

Została pokonana, musiała to przyznać. W tej małej rozgrywce zwyciężyła lady Bingham.

Nerwową analizę własnego wyglądu przerwało jej pukanie do drzwi.

- Jesteś ubrana?

- To zależy, co przez to rozumiesz.

- Ach! - wykrzyknął Hugh, wchodząc do pokoju.

- No właśnie! - jego reakcja doprowadziła ją niemal do łez. - Nie mogę jej włożyć. Jest szkarłatna! Wyglądam jak kurtyzana!

- Bo ja wiem... - Hugh przyjął minę eksperta. - Powiedziałbym, że raczej purpurowa - zaśmiał się. - A jeśli chodzi o tę drugą uwagę, to musiałabyś być bardzo ekskluzywną kurtyzaną, żeby nosić takie suknie. Uważaj! - schylił się, żeby uniknąć uderzenia lecącą w jego kierunku szczotką do włosów. - Nie denerwuj się. Tylko się droczyłem.

- Wiesz, że tego nie lubię - Sovay usiadła, czując, że gniew ją opuszcza. - Co ja mam teraz zrobić? Nawet ty byłeś zszokowany.

- Nie byłem zszokowany. Raczej zaskoczony. Zwykle inaczej wyglądasz.

- Ale co mam robić? Nie mam innej odpowiedniej sukni.

- Włożyć tę, rzecz jasna. Zrobisz furorę. Ta suknia to szczyt mody.

- Nie chcę robić furory i nigdy nie widziałam podobnej sukni, więc nie wiem, jak może być modna?

- Nie tutaj. Nie w Londynie. W Paryżu.

- Krawcowa jest Francuzką.

- No widzisz. Na pewno utrzymuje kontakty z ojczyzną. Ta suknia jest naprawdę *à la mode*, uwierz mi.

- Nie powinnam była zawierzyć madame Chantal. Lady Bingham dobrze wiedziała, że będę musiała włożyć tę suknię. Że nie będę miała niczego innego odpowiedniego na tę okazję. Pokonała mnie.

- Sovay! - Hugh odwrócił ją od lustra, by nie przyglądała się już z rozpaczą własnemu odbiciu. - Popatrz na mnie. Nie jesteś pokonana, dopóki na to nie pozwolisz. Ona chce, żebyś czuła się źle, chce żebyś rozpaczała. Nie zamykaj się w sobie, nie wstydz się. Pokaż jej, że wcale nie wygrała, że nie zostałaś pokonana. To piękna suknia, a ty jesteś piękną dziewczyną. Noś ją tak, jak powinna być noszona. A jeśli możesz na chwilę zająć myśli czymś innym, powiedz mi, jak wyglądam. Może być?

Sovay oderwała się od kontemplacji własnego wyglądu i przyjrzała się bratu. Obrócił się dookoła, by pokazać jej popielate spodnie oraz jasnoturkusowy surdut z aksamitu w panterkę, wywinął też wyłogi, by zauważyła haftowaną kamizelkę w kolorze kości słoniowej.

- Wyglądasz doskonale - powiedziała, chociaż oficjalny strój kłócił się nieco z jego krótkimi blond włosami. Loki opadające na czoło i baczki nadawały mu chłopięcy wygląd.

- Bardzo dobrze. Skoro pomyślnie przeszedłem test, panno Sovay, czy mogę mieć przyjemność zaprowadzić panią na dzisiejsze przyjęcie?

Uklonił się i podał jej nakrycie. Jego wielkie niebieskie oczy wydawały się niezdolne do zachowania powagi, a kiedy się uśmiechnął do Sovay, dziewczyna mimo rozpaczy z powodu sukni musiała odpowiedzieć mu uśmiechem. Chwycił ją pod ramię, dumny i jednocześnie pełen podziwu. Sovay wydawała się zupełnie nieświadoma własnej olśniewającej urody.

Dwóch lokajów otworzyło drzwi, a kamerdyner wmaszerował do salonu i oznajmił ich przybycie głośnym, dźwięcznym głosem, zupełnie niepasującym do drobnej sylwetki. Rozmowy ucichły, a głowy wszystkich obróciły się w ich stronę. Sir Robert Dysart odłączył się od jednej z grup, jakie się potworzyły, i podszedł, by ich powitać. Był ubrany w czarny, połyskujący jedwab i tylko końcówki białej koronki wystawały mu przy szyi i u rękawów. Jego surdut zdobiony był czarnymi jak smoła koralikami, które błyszczały w świetle rzucanym przez świece w kandelabrach. Dawało to imponujący, ale i nieco złowieszczy efekt. Dysart przypominał teraz czarne błyszczące ptaki, który siadywały na blankach i gnieździły się w wieży.

Dysart cały w ukłonach przeproszał, że interesy nie pozwoliły mu dotrzymać gościom towarzystwa i wrócić wcześniej do domu. Kłamał, ale jeśli wiedział, że oni zdają sobie z tego sprawę, nie pokazywał tego po sobie. Zresztą, może wcale go to nie obchodziło. Razem z Dysartem podeszła lady Bingham, na widok Sovay klasnęła triumfalnie, przypisując sobie zasługi za urodę i elegancję dziewczyny. Hugh odszedł, ponieważ - jak twierdził - musiał z kimś pilnie zamienić słówko, w rzeczywistości uciekł przed komentarzami lady Bingham. Kobieta kładła już rękę na ramieniu swojej podopiecznej i chciała ją zabrać jak swoją własność, ale na drodze stanął jej sir Robert.

- Ja tylko na jedno słówko, lady Bingham - powiedział i chwyciwszy Sovay pod ramię, odprowadził ją z dala od kobiety. - Chciałbym pokazać naszemu gościowi przepych mojego Szklanego Salonu, zwanego też przez niektórych Salonem Lustrzanym, zapewne domyśla się pani, dlaczego?

Poprowadził ją pomiędzy grupkami mężczyzn rozsianych po ogromnym pomieszczeniu. Sovay była zaskoczona, że jest ich tak niewielu. Trzynaście osób, nie licząc jej samej i lady Bingham. Oprócz nich, sami mężczyźni. Sir Robert wziął dla niej kieliszek szampana z tacy trzymanej przez służącego, który stał tak nieruchomo, że mógłby z powodzeniem udawać rzeźbę z hebanu. Cały czas opowiadał jej przy tym o szkle sprowadzonym z Francji, szkle ciętym z Irlandii i marmurze z Włoch. Ściany wykonane całkowicie ze szkła połyskiwały i odbijały światło świec przytrzymywanych przez srebrne

uchwyty i wspaniałe kandelabry zwieszane z sufitu. W pewnych odstępach ustawiono naprzeciw siebie ogromne lustra, dzięki którym uzyskano niepokojący efekt nieskończonych odbić salonu.

- Do tego pomysłu zainspirowały mnie wnętrza willi Nerona i Kaliguli, które widziałem w młodości we Włoszech. Tam oczywiście ściany były z porfiru, ale szkło barwione także doskonale się sprawdza... - Dysart wskazał ręką na żłobione kolumny, błyszczące od pozłoty i miedzi, oraz tafle czerwonego szkła biegnące od podłogi aż po sufit pomiędzy lustrami. - Drobinę folii zatopione w szkle migoczą w świetle - niesamowity efekt, przyzna pani?

Sovay kiwnęła głową, choć tak naprawdę przypominały jej raczej krople świeżej krwi.

- Bardzo się cieszę, że mogę panią powitać w Thursley. No i Hugh również. Szkoda, że pani ojciec nie mógł się pojawić. Chętnie przyjęlibyśmy go do naszego kręgu, chodzi o spotkania świątłych umysłów. Pani ojciec z pewnością wniósłby cenny wkład. Z zainteresowaniem czytałem jego pisma na rozmaite tematy, zwłaszcza naukowe. Sam mam podobne ambicje. Czy pani ojciec nadal przebywa w Paryżu? Jestem zaskoczony, że Hugh go tam zostawił.

- Ojciec nie czuł się zbyt dobrze... - Sovay zawiesiła głos. Przecież Dysart dobrze o tym wie.

- W takim razie życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia. Z pewnością martwi się pani, wiem, jak trudno w tych czasach o jakąkolwiek wiadomość. W Dover panuje plaga rozbójnictwa, ale zrobię, co w mojej mocy. Wysłałem już agenta, czeka w Dover. Posłaniec dostarczy mu instrukcje. To zdecydowanie bezpieczniejszy sposób niż poleganie na poczcie - w głosie Dysarta pojawiło się ostrzeżenie, spojrzał na Sovay, by się upewnić, czy je usłyszała. - Nie wiem, co pani powiedziano na temat dzisiejszego wieczoru?

- Niewiele - odparła.

- Po przyjęciu przejdziemy na kolację, a potem odbędzie się krótka ceremonia.

- Jaka ceremonia?

- Całkowicie niewinna. Proszę potraktować ją jako rodzaj szarady. To sposób, w jaki demonstrujemy naszą wiarę w oświecenie, rozum i perfekcjonizm człowieka. Co tyczy się także kobiet. Wierzy pani w te sprawy, prawda, panno Sovay?

Pochyliła głowę w odpowiedzi. Trudno było zaprzeczać.

- To bardzo dobrze - poklepał ją po ramieniu. - Nic pani praktycznie nie musi robić. A kiedy wszystko się skończy, możemy pomyśleć o sprowadzeniu pani ojca.

- A jeśli odmówię?

- A dlaczego miałyby pani odmówić? - Dysart udał zdziwienie. - Już pani mówiłem, to nic takiego. A odmówienie takiej drobnej prośbie nie będzie odebrane jako przyjacielski gest - Dysart przybliżył się, a z jego głosu zniknęły fałszywe uprzejme tony i pojawiło się czyste okrucieństwo. - Wydaje mi się, że już wcześniej o tym rozmawialiśmy. Szkoda, że pani nic sobie nie robi z moich ostrzeżeń. Będę zatem bardziej otwarty. Jeśli ktoś nie jest naszym przyjacielem, jest naszym wrogiem, a dla każ-

dego Anglika, nawet zdrowego, nie wspominając już o chorych, Francja to bardzo niebezpieczne miejsce.

Sovay spojrzała poza Dysarta na lustro znajdujące się na przeciwległej ścianie i ujrzała ich odbicia. Purpura i czerń, splecione ze sobą i rozciągnięte w nieskończoność.

Kiedy Dysart się oddalił, Sovay zauważyła ze skrzepowaniem, że budzi powszechne zainteresowanie. Suknia, którą miała na sobie, była dokładnie w tym samym odcieniu czerwieni, co szklane płytki na ścianie. Była pewna, że usłyszała słowa jedwab, purpura i kurtyzana, ale nie obchodziło ją, co myślą inni, i po początkowym szoku suknia zaczęła jej się podobać. Dumnie stawiała czoła spojrzeniom wrogim i taksującym i spoglądała na twarze ludzi natychmiast odwracających wzrok, szukając kogoś znajomego. W odległym kącie zauważyła Virgila Baretta zatopionego w rozmowie z panem Oldfieldem. Amerykanin popatrzył w jej stronę z dziwnym wyrazem twarzy, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy. Ruszyła przez salon w jego stronę, ale lady Bingham zaszła jej drogę.

- Zaraz poproszą na kolację - oznajmiła, po czym chwyciła Sovay za rękę i poprowadziła w przeciwną stronę.

Goście przenieśli się do pomieszczenia nieustępującemu świetności salonowi. Na długim bocznym stole wyłożono wystawne dania. Wszyscy zaczęli kosztować potraw, nakładać sobie to tego, to owego, a lady Bingham pospieszyła z talerzem, chcąc załapać się na najlepsze kęski, zanim nie znikną z półmisków. Sovay wykorzystała tę niespodziewaną wolność i zaczęła rozglądać się za Virgilem lub Hugh.

- Panie Barrett - podeszła do Amerykanina. - Nie widział pan mojego brata?

- Wydaje mi się, że wyszedł na chwilę na świeże powietrze - uśmiechnął się Amerykanin. - Podobno z blanek roztacza się wspaniały widok.

- Doprawdy? - Sovay uniosła brew. Chciała wiedzieć, co Hugh tam robi, ale wiedziała, że lepiej nie pytać. - Mam wrażenie, że pan mnie dziś unika - powiedziała, wracając na neutralny grunt.

- Ależ skąd - odparł. - W życiu!

- Tak to wygląda.

- Jak mam się do pani zbliżyć, skoro cały czas jest przy pani przyzwoitka, zupełnie jakby była pani dziewczynką na pierwszym balu.

- Teraz nie ma przy mnie nikogo.

- Nie - powiedział, rozglądając się dokoła. - Nie ma.

- A jednak nadal patrzy pan na mnie dziwnie.

- Przepraszam, nie chciałem - powiedział. - Tylko że jest pani... - zaczął, ale przerwał. - Wygląda pani... - nie był w stanie spojrzeć jej prosto w oczy i stał, rozglądając się na boki. - A niech mnie licho, nie wiem, co powiedzieć.



- Uważa pan, że wyglądam jak kurtyzana, to chciał pan powiedzieć? - zapytała, czując, jak jej gniew narasta.

- Ależ absolutnie nie! - zawołał z oburzeniem i poczerwieniał na twarzy. Ściszył głos, uświadamiając sobie, że chwilę wcześniej go podniósł. - Wręcz przeciwnie, mogę panią zapewnić.

- O co w takim razie chodzi?

- O to, że... Chodzi o to - zaczął, ale pokręcił głową. Dziewczyna w niczym nie przypominała uosobienia Flory, jakie zapamiętał ze swojej pierwszej wizyty w Compton, kiedy ujrzał ją wychodzącą z ogrodu. - Nie ma znaczenia, co ja myślę. Mam sprawę znacznie większej wagi - powiedział, a jego głos przybrał nagły ton. - Mimo tego, co pani powiedziała, przez cały wieczór próbuję się do pani zbliżyć. Musi pani o czymś wiedzieć...

Sovay nigdy się nie dowiedziała, co chciał jej powiedzieć ani co myślał o jej wyglądzie i co w nim tak go uderzyło, bo nagle u jej boku znalazła się lady Bingham, wysłana skinieniem głowy przez sir Roberta. Wkrótce miał się zacząć kolejny etap wieczoru i kobieta miała sprawować nad Sovay specjalną pieczę. Od tego momentu nikt nie miał prawa zbliżyć się do dziewczyny.

Kapitan Greenwood stał wraz z Tobym na murach i rozglądał się po okolicy. Noc była jasna, na niebie błyszczało mnóstwo gwiazd, od horyzontu po horyzont, ale ich światło przytłumione było blaskiem księżyca. Pełnia księżyca. Pierwsza po wiosennym zrównaniu dnia z nocą, ulubiona noc członków bractwa. Dzisiaj zaroi się od nich na wrzosowiskach. Gdzieś niedaleko odezwało się poszczekiwanie lisa, przerywając nagle ciszę czystym dźwiękiem. Toby drgnął przestraszony. Ci miastowi chłopcy na niczym się nie znają. Wszystko było tu obce i dziwne dla Toby'ego, ale przynajmniej miał bystry wzrok i znalazł lampion. Wosk był jeszcze ciepły, ktoś najwyraźniej nadawał z góry jakieś sygnały.

- Spokojnie - rozbójnik dotknął ramienia chłopaka. - To tylko lis.

Toby na razie spisywał się doskonale. Teraz jednak nie wolno mu było tracić ducha. Greenwood potarł nadgarstki, bo kajdany zdarły mu skórę. Pokonanie skołowanych dzinem strażników i zostawienie ich w lochach związanych i zakneblowanych nie było trudną sztuką.

- Czego właściwie szukamy? - zapytał dzielnie Toby, chociaż drżał ze zdenerwowania, a może z zimna.

- Cii - szepnął Greenwood i położył palec na ustach. - Głos się tu niesie. Czekamy na znak.

- Jaki znak?

Greenwood pokręcił głową. Nie był pewien jaki, ale pamiętał z czasów służby wojskowej, że nie należy ruszać za wcześnie. Nie mieli pojęcia, jak liczebne są siły po drugiej stronie. Była tu z pewnością służba, no i ludzie pełniący rolę strażników więziennych. Greenwood podejrzewał, że trafili tu więźniowie i najgorsze szumowiny z armii, ale i tak byli to twardzi ludzie. Kto jeszcze? Posiadłość była tak ogromna, że mogła pomieścić całe wojsko. A po ich stronie? Ranny chłopiec i kilka dziwek,

które mogą walczyć jak lwice, albo - równie dobrze - pochować się po kątach. Mogą wpaść w szal i wszcząć Bóg wie jaki alarm, a potem uciec albo zgubić się w ciemności. Nie można było przewidzieć ich zachowania. To tak, jakby dowodzić stadem kotów. Co prawda to nie Greenwood sprowadził je do Thursley, ale i tak czuł się za nie odpowiedzialny. Uznał, że najlepiej będzie zostawić je tam, gdzie są, przynajmniej chwilowo. Zaczął chodzić tam i z powrotem, zagniewany i sfrustrowany. Chciał pomóc Sovay, instynkt mówił mu wyraźnie, że grozi jej niebezpieczeństwo, ale nie mógł wiele zdziałać w pojedynkę, tylko ze wsparciem Toby'ego.

Był tak zatopiony w myślach, że to Toby pierwszy coś zauważył.

- Kapitanie, tam! - chłopak pociągnął go za rękaw.

- Co? - Greenwood rozejrzał się po okolicy, lustrując dokładnie teren. - Co widzisz?

- Światło. I jeszcze jedno - Toby pokazał palcem. - W tych drzewach.

Greenwood wpatrywał się w ciemny park, ale nic nie mógł dostrzec.

- Jesteś pewien?

- Tak. I jeszcze coś - chłopak pociągnął go za rękaw w drugą stronę. - Powóz ze zgaszonym światłem, właśnie wjechał na wzniesienie.

Greenwood poczuł ekscytację. Wyostrozony wzrok chłopaka przysłużył się im po raz drugi. To właśnie to! Niewyraźny szary zarys na tle ciemności jak powóz widmo z legendy. Ukazał się ich oczom na chwilę, a potem zniknął pod baldachimem gęstych drzew obsadzających aleję.

Nasłuchiwali uważnie, ale nie słyhać było chrzęstu kół na żwirze. Pojazd musiał się zatrzymać albo woźnica wytłumił czymś koła. Greenwood chwycił się kamiennego gzymsu, aż pobiełały mu kostki rąk. To na pewno Gabriel. Któż inny zajeżdżałby tak ukradkiem? Miał nadzieję, że Gabriel przywiózł ze sobą posiłki, w przeciwnym razie jego obecność nie zda się na wiele.

Nagle dał się poczuć zapach, ostry i gryzący. Kapitan odwrócił głowę, węsząc jak pies. Z dołu unosił się dym i odpływał w ciemną noc.

- Tam, kapitanie! - Toby znowu pociągnął go za rękaw na drugą stronę wieży. - Na dole!

Intuicyjnie ukucnęli, żeby nikt nie zobaczył ich z dołu. Greenwood pełzł po wieży, aż znalazł otwór pomiędzy zębami blanek, zza którego był niewidoczny, a sam wszystko dobrze widział.

- Co oni robią? - szepnął Toby.

- Nie wiem.

Dołem szła procesja ludzi, po bokach maszerowali służący z pochodniami. Kolumnę prowadził Dysart. W świetle pochodni czarny jedwab jego surduta mienił się zielenią, zupełnie jak grzbiet wielkiej muchy. Tuż za nim szło sześć par mężczyzn równym, ostrożnym krokiem. Byli ubrani w jaskrawe stroje wieczorowe, ale zachowywali się cicho i poważnie jak mnisi.

Sovay szła w tyle pochodu w towarzystwie lady Bingham, która znajdowała się tak blisko, jakby trzymała ją za rękę. Procesja skręciła w ścieżkę obrosniętą wysokim żywopłotem cisów i sunęła

labiryntem w kierunku okrągłej świątyni. W blasku księżycy błyszczał okrągły dach budynku wyrastający pomiędzy gałęziami wysokich sosen. Po co tam szli? Dlaczego? Sovay nie była chyba więźniem, wydawało się, że idzie z własnej woli, ale było coś w tej dziwnej procesji, co nie podobało się kapitanowi, coś, co przywodziło mu na myśl tajemny rytuał. Greenwood patrzył za nimi, dopóki wysoki żywopłot i gęste zarośla nie przysłoniły mu widoku.

Kiedy procesja zniknęła z pola widzenia, uznał, że można się ruszyć.

- A co z Jackiem i resztą? - zapytał Toby, kiedy schodzili po schodach.

- Niech zostaną na razie tam, gdzie są - odparł kapitan. - Wydaje mi się, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Potem po nich wrócimy. Nie chcę, żeby biegali dookoła i przyciągali uwagę.

Greenwood i Toby znaleźli się właśnie na zewnątrz budynku i poruszali się ukradkiem wzdłuż murów. Kapitan nie miał przy sobie swojego pistoletu, ale na jednej z galerii znalazł całkiem porządny rapier.

- Dokąd idziemy? - zapytał Toby.

- Do stajni, pożyczymy sobie konia. Sądząc po tym, co widziałem z wieży, stajnie są w północno-wschodniej części posiadłości.

- A gdzie to jest?

- Tam - pokazał Greenwood. - Tylko bądź już cicho.

W kuchni tętniło życie, słychać było rozmowy służby, ale stajnie tonęły w ciemności. Jeżeli z gośćmi przyjechali jacyś lokaje, woźnice lub chłopcy stajenni, z pewnością jedli i pili, wiedząc, że nie będą potrzebni.

Stajnie oświetlało jedynie światło księżycy, dobywające się przez okna. W środku panowała cisza przerywana pojedynczymi prychnięciami i uderzeniami kopyt o podłogę. Kapitan zostawił Toby'ego na czatach, a sam znalazł sobie siodło i poszedł po konia. Znał się na koniach, a zwierzęta go lubiły. Przeszedł obok wszystkich boksów, przemawiając cicho do koni. W końcu wybrał spokojną kasztankę. Nie chciał konia z temperamentem, który by ciągle dreptał i bryka!. Wyprowadził klacz z boksu i osiodłał, cały czas mówiąc do niej szeptem. Wyjechał ze stajni po cichu i zatrzymał się przy Tobym.

- Wskakuj z tyłu. Pojedziemy do parku spotkać się z powozem widmem.

## ROZDZIAŁ 27

Wejścia do świątyni broniło dwóch strażników ubranych w jakieś orientalne zbroje. W świetle pochodni nachodzące na siebie metalowe płytki błyszcząły na ich skórzanych tunikach i pikowanych spódnicach. Na dłoniach mieli rękawice i dzierżyli halabardy o długich, zakrzywionych ostrzach. Trzymali je skrzyżowane, broniąc wstępu. Kiedy Dysart podszedł bliżej, wycofali broń. Jednocześnie otworzyły się skrzydła wielkich drzwi z brązu, zupełnie jakby stanowiły część tego samego mechanizmu. Tylko krople potu na brązowych twarzach strażników i błyszczące białka ich ciemnych oczu pod szerokimi hełmami świadczyły o tym, że byli to żywi ludzie, a nie mechaniczne urządzenia z kolekcji Dysarta.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, drzwi zamknęły się na naoliwionych zawiasach z głuchym łoskotem, a halabardziści ponownie skrzyżowali broń. Nagły powiew powietrza spowodował migotanie pochodni; w efekcie wokół półkolistego wejścia zaczęły tańczyć dziwne, baśniowe cienie. Na żółtej kamiennej ścianie wisiał rząd czarnych szat, zwieszonych niczym wrony na żerdzi.

Mężczyźni podeszli do kołków, oznaczonych złotymi rzymskimi liczbami i zabrali swoje szaty: czarne, bez ozdób, z szerokimi rękawami i kapturami, przypominające habity mnichów. Kiedy je włożyli, zniknęły wszelkie cechy indywidualne. Tylko Dysart wyróżniał się złotymi insygniami, będącymi symbolem piastowanego stanowiska, pozostałych nie można było rozpoznać. Stali się Zakonem Illuminatów.

Otworzyły się następne drzwi z brązu i mężczyźni w czarnych szatach zniknęli w ciemnej komnacie. Virgil, Hugh oraz pan Oldfield poszli za nimi. Sovay zaczęła się bać, że popełniła katastrofalny błąd. Być może ich lojalność wobec towarzystwa była większa niż więzy krwi i przyjaźń.

- Uspokój się, moja droga - lady Bingham spojrzała na nią łagodnie i poklepała po ręce. - To tylko taka zabawa, wiesz, jak mężczyźni lubią się przebierać.

Jej słowa wcale nie pocieszyły Sovay. Odeszła od swojej strażniczki w kierunku potężnych wewnętrznych drzwi. Spojrzały na nią rzeźbione twarze ohydnych potworów i lubieżnych satyrów. Zadrżała. W kamiennych murach panował chłód, a jej zabrano okrycie. Postanowiła jednak, że nie pokaże po sobie strachu - bez względu na to, jaki los czeka na nią za drzwiami.

Drzwi otworzyły się i dwie zakapturzone postacie wprowadziły ją do komnaty. Odwróciła się, oczekując, że lady Bingham pójdzie za nią, ale kobieta nawet się nie ruszyła.

To tylko zabawa, powiedziała sobie lady Bingham. Wiele kobiet przeszło przez podobny rytuał, zanim zostały przyjęte w szeregi *Illuminati*: siostry i córki członków, nawet ona sama wiele lat wcześniej, kiedy jeszcze była młodą dziewczyną. Sovay zapewne została uprzedzona, poinformowana o tym, jaką rolę ma zagrać. Może to ostatnie spojrzenie dziewczyny albo myśl o tym, że to ona powinna była ją przygotować, w każdym razie lady Bingham złagodniała w ostatniej chwili, a w jej oczach po-

jawił się niepokój. Ogarnięta nagłym lękiem zrobiła krok do przodu, ale drzwi już się zamykały. Było za późno. Sovay została uwięziona ze swoim przeznaczeniem.

Naprzeciwko Wielkiego Mistrza stał półokrąg zakapturzonych postaci z pochylonymi głowami. Sir Robert Dysart znajdował się na cokole przed prostym kamiennym ołtarzem, ustawionym w niszy utworzonej przez naturalną skalę. Z góry, przez osadzoną w ścianie soczewkę, świecił promień czerwonego światła - Wszystkowiedzące Oko Illuminatów.

Dysart uniósł trzymany w rękach miecz i skierował jego końcówkę na zgromadzonych.

- Jeśli ktoś wstąpi w szeregi zdrajców lub dopuści się krzywoprzysięstwa - zaczął - ten miecz służy jako przypomnienie, że wszyscy bracia wystąpią przeciwko wiarołomcy. Nie znajdzie on spokoju w żadnym miejscu na świecie, a wstyd i poczucie winy oraz zemsta braci będą go ścigać aż do śmierci.

Zebrani pochylili głowy na znak głębokiego posłuszeństwa. Kaptury przysłaniały im twarze, Sovay nie potrafiła ich rozróżnić, powiedzieć, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem.

- Czy przysięgacie wieczne milczenie i nieskończone posłuszeństwo wobec przełożonych oraz zasad obowiązujących w zakonie? Czy wyrzekacie się osobistych opinii i poglądów, dobro zakonu przedkładacie ponad własne i przysięgacie służyć zakonowi aż do ostatniego tchu?

- Przysięgamy - odpowiedział mu chór męskich głosów.

- Nie podoba mi się to - Hugh wykorzystał rytualną odpowiedź, by szepnąć słówko do Virgila, który stał obok. - A co jeśli on będzie chciał to zrobić? Powstrzymam go!

- Jeszcze nie teraz! - Virgil położył mu rękę na ramieniu. - Musimy poczekać, aż złożą przysięgę.

- Czy przysięgacie - kontynuował Dysart - zerwać więzi z ojcem, matką, bratem, siostrą, żoną, rodziną, przyjaciółmi, królem i Kościołem oraz wszystkimi innymi, którym obiecaliście wiarę posłuszeństwo i lojalność?

- Przysięgamy.

- Od tego momentu jesteście zwolnieni z przysięgi wierności państwu, z obowiązku przestrzegania praw i poddawania się tyranii królów i rządów - Dysart podniósł miecz ponad swoją głowę w geście błogosławieństwa. - *Homo est Deus*. Żyćcie w duchu Twórczego Ognia i Oświecającego Światła!

Przysięga została złożona. Wierność zakonowi miała być ważniejsza od wszystkiego, od lojalności wobec króla i kraju, i w świetle prawa była dowodem zdrady państwowej.

Dysart odwrócił się w stronę Wszystkowiedzącego Oka. Hugh i Virgil próbowali zrobić krok do przodu, ale zablokował ich ciasny mur zakapturzonych postaci. Dwóch asystentów chwyciło Sovay pod ręce i poprowadziło w kierunku ołtarza: marmurowej płyty w kolorze starego wosku. Płyta miała wyszczerbione brzegi, a jej powierzchnia pełna była rys wypełnionych ziemią, zupełnie jakby przeleżała wiele lat pod powierzchnią i dopiero niedawno została wydobyta z jakiejś starożytnej pogańskiej

świętyni. W niektórych miejscach na kamieniu widniały czerwone plamy - może to naturalne wybarwienie skały, a może porowata powierzchnia przybierała kolor krwi ofiary.

Sovay otworzyła szeroko oczy. Próbowala wyzwolić się z uchwytu, ale prowadzący ją mężczyźni byli zbyt silni. Pchnęli ją w stronę ołtarza, twardy kamień uderzył ją z tyłu kolan i niewiele brakowało, a straciłaby równowagę i upadła na poplamioną płytę. Dysart zbliżył się do niej, trzymając gotowy nóż. Tylko ona widziała zachłanność w jego oczach, rozszerzające się nozdrza, radosny grymas na myśl o czekającej go przyjemności. Miała wrażenie, że on już widzi czerwoną krew lejącą się na purpurę sukni, czuje gorący, żelazisty smak krwi płynącej prosto z jej serca. Gdzie są Hugh i Virgil? Gdzie jest pan Oldfield? Dlaczego nikt nie próbuje jej ratować? Czy lojalność wobec bractwa jest silniejsza niż miłość braterska i przyjaźń?

To miał być akt rytualnego wprowadzenia. Symboliczna ofiara. Często kobieta będąca ofiarą, działając pod wpływem podekscytowania i euforii przyłączała się do uciech, które następowały po „ceremoniach” Dysarta. Wielu zgromadzonych miało nadzieję, że tak będzie z tą piękną dziewczyną w sukni ujawniającej jej wspaniałą figurę. Kiedy Dysart podniósł miecz, wśród mężczyzn zapanowało poruszenie, niespokojne oczekiwanie, graniczące z przeczcuciem. Nagły ruch z jednej strony komnaty został niezauważony, bo zgromadzeni drżeli z ekscytacji. Czy Dysart naprawdę ma zamiar przeprowadzić to do końca?

- Dość tego! - rozległ się czyjś okrzyk. Prowadzący ją ludzie stanęli w pół kroku, ale chwycili ją mocniej. Tymczasem głos kontynuował. - Ogłaszam niniejsze zgromadzenie jako wywrotowe, a wszystkich tu obecnych oskarżam o zdradę stanu oraz jawne i publiczne wystąpienie przeciwko królowi, prawu i praworządnej władzy w naszym kraju.

Dysart obrócił się ma pięcie. Miecz w jego rękę wyglądał teraz jak zwykły rekwizyt teatralny.

- Oldfield! I co pan zamierza z tym zrobić?

Virgil i Hugh przepchnęli się na przód zgromadzenia. Zdjęli kaptury i stanęli przez Dysartem.

- Ogłaszam was odstępcami! - wrzasnął Dysart i odgrodził się od nich mieczem. - Możecie uważać się za martwych!

- Być może - odkrzyknął Oldfield, a Hugh i Virgil okrążyli Dysarta - ale jak się pan za chwilę przekona, do Thursley dojeżdżają właśnie urzędnicy sądowi ze stosownymi nakazami aresztowania - powiedział i rozejrzał się po zakapturzonych ludziach. - Mają ze sobą posiłki pozwalające na aresztowanie wszystkich tu obecnych. Być może nawet już tu są.

Na wspomnienie urzędników sądowych i nakazów aresztowania zgromadzeni zareagowali zmieszaniem. Dobiegające z zewnątrz strzały oraz łomot do drzwi i głosy domagające się wpuszczenia, sprawiły, że zmieszanie przerodziło się w panikę. Iluminad zdjęli kaptury, ukazując blade i przestraszone oblicza. Znów stali się zwykłymi ludźmi, a złowroga ceremonia głupawą zabawą. Mężczyźni rozbiegli się we wszystkie strony, próbując uciec za wszelką cenę, ale wiedzieli, że znaleźli się

w pułapce. Niektórzy zdarli z siebie szaty, z rozpaczą pragnąc pozbyć się wszystkich regaliów, inni rzucili się do drzwi holu, gotowi wyważyć drzwi, by tylko wydostać się z kompromitującej komnaty.

Hugh podszedł do siostry, okrył ją swoją szatą i przytulił. Sovay dygotała. Pozornie wydawała się spokojna, nie płakała, jednak przez cały czas strach rozpuszczał ją jak kwas. Najbardziej bała się nie Dysarta i tego, co może jej zrobić, ale zdrady. Tego, że przysięga złożona zakonowi była prawdziwa, a Hugh i Virgil, którym ufała najbardziej na świecie, mogą zwrócić się przeciwko niej. To ją prawie zupełnie rozstroiło. Kiedy przywarła do Hugh, jeszcze się gdzieś w głębi niej czaił ślad tego strachu, ale wkrótce stała się silna, silniejsza niż wcześniej, zdecydowana, że przyczyni się do upadku Dysarta.

- Nic ci nie jest? - zapytał Hugh.

Zaprzeczyła, cały czas kryjąc twarz na jego ramieniu.

- Na pewno? - spojrzał na nią, podnosząc palcami jej brodę.

- Oczywiście. To była tylko zabawa - powiedziała i uśmiechnęła się, ale Hugh zauważył, że oczy miała pełne łez.

- Gdzie jest Dysart? - przerwał im Virgil.

W całym zamieszaniu wielki mistrz gdzieś zniknął.

## ROZDZIAŁ 28

Sir Roberta nie było ani w głównej komnacie, ani pośród zamieszania w sali z ołtarzem. Wale nie do drzwi nasilało się. Oddziały znajdujące się na zewnątrz wkrótce wejdą do środka. Oldfield próbował zaprowadzić porządek, gra się skończyła.

- On nie może uciec! - krzyknął Hugh, rozglądając się za śladami ucieczki Dysarta.

Sir Robert najwyraźniej rozplynął się w powietrzu, zupełnie jakby rzeczywiście miał nadprzyrodzone zdolności. W końcu jednak Virgil zauważył, że niektóre kamienie za ołtarzem wyglądają na przesunięte. Tworzyły wejście otwierane przez ukryty mechanizm, który nie do końca je zamknął. Virgil i Hugh siłą utworzyli na tyle szerokie przejście, by się przez nie przedostać.

Virgil zdjął ze ściany pochodnię i wcisnął się do środka.

- To wejście do tunelu. Musiał tędy uciec.

Hugh ruszył za nim, ale kiedy Sovay chciała iść w jego ślady, powstrzymał ją.

- Nie, Sovay. Zostań z Oldfieldem. To może być niebezpieczne.

- A to, że o mały włos nie zostałam złożona w ofierze, nie było? - zaśmiała się ponuro. - Nie, Hugh. Idę z wami.

Nie mogła zapomnieć wyrazu oczu Dysarta, kiedy ciągnęli ją na ten okropny ołtarz. Przez niego czuła się nieczysta, zbrukana. Na samo wspomnienie policzki paliły ją ze wstydu. Nie będzie czekać, aż inni go złapią. Miała z nim porachunki, musi być obecna przy jego złapaniu.

- Niech idzie z nami, Hugh - zawołał Virgil. - Nie mamy czasu na sprzeczki. Sovay wykazała się większą odwagą niż większość mężczyzn, których znam, a Dysart z każdą minutą coraz bardziej się oddala.

Virgil skierował w ich stronę pochodnię, oświetlając komnatę, w której stali. Znajdowali się w labiryncie tuneli wykutych w miękkiej skale. Z kredowych kamieni spoglądały na nich dziwne kształty i groteskowe twarze, ale trudno było powiedzieć, czy zostały wyrzeźbione przez pogan, czy stanowiły element dziwaczných rytuałów Dysarta. Tuż nad wejściem, w głębokiej wnęce, wisiało czerwone światło umiejscowione tak, by świeciło dokładnie przez środek wyrzeźbionego oka. Z tej strony murów, Wszechwidzące Oko wydawało się zaledwie tandetnym obrazkiem, przypominającym lampiony z rzeźby rzeźbione przez wiejskie dzieci.

Tunel z każdym krokiem zwał się i obniżał, prowadząc w głęboką ciemność. Daleko przed nimi widać było zmniejszający się z każdą chwilą płomyk pochodni Dysarta.

- Nie możemy stracić go z oczu - powiedział Virgil. - On zna te tunele, a my nie. Nie wiemy, jak wielki tworzą labirynt ani którądy on pójdzie.

Dysart doskonale zdawał sobie sprawę z własnej przewagi. Przyspieszył kroku i przez chwilę wydawało im się, że go zgubili. Virgil prowadził ich w ciemności, skręcając to w jedną, to w drugą odnogę tunelu, prowadzony intuicją, aż w końcu ich wysiłek został nagrodzony i ujrzeli daleko przed sobą czerwony błysk. Powietrze zaczęło cuchnąć, czuć było stęchliznę. Sovay zauważyła, że pochodnie gasną. Wkrótce zatopi ich całkowita ciemność, bez drogi do przodu i bez możliwości powrotu. Zostaną tu na zawsze, a Dysart ucieknie.

Hugh chwycił ją za rękę.

- Musimy trzymać się razem. Liczyłem kroki, żeby oszacować odległość - szepnął. - Jeżeli Dysart zmierza do głównej części budynku, już powinien być blisko.

- A jeśli nie? - odpowiedziała szeptem. - A jeżeli chce uciec Przez jakieś dalsze skrzydło?

- W takim razie idzie w złym kierunku - Hugh ścisnął ją mocniej. - Mój wewnętrzny kompas działa nawet pod ziemią.

Sovay uśmiechnęła się do siebie. Jeśli Hugh ma rację, nadal mają szansę złapać Dysarta, a Hugh nigdy się nie gubi. Kiedy byli dziećmi i bawili się w lesie, on zawsze wiedział, gdzie się znajdują i bez względu na to, jak bardzo się oddalili od domu, potrafił odnaleźć drogę powrotną.

- Po co miałby wracać? - szepnęła. - Dlaczego nie próbuje uciekać?

- Nie mam pojęcia. Kto wie, co dzieje się w głowie szaleńca?



Tunel kończył się niewielkimi żelaznymi drzwiczkami. Były uchylone, ktokolwiek tędy szedł, z pewnością nie miał czasu ich zamknąć. Za drzwiami zaczynały się stopnie i prowadziły do wąskich, spiralnych schodów, znajdujących się już nad powierzchnią ziemi. Przez lancetowate okna sączyła się bladoszrebrzysta poświata księżycy. Chociaż Dysart już dawno zniknął za pierwszym zakrętem, słyszeli jego pospieszne kroki na schodach. Ruszyli za nim. Od czasu do czasu zasłonięte kotarami drzwi prowadziły do głównej części budynku, ale Dysart wspinał się coraz wyżej. Nadal stanowiło zagadkę, dlaczego człowiek ten uciekał przed nimi tylko po, by wspiąć się na wieżę.

Nagle kroki ucichły. Virgil dał im znak ręką, że mają iść cicho i ostrożnie. Zbliżyli się do laboratorium. Sovay rozpoznawała ten charakterystycznie drażniący zapach środków chemicznych i rozkładającej się żywej materii.

Dysart stał przy ceglany piecu i wrzucał do niego papiery i dokumenty, niszcząc wyniki swoich ohydnych eksperymentów, które tu przeprowadzał. Przypominał oszalałego alchemika otoczonego tajemniczymi urządzeniami i pękatymi miedzianymi destylatorami, z jezorami ognia dookoła.

Był tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie zauważył, że weszli. Dopiero kiedy znaleźli się w laboratorium, odwrócił się gwałtownie, jakby został przyłapany na gorącym uczynku. Stanęli przerażeni. Przez moment wydawało im się, że Dysart przeszedł jakąś diabelską, okropną metamorfozę. Na klatce piersiowej i brzuchu miał nałożony owalny pancerz. Szara maska, którą założył na twarz, świeciła czerwienią płomienia z paleniska, a wielkie, wyłupiaste oczy błyszczały zielono i odbijały jezory ognia. Zasyczał coś na ich widok, wciągając powietrze przez liczne otwory w masce.

Miał na sobie specjalną odzież, zaprojektowaną tak, by chroniła go podczas przeprowadzanych doświadczeń. Kolejne papiery rozpuszczały się właśnie w stojącym na ławie pojemniku pełnym żrącego kwasu. Dysart podniósł stertę papierzyk i przycisnął je do piersi.

- Nikt nie ukradnie mojej pracy. Nikt - jego głos był przytłumiony i zniekształcony przez kratkę przesłaniającą usta. - Moje rządy zapoczątkowałyby złoty wiek nauki nieograniczonej sprawami sumienia i marnej etyki. Życie ludzkie jest niczym! Wiedza jest wszystkim! Gdzie są prawa, o których bełkoczenie w obliczu doniosłego postępu odkryć naukowych? Człowiek to pył, ziarno na przemiał, mielone pomiędzy wielkimi kamieniami wiedzy. Nic nie wiecie. Stoicie tu i patrzycie, ignoranci, zupełnie jak dzieci, głupi i bezmyślni jak barbarzyńcy przed świetnością Rzymu.

Rzucił w powietrze trzymane w ręku papiery, poszybowały w górę, a potem opadły na podłogę. On sam podszedł do drugiego końca ławy, wziął dużą butelkę z półki i potrząsnął, podziwiając lepki ruch cieczy na dnie naczynia i jej zielonkawożółty odcień.

- Widzicie? Bardzo ciekawa substancja. Moje własne odkrycie, ukradzione później przez Niemca Scheelega. Nazwał je kwasem solnym pozbawionym flogistonu. Oczywiście tak zwana teoria flogistonu została obalona, ale niestety, nie mamy teraz czasu na omówienie tej interesującej kwestii - w czasie, kiedy przemawiał, Hugh i Virgil przemieszczali się nieznacznie, gotowi w każdej chwili rzu-

cić się na niego i odciąć mu drogę ucieczki. Dysart chwycił mocniej za szyjkę butelki. - Nie zbliżajcie się, panowie. Wykład jeszcze się nie skończył. Jak już powiedziałem, to bardzo interesująca substancja. Jak wskazuje na to nazewnictwo Sheelego, w jej skład wchodzi zwykła sól. Całkowicie bezpieczny związek niezbędny do życia, z czym się zapewne zgodzicie. Po smaku można poznać, że znajduje się w waszym pocie, panowie, i w pani łzach, moja droga. I w naszej krwi. Ale to - potrząsnął butelką, wzburzając zawartość, z której wytrąciły się zielonkawożółte opary - to coś zupełnie innego. Wypłukuje kolory z kwiatów i jest niezwykle trująca dla ludzi i zwierząt. Wiem z eksperymentów, naukowych eksperymentów, że pali skórę, oślepia oczy i rozpuszcza tkankę płuc tak, że człowiek topi się we własnej krwi!

To mówiąc, cisnął butelkę o ziemię. Hugh i Virgil odskoczyli do tyłu. Z rozlewającej się cieczy uniosły się zielonkawe wyziewy o ostrym zapachu ananasa zmieszanego z papryką.

- Zakryjcie usta! - krzyknął Virgil. - I nosy!

Dysart popędził do głównych drzwi, przewracając za sobą lampę, żeby zapewnić sobie bezpieczny odwrót.

Usłyszeli zgrzyt przekręcanego klucza w zamku, jednocześnie rozlana substancja wsiąkła w papiery i popłynęła w kierunku buchającego ogniem pieca. Wiedzieli, że za moment przypadkowa iskra z paleniska zamieni pomieszczenie w morze ognia.

- Z powrotem! Z powrotem na schody! - krzyknął Virgil, machając rękoma, by odpędzić opary o smaku metalu, które zatykały nos, gardło i płuca, utrudniając oddychanie. - Nie! Nie na dół! Gazy idą na dół! Schody są wąskie, nie przeżyjemy! Do góry! Musimy iść do góry!

Na szczyt wieży prowadziły dziesiątki schodów. Sovay prawie nie widziała, gdzie stawia stopy, bo oczy jej okropnie łzawiły, a w klatce piersiowej czuła taki ciężar, jakby przydusiła ją pięść olbrzyma. Gardło miała obolałe, każdy oddech sprawiał jej trudność, charczała i rzeziła. Hugh, który od dziecka miał problemy z płucami, zatrzymywał się co chwilę, zgięty w ataku kaszlu. Virgil szedł z tyłu i ich popędzał.

- Dalej. Dalej - wołał głosem ochrypłym od gazu. - Już niedaleko.

I kiedy Sovay pomyślała, że nie zrobi już ani kroku dalej, tak piekły ją nogi i klatka piersiowa, schody nagle zakręciły i znalazła się pod gołym niebem. Oparła się o mur, łapczywie chwytając hausty świeżego powietrza, tuż za nią pojawił się Virgil, zgiął się w pół i zwymiotował. W końcu wyszedł też Hugh. Upadł na ziemię, więc podeszła, by mu pomóc. Oddychał nierówno i płytko, jakby nie mógł złapać więcej powietrza.

- Pomóż go podnieść - krzyknęła do Virgila, ale Amerykanin nie słuchał, zapatrzony do góry.

Sovay tak ucieszyła się, że znaleźli się na powietrzu, a potem zajęła się bratem, że zupełnie nie zauważyła wielkiego kształtu, który wisiał ponad nimi. Spojrzała teraz zaskoczona do góry. Na nocnym niebie wznosił się balon, wielki kulisty wór, otoczony mocną siatką. Przypominał jej znane z

dzieciństwa ilustracje, z balonem w lazurowym kolorze, ozdobionym licznymi obłokami. Na rysunku złoty rydwan boga Apollo pędził przez niebiosa w towarzystwie psotnych podniebnych duchów. Robili z Hugh miniaturowe wersje rydwanu, podpalając stogi siana, za co zwykle im się obrywało. Obserwowali, jak rozświetlone ogniem kulki papieru sunęły po wieczornym niebie i marzyli, że sami też tak kiedyś polecą. Sovay nigdy wcześniej nie widziała prawdziwego balonu i do tego tak blisko. Była to olbrzymia konstrukcja przywiązana do wbitych w kamienną posadzkę obręczy mocnymi, naprężonymi sznurami. Niektórzy spośród przyjaciół papy latali już czymś takim, ale on sam uważał, że to zbyt niebezpieczne, i nigdy nie zdobyłby się na coś równie lekkomyślnego.

Virgil podszedł do Sovay i wspólnymi siłami pomogli Hugh wstać.

- Przepraszam - wyszeptał. Głos z trudem wydobywał się z jego krtani.

- Nie szkodzi - Virgil oparł go o mur. - Musiałeś sporo nawdychać się tego diabelskiego gazu.

Zostań tu, dopóki nie wrócą ci siły. Sovay, musisz mi pomóc - Virgil porzucił konwenanse. Po chwili wciągnął nosem powietrze. Sovay zrobiła to samo i poczuła zapach spalenizny. - Obawiam się, że nie zostało nam wiele czasu.

Pod wielkim balonem tkwiła wiklinowa gondola w kształcie łodzi, wypełniona workami z piaskiem, kocami oraz odzieżą. Był tam nawet kosz piknikowy z szampanem i różnymi smakołykami.

- Dysart pomyślał o wszystkim. Jeśli go jeszcze kiedykolwiek spotkamy, musimy mu podziękować - Virgil uśmiechnął się ponuro.

- Co to właściwie tu robi? - zapytała Sovay, spoglądając na balon.

- Przypuszczam, że to miała być jeszcze jedna niespodzianka Dysarta. Poranny lot po nocy spędzonej na rozpuście. Kolejna rzecz, która miała zachwycić jego gości. Dysart uwielbia się popisywać, a to był także jego sposób na ucieczkę z rezydencji. On szybko myśli, to trzeba mu oddać. No dobrze, musimy teraz przymocować gondolę do balonu. Widzisz te zwisające sznury? Trzeba je przywiązać tu, tu i tu.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że polecimy tym czymś?

- Oczywiście. A jak inaczej mamy się stąd wydostać?

Sovay zamilkła i zaczęła robić to, co jej polecił. Swąd spalenizny stawał się coraz wyrazistszy, a dym wydobywał się kłęбами z wejścia na wąskie schody niczym z komina. Laboratorium Dysarta z pewnością płonęło żywym ogniem.

Kiedy wszystko było gotowe, Virgil pomógł Hugh wejść do gondoli. Mężczyzna nadal oddychał z trudem, ale zdobył się na słaby uśmiech.

- Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi? - szepnął, a Sovay skinęła głową. - Zawsze o tym marzyliśmy

- dodał, zwracając się do Virgila.

Kiedy wszyscy znaleźli się w gondoli, Virgil zaczął piłować liny przywiązujące balon do podłoża. Sovay chwyciła nóż Hugh i przysłała mu z pomocą. Uważnie przecinała odpowiednie liny, zła kolejność mogła spowodować przechylenie się gondoli.

- Teraz! Razem! Szybko!

Zostały im ostatnie dwa sznury, kiedy z okien laboratorium Dysarta buchnęły jęzory ognia. Sovay poczuła uderzenie fali gorąca.

- Szybciej! Balon napełniony jest wodorem - zawołał Virgil. - Jeżeli się nie uwolnimy, wylecimy w powietrze jak kula ognia.

W końcu udało się przeciąć ostatnią linę i balon ruszył do przodu, podskakując na posadzce. Zaczął wznosić się, ale podmuch gorącego powietrza ze spiralnego wejścia na wieżę sprawił, że przesunął się gwałtownie w bok, a dno gondoli zahaczyło o jedną z wieżyczek.

Virgil chwycił za tyczkę i zaczął odpychać się gorączkowo. Gondola jednak ani drgnęła.

- Nic nie działam - powiedział i odrzucił tyczkę. - Muszę wyjść.

- Nie! - krzyknęła przerażona Sovay, ale Amerykanin już przełożył obie nogi i po chwili stał na wąskich blankach wieży, jakieś sto metrów nad ziemią. Seria dudniących wybuchów zatrzęsała posadami wieży. Virgil przytrzymał się lin zwisających z gondoli i skoczył na gzyms. Wiklina gondoli zaczepiła się o ozdobę na szczycie iglicy.

- Sovay! Daj mi tę tyczkę!

Wychyliła się z gondoli i podała mu to, o co prosił.

- Parę uderzeń powinno wystarczyć. Przesuńcie worki z piaskiem na drugą stronę gondoli i pojdźcie tu, kiedy zawołam. Bądźcie gotowi.

Virgil obwiązał się liną w pasie i zaczął odpychać tyczką gondolę, by uwolnić ją z zaczepu. W powietrzu latały iskry niczym robaczki świętojańskie, płatki palącego się papieru wirowały dookoła, wprawione w ruch potężnym kominem powietrznym. W każdej chwili któreś z nich mogło osiąść na balonie. Wystarczyłyby sekundy, by żarząca się cząstka spaliła cienką warstwę pokrytego gumą jedwabiu i wywołała wybuch gazu. Virgil starał się o tym nie myśleć. Pracował metodycznie, cierpliwie wyplątując gęstą wiklinę z kamiennej iglicy. Gdyby zaczął panikować, cała jego praca poszłaby na marne, nie udałoby mu się uwolnić balonu i uratować pasażerów.

Balon wciąż nie ruszył się z miejsca. Gondola tkwiła zaczepiona mocno o czubek wieży, a wiatr pchał ją jeszcze na nią. Czas było wypróbować inny sposób.

Amerykanin znalazł łączenie pomiędzy elementami i uderzył z całej siły w iglicę, raz, a potem drugi. Po trzecim uderzeniu, iglica zaczęła się chwiać. Zaparł się mocno, musiał być gotowy, bo jeśli nie zdąży, zginą. Tylko on potrafił latać balonem.

- Teraz!

Głos Virgila dobiegł spod dna gondoli. Sovay przekulała się na drugą stronę, ciągnąc za sobą Hugh. Wcześniej zdołała przenieść większość worków z piaskiem i teraz środek ciężkości przesunął się na jedną stronę, a gondola niebezpiecznie się przechyliła. Serce jej zamarło, bo już myślała, że wypadną. Na szczęście Virgil stanowił przeciwwagę.

Wyjrzała z gondoli, spodziewając się, że go zobaczy, ale nie było go widać. Przyjrzała się uważnie krawędzi kosza, myśląc, że ujrzy jego ręce, ale ich też nie było. A jednak czuć było jego ciężar, zapobiegający przechyleniu się gondoli, co mogło oznaczać tylko jedno... Otworzyła szeroko oczy i zakryła dłonią usta, powstrzymując jęk. A więc Virgil zwisa bezradnie, nie mogąc wejść do gondoli. Lecieli teraz wysoko, wieża została w dole, gdzieś na uboczu. Jak długo jeszcze tak wytrzyma, ile czasu minie, zanim zmęczenie i słabość wezmą nad nim górę i spadnie setki metrów w dół, gdzie czeka go pewna śmierć? Chciała rzucić się w jego stronę, sprawdzić, gdzie jest, zaproponować pomoc, ale Hugh chwycił ją za rękę.

- Jeśli to zrobisz, przechylisz kosz i wszyscy spadniemy.

- Będę ostrożna, Hugh. Muszę iść.

Uwolniła się z uchwytu i zaczęła przesuwac się powoli na drugi koniec kosza, ignorując protesty brata.

Wychyliła się z gondoli. Virgil wspiął się po linie, którą był obwiązany w pasie. Wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wejść do kosza. Chwycił podaną dłoń i podciągnął się, wpadając jej prosto w ramiona.

Wokół nich rozległ się trzepot czarnych skrzydeł - ptaki gnieźdzące się na wieży wzbily się w powietrze, otaczając ich gęstą, ciemną chmurą. Powietrze przepelniały ich ostre krzyki i łopot potężnych skrzydeł. Pióra ptaków srebrzyły się w świetle księżyca, a one same wznosiły się coraz wyżej, krążąc wokół wieży. Najwyraźniej wyczuwały instynktownie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

- Patrzcie! - Virgil przyciągnął Sovay do krawędzi gondoli. Tam, w dole.

Balon z każdą sekundą piał się coraz wyżej, rezydencja Dysarta wydawała się uciekać przed nimi, a jej elegancki kształt krucyfiksu wyglądał z tej odległości jak rysunek architekta. Sovay dostrzegala krużganki i galerie, stromy dach nad wielkim holem wejściowym, okrągłe wieże i kwadratowe wieżyczki zakończone iglicami.

Niewiarygodnie wysoka wieża stała dumnie niczym wielki ołówek na tle ciemnego, nocnego nieba. Nagle, gdzieś z wewnątrz dobiegł ich dźwięk potężnych wybuchów. Wieża zadrżała w posadach, jakby zatrzęsała się pod nią ziemia. Ze wszystkich stron posypały się iskry: białe, niebieskie, zielone, czerwone i fioletowe, przypominające fantastyczne fajerwerki. Saletra, proch, fosfor i sól. Bóg wie, jaką diabelską mieszaninę substancji chemicznych Dysart trzymał w swoim laboratorium.

Po fajerwerkach pojawiły się wielkie jężory ognia i dalsze eksplozje. Sovay wychyliła się z gondoli, by lepiej widzieć i zamarła z przerażenia. Z wielkim jękiem i łomotem wieża zaczęła się walić.

Daleko, daleko, na ziemi maleńkie postacie, z tej wysokości przypominające owady, stały jak urzeczone, zafascynowane najpierw pożogą i fajerwerkami, a potem zaskoczone widokiem szybującego po niebie balonu. Teraz rozbiegły się we wszystkich kierunkach, próbując ratować życie.

Hugh wyjrzał z drugiej strony gondoli. Patrzyli w dół, starając się rozpoznać w uciekających panicznie ludziach swoich znajomych. Zdenerwowanie przerodziło się w poczucie okropnej bezradności. Waląca się wieża pochłonie zarówno wrogów, jak i przyjaciół.

Tymczasem balon wznosił się coraz wyżej, a wiatr pchał ich na południe.

## ROZDZIAŁ 29

Lecieli nie wiadomo dokąd, zawieszeni pomiędzy niebem i ziemią. Wiatr pchał ich cały czas na południe, a mijane krajobrazy oświetlone były księżycową poświatą. Sovay z zapartym tchem patrzyła w dół. Oto świat z pozycji, z której tylko nieliczni mieli okazję go oglądać. Pod nimi rozciągały się zacienione pola, ograniczone liniami żywopłotów i ciemnymi pasmami lasów. Księżyc zamieniał jeziora w zwierciadła, a Tamiza wiła się w kierunku uśpionego miasta niczym szeroka srebrna wstążka. Tu i ówdzie widać było pojedyncze domy, maleńkie niczym dziecięce zabawki. Wsie i osady tworzyły skupiska albo rozciągały się wzdłuż białych nitek dróg. Pełne śpiących ludzi, nieświadomych tego, że ktoś spogląda na nich z góry. Czasem balon opuszczał się niżej, tak że można było dostrzec ciemne kształty zwierząt: koni i krów stojących na pastwiskach niczym posągi albo owiec wyglądających na tle pagórków jak rozrzucone kokony jedwabników. Wtedy Virgil nakazywał przerzucić piasek na drugą stronę i znowu wznosili się wyżej.

- Dokąd lecimy? - zapytał Hugh.

- Dokąd nas wiatr poniesie - odparł Amerykanin. - Miejmy nadzieję, że nadal będzie wiał w kierunku południowym. Wylądujemy przed świtem, potem ruszymy na wybrzeże, a stamtąd do Francji.

- Patrzcie! Patrzcie tam!

Sovay wskazała w kierunku, z którego przylecieli. Pod nimi galopował jeździec na koniu, najwyraźniej próbował ich dogonić.

- Widzę go! - zawołał Hugh, wychylając się tak mocno, jak tylko mógł. - To musi być Greenwood.

Pokiwał swoją chustką, a jeździec odpowiedział skinieniem kapelusza.

- To on! - przyłączyła się Sovay. - Jestem tego pewna! Wyrzała z gondoli, modląc się w duchu, żeby to był kapitan.

Może jednak nie wszyscy zginęli kiedy runęła ta monstualna wieża. Skoro Greenwood żyje, to może przeżyli też inni: Lidia, Gabriel, Oldfield, Toby i jego przyjaciele. Niewinni ludzie złapani w sidła diabelskiej maszyny Dysarta. Przygniatała ją myśl, że tyle osób straciło życie, teraz jednak strach opadł, a pojawiła się nadzieja.

- Zaczyna świtać - Virgil wskazał na rysującą się na wschodzie nieba plamę w kolorze szafranu. - Rozejrzę się za jakimś miejscem do lądowania. Lepiej, żebyśmy nie lecieli za dnia, wzbudzimy zbyt duże zainteresowanie. Postaram się wylądować tak, żeby nie stracił nas z oczu.

To mówiąc, odkręcił zawór, przez który ulatniał się gaz i ziemia nagle zaczęła się przybliżać, a przestraszone krowy pierzchały na wszystkie strony. Lądowanie okazało się łagodniejsze, niż Sovay się spodziewała. Delikatne uderzenie gondoli o ziemię i po chwili wypadli na trawę porastającą niski pagórek.

Wkrótce potem nadszedł Greenwood, prowadząc za uzdę wyczerpanego konia.

- Aleście mnie zdezorientowali - powiedział i rzucił się na trawę obok nich. - Dobrze, że Toby ma bystry wzrok.

Chłopiec ześlizgnął się z grzbietu konia i podszedł do nich chwiejnym krokiem. Sovay zapytała o Gabriela i Lidie, czy są cali i zdrowi.

- Byli, kiedy ich widziałem po raz ostatni. Razem byli - powiedział i zmarszczył brwi, przez co w jasnym osadzie, który nadal pokrywał jego twarz, pojawiły się bruzdy. - Zupełnie, jakby świat się kończył. Wielkie kamienie wałęsały się z góry, wszędzie pył. Miałem szczęście, że kapitan zachował przytomność umysłu, bo leżałbym teraz pod gruzami jak inni. Jackowi też nic się nie stało, był ze mną. Kapitan nas uratował. Matka Pierce nie miała już tyle szczęścia. Została z niej tylko peruka na stosie kamieni. Pewnie zginęła pod zawałoną wieżą. Na pewno, bo nikt jeszcze nie widział jej żywej bez peruki.

Toby zaśmiał się słabo. Nie miał wobec kobiety żadnego długu wdzięczności. Wniosła do jego krótkiego życia tylko rozpacz i poniżenie, a on nie był skłonny do fałszywego sentymentu. Jeśli chodziło o Toby'ego, świat był zdecydowanie lepszy bez Matki Pierce.

- A co z panem Oldfieldem? - zapytała Sovay.

- Bezpieczny - powiedział Greenwood. - Kiedy go widziałem ostatnio, był zajęty przygotowaniem obławy na spiskowców.

Wszelki ślad zaginął jednak po Dysarcie. Greenwood i Toby nie posiadali się z radości, zakładając, że stracił życie w eksplozji. Nikt, kto znajdował się w wieży, nie mógł przeżyć takiego wybuchu.

- Nie mamy na to żadnego dowodu - odparł Hugh. - Jego budynek to labirynt tajnych przejść. Mógł uciec, zanim ogień się rozprzestrzenił.

- Nawet jeśli przeżył - argumentował kapitan - będzie zupełnie zdyskredytowany.

- Miejmy nadzieję - Virgil zmarszczył czoło. - Może jednak lepiej nie stawiać na nim tak szybko krzyżyka. Tak czy inaczej, nie wiecie może, gdzie się znajdujemy?

- W hrabstwie Kent - odpowiedział Greenwood. - Znam dobrze kraj, to między innymi dzięki temu mogłem za wami jechać. Niedaleko stąd jest miasto. Pojadę po konie, znam tam jeden zajazd, a karczmarz jest mi winien przysługę - to mówiąc, wstał i przeciągnął się. - A potem wracam do Londynu. Zobaczę, co tam u pana Oldfielda. Wiem, co sądzi o ludziach mojej profesji - uśmiechnął się smutno - ale jestem gotów zaoferować mu swoje usługi. Jedziesz ze mną, chłopcze?

Toby nigdy wcześniej nie wyjeżdżał poza Londyn, to była jego pierwsza podróż za miasto. Wielkie zielone przestrzenie przerażały go. Krowy wróciły dawno do skubania trawy, ale cały czas spoglądały w jego stronę.

- Pewnie tak - skinął głową. - Jeśli nie ma panienka nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie mam - uśmiechnęła się Sovay. - Miej tam oko na moje sprawy.

Greenwood wrócił z końmi i pieniędzmi na zakup potrzebnych rzeczy, bo opuszczając w pośpiechu Thursley, nie zabrali ze sobą niczego. Nie chciał słyszeć o odmowie ani podziękowaniach.

- Wy też zrobilibyście dla mnie to samo, gdyby role się odwróciły. A zresztą, czym są pieniądze? - zapytał, uśmiechając się. - Mogę zdobyć więcej, jeśli będą mi potrzebne. Dokąd teraz zamierzacie jechać? Co chcecie zrobić?

- Pojedziemy do Francji - odparł Virgil. - Najpierw jednak muszę udać się do Dover, żeby załatwić odpowiednie dokumenty i przeprawę.

- Popłyniecie z Dover?

- Nie - Amerykanin pokręcił głową. - Zbyt wiele śledzących oczu, za dużo szpiegów. Znajdę jakieś małe miasteczko na wybrzeżu i popłyniemy stamtąd.

- Słusznie - powiedział Greenwood i wsiadł na konia. - Oby wam dopisywało szczęście. Niech ci się wiedzie - zwrócił się do Sovay, przytrzymując jej strzemień. - Poradziłbym ci, żebyś wróciła ze mną do Londynu, ale wiem, że mnie nie posłuchasz, a nie chcę gadać po próżnicy. Jeszcze nigdy wcześniej nie spotkałem kobiety tak lubiącej ryzyko i przygodę. Bądź ostrożna, Sovay. Życie jest takie cenne. Nie chciałabyś przekonać się o tym na własnej skórze.

Uśmiechnął się i mrugnął do niej, ale zanim wymyśliła jakąś celną ripostę, już odjechał razem z Tobym.

Nie tylko on próbował ją przekonać do powrotu. Kiedy dojechali do najbliższego miasta, Hugh i Virgil zaczęli nalegać, by wróciła do Londynu następnym dyliżansem. Nie udało im się jej przekonać, Sovay nie chciała słuchać. Skoro oni są gotowi jechać do Francji, to ona też.



- W tej chwili wszyscy cudzoziemcy są podejrzani, nawet Amerykanie - powiedział jej Virgil. - Nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa. Mnie może uda się wykorzystać specjalny status, jaki mi przyznano, ale nie wiem jeszcze, jak długo.

Sovay nie dała się odwieść od podjętej decyzji.

- Nic mnie to nie obchodzi, jestem gotowa podjąć ryzyko. Nie będę siedziała w domu trawiona strachem i wątpliwościami, podczas gdy dwie osoby, które kocham najbardziej, znajdują się w niebezpieczeństwie. Wolę dzielić je z nimi. Hugh i papa to mój cały świat, czym byłoby moje życie bez nich?

Virgil odwrócił się do Hugh.

- Na mnie nie patrz! - zaśmiał się Hugh. - Ja nigdy nie byłem w stanie do niczego jej zmusić. Skoro chce, niech jedzie - powiedział i chwycił ją za rękę. - Przynajmniej będziemy razem.

Virgil wzruszył ramionami. Rodzeństwo było najwyraźniej szalone i niezwykle uparte. Zrobił, co w jego mocy, żeby ich przekonać, a przecież sam nie był pewny własnego położenia i bezpieczeństwa. Hugh miał dokumenty. Według nich pochodził z Genui i był siostrzeńcem swojego dawnego nauczyciela, obecnie obywatela Fernanda, członka Konwentu Narodowego. Fernand był bardzo wpływowym człowiekiem, do tej pory jego pozycja gwarantowała młodemu „krewniakowi” skuteczną ochronę, ale okoliczności mogły się przecież zmienić.

- No dobrze - zgodził się. - Zrobię, co się da, żebyśmy dostali się do La Havre, a potem w głąb Francji. Co będzie dalej, tego nie mogę przewidzieć.

Kupili potrzebne rzeczy i dojechali do starego portu w Rye. Virgil uznał, że miasteczko będzie idealne dla ich celów, zapomniane przez ludzi, ale doskonale znane przemysłowcom, a do tego mające port odpowiedni dla niedużych statków.

Zostawił ich w zajeździe Ship i obiecał, że wróci, kiedy tylko załatwi przewóz. Co - jego zdaniem - powinno zająć dwa, góra trzy dni.

Virgil wrócił dopiero po tygodniu.

- W porcie czeka na nas kecz - powiedział, dołączając do nich w pokoju, który zajmowali w gospodzie. - Popłyniemy rano - Virgil nalał sobie wina i wyjął z kieszeni portfel. - Musiałem jechać do Londynu, żeby załatwić papiery dla Sovay. Będziesz podróżowała jako panna Sophie Weston, obywatelka amerykańska i... - zamilkł na chwilę, a potem odchrząknął: - ... jako moja narzeczona. Wiem, że to szokujące - powiedział, widząc wyraz jej twarzy - i że nie są to zbyt romantyczne oświadczenia, ale mam nadzieję, że wszyscy rozumieją - przeniósł wzrok z Sovay na Hugh - że nie pozwolę sobie na żadną poufałość. To jedyny sposób na bezpieczny przejazd, jaki przyszedł mi do głowy.

Sovay nie wiedziała, co powiedzieć, ale Hugh uśmiechnął się szeroko i poklepał Amerykanina po plecach.

- Gratulacje, mój drogi. Muszę powiedzieć, że jesteś zdecydowanie lepszym narzeczonym niż jej ostatni wybranek. Życzę wam obojgu szczęścia - podniósł kieliszek i zaśmiał się z ich zażenowania.  
- Za narzeczonych!

Ani Sovay, ani Barrett nie przyłączyli się do toastu.

- Mam jeszcze inne wieści - powiedział Amerykanin poważnym tonem. - Musiałem udać się do Londynu po dokumenty, a skoro już tam byłem, odwiedziłem Oldfielda. Dał mi to - Virgil przekazał im list. - Niestety, obawiam się, że wieści nie są dobre.

Hugh otworzył kopertę i położył list na stole, żeby Sovay też mogła go zobaczyć. W trakcie czytania krew odpłynęła mu z twarzy.

6 czerwca 1794

Oldfield & Oldfield

Pilgrim Court przy Carter Lane, Londyn

*Drogi panie Hugh i panno Sovay Middleton*

*Pomyślałem sobie, że zawiadomię Was niezwłocznie o tym, jak sprawy się mają. Niestety, nie wszystko poszło zgodnie z planem.*

*Ostatnio zajmuję się przygotowaniem obrony w procesie przeciwko przyjaciółom Skidmore'a. Niektórzy zostali oskarżeni o działalność wywrotową, inni o zdradę stanu. Chciałbym wierzyć, że żaden sąd ich nie skarże, ale nie jestem tego pewien. Z przykrością muszę poinformować, że Wasz przyjaciel Gabriel także został aresztowany i oskarżony o udział w tak zwanej bitwie na Vine Street. Zarzuca mu się udział w spisku na podstawie zeznań Fitzwilliama.*

*Jednak większość oskarżeń została skierowana przeciwko Wam. Krótko mówiąc, jesteście uznani za francuskich szpiegów i oskarżeni o kradzież dokumentów rządowych, spowodowanie eksplozji, zniszczenie mienia, próbę zamordowania różnych osób z rządu i Bóg wie, o co jeszcze. To wszystko dlatego, że przechwycenie nieszczęsnej korespondencji Dysarta zostało obrócone przeciwko Wam. Tymczasem Dysart wcale nie został zdyskredytowany, jak mieliśmy nadzieję, ale rośnie w siłę. Wydarzenia, które nastąpiły w Thursley, zostały podane w zafalszowany sposób i przedstawione jako zorganizowany przez Was nikczemny spisek, mający na celu wzniecenie rewolucji na ziemiach brytyjskich. Dysart jest bardziej przebiegły niż sądziliśmy i wykorzystuje powszechny lęk przed wprowadzeniem francuskiego terroru w rządzie i społeczeństwie. Będę nadal gromadził wszystkie możliwe dowody, z nadzieją, że moi klienci zostaną uniewinnieni, a prawdziwe intencje Dysarta wyjdą na jaw. Jeśli wybieracie się do Francji, proszę, żebyście także i tam zbierali dowody przeciwko niemu. Podejrzewam, że sporo ich się znajdzie. Nie mogę tego na razie dowieść, ale sądzę, że Dysart cały czas kontaktował*

się z silami rewolucyjnymi za pomocą podwójnych agentów. Aby przedstawić to w sądzie, musimy mieć dowody. To jedyny sposób, by go pokonać.

*Z uniżeniem Graham Oldfield*

Zdrada stanu. Sovay i Hugh spojrzeli po sobie. Teraz już nie było odwrotu. Kobiety karano za zdradę państwową spaleniem na stosie.

Sovay obserwowała, jak brzeg Anglii oddala się coraz bardziej, a potem blednie na horyzoncie. Półmrok ustąpił miejsca jasności poranka. Nie wiedziała, jaki los ją czeka i kiedy - jeśli w ogóle - ujrzy znowu ziemię ojczyste. Jeżeli nie oczyści się z zarzutów, będzie skazana na wieczne wygnanie.

Dzień był przyjemny. Wynajęty przez Virgila Barretta kecz wyglądał jak łódź rybacka, co miało zmylić patrole wojskowe. Sunął po wodzie szybko i lekko, więc wkrótce ląd zniknął zupełnie z pola widzenia. Na falach widać było białe grzebienie - wspomnienie odległych sztormów. Hugh nie czuł się zbyt dobrze, więc położył się w kajucie, ale Sovay została na pokładzie, niezrażona okazjonalnym prysznicem morskiej wody. Virgil sam sterował łodzią, miał do pomocy dwóch ludzi, którzy przyjechali z nim z Dover oraz dwóch miejscowych z Rye - przemytników znających wszystkie okoliczne kanały i pływy, doświadczonych w unikaniu blokad zakładanych przez wojsko.

Kiedy wypłynęli na morze, dołączył do niej. Sovay wyraziła swój podziw wobec jego umiejętności obsługi steru i żagli.

- Nauczyłem się tego jako mały chłopiec. Mój wuj był dowódcą w marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych - uśmiechnął się ironicznie. - Oczywiście, dla marynarki brytyjskiej jesteśmy tylko korsarzami.

- Nie wiedziałam, że byłeś piratem. Kryje pan w sobie wiele niespodzianek, panie Barrett - uśmiechnęła się Sovay. - Nie wyglądasz na pirata.

- To dobrze - odpowiedział, uśmiechając się. - Kluczem do bezpieczeństwa jest dobre maskowanie się. Miejmy nadzieję, że sprawdzi się to w naszym przypadku i marynarka wojenna weźmie nas za statek rybacki.

- Co tak naprawdę przewozimy?

- Broń. Pistolety i naboje dla ludu. No i jedzenie - pszenicę, mąkę, masło, sery. W republice brakuje tego wszystkiego. I jeszcze parę towarów luksusowych - mydło, świece, kakao, cukier i kawę...

- Cukier i kawę? - Sovay nie kryła zdziwienia wobec faktu, że Virgil podejmuje takie ryzyko, by przewieźć to, co brzmiało jak lista zakupów pani Crombie.

- Mam szczególnego klienta - uśmiechnął się. - Muszę mu dogadzać.

Nagle Virgil został wezwany na stanowisko obserwacyjne.

- Na horyzoncie widać okręt marynarki - oznajmił po powrocie. - Wygląda, że to fregata szóstej klasy. Mała, jak na fregatę, ale o wiele szybsza od nas. Musimy uciekać w kierunku brzegu. Zejdź lepiej pod pokład.

Hugh nie za bardzo rejestrował, co się dzieje i czym to grozi. Sovay położyła się na przeciwległej koi i chwyciła się liny nad głową, bo statek wykonał gwałtowny manewr. Pośród chlupotu wody i skrzypienia drewna, dał się słyszeć przytłumiony wystrzał armatni, a po nim następne, coraz głośniejsze i bliższe. Kadłub trząsał się mocno, a woda lała się przez właz. Sovay zamknęła oczy przekonana, że za chwilę zostanie rozerwana na kawałki albo wrzucona gwałtownie do wody, a statek rozpadnie się na części.

W końcu łódź zwolniła i wyprostowała kurs. Sovay otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą uśmiechniętego Virgila. Miał mokre i zmierzwione włosy, a w szaroniebieskich oczach widać było ekscytację pościgiem.

- Było blisko, ale udało nam się ich zgubić. Chodźmy na pokład! - wyciągnął ręce i pomógł jej wstać z koi.

Wyszła na zewnątrz, by zobaczyć po raz pierwszy Francję. Wybrzeże, które rozciągało się przed ich oczami nie różniło się zbyt od tego, które zostawili za sobą: niskie klify nad jasnymi plażami, przzerwane zatoczkami, a za nimi zielone pola. A jednak był to inny kraj, z innym językiem i jedynym w swoim rodzaju miejscem w historii.

Francja, na którą patrzyła Sovay, była republiką, toczącą wojnę z połową narodów europejskich, w tym jej własnym. Będzie tu traktowana jako wróg, ale niestety, nie miała wyboru. Musiała iść do przodu. Bez względu na niegościnną i wrogą tego kraju to tu właśnie przebywał jej ojciec, chory, a może i znajdujący się w niebezpieczeństwie. Nagle poczuła na swojej dłoni czyjąś rękę. U jej boku stanął Hugh, a na jego twarzy rysowała się taka sama determinacja jak na jej własnej.

- Znajdziemy go, Sovay - powiedział. - Znajdziemy i zabierzemy do domu. Dysart nie wypędzi nas z ojczyzny. Zbierzemy przeciwko niemu dowody i pokonamy go raz na zawsze.

## ROZDZIAŁ 30

Wkrótce wpłynęli do potężnego portu w Hawrze. Dookoła widać było skutki jego blokady przez flotę brytyjską: puste doki, stojące beczynnie statki, jednak tam, gdzie oni zacumowali, panował ruch, ludzie przenosili beczki i worki przez otwarte drzwi dużego magazynu. Nie pozwolono im opuścić pokładu, zamiast tego wyszedł im na spotkanie komitet powitalny urzędników celnych w niebieskich mundurach. Skrupulatnie wszystko sprawdzali i byli niezwykle podejrzliwi, zwłaszcza w stosunku do pasażerów. Sovay miała niepokojące przeczucie, że ich wyprawa do Francji może się skończyć, zanim jeszcze się na dobre zaczęła. Wrażenie to nasiliło się, kiedy pojawił się oddział Gwardii Narodowej. Żołnierze w biało-niebieskich mundurach z białymi, czerwonymi i niebieskimi wstęgami, reprezentującymi barwy republiki, ustawili się na nabrzeżu, tymczasem ich dowódca wmaszerował przez kładkę na pokład.

Był wyższy od Virgila, a mundur podkreślał jeszcze długie nogi i szerokie ramiona. Jak na tak dużego mężczyznę poruszał się z wielką gracją. Sovay dawała mu nie więcej niż dwadzieścia trzy lata, ale z drugiej strony mundur miał wypłowiały, podniszczony i obwieszony odznaczeniami, jakby wiele przeżył. Mimo młodego wieku nie był to człowiek, którego można było zlekceważyć. Popatrzył po zebranych i spod prostej linii gęstych brwi spojrzęły na nich duże, inteligentne oczy o niezwykłym kolorze, oscylującym pomiędzy ciemną zielenią a brązem.

- I co my tu mamy? - zapytał.

Główny urzędnik celny wystąpił do przodu, żeby złożyć wyjaśnienia, ale został powstrzymany.

- Ja się tym zajmę, obywatelu - oznajmił gwardzista naturalnym dla siebie rozkazującym tonem.

- Jestem pewien, że ma pan inne pilne obowiązki do wykonania w imię rewolucji. Nie będę pana dłużej zatrzymywał.

Mężczyzna zaczął argumentować, że sprawy celne należą do jego kompetencji, ale ustąpił pod złowrogim spojrzeniem gwardzisty. Urzędnicy spojrzeli po sobie. Żadnemu z nich nie uśmiechała się sprzeczka z tym wielkim człowiekiem i jego uzbrojonymi ludźmi, więc zeszli z pokładu bez dalszych oporów,

- Przejdźmy może na dół - powiedział - Tam się wytłumaczycie.

Kiedy tylko znaleźli się w kajucie, Virgil i gwardzista uścisnęli się jak bracia.

- Obywatel Barrett! - zawołał żołnierz radośnie. - Virgil! Jak dobrze widzieć, że wracasz bezpiecznie - to mówiąc, spojrzął na Hugh i Sovay i zmarszczył czoło. - Kogo z sobą przywiozłeś?

- Hugo Valette - odparł Virgil. - Siostrzeniec obywatela Fernanda, członka Konwentu. A to moja kuzynka, Sophie Weston - dodał bez mrugnięcia okiem. - Moja... eee... narzeczona.

Gwardzista zmierzył Sovay od stóp do głów i gwizdnął przez niewielką przerwę między przednimi zębami.

- *Veinard!* - powiedział.

- Co to znaczy? - zapytała Hugh szeptem.

- Z grubsza biorąc: „ty szczęściarzu” - odpowiedział jej, też szeptem.

Sovay poczerwieniała. Francuz miał bliznę na górnej wardze, a niezbyt subtelne rysy twarzy nie kwalifikowały go do miana przystojnego, ale było w jego wyglądzie coś fascynującego, co jej nie dawało spokoju. Chciała odwrócić wzrok, ale zatrzymało ją spojrzenie jego ciemnozielonych oczu. Nie potrafiła oderwać od niego wzroku, choć zuchwałość jego spojrzenia jeszcze bardziej ją onieśmiała.

Francuz pierwszy odwrócił wzrok i zdjął szeroki kapelusz z piórami.

- Obywatelu, obywatelko - pokłonił się lekko każdemu z nich, chociaż wszystkie przejawy nadmiernego szacunku były postrzegane jako relikty dawnego ustroju. - Kapitan Théodore Léon, do usług. Mam eskortować was do Paryża - powiedział i spojrzał ponownie na Sovay, jakby jej obecność go niepokoiła. - Virgil - zwrócił się do Amerykanina. - Mogę z tobą na słówko?

Odeszli na bok, a Hugh i Sovay stali zakłopotani i milczeli. Mężczyźni zaczęli się sprzeczać, a choć mówili po francusku, Sovay na tyle знаła ten język, że rozumiała, iż mówią o niej.

- Oszalałeś? Żeby ją tu przywozić? W takiej sytuacji? Ty chyba myślisz nie głową, a... - tu padło słowo, które Sovay nie rozumiała, a Hugh nie kwapił się, by je przetłumaczyć.

- Nic nie rozumiesz - Virgil odciągnął gwardzistę jeszcze dalej.

- To jeszcze większe szaleństwo - Léon wrócił z powrotem tam, gdzie stał. - Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz? Jej obecność nam wszystkim zagraża. Muszę to zgłosić, bo zostaniemy przez nią aresztowani i skazani.

Sovay wyprostowała się. Była zmęczona, zdenerwowana i nieco wystraszona, ale nie mogła pozwolić, by mówiono o niej w taki sposób ani temu człowiekowi, ani komukolwiek innemu.

- Nie jestem głupia, kapitanie - odezwała się wystudiowaną francuszczyzną. - Nie przyjechałam tu w poszukiwaniu przygód. Nie pozostawiono mi żadnego wyboru, ale inni ten wybór mają. W tym także pan. Nie proszę pana o ochronę. Proszę tylko, żeby pozwolił nam pan robić, co do nas należy.

Gwardzista najwyraźniej nie spodziewał się takiej reakcji. Popatrzył na nią przez chwilę i potarł ciemny, krótki zarost na brodzie.

- Obawiam się, że to niemożliwe, *mademoiselle* - odpowiedział z wyszukaną kurtuazją. - Jestem zobowiązany eskortować was, aby zapobiec wszelkim próbom przechwycenia dostaw, które wiezie obywatel Barrett. Poza miastem bywa niebezpiecznie, a my nie chcemy, żeby miejscowi oficjale sądzili, że mogą bezkarnie dysponować towarami przeznaczonymi dla armii republikańskiej i mieszkańców Paryża. Moja misja polega na zapewnieniu wam bezpiecznego przejazdu. Proszę nie narażać się na niepotrzebne zagrożenie. Kiedy wysiądziecie, proszę żebyście to założyli - podał im trójkolorowe rosety. - Od tego momentu nie wolno wam pokazywać się bez nich publicznie.

Posuwali się dość wolno, ograniczeni prędkością wozów bagażowych. W mijanych wsiach pozamykano okiennice, wszędzie widać było biedę i nędzę. Ziemie były żyzne, ale leżały odłogiem, a nieliczne pasące się zwierzęta wyglądały na chore i zaniedbane. Jedynymi ludźmi, jakich widzieli, były wynędzniałe kobiety, dzieci o pustym wzroku i niedołężni starcy. Wszyscy sprawiali wrażenie zagłodzonych.

Od czasu do czasu pomiędzy drzewami można było zauważyć zamki i wspaniałe rezydencje, zabite deskami, z zamkniętymi okiennicami - opuszczone przez właścicieli, którzy uciekli z kraju na emigrację. Przejeżdżali przez wsie, widząc opustoszałe kościoły, ze zniszczonymi fasadami, okaleczonymi i rozbitymi rzeźbami aniołów oraz patriarchów. Tu tabliczka została zabrana do skarbcza republiki, tam dzwon zdjęty i zawieszony do odlewni, by przetopiono go na armatę. W niektórych miejscach pokruszone i połamane pozostałości po drewnianych lub gipsowych figurach świętych stały po czerniały od ognia jak niezliczone Joanny d'Arc. Przez zdjęte z zawiasów drzwi kościelne przemykały wychudłe zwierzęta, jakby to, co było niegdyś domem modlitwy, teraz pełniło funkcję obory lub chlewa. Czasem podobny los spotykał też cmentarze, odrywano krzyże z grobowców, a bramy cmentarne podpisywano hasłami: Śmierć to tylko sen wieczny.

- Ludzie zapłacili najwyższą cenę - powiedział Léon, kiedy Virgil skomentował, że wszystko wygląda gorzej niż kiedyś. Gwardzista nie był skory do sentymentu, jego opinie cechowały się wojskowym pragmatyzmem. - Mężczyźni służą w armii rewolucyjnej, *levée en masse* zmusiło ich do porzucenia ziemi i upraw, ale jak inaczej mogliśmy zapobiec inwazji, skoro wszystkie kraje europejskie stanęły przeciwko nam? Książę Brunszwiku zarzeka się, że zrówna Paryż z ziemią i zabije wszystkich - mężczyzn, kobiety i dzieci. Co mamy robić wobec takiego postawienia sprawy? A żołnierzy trzeba karmić. Armia ludowa gromadzi dla nich zapasy, ale ciągle za mało i miasto stoi przed widmem głodu. Rolnikom niewiele zostaje na własne potrzeby, lecz nie mogą odmówić. Cena, jaką płaci się za ukrywanie zapasów, jest wysoka - to kara śmierci.

Po drodze nie napotkali trudności. Oddział Gwardii Narodowej w charakterystycznych niebiesko-białych mundurach, widok zaprawionych w boju, uzbrojonych żołnierzy działał jako skuteczny środek odstrasżający. W kilku miejscach wyszła im naprzeciw grupka mężczyzn z dzidami - odważni i bezczelni w swoich czerwonych czapkach, ale wielu było wśród nich starców i osób zagłodzonych.

- Nie lubię walczyć z rodakami - powiedział Léon i zatrzymał powóz skinieniem ręki. Rozkazał, by rozdzielono pomiędzy tych ludzi jeden lub dwa worki mąki albo ziarna.

Przez większą część drogi gwardzista wydawał się nie zauważać Sovay, rozmawiał tylko z Hugh i Virgilem. Kiedy dziewczyna opisała szok, którego doznała na widok panującej biedy, był zaskoczony, że ma w ogóle jakieś zdanie.

- Ludzie zdają sobie sprawę z tego, czego pani nie wie - powiedział tonem sugerującym, że i tak nie zrozumie. - Trzeba zapłacić odpowiednią cenę za wolność. A oni są gotowi do poświęcenia. Mu-

simy walczyć o to, by przeżyć jako naród, a nikt nie chce, by wrócił dawny reżim, nawet gdyby było to możliwe. Zaszliśmy już tak daleko. Ci ludzie żyli przez długie lata w ucisku, ciemieni przez właścicieli ziemskich, przez Kościół. Każdego roku musieli płacić podatki ze swoich mizernych dochodów: królowi, panom feudalnym, uiszczając cło i inne opłaty, a król i możni panowie obrastali tłuszczem i nie płacili nic. Trzeba zrozumieć, że pragną zemsty, że chcą odzyskać chociaż część tego, co przez wieki im zabierano.

Sovay nie potrafiła tego zrozumieć. Nie rozumiała jego żarliwego poparcia dla republiki, zwłaszcza kiedy dowiedziała się, że pełne nazwisko gwardzisty brzmi Théodore de Léon markiz de Verand. A jednak porzucił szeregi szlachty, by stać się częścią rewolucji. Jako jeden z pierwszych przyłączył się do stanu trzeciego i brał udział w zdobyciu Bastylii. A teraz wszyscy ludzie szlacheckie urodzeni i powiązani z arystokracją stawali się automatycznie podejrzani i podlegali aresztowaniom. Do tej pory chroniła go odwaga na polu bitwy i listy uwierzytelniające rewolucjonistów, ale jak długo to jeszcze potrwa? Tego nie można było przewidzieć, jednak Sovay wyczuwała rosnące napięcie w miarę, jak zbliżali się do stolicy. W Paryżu wszystkim im groziło niebezpieczeństwo.

Na pierwsze kłopoty natrafili trzeciego dnia po południu. Wozy toczyły się przez pęsepane krajobrazy wiejskie, kiedy nagle na ich drodze stanęła prowizoryczna barykada, obsadzona przez grupkę mężczyzn w pasiastych spodniach i surdutach sankiulotów. Wszyscy mieli na głowie czerwone czapki wolności. Wyglądali niechlujnie i byli mocno zarośnięci - brodaci, z długimi wąsami. Nie byli wygłodzeni jak bandy strachów na wróble, które spotykali wcześniej, ale dobrze odżywieni i uzbrojeni po uszy.

Léon zatrzymał powozy.

- *Armée révolutionnaire. Les Bons Patriotes* - powiedział, spoglądając na nich. - Nie będzie łatwo. Żyją z okolicznej ludności, to padlinożercy i pasożyci. Myślałem, że wszyscy zostali zwołani do Paryża.

Nakazał pasażerom opuścić powozy i dosiąść koni. Swoich ludzi posadził przy woźnicach z przygotowaną bronią.

- Cokolwiek się wydarzy, te zapasy muszą pojechać dalej. Podjadę i dowiem się, czego chcą. Jeżeli pojawią się jakiegokolwiek problemy, jedźcie prosto na nich - zwrócił się do Virgila. - Trzymajcie broń w pogotowiu, panowie.

- Ja nie mam broni - odezwała się Sovay.

- A po co pani?

- Żeby się bronić.

- Potrafi pani strzelać? - spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Oczywiście!

- Proszę - podał jej jeden ze swoich pistoletów. - Jest naładowany, więc proszę uważać.



Kiedy Léon podjechał do grupki mężczyzn, z ich szeregów wyłonił się człowiek w zupełnie odmiennym mundurze. Miał na sobie granatowy surdut z wysokim kołnierzem, przepasany trójkolorową wstęgą. Do kapelusza przypiął rozetę w podobnych kolorach.

- Stać! - zawołał. - Dokąd jedziecie?

- Eskortuję zapasy wiezione do Paryża.

- Pasażerowie?

- Też.

- Proszę ich przyprowadzić wraz z dokumentami. Pańscy ludzie mają zostać na swoim miejscu.

Léon wrócił do powozów.

- Znam tego człowieka. To Gernaud. *Représentant-en-mission*, delegat wysłany z Konwentu Narodowego, żeby mieszał się w sprawy prowincji - wyjaśnił Hugh i Sovay. - To *terroriste* i kawał drania. Chodźcie ze mną, ale trzymajcie się z tyłu i nie odzywajcie się. W razie problemów... - popatrzył na Virgila, a ten chwycił za lejce i odpowiedział kiwnięciem głowy.

- Obywatelu Léon - urzędnik wyciągnął dłoń w rękawiczce po dokumenty.

- Gernaud.

- Pan Gernaud, jeśli można.

- Panie Gernaud... - Léon podał papiery z przesadną kurtuazją.

Gernaud przyglądał się długo dokumentom, a potem spojrzał na Léona, mrużąc oczy.

- Ogłaszam was szpiegami i wrogami republiki. Aresztuję was i konfiskuję wasz ładunek.

Léon zaśmiał się głośno na te słowa. To o to chodziło Gernaudowi. Bóg jeden wie, ile by dostał za tak cenne towary. W tych trudnych czasach stanowiły nie lada gratkę. Sovay nie spuszczała oka z zebranych osób. Kiedy Léon obrócił się w siodle i podniósł rękę, by dać znak Virgilowi, Gernaud rzucał pospieszne spojrzenie w bok.

Stojący obok niego mężczyzna odbezpieczył broń i uniósł ją nieco tak, by strzelić z biodra. Sovay nie miała czasu, by ostrzec Léona, a strzał z tak bliskiej odległości z pewnością okazałby się śmiertelny. Odbezpieczyła swój pistolet, wycelowała i strzeliła.

Mężczyzna wrzasnął, bo kula trafiła go w ramię, a siła uderzenia obróciła nim dookoła, zanim nie upadł na ziemię. Koń Léona stanął dęba, a gwardzista dobył broni i przywołał swoich żołnierzy. Ludzie Gernauda zaczęli się wycofywać, zabierając ze sobą rannego towarzysza. Gernaud pozostał na miejscu, jakby sądził, że jego autorytet powstrzyma pędzące na niego konie Virgila. Odskoczył w ostatniej chwili, a pozostali rzucili się do rowu, gdy ciężki powóz staranował delikatną barierkę, rozbijając na wióry długie słupki. Za nim przejechały kolejne wozy, ciągnięte przez rozpędzone do galopu konie - z taką siłą, jakby pędziła cała bateria artylerii. Sovay i Hugh ruszyli za nimi, a Léon i jego ludzie zamykali pochód.

- Nie doceniłem pani - powiedział Léon do Sovay, kiedy zatrzymali się na noc. - Myliłem się.

Te słowa musiały wystarczyć za przeprosiny. Sovay przyjęła mruknięte przyznanie się do błędu uprzejmym skinieniem głowy, którym chciała ukryć uśmiech. Podejrzewała, że przeprosiny nie przychodziły łatwo temu potężnemu, porywczemu Francuzowi, który najwyraźniej nie znał ani strachu, ani zwątpienia. Jeszcze nigdy nie spotkała nikogo takiego, jak on.

- Za pomyślny los i *bonne chance* - Léon wznosił kieliszek. - Wszyscy żyjemy w niebezpiecznych czasach. Według prawdopodobieństwa, powinienem już zginąć co najmniej kilka razy. Napijmy się jeszcze wina. Nadal nie pojmuję jednego - dodał, kiedy kieliszki zostały ponownie napełnione - jest pani osobą o niezłomnym charakterze. Rozumiem troskę o ojca, ale dlaczego pani tu przyjechała? Po co wystawia pani swoje życie na niebezpieczeństwo?

- Zostaliśmy oboje oskarżeni o zdradę stanu - powiedziała. - Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy przyjechać do Francji.

Hugh opowiedział mu o Dysarcie i oskarżeniach, jakie wobec nich wysunięto. Léon wysłuchał go z uwagą."

- Jestem pewien, że słyszałem już gdzieś to nazwisko - odezwał się, kiedy Hugh skończył. - W Ministerstwie Wojny, kiedy był tu Roland. Trzeba znaleźć tego człowieka - Léon zapisał nazwisko na kartce. - Roland zebrał dowody przeciwko Fabre'owi i Dantonowi, być może będzie mógł nam pomóc. To konserwatywny człowiek, pracuje tylko za pieniądze. Interesuje go złoto, a nie asygnaty. A teraz czas udać się na odpoczynek.

Léon dopił swoje wino i wszyscy wstali.

- Jutro dotrzemy do Paryża - powiedział do Virgila, kiedy wchodzili po schodach. - Dowiozę was pod bramy miasta, a potem muszę się zgłosić w kwaterze głównej. Piękna dziewczyna - dodał, gdy znaleźli się przy drzwiach do swoich pokoi. - To taki szlachetny gest z twojej strony, mój drogi, że uczyniłeś z niej swoją narzeczoną.

- Źle mnie zrozumiałeś - zaprzeczył szybko Virgil, nie chcąc, by przyjaciel podejrzewał go o jakieś nieczne motywy. - To tylko dla formalności. Obawiam się, że ona nic do mnie nie czuje, jeśli o to chodzi.

- A do kogoś innego, jeśli o to chodzi? - uśmiechnął się Léon.

- Nic o tym nie wiem - Virgil pokręcił głową.

- A to strata! - zaśmiał się Francuz. - Gdybym był na twoim miejscu, mój przyjacielu, i tak bym się z nią ożenił. Zanim zrobi to ktoś inny.

# ROZDZIAŁ 31

Elegancki, imponujący budynek celny, stojący przy wjeździe do Paryża, został częściowo rozebrany, a jego funkcję przejęła prowizoryczna drewniana barierka zagradzająca drogę. Wszystkich wjeżdżających do miasta zatrzymywali nieprzyjemnie wyglądający mężczyźni uzbrojeni po zęby. Przypominali wyglądem ludzi Gernauda, mieli bowiem na sobie spodnie w paski, krótkie surduty oraz wyblakłe trójkolorowe rozety przypięte do brudnych, zmiętych czerwonych czapek.

- Co tam macie, obywatelu?

Przywódca mężczyzn zajrzał do wozu i spojrzął na Virgila groźnie i wyzywająco. Złowrogi grymas podkreślały jeszcze długie, podkreścone wąsiska.

Léon stanął z boku i pozwolił, by wypełnili swoje obowiązki. Byli to ludzie Komuny Paryskiej, odkąd uzyskali pewną władzę, czuli się kimś lepszym i jakiegokolwiek wtrącanie się do tego, co robili, groziło poważnymi problemami.

Mężczyźni nakazali wszystkim wysiąść z powozów, po czym zaczęli studiować wnikliwie dokumenty, które podał im Virgil, choć prawdopodobnie w ogóle nie umieli czytać. Byli to ludzie niebezpieczni i porywczy, ale przy tym skłonni do przyjmowania łapówek. Léon dał im odpowiednio dużo czasu na skrupulatne przejrzanie papierów, a następnie rozkazał, by zdjęto z wozów worki z mąką oraz kilka pudełek mydła i świeczek.

- To dla ludzi z pańskiej *section* - oznajmił. - Z pozdrowieniami. W końcu pozwolono im przejechać. Sovay sądziła, że Léon

pojedzie dalej i z zaskoczeniem przyjęła wiadomość, że musi ich opuścić.

- Mam obowiązki, którymi muszę się zająć. Zresztą beze mnie będziecie bezpieczniejsi - powiedział, żegnając się. - Niezbyt lubimy się z niektórymi komisjami, które kontrolują poszczególne rejony miasta. Moja obecność mogłaby zahamować wasze działania, a nawet je uniemożliwić. Do zobaczenia!

Nie wspomniał nic o tym, kiedy może dojść do następnego spotkania. Sovay przyłapała się na tym, że z niechęcią żegna się z gwardzistą i nie jest to bynajmniej związane z lękiem o własne bezpieczeństwo.

Przez miasto przedzierali się powoli. Każda dzielnica miała swoją komisję, wszystkich trzeba było przekonać, ulaskawić i przekupić. Wszędzie widać było wielką biedę, sytuacja przedstawiała się gorzej niż w Londynie. Na zakurzonych, zalanych skwarem ulicach czuć było atmosferę powszechnego zmęczenia. Większość okien i drzwi szczelnie pozamykano, zupełnie jak we wsiach, które wcześniej mijali.

Droga, którą wybrali, wiodła przez Place de la Révolution. Gilotyna została usunięta, a ogromny plac wydawał się opustoszały i zrujnowany; złowieszczy mimo otwartej przestrzeni. W panującym upale poplamione krwią kamienie cuchnęły jak kostnica.

Kiedy pojazd przetaczał się przez miasto, Hugh pokazywał Sovay interesujące miejsca: ogrody Tuileries, pełne drzew i spacerowiczów szukających cienia pod ich koronami, poruszających się po alejkach, wcześniej zarezerwowanych wyłącznie dla króla i jego dworu; olbrzymi pałac królewski pozbawiony obecnie mieszkańców; łuki Palais-Royal; kawiarnię, w której Camille Desmoulins wskoczył na stół i wezwał tłum paryski do szturmowania Bastylii. Każdy budynek, każde nazwisko, wszystko miało jakieś znaczenie, zupełnie jakby podróżowali przez krajobraz rewolucji, a przez to i historii. A jednak ludzie siedzieli w kawiarniach, plotkowali na rogach ulic, tworzyli kolejki przed sklepami. Życie musiało się toczyć, z rewolucją czy bez niej.

Zmierzali w kierunku Rue Duval, znajdującej się na skraju dzielnicy Marais. Po drodze minęli najsłynniejsze miejsca w Paryżu

- Bastylię, ale nic już nie zostało z niej do oglądania. Potężne więzienie zostało zrównane z ziemią, mieszkańcy rozebrali je na kawałki, kamień po kamieniu. Sovay nigdy wcześniej nie widziała niczego, co świadczyłoby o podobnej sile tłumów. Sile, która doprowadziła do całkowitej destrukcji tego symbolu prześladowań. Zburzenie Bastylii wyrażało zdeterminowanie ludności pragnącej z całych sił, by takich prześladowań już nigdy więcej nie doświadczać.

Paryżanie dochodzili swego nie tylko w tak wielkich czynach, ale i całkiem małych. Zburzono wiele pomników, zmieniono nazwy ulic, kościoły zostały przekształcone w stajnie bądź magazyny. Nie ma powrotu, zdawały się mówić te wszystkie przedsięwzięcia. Jest tylko droga naprzód, bez względu na konsekwencje.

W końcu powozy wjechały w wąską uliczkę otoczoną wysokimi murami z odpadającym żółtym tynkiem. Zatrzymali się przed zamkniętą bramą hotelu, który niegdyś stanowił wielką rezydencję miejską jakiegoś szlacheckiego rodu. Na łuku ponad bramą znajdował się zniszczony herb rodowy. Virgil wysiadł z powozu i zapukał do drzwi. Na chwilę uchyliła się kratka, a potem brama się rozsunęła. Powozy wjechały na szeroki, brukowany dziedziniec. Brama zamknęła się za nimi i Sovay wreszcie poczuła się bezpiecznie.

Hotel Fonteneau musiał być kiedyś wspaniałą rezydencją, teraz jednak marmur na podłodze w holu był wyszczerbiony oraz pokryty kurzem i brudem. Balustradzie biegnącej wzdłuż szerokich schodów brakowało licznych tralek, a na jasnozielonej jedwabnej tapecie widniały plamy od wody i odciski brudnych rąk.

Reprezentacyjne pokoje były opustoszałe, meble zostały rozkradzione lub wyniesione. Niewiele pozostało oprócz ozdobnego niegdyś sufitu, co potwierdzałoby dawną świetność budynku - jedynie pęknięte lustra i ślady po obrazach na ścianie. Szli od sali do sali, echo ich kroków odbijało się od

brudnych drewnianych podłóg, które kiedyś z pewnością były tak wypolerowane jak lustra. Nie było tu już służby, nie miał kto zająć się sprzątaniami, myciem i zamiataniem.

Na końcu ostatniego pomieszczenia, przy biurku zavalonym papierami tak bardzo, że w każdej chwili mogły spaść na podłogę, siedział mężczyzna w samej koszuli. Na ich widok podniósł się z miejsca. Miał bladą, zmęczoną i wychudzoną twarz o ziemistej cerze. Nosił okulary, a włosy miał przerzedzone, łysiejące od czoła, z pojedynczymi pasmami siwizny. Kiedy podszedł bliżej, Sovay ze zdumieniem rozpoznała w nim pana Fernanda, dawnego nauczyciela Hugh. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej widziała go bez schludnej, lnianej peruki, a w tej przedwcześnie postarzałej twarzy z trudem dostrzegła dawnego przystojnego młodzieńca.

- Przyjaciele! Witam was! Już myślałem, że nigdy więcej was nie zobaczę! - głos mu drżał z emocji. Poklepał Virgila ciepło po dłoni, a potem objął Hugh jak własnego syna. Uśmiechnął się, podchodząc do Sovay i otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- A to musi być Sovay! Ależ się pani zmieniła! - powiedział i pocałował ją w rękę. - Wyrosła pani na prawdziwą damę! - dodał, po czym objął ich ramieniem. - Musimy porozmawiać, ale najpierw coś zjecie. Macie za sobą długą podróż, z pewnością jesteście głodni.

Zabrał ich na dół do kuchni, gdzie przyrządzili kolację z chleba, sera i *saucisson*.

- Chłopskie jadlo, ale niestety, nic innego się nie dostanie. Wszystkiego brakuje. Za to mamy wino - powiedział i napełnił kieliszki. - Za pomyślność - dodał i spoważniał. - Od czasu, kiedy wyjechałeś, sprawy się pogorszyły i to znacznie. Robespierre i Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego stracili wszelki rozum. Naprawdę. Wszędzie węższą spisek. Teraz wystarczy być podejrzanym o jakikolwiek sprzeciw wobec rewolucji, bez względu na to, jak niewinne lub trywialne są te podejrzenia, by trafić przed Trybunałem Rewolucyjny - Fernand zdjął okulary i podrapał się po nosie. Trybunał Rewolucyjny w niczym nie przypomina procesów sądowych. W Wielkiej Brytanii nawet najgorszy przestępca ma prawo do obrońcy i adwokata. Wzywa się świadków obu stron, a potem ława decyduje o wyroku. Tutaj jest zupełnie inaczej. Wypowiada się oskarżenie, a Trybunał podejmuje decyzję. Działa fanatycznie, jeśli chodzi o tępienie wrogów rewolucji - Fernand zamknął oczy. W sztucznym świetle jego powieki wydawały się papierowe. - A skoro nie ma obrony, żadnych adwokatów, nie wzywa się świadków - sprawa jest jasna. Ułaskawienie albo śmierć. Ale do ułaskawień dochodzi niezmiernie rzadko, a wyrok śmierci wykonywany jest w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Od kiedy tak jest? - zapytał Virgil.

- Od 22 prairiala według kalendarza republikańskiego - czyli od 10 czerwca, licząc po staremu - odparł, patrząc na Sovay. Nie wiedział, czy zna nowy podział kalendarza. - Z każdym dniem życie staje się coraz bardziej ryzykowne. Dla wszystkich. Nikt już nie jest bezpieczny - pokręcił głową z rozpaczą. - Nikt.

- A mój ojciec?

Hugh nachylił się do przodu i spojrzał pytająco na swego dawnego nauczyciela. Mężczyzna milczał przez chwilę, jakby zbierał ostatnie siły. Potem wyciągnął ręce i ujął dłonie Hugh i Sovay swoimi długimi, chudymi palcami naukowca.

- Obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Został aresztowany i zabrany do Paryża.

Słowa Fernanda zabrzmiały w pustym pomieszczeniu jak dzwon pogrzebowy. Hugh zbladł, usta mu zadrżały, a oczy wypełniły się łzami.

- Gdzie on jest?

- W Pałacu Luksemburskim, leży tam ciężko chory. W tym cała nasza nadzieja - na ustach Fernanda pojawił się gorzki uśmiech. - Trybunał nie lubi oskarżać tych, którzy nie rozumieją wagi wyroku. W takich dziwnych czasach przyszło nam żyć - powiedział i wzruszył rozpaczliwie ramionami. - Tak to się wszystko kończy.

- Musimy do niego jechać! - Hugh poderwał się z miejsca.

- Nie możecie teraz iść. Macie za sobą długą, męczącą podróż, a zresztą nikt was tam nie wpuszcza.

- Panie Fernand - odezwała się Sovay takim głosem, jakby ktoś właśnie wyrwał jej serce - przecież musi być jakieś rozwiązanie?

- Być może - powiedział. Nie chciał dawać im złudnych nadziei, ale z drugiej strony przykro mu było patrzeć na rozpacz przyjaciół. - Więcej osób czeka na proces niż jest miejsc w więzieniu. Niektórzy czekają całymi miesiącami. Miejmy nadzieję, że tak będzie z waszym ojcem. A przy jego chorobie... Dopóki ostrze nie spadnie, zawsze jest nadzieja. Jutro zobaczymy, co się da zrobić, a tymczasem, Hugh, możesz zaprowadzić Sovay do jej pokoju? Sypialnie są na drugim piętrze.

- Nie będziemy ich bardziej martwić - powiedział do Virgila, kiedy wyszli - ale raczej nie zobaczą już ojca. Nie ma już odwiedzin w więzieniach. Nikogo nie wpuszczają do środka, chyba że jako więźnia.

- Naprawdę? - Amerykanin wyprostował swoje długie nogi i zapatrzył się w jakiś punkt, rozmyślając o problemie. - Musi być jakiś sposób. Zawsze jest jakiś sposób. Mam inną sprawę - powiedział w końcu. - Zna pan tego człowieka?

Podał kartkę papieru, którą dał mu Léon.

- Tak - powiedział Fernand, przyglądając się kartce. - To dziennikarz. Kiedyś pracował dla pełnej skandali gazety Marata. Specjalista od kłamstw i pomówień. Jeśli nie może czegoś znaleźć na jakiś temat, to to wymyśla. Albo podrabia.

- Tego właśnie oczekiwałem. Gdzie mogę go znaleźć?

- Mieszka nad drukarzem, gdzieś na lewym brzegu, ale najłatwiej znaleźć go w którejś winiarni na St Germain. Do czego jest potrzebny?

- Być może będzie mógł mi pomóc w jednej sprawie. Tych dwoje ma większe kłopoty, niż się panu wydaje - powiedział, pochylając się bliżej i opowiedział Fernandowi o Dysarcie. - On ma wszędzie swoich szpiegów. To kwestia czasu i dowie się, gdzie oni są. Sovay podróżuje jako moja narzeczona - machnął ręką, kiedy Fernand zaczął mu gratulować. - To tylko dla pozorów. Niestety - zaśmiał się. - Obawiam się, że dziewczyna nic do mnie nie czuje, a ja jestem obiecany już komuś innemu. Tym bardziej szkoda. Przyznam, że ją polubiłem. Boję się, że to nasze „narzeczeństwo” nie gwarantuje jej właściwej ochrony. Chciałbym znaleźć lepszy sposób, by osłonić ją przed niebezpieczeństwem.

Sovay została zaprowadzona do przepastnego pomieszczenia, które kiedyś z pewnością było wspaniałą sypialnią. Teraz jednak nie było tu żadnych oryginalnych mebli, oprócz ogromnej szafy, zapewne zbyt ciężkiej, by ją ruszyć. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu z pokoju wystawiono drzwi, ale znalazła się tu wyszczerbiona miednica na zniszczonym stojaku, chwiejny stolik oraz krzesło. Łóżko było małe, Sovay podejrzewała, że zostało przyniesione ze znajdujących się na górze pomieszczeń dla służby. Była tak wyczerpana, że położyła się w ubraniu i niemal od razu zasnęła.

Obudził ją nagły krzyk. Przez chwilę myślała, że jest w domu w Compton i słyszy głos lisa z parku, ale łóżko było zbyt wąskie, a pokój dziwnie wielki i pusty. To był ludzki krzyk i dobiegał z ulicy za oknem.

## ROZDZIAŁ 32

Następnego dnia na ścianie i wzdłuż chodnika znajdowały się kałuże krwi.

- Niebezpiecznie jest chodzić nocą po ulicach - skrzywił się Virgil. - Właśnie macie na to dowód.

Szli całą trójką do Pałacu Luksemburskiego. Ten wspaniały gmach wzniesiono dla Katarzyny Medycejskiej, ale podobnie jak wszystkie inne pałace królewskie, został skonfiskowany dla użytku publicznego. Robespierre i Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego odbywali narady w Tuileries, dawnej rezydencji królewskiej, natomiast Pałac Luksemburski został przekształcony w więzienie. Jeszcze niedawno panowały tu dobre warunki, można powiedzieć, że przyjemne w porównaniu z innymi więzieniami. Virgil poinformował ich, że podobno był tu najlepszy dom publiczny w całym Paryżu, a ktokolwiek dysponował odpowiednią ilością złota, mógł otrzymać przyzwoitą celę i zamawiać sobie posiłki z okolicznych restauracji. Ostatnio jednak warunki uległy zaostrzeniu.

- Raczej nie będziemy mogli wejść - ostrzegł ich. - Trudno jest nawet przesyłać wiadomości do więzienia i na zewnątrz, ale zobaczymy, co da się zrobić.

Mimo ostrzeżeń Virgila Sovay żyła nadzieją, że jednak uzyskają jakieś wieści o ojcu, a może nawet uda im się go zobaczyć, choćby na chwilę. Kiedy jednak zostali natychmiast zawróceni przed imponującej fasady pałacu, ich nadzieje zostały rozwiane. Nikogo nie wpuszczano do środka, nikogo

nie wypuszczano. Więźniom nie można było przekazywać listów ani wiadomości. Wszelkie próby i błagania miały się z celem. Strażnicy byli nieugięci, co więcej, oznajmili, że dalsze protesty skończą się aresztowaniem.

W końcu Sovay zmuszona była odciągnąć Hugh spod budynku. Niewiele brakowało, a straciłby zupełnie panowanie nad sobą i skończyłby w celi niedaleko ojca. Może to zrozpaczona mina Sovay, a może jej uroda albo pełna godności postawa sprawiły, że jeden ze strażników zmiękł i zawołał ją z powrotem.

- Niech pani idzie do ogrodów - powiedział, pokazując głową. - Może go pani stamtąd zobaczy, a on panią. Tak robią inni, bliżej już się pani nie dostanie, obywatelko.

Sovay podziękowała mu i pociągnęła za sobą Hugh. Rzeczywiście, ogrody pełne były ludzi wszelkiej maści i pochodzenia, młodych i starych, kobiet i mężczyzn. Niektórzy chodzili tam i z powrotem jak na paradzie, inny stali nieruchomo niczym posągi, ale wszyscy mieli głowy jednakowo zadarte, a oczy wpatrzone w okna. Były tam osoby, które mówiły coś, jakby prowadziły rozmowę z niewidzialnym towarzyszem, inni zaś krzyczeli i wrzeszczeli, a ich podniesione głosy wracały do nich echem. Stary człowiek patrzył w milczeniu. Jakaś młoda kobieta podniosła do góry niemowlę, jak gdyby chciała prosić o błogosławieństwo.

W oknach pałacu także tłoczyli się ludzie. Sovay widziała, jak ich usta otwierają się i zamykają, jednak szyby okienne i odległość sprawiały, że nie było ich słychać i nie można było ich rozpoznać, bo wszyscy wyglądali jednakowo.

- To beznadziejne! - powiedział Hugh. - Beznadziejne!

Ale nadal patrzył w górę. Sovay przyłączyła się do niego z taką samą zdesperowaną nadzieją, jak wszyscy ludzie dookoła.

Tymczasem Virgil obserwował uważnie wchodzących i wychodzących z pałacu. Nie było co prawda żadnych widzeń, ale do więzienia wpuszczano handlarzy z jedzeniem i innymi towarami, a sprzedawcy gazet dostarczali prasę. Uwagę Virgila zwróciła pewna kobieta. Bardzo młoda i ładna, miała gładkie, brązowe włosy schowane pod białym czepkiem. Skromna sukienka była znoszona i wyblakła, ale dziewczyna nie wyglądała ani na służącą, ani na posłańca ze sklepu. Niosła kosz, a do bramy zbliżyła się pewnym krokiem. Strażnicy ją najwyraźniej znali, bo nie odesłali jej z kwitkiem.

Co więcej, wydawali się przyjaźnie do niej nastawieni, uśmiechali się, a nawet przytrzymali drzwi, kiedy wchodziła do środka. Virgil postanowił zaczekać, aż dziewczyna wyjdzie z powrotem. Minął dobry kwadrans i rzeczywiście, pojawiła się w drzwiach z pustym koszem.

Wyszła pospiesznie ze spuszczonym wzrokiem, a następnie rozłożyła zwiniętą kartkę papieru i zaczęła coś czytać.

Virgil znalazł Sovay i pociągnął ją za rękę.

- Chodźmy.



- Dokąd?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Szybciej, bo nam ucieknie.

Zostawili Hugh i ruszyli za dziewczyną. Poruszała się zwawym krokiem i już zaczęła się wtapiać w niespokojny tłum. Szli za nią wzdłuż Rue Garancière, potem obeszli masywny gmach kościoła Świętego Sulpicjusza, skąd dziewczyna skręciła w Rue des Canettes w kierunku St Germain. Virgil przyspieszył kroku, obawiając się, że jeśli dziewczyna zniknie w plątaninie uliczek, już jej nie znajdą. Skręciła za róg, a potem w Rue Jacob. W końcu zwolniła i zatrzymała się przed apteką, na wystawie której stały ozdobne słoje i fiolki. Rozwinęła kartkę, którą niosła, jakby chciała sprawdzić, co było na niej napisane.

- Obywatelko! - zawołał Virgil. - Czy mogę słówko?

Przestraszona odwróciła się, a w jej dużych, brązowych oczach czaił się lęk. Gdyby nie było tam Sovay, zapewne wskoczyłaby do sklepu, ale widok drugiej kobiety nieco ją uspokoił.

- Przepraszam, że panią zaczepiam - powiedział szybko Virgil. - Ale czy pani nie była przed chwilą w Pałacu Luksemburskim?

Skinęła głową, otwierając szeroko oczy. Widać było, że znowu robi się ostrożna.

- Pan mnie śledził?

- Nie mam nic złego na myśli, zapewniam panią. Zauważyłem, że jest pani jedną z nielicznych osób, które są wpuszczane do więzienia.

- Tak, mój ojciec jest lekarzem. Codziennie potrzebne mu są leki. Zabieram listę do apteki i zanoszę lekarstwa z powrotem do więzienia.

- Ojciec tej młodej damy - Virgil wskazał na Sovay - znajduje się w pałacu.

- Chętnie bym pomogła - dziewczyna przeniosła wzrok z Virgila na Sovay - ale tam jest tylu... - zmarszczyła czoło, jakby nagle ujrzała wszystkich przed oczami.

- Jest chory - kontynuował Virgil. - Skoro pani ojciec jest lekarzem, może zna go i mógłby nam powiedzieć, co z nim jest.

- Być może - dziewczyna zachowywała się ostrożnie, jakby węszyła podstęp. - Ale nie wolno nam przekazywać żadnych wiadomości. To zostało zabronione.

- Nie, nie - Virgil potrząsnął głową. - O nic takiego nie prosimy. My...

- Tylko chcielibyśmy wiedzieć, że żyje - przerwała Sovay. - Proszę.

Dziewczyna zastanowiła się chwilę nad prośbą.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jak się nazywa?

- Middleton. John Middleton.

- Milord *Anglais*? Pani ojciec? - dziewczyna była zszokowana. - To dla pani niebezpieczne! Proszę przyjść tu jutro o tej samej porze. Może coś będę wiedziała.

Odwróciła się i chciała wejść do apteki, ale Virgil ją zatrzymał.

- Jeszcze jedno. Mieszka pani w okolicy?
- Niedaleko. Na Rue Monsieur Le Prince. Tanie mieszkanie i blisko ojca.
- Zna pani tego człowieka? - Virgil pokazał jej nazwisko, które napisał Léon.
- Tak. Mieszka nad drukarzem, przy Cordeliers.
- Dziękuję pani. Jestem zobowiązany - powiedział Virgil i skłonił się.
- Kto to jest? - zapytała Sovay, kiedy rozstali się z dziewczyną.
- Mam plan - chcę obciążyć Dysarta. Jeżeli znajdziemy dowody na to, że ma związki z rewolucją, będziemy mogli go zdyskredytować.

Z łatwością odnaleźli drukarnię, ale drukarz ostrzegł ich, że w domu nie zastaną tego, kogo szukają.

- W winiarni obok - powiedział, nie podnosząc wzroku znad prasy. Uruchomił urządzenie, a pomieszczenie wypełnił świeży, ostry zapach atramentu.

Lefere był niewysokim mężczyzną, ale korpulentnym, o solidnej budowie ciała. Gładkie, siwiejące włosy miał zaczesane do tyłu. Jego ciemne ubranie było brudne i wymięte, koszulę miał poplamioną winem, a i chustka przy szyi nie była pierwszej świeżości.

- Obywatelu? Chciałbym zamienić z panem słówko na osobności.

Przeszli do mieszkania Lefere'a, do którego prowadziły wąskie, strome schody. Budynek był dużo starszy niż wyglądało to z ulicy, na sufitach i ścianach widniały grube, czarne, zakrzywione belki.

- O co chodzi? - odwrócił się, dysząc, kiedy dotarli do pomieszczeń strychowych, w których mieszkał.

- Słyszałem, że umie pan zbierać informacje.

- Jestem z tego znany - zaśmiał się mężczyzna. - W końcu jestem dziennikarzem.

- Słyszałem też, że zgromadził pan informacje na temat Fabre'a i Dantona oraz ich powiązań z rządem brytyjskim.

- Podążam przykładem, jaki ustanowił obywatel Marat przed swoim smutnym końcem - Lefere przyjął obłudny wyraz twarzy. - Cieszę się, że mogę odegrać rolę w zdemaskowaniu wrogów rewolucji.

- Z całą pewnością - westchnął Virgil na taką hipokryzję. - Czy w czasie tego śledztwa trafił pan na jakąś korespondencję od Roberta Dysarta?

- Angielskiego mistrza szpiegowskiego? *Bien sûr*.

Virgil wyjął z kieszeni portmonetkę.

- To dobrze. Będzie mi potrzebna próbka jego pisma. Słyszałem też, że ma pan rzadką umiejętność odkrywania istotnych dowodów, nawet jeśli stosowne dokumenty nie istnieją lub zaginęły.

- Chyba nie sugeruje pan, że cokolwiek fałszuję? - Lefere starał się wyglądać na oburzonego.

- Za odpowiednie wynagrodzenie - owszem.

Protesty Lefere'a ucichły na dźwięk monet, a jego małe niebieskie oczka zwięzły się na widok wysypującego się na stół złota.

- Oto, czego od pana potrzebuję...

Kiedy mężczyzna usłyszał, co Virgil ma do powiedzenia, zaczął się pocić. W jego oczach pojawił się strach, ale jednocześnie nie spuszczał wzroku z kupki monet na stole.

- No, nie wiem... - oblizął usta. - Na to potrzeba czasu. Poza tym będzie mi potrzebny urzędowy papier i pieczęcie.

- Tym ja się zajmę - Virgil wyrównał błyszczący stosik starannie, niczym bankier. - Daję panu tydzień - powiedział i przesunął monety w kierunku dziennikarza. - Załatwi mi pan to, czego potrzebuję, to podwoję ten stosik.

- Zobaczą, co da się zrobić - ręka Lefere'a wyskoczyła do przodu, a jego grube palce zacisnęły się na złocie, jak gdyby miało za chwilę tajemniczo zniknąć.

- Jeżeli nam się uda, pokonamy Dysarta jego własną bronią - Virgil uśmiechnął się do Sovay, kiedy szli w kierunku Sekwany.

- Jeżeli nam się uda - Sovay nie była do końca przekonana. - W końcu Dysart to mistrz szpiegowski. Dowody na jego kontakty z siłami rewolucji będą świadczyły tylko o tym, że wypełnia swoje obowiązki.

- To zależy, jakie to będą dowody, prawda? - powiedział i chwycił ją pod rękę. - Odprowadzę cię, a potem muszę dostarczyć moje towary. Zwłaszcza cukier i kawę. Są przeznaczone dla Robespierre'a. Co prawda zwą go *incorruptible* ale ma słabość do kawy. Moja dostawa z pewnością ją zaspokoi. Być może zapewni to nam bezpieczeństwo.

## ROZDZIAŁ 33

- Nie wiem, gdzie oni są. Ile razy mam to panu powtarzać? - mówił cierpliwie Gabriel. - Nic nie wiem o żadnym spisku. Jestem zarządcą. Dlaczego sir John albo jego rodzina mieliby mi się zwierzać?

- Ty tu jesteś, Stanhope, a ich nie ma. Uratowali siebie, a ciebie zostawili, żeby to na ciebie spadła cała wina. Czy to nie typowe zachowanie dla ich klasy? Nic ich nie obchodzisz. Zresztą dlaczego miałoby być inaczej? Jesteś tylko sługą. Dlaczego w takim razie przejmujesz się nimi? Dlaczego ich chronisz?

Gabriel nie zareagował na te słowa, nawet się nie odezwał, więc Dysart postanowił wypróbować inną taktykę.

- A twoi inni przyjaciele? Mieszkający przy Vine Street. Twoi współspiskowcy z Towarzystwa Korespondencyjnego?

Gabriel z trudem wzruszył ramionami, bo nadgarstki miał skute grubymi łańcuchami.

- Prawie ich nie znam. Spotkaliśmy się tylko raz. Jestem wieśniakiem, nie wyznaję się w tym, co dzieje się w Londynie - powiedział i położył ręce na stole. - Nie mogę powiedzieć panu tego, czego nie wiem.

Robert Dysart spojrzął na siedzącego przed nim więźnia. Może tak go pytać przez cały dzień, jak to zresztą było poprzedniego dnia. Starannie krył swoją frustrację, ale do tej pory, ten człowiek nie zdradził mu niczego. Dysart miał przeczucie, że Gabriel Stanhope może okazać się o wiele bardziej niebezpieczny niż wszyscy pozostali razem wzięci.

Gabriel był potężnym mężczyzną i do tego wytrzymałym fizycznie. Jego zdrowie i krzepkość sprawiały, że w żaden sposób nie wpływały na niego okropne warunki panujące w Newgate, mimo polecenia Dysarta, by trzymać go w najbardziej śmierdzącej i brudnej celi tego pełnego chorób więzienia. Inni więźniowie tracili już siły i zdrowie, a Stanhope codziennie wstawał świeży i rumiany, zdrowy jak rydz. Przez cały czas pozostawał spokojny i łagodny, bez względu na to, jak długie i nieprzyjemne było przesłuchanie. Wydawał się uciekać gdzieś w głąb siebie, gdzie Dysart nie potrafił dotrzeć. Pod przykrywką łagodnego charakteru Dysart wyczuwał w nim głębokie i żarliwe oddanie sprawie - to ono go utrzymywało w sile. Czasami uwidoczniało się głęboko w niebieskich oczach - jak iskra w wygaszonym ognisku.

Dysart niczego bardziej nie pragnął, jak go złamać, skorzystać z metod, które rozniosłyby na kawałki to silne ciało, rozciągnąć je i łamać kołem, oddzielić każdy krąg, wyrwać każdą kosteczkę, zamienić te silne łapy na zakrwawione kikuty, powyrywać paznokcie, połamać palce. Jednak przez Oldfielda nie mógł tego zrobić. Dysart przeklął w myślach Oldfielda i wszystkich innych prawników. Że też muszą się tak trzymać razem. Nawet sędziowie. Oldfieldowi udało się wykręcić od wszystkich podejrzeń, które miały uwikłać go w spisek, jaki Dysart przygotował dla Hugh i Sovay. A teraz zaan-

gażował Thomasa Erskine'a jako obrońcę swojego i innych podejrzanych. Erskine zrobił karierę, broniąc tych wszystkich radykalnych świń, a jakiegokolwiek wspomnienie o torturach spotka się z gorącym atakiem w sądzie. Bo Stanhope i cała reszta mieli być sądzeni przez sędziego i ławę. Dysart żałował z całego serca, że nie może ich wszystkich sprzątnąć, tak jak robiono to we Francji. Tęsknił za jasnością i prostotą Trybunału Rewolucyjnego. Żadnych kłopotliwych sędziów, żadnych korowodów bezsensownych świadków, żadnej głupiej ławy, tylko słuszny osąd prawdziwych wyznawców zasad. Śmierć lub uniewinnienie. Gdyby Dysart mógł decydować, zawsze byłby to wyrok śmierci. Jeszcze do tego dojdzie. To kwestia czasu, kiedy zostanie pierwszym ministrem nad Tamizą. Został o tym zapewniony.

Czas chyba było zacząć działać. Nadeszła właściwa pora. Mimo drakońskich kroków podjętych przeciwko Stanhope'owi i jemu podobnym wszędzie siał się ferment. W Irlandii dochodziło do zamieszek. Tak, Irlandia może być kluczem do wszystkiego. Wyśle tam swojego przedstawiciela, kogoś, komu może zaufać, kto ma właściwe koneksje, a przy tym wiarygodną pozycję społeczną. Człowieka bez skrupułów, a do tego tkwiącego po uszy w długach, który z radością się ich pozbędzie. Dysart uśmiechnął się pod nosem. Znał takiego człowieka. Jeśli mu się powiedzie, może nawet otrzyma za swoje trudy jakąś dużą, luksusową posiadłość w Warwickshire.

- Czego on chciał? - zapytała Lidia, wchodząc do celi.

- Tego, co zwykle - Gabriel uśmiechnął się ze znużeniem. Trzymał fason przed Dysartem, ale przesłuchania potwornie go męczyły.

- Wstrętny kruk o wyschniętym sercu - prychnęła Lidia. - Nie daj mu się, Gabrielu. Kucharka przesyła ci pieczone kurczę, żebyś miał siły. Wie, że lubisz. A pani Crombie włożyła ciepłe koszulki, które zrobiła na drutach, żeby było ci ciepło.

Kiedy Lidia trajkotała o tym, co dzieje się przy Soho Square, oczy Gabriela napełniły się łzami. Oni wszyscy nie mieli pojęcia, jak te proste gesty pozwalały mu wytrzymać niekończące się przesłuchania. Pomagały mu zatopić się w myślach i nie słuchać głosu Dysarta ani jego podstępnych oskarżeń. Gabriel był gotów walczyć przez całe swoje życie o prawa zwykłych ludzi, takich właśnie jak oni.

Lidia przychodziła prawie codziennie, dostarczając mu jedzenie i czystą bieliznę. Coraz częściej towarzyszył jej Skidmore, pracownik Oldfielda, który przynosił wieści o tym, jak mają się sprawy i jak sobie radzą pozostali. Gabriel był trzymany na osobności, ale Oldfield dopilnował, by można było go odwiedzać.

- Bo widzisz, Gabrielu. Chodzi o to, że... - Gabriel podniósł wzrok, słysząc w jej głosie dziwną powagę i tak niepodobne do niej wahanie. - Rodzina daleko, panienska wyjechała, a ja chciałam prosić cię, żebyś mi coś doradził.

- W czym rzecz? - zapytał zaintrygowany.

- Chodzi o pana Skidmore'a. Algiego - powiedziała szybko. - Poprosił mnie o rękę. Rozmawiałam z panią Crombie i ona uważa, że mogę przyjąć propozycję.

- Uważam, że ta dobra kobieta ma rację, jak zwykle zresztą - Gabriel chciał wstać, żeby ją uściskać, ale powstrzymały go łańcuchy. - Lidio, przecież nie potrzebujesz niczyjej zgody, jeśli tylko tego chcesz.

- Chcę, Gabrielu. Kocham go z całego serca.

- No widzisz!

Gabriel uśmiechnął się. Cieszył się ze szczęścia Lidii. Algernon Skidmore był dobrym człowiekiem, a przy tym - dzięki Sovay - miał przed sobą perspektywy. Z pewnością będzie doskonałym mężem. Był taki moment, kiedy Gabriel sądził, że Lidia coś do niego czuje. Nie miał serca jej powiedzieć, że w życiu, które planował, nie ma miejsca ani na żonę, ani na dzieci. Nie byłoby to dla nich sprawiedliwie. Jak miałyby poświęcić się dla całej rzeszy ludzi, jeśli byłby zajęty szczęściem kilku osób?

Oczywiście, o ile uda mu się wyjść z tego więzienia. Nie ustalono jeszcze daty procesu. Oldfield twierdził, że odbędzie się najwcześniej w październiku, a do tego czasu wiele się jeszcze mogło zdarzyć.

## ROZDZIAŁ 34

Sovay pogubiła się zupełnie w kalendarzu. We Francji nie obowiązywał ten sam podział roku, co w innych krajach. Wszystkie miesiące nosiły nowe nazwy pochodzące od pogody albo upraw. Obecnie mieli messidor, co znaczyło „żniwa”. A może thermidor, czyli „gorący”? Sovay nie była pewna. Nie wiedziała nawet, jaki jest dzień tygodnia, bowiem normalny siedmiodniowy tydzień został wydłużony do dziesięciodniowego. W każdym razie, pogoda idealnie pasowała do nowego nazewnictwa. Nie było zupełnie czym oddychać, wszystkie okna zostały pootwierane. Mieli właśnie rok drugi, gdyż nowy kalendarz liczył się od dnia proklamowania republiki, ale tak naprawdę, rok pierwszy nigdy nie istniał, bo jeszcze wtedy go nie wymyślono. Wyglądało to tak, jakby czas pękł. Jakby nigdy nie było przeszłości, a przyszłość trzeba było dopiero wynaleźć. Kto wie, w co należy wierzyć? Jak się zachowywać? Codziennie wprowadzano nowe zasady i zmieniano stare. Arogancja graniczyła z szaleństwem. To ona napędzała wozy, które dzień za dniem toczyły się w kierunku gilotyny.

Sovay nie widziała żadnej z tych makabrycznych egzekucji i wcale nie chciała, bojąc się, że wśród skazańców ujrzy ojca. Amélie Thery, córka lekarza, przekazała im, że sir John jest poważnie chory, ale jego stan nie jest beznadziejny. Codziennie albo Hugh albo Sovay szli do niej po dalsze wieści, rozdarci pomiędzy nadzieją, że stan papy się poprawia, a świadomością, że przyspieszy to postawienie go przed Trybunałem i spotkanie z gilotyną. Hugh polubił *mademoiselle* Thery i często ofiarował się, że sam pójdzie do pałacu, z nadzieją, że będzie mógł jej towarzyszyć podczas zakupów, a potem odprowadzi ją do domu przy Rue de Monsieur Le Prince. Sovay zostawała często sama w hote-

lu Fonteneau, gdzie - ze względu na upał - przesiadywała w samej bieliźnie i pisała listy, których i tak nie mogła wysłać.

Wieczorami, wychodziła z Hugh i Virgilem w towarzystwie ekspatriantów, którzy pozostali w mieście. Spotykali się w klubach, prywatnych salonach oraz hotelach. Były to ciche grupki składające się w większości z Amerykanów oraz nielicznych Irlandczyków. Był tam też lord Henry Fitzwilliam, obecnie tylko Henry, ponieważ zrezygnował z tytułu, ceniony członek Towarzystwa Zjednoczonych Irlandczyków, brat Geralda - nauczyciela i przyjaciela Hugh z Oksfordu. Henry różnił się od swojej rodziny, był o wiele wyższy i masywniejszy, miał gęste, kręcone włosy w kolorze kasztanowym i duże, wyraziste brązowe oczy. Jego głos był głęboki, śmiał się donośnie, a jeśli wziąć pod uwagę sytuację panującą w kraju, śmiał się wyjątkowo często.

- Zawsze można znaleźć jakąś rozrywkę - mawiał. - Można tu mieć szampana i ostrygi. Nie widzę specjalnej różnicy, o ile unika się wozów jadących do gilotyny. Tyle że w teatrach grają te diabelnie nudne sztuki patriotyczne.

Henry stawał się poważny tylko wówczas, gdy mówił o polityce irlandzkiej. Wtedy na jego przystojnej twarzy rysowała się powaga, a on sam aż kipiał od cichej złości na los swoich rodaków.

- Rewolucja to nasza jedyna nadzieja - mówił. - Jeżeli chcemy wyzwolić się z jarzma panowania angielskiego i uzyskać niepodległość.

Przyjechał do Paryża, by prosić Francuzów o wsparcie przy organizowaniu rebelii w Irlandii. Virgil nie miał wielkich nadziei co do powodzenia tego zamysłu. Francuzi walczyli na wszystkich frontach. Każdy kraj w Europie był zwrócony przeciwko nim, nie mieli więc ani ludzi, ani złota, by porywać się na coś podobnego. Jednak Henry nie dawał się odwieść od zamiaru.

- Nie masz racji, mój drogi Barrecie. To bardzo prawdopodobne. Prowadzę negocjacje z najwyższymi władzami. Uważają, że to sposób na odciążenie uwagi Anglików od wojny z Francją.

Sovay lubiła te wieczorne rozrywki. Henry Fitzwilliam był uroczym człowiekiem, jego przyjaciele również, a kobiety, które spotykała, cechowały się niezależną i śmiałą naturą. Ich śmiech jednak brzmiał krucho, jakby wiszące nad głową niebezpieczeństwo sprawiało, że radość wydawała się szaleństwem. Strach - choć niewypowiedziany - czał się wszędzie. W każdej chwili mogli zostać aresztowani. Przy stole często pojawiało się wolne miejsce po kimś, kto został zabrany czy też uciekł do Szwajcarii lub w inne bezpieczne miejsce. Brakowało tych osób, ale nikt o nich nie mówił. Ludzie szybko się nauczyli, że lepiej jest o nic nie pytać.

Mimo tego, co powiedział Henry Fitzwilliam, życie się zmieniło. I to bardzo. Wszelkie przejawy życia towarzyskiego zanikały, nawet wśród samych Francuzów. Niegdyś salony wypełnione były politykami, dziennikarzami, ludźmi uczonymi, a także żołnierzami na przepustce z wojny. Teraz wszyscy tkwili w *La Grande Terreur*, wielu uciekło, inni zostali aresztowani lub straceni. Wyraźnie brakowało ekscytującego męskiego towarzystwa. Szczególnie dawała się we znaki nieobecność pew-

nego kapitana, którego obowiązki zmusiły do opuszczenia Paryża. Bolało nad tym wiele dam. Sovay poczuła się dziwnie rozdrażniona, kiedy dowiedziała się, że Léon jest tak popularny, a gdy słyszała, że inne mówią o nim w taki sposób, pojawiała się niespodziewane ukłucie zazdrości.

Sovay z chęcią spotykała się z ludźmi, ale nieustanne szukanie rozrywek ją oszołamiało, z trudem skupiała się na przyjemnościach w obliczu codziennych tragedii. Ucieszyła się więc, kiedy Virgil oznajmił, że spotyka się z Lefere'em. Wreszcie będzie mogła zająć się czymś sensownym.

- Trwało to dłużej niż sądziłem, ale znalazł list od Dysarta. Zabrałem dla niego puste kartki z pieczęcią Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, o które postarał się Fernand - powiedział Virgil. - Lefere nie jest uszczęśliwiony tym faktem, ale dla pieniędzy zrobi wszystko. Odbierzemy je jutro wieczorem.

Wieczór był parny, a na strychu nad warsztatem drukarza panował zaduch i śmierdziało cebulą, potem oraz niepraną odzieżą.

Lefere najwyraźniej się wahał. Sovay stanęła tuż za nim, a na skinienie głowy Virgila wyjęła z kieszeni mały pistolet. Lefere odwrócił się, słysząc za uchem trzask odbezpieczanej broni. Na jego tłustym czole pojawiły się krople potu i zaczęły kapać na leżący na stole papier.

- Ostrożnie! - Virgil rzucił mu chusteczkę. - Proszę uważać. Nie możemy zabrudzić dowodów. No dobrze, broń przystawiona do głowy to dobry środek perswazji, więc może się pan zabierze do pracy, co? I chcę od razu czystopis, więc niech się panu lepiej ręka nie trzęsie. W przeciwnym razie nie tylko pot spłynie na ten papier.

Kiedy jednak Lefere dotknął piórem papieru, ręka przestała mu drżeć i zaczął pisać pod dyktando Virgila z drobiazgową dokładnością fałszerza. Kiedy skończył, skopiował podpisy - dokładne imitacje podpisów członków Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego.

- Dobrze! - powiedział Virgil, patrząc na efekt pracy. - Bardzo dobrze. A teraz dopiski - Virgil podniósł kartkę zapisaną przez Lefere'a pismem Dysarta. - Proszę dodać tu, tu i tu - powiedział i poddyktował tekst. - Proszę mi pokazać.

Lefere posypał piaskiem kartkę, potrząsnął, zdmuchnął jego nadmiar i podał list Virgilowi.

- Dobre, prawda? - zapytał Virgil, przekazując papier Sovay. - Co o tym myślisz?

Przeczytała szybko. Zdania były doskonale wyważone, a pismo tak skonstruowane, by przedstawić Dysarta jako osobę spiskującą przeciwko własnemu rządowi. Uśmiechnęła się na tę pomysłowość. Jeżeli list zostanie uznany jako dowód, wystarczy, by wysłać Dysarta na szubienicę albo zgotować mu jeszcze gorszy los.

- Dziękuję, obywatelu Lefere - Virgil zabrał papiery i schował do kieszeni. - Oto pańskie pieniądze - dodał i wyjął portmonetkę. Złoto wysypało się na stół. - Jestem pewien, że zdradzał pan już o wiele bardziej znaczące osoby za zdecydowanie mniejsze kwoty. Tym razem został pan sownie wynagrodzony.



Virgil i Sovay wyszli szybko z mieszkania i zeszli na dół po wąskich schodach. Jednak kiedy tylko znaleźli się na ulicy, okiennice do góry otworzyły się gwałtownie.

- Szpiedzy! Angielscy szpiedzy! - wrzeszczał Lefere. - Bijcie w dzwony! Zawiadomcie *section*. Szpiedzy są wśród nas!

W drzwiach i otwartych oknach zaczęli pojawiać się ludzie. Na ulicę wybiegli mężczyźni.

- Gdzie! - pytali, patrząc na Lefere'a. - Gdzie są?

- Tam! - pokazał na Virgila i Sovay. - Nie pozwólcie im uciec.

Nie mieli gdzie się ukryć. Z każdej strony okrażali ich ludzie, uzbrojeni w cokolwiek udało im się chwycić. Ulica była dobrze oświetlona przez lampy zawieszane na łańcuchach rozciągniętych z jednej strony na drugą.

Virgil chwycił Sovay za rękę i pociągnął w dół ulicy. Dwóch mężczyzn w czapkach wolności nakazało im się zatrzymać i próbowało zagrozić przejście zaimprovizowanymi dzidami. Virgil umknął na bok i pchnął jednego z mężczyzn na drugiego, co spowodowało splątanie się nieporęcznej broni. Jedna z długich pik wypadła mężczyźnie z ręki i upadła prosto pod nogi grupki ścigającej uciekinierów. W rezultacie osoby z pierwszego szeregu potknęły się i upadły, a na nich przewrócili się pozostali, tworząc bezładną plątaninę kończyn. Virgil i Sovay przyspieszyli kroku, ale coraz więcej ludzi wybiegało z bocznych uliczek, by dołączyć do pościgu.

Wydawało się, że to tylko kwestia chwili i zostaną złapani.

- Tu mieszka Amélie Thery.

Sovay pociągnęła Virgila za sobą, modląc się w duchu, by brama była otwarta. To była ich ostatnia nadzieja. Ulica zakręcała i wznosiła się stromo niczym ściana kanionu. Amélie mieszkała w pierwszym domu po prawej stronie. Sovay pchnęła furtkę, a ta otworzyła się ze zgrzytem wprost na niewielki ogródek zarośnięty drzewami i krzewami. Virgil i Sovay ukryli się w zaroślach, próbując powstrzymać przyspieszony, głośny oddech. Tuż obok nich, po drugiej stronie ogrodzenia słychać było tupot przebiegających ludzi.

- Które to drzwi? - szepnął Virgil.

- Ostatnie - Sovay zakradła się ostrożnie i zapukała cicho do drzwi. - Amélie, to ja - powiedziała. - Sovay.

Dziewczyna otworzyła szeroko swoje wielkie brązowe oczy, widząc, kto do niej przyszedł.

- Słyszałam krzyki - powiedziała, okrywając ramiona szalem. - Nie chciałam wychodzić. To zbyt niebezpieczne. Jestem teraz tu sama. Wszyscy moi sąsiedzi albo uciekli, albo się wyprowadzili. Chodźcie tędy. Szybko! Oni mogą wrócić!

Poprowadziła ich na tyły budynku. Przyłożyła ucho do drzwi, a potem wyjrzała ostrożnie.

- Nikogo nie ma. Powodzenia!

Otuliła się szalem i poszła otworzyć przednie drzwi, bo ktoś w nie łomotał.

Ulica, na którą wyszli Sovay i Virgil, była pusta. Zamieszki wywołane przez Lefere'a najwyraźniej ograniczyły się tylko do kilku ulic wokół jego domu.

- Dziwne, w jednym miejscu robi się gorąco, a tuż obok wszystko wygląda normalnie - zauważył Virgil. Rozejrzył się dookoła z ulgą. - Teraz już chyba nie będziemy przez nikogo nękanii.

Szli ulicami dzielnicy St Germain aż doszli do rzeki. Przez Pont Neuf dostali się na drugi, względnie bezpieczny brzeg.

- Po drodze do Lefere'a wstąpiłem do White's i spotkałem tam Henry'ego Fitzwilliama. Zgadnij, jakiego gościa się spodziewa?

Sovay nie miała pojęcia.

- Swojego brata, Geralda Fitzwilliama.

- Nauczyciela Hugh?

- Ma przyjechać jutro.

- Po co się tu zjawia?

- Żeby spotkać się z bratem. Nawrócił się ostatnio i podobno wstąpił w szeregi Towarzystwa Zjednoczonych Irlandczyków. Henry nie posiada się z radości, ale dla mnie to dziwna sprawa.

- Podejrzewasz go?

- A ty nie? Coś knuje, to pewne. Proponuję, żebyśmy jutro wieczorem złożyli mu wizytę. Urządzimy mu małe powitanie w Paryżu.

## ROZDZIAŁ 35

Dom, w którym mieszkał Henry Fitzwilliam został podzielony na mieszkania. Dozorca nie spieszył się z otwarciem, a kiedy w końcu się pojawił, był opryskliwy. Uchylił zaledwie bramę i spojrzął na nich spode łba, marszcząc twarz w grymasie niezadowolenia. Ledwie Virgil powiedział, po co przyszli, a on mruknął: „Nie ma w domu” i już chciał zatrzaskać im drzwi przed nosem.

- Poczekamy - Virgil postawił stopę na progu.

- Proszę - mężczyzna puścił drzwi i odszedł.

Henry mieszkał na samej górze. Virgil zapukał, spodziewając się ujrzeć służącego, zamiast tego pojawił się jednak mówiący po angielsku rudowłosy chłopak.

- Sir Henry wyszedł.

- Ale my nie przyszliśmy do niego, tylko do jego brata - powiedział Virgil, po czym wyminął chłopca i wszedł do mieszkania.

- I lepiej żebyś skończył z tym „sir”, jeśli cenne ci własne życie oraz życie twojego pana. Nazywam się Virgil Barrett, a to jest Sophie Weston.

- Miło mi państwa poznać. Nazywam się Rufus Brook, pracuję dla pana Geralda. Wyszedł na spotkanie z bratem, panem Henrym - dodał, uśmiechając się szeroko.

- W takim razie zaczekamy na nich - Virgil usiadł wygodnie.

- Nie mogę zagwarantować, kiedy wrócą. Znając mojego pana, mogą być późno.

- Nie szkodzi - uśmiechnął się Virgil. - Może mógłbyś nas czymś poczęstować?

- Z chęcią, sir, ale karafka jest pusta, a ja nie mam pojęcia, gdzie znajdę trunki i wiktuały - powiedział i zmarszczył czoło ze zdenerwowania. - Dopiero co przyjechaliśmy. Służący uciekł do armii, pracuję za dwóch, a na dodatek nie znam języka.

- Henry na pewno zamawia jedzenie i wino. Nie mówił ci tego? - zapytał Virgil, wstając. - Może pójde z tobą? Na pewno coś gdzieś znajdziemy.

Wyprowadził wdzięcznego chłopaka z pokoju, dając znak Sovay, by zabrała się do dzieła.

Wyszła z salonu na korytarz i zajrzała do każdego z mijanych pomieszczeń. Pokój Geralda poznała po otwartych kufrach. Najwyraźniej przerwali Rufusowi rozpakowywanie. Rozejrzała się dokoła. Od czego ma zacząć? Co zrobiłby Toby? Na pewno najpierw przeszukałby najbardziej oczywiste miejsca.

Kufry były puste, a ich zawartość została przeniesiona do komody i szafki i o ile Sovay widziała, nie miały żadnych tajnych skrytek. W szufladach komody znalazła tylko koszule, rajtuzy i bieliznę. Wiszące ubrania miały puste kieszenie. Przeszła do biurka. W szufladach nic nie było, na blacie leżały jedynie puste kartki, przybory do pisania oraz rozpoczęty list do matki. Także szuflady w szafce przy łóżku były puste. Rozejrzała się po pokoju, wzdychając z frustracji. Na stoliczku przy oknie leżały pakuńki książek związane skórzanymi paskami. Łacina, greka, okropne nudy. Spojrzała na drugą kupkę. Rousseau, Voltaire i Thomas Paine *Prawa Człowieka: odpowiedź na atak pana Burke na Rewolucję Francuską*. Odpięła pasy i otworzyła oprawiony w skórę cielecą tom: wydrukowany dla J.S. Jordana, Fleet Street 166. Zaczęła kartkować książkę. Jej środek został wyjęty, a na jego miejscu zrobiono tajną skrytkę. Ukryto w niej plik listów. Wszystkie pisane tym samym równym, drobnym pismem, które widziała dzień wcześniej u fałszerza. Trzy listy. Wszystkie adresowane do Robespierre'a. Serce zabiło jej mocniej na ten widok.

- Rufus! Gdzie jesteś? - rozległo się wołanie w holu. - Gdzie, do diabła, podziewa się ten chłopak?

Spojrzała dokoła, ale nie miała gdzie się schować.

- Rufus... - głos zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył Sovay. - Co do diabła pani tu robi?

- Szukałam czegoś do czytania - pokazała mu książkę, którą trzymała w ręku. - I znalazłam to.

- Chwileczkę - Gerald Fitzwilliam podszedł bliżej. Na czoło wystąpiła mu żyła, a jego czerwona od wyczuwalnego w oddechu wina twarz, poczerwieniała jeszcze bardziej. - Nie może pani...

- Mogę i już to zrobiłam - Sovay nie zamierzała owijać niczego w bawełnę, zwłaszcza że miała przy sobie broń. - Listy ukryte w tej książce to dowód na to, że jest pan wrogiem moim, mojej rodziny oraz przyjaciół.

Nie miała czasu przeczytać listów, ale z twarzy Fitzwilliama wyczytała, że odgadła prawidłowo.

- Wy, Middletonowie, zawsze byliście bandą zdrajców - powiedział szyderczo. - Spotka was los, na jaki zasługujecie. Proszę oddać mi tę książkę!

Rzucił się do przodu, ale przez alkohol jego ruchy były nieskoordynowane. Sovay z łatwością mu umknęła.

- Nie zawaham się przed użyciem tego - powiedziała, sięgając po pistolet. - Niech pan się nie zbliża, panie Fitzwilliam i nie wystawia mojej cierpliwości na próbę.

Na widok broni zatrzymał się w pół kroku.

- Nie ujdzie to pani na sucho - wysyczał. - Jedno słówko i zostanie pani ścięta jako angielski szpieg.

- Nie sądzę.

Fitzwilliam obrócił się i ujrzał za plecami Virgila.

- Takie oskarżenie działa w dwie strony - powiedział łagodnie Amerykanin. - Pan też nie jest bezpieczny.

- Jestem Irlandczykiem, a nie Anglikiem - wyrzucił z siebie Fitzwilliam. - Jesteśmy tu mile widziani.

- Niektórzy z was, ale pan do tej grupy raczej nie należy. Jeśli nie zrobi pan tego, co mówimy, nie tylko przekazemy pana komisji - a dozorca, mogę panu powiedzieć, ma co do pana podejrzenia - ale każdy Irlandczyk stąd do Nowego Jorku dowie się, że pracuje pan dla Dysarta i zdradził ich sprawę rządowi brytyjskiemu oraz Tajnej Komisji.

Virgil miał rację w kwestii sprawy irlandzkiej. Własny brat zabiłby Fitzwilliama, gdyby się tylko o tym dowiedział, i Gerald zdawał sobie z tego sprawę. Padł na niego blady strach. Brakowało mu charakteru, żeby być dobrym szpiegiem. Tchórzostwo biło od niego na odległość i pokrywało jego gładką skórę warstwą potu.

- Dobrze - usiadł ciężko, już nie stawiając oporu. - Co mam zrobić?

- Nic trudnego - Virgil skinął na Rufusa, który właśnie wszedł do pokoju. - Ale najpierw z pewnością napiłby się pan brandy.

Fitzwilliam podniósł szklanekę drżącą ręką.

- Niech pan każe chłopakowi spakować wszystko. Zmiana decyzji. Zmiana planów. Odjedzie pan stąd, zanim wróci pański brat - Virgil nalał sobie brandy i usiadł na krześle. - Poczekam tu i dopilnuję, żeby pan to zrobił.

Sovay zostawiła Virgila na straży, a sama wyszła z budynku. Ledwie znalazła się na ulicy, z drzwi po przeciwnej stronie wyłonił się jakiś cień i ruszył w ślad za nią.

## ROZDZIAŁ 36

- Czego pan chce ode mnie? - Sovay odwróciła się szybko. - Ostrzegam pana, mam broń.

- W to nie wątpię! - mężczyzna uniósł ręce do góry. - Ale chyba nie strzela pani do przyjaciół, panno Sovay?

- Greenwood! Co pan tu robi?

Sovay poczuła ulgę na jego widok i z trudem powstrzymała się, żeby nie rzuć mu się na szyję na środku ulicy.

- Śledziłem Fitzwilliama. Właśnie próbowałem rozpracować sposób dostania się do środka i już żałowałem, że nie zabrałem ze sobą Toby'ego - bo ze mnie kiepski włamywacz - i kogo nagle widzę? Chciałem was ostrzec, kiedy Fitzwilliam wrócił nagle w pośpiechu, ale doszedłem do wniosku, że pani i ten jankes poradźcie sobie. I widzę, że miałem rację. Ładne cacko - skinął głową w kierunku pistoletu, który właśnie schowała. - Skąd go pani wzięła?

- Dostałam od Virgila. O mały włos nie zastrzeliłabym pana. Co panu przyszło do głowy, żeby tak się skradać?

- Znalazła pani to, czego pani szukała?

- Skąd pan wie, że czegoś szukałam? Spojrzał na nią porozumiewawczo.

- Owszem - uśmiechnęła się z satysfakcją, a jej wielkie oczy rozbłysły od ekscytacji. Była naprawdę niezwykle ładna. Greenwood skrzywił się na wspomnienie swojej zmarnowanej szansy.

- Dlaczego pan się zrobił taki ponury? - zapytała, patrząc na niego.

- Przeklinałem się w myślach za to, że byłem takim dżentelmenem - powiedział i ujął ją za rękę.

- Bylibyśmy wspaniałą parą, Sovay. Powinienem być cię wykorzystać, kiedy mogłem.

- Teraz już za późno - zaśmiała się.

- Jak to? - uśmiechnął się przebiegle. - Kogo pani poznała?

- Nie to chciałam powiedzieć! - odwróciła wzrok, chociaż zmrok ukrył rumieniec. Szybko zmieniła temat. - A co pan tu właściwie robi?

- Oldfield mnie przysłał. Teraz pracuję dla niego.

- Oszalał pan? To dziwne, że nie został pan aresztowany, gdy tylko otworzył usta.

- Jestem wykształconym człowiekiem - Greenwood wyglądał na urażonego opinią. - Mówię po francusku tak samo jak Fitzwilliam. A zresztą podróżuję jako Irlandczyk. Patrick MacManus z hrabstwa Monagham. Oldfield załatwił mi papiery. Co przewoził Fitzwilliam?

- Listy od Dysarta do Robespierre'a. Może pan je zabrać razem z innymi dowodami, które zebraliśmy. To wystarczy, by go zdyskredytować, jestem tego pewna.

- A co się stanie z Fitzwilliamem? Nie może wrócić do Anglii.

- Ależ nie - zaśmiała się. - Kiedy się spakuje, pojedzie na wybrzeże. Jeśli będzie trzeba - w jednej z beczek Virgila. Stamtąd popłynie do Ameryki, żeby zszedł z oczu, dopóki Dysart nie zostanie pokonany.

- Może być za późno dla Gabriela i reszty - Greenwood przybrał poważny ton.

- Co się z nim dzieje? - zapytała ogarnięta wyrzutami sumienia, że tak była zajęta tym, co tu i teraz, iż nie zapytała o wieści z domu.

- Jest w Newgate, dobrze się trzyma. Mam też dobre wieści - uśmiechnął się. - Lidia wychodzi za mąż za Skidmore'a, ale jeszcze nie ustaliła daty. Chce, żeby pani najpierw wróciła.

Sovay ujrzała w wyobraźni kościółek w Compton przystrojony na ślub i poczuła, jak tęsknota ściska ją za gardło.

- Wróć - obiecała. - Będę jej druzną. A co z Tobym?

- Terminuje o ślusarza w Clerkenwell. To uczciwy człowiek, przyjaciel Dicka Chapmana. Powinien sprowadzić chłopaka na właściwą drogę. No i nadal marzy o wyjeździe do Ameryki, kiedy nadejdzie właściwy czas.

- To dobrze, że sobie radzi - Sovay uśmiechnęła się na myśl o Tobym i całej reszcie. - Tęsknię za nimi.

- Niech pani wróci ze mną - nakłaniał kapitan. - Po co ma się pani dalej narażać?

- Nie - pokręciła głową. - Nie mogę zostawić papy. A poza tym trzymają mnie tu jeszcze inne sprawy.

Greenwood już więcej nie naciskał. W kwestiach sercowych przejawiał dużą mądrość, a z wyrazu twarzy dziewczyny domyślił się, jakie są te „inne sprawy”.

Greenwood wyjechał rano, zabierając ze sobą listy oraz dokumenty sfalszowane przez Lefere'a. Sovay poczuła wielką ulgę i podekscytowanie. Zgromadzone dowody wystarczą, by całkowicie pograć Dysarta. I chociaż tutaj czyhało na nich wiele niebezpieczeństw, wkrótce ich główny wróg w kraju zostanie pokonany. Od razu poprawił jej się humor na tę pierwszą wyraźną nadzieję, jaką poczuła od czasu przyjazdu do Francji.

Poranek był ciepły, z pewnością w ciągu dnia zrobi się upalnie. Założyła najłżejszą sukienkę, żeby przygotować się na skwar zakurzonych ulic i postanowiła iść do Pałacu Luksemburskiego i sprawdzić, czy nie ma jakichś wieści o ojcu.

Hugh towarzyszył Fernandowi na Konwencie, a Virgil odwoził Fitzwilliama do Hawru, musiała więc iść sama. Pchnęła ciężkie drzwi wejściowe. Na zewnątrz świeciło ostre słońce. Wychudzony żółty kot drzemał w kącie, w cieniu drzewa figowego. Z doniczek na parapecie zwieszały się kwiaty ge-

ranium, a ich opadnięte płatki wyglądały na kamieniach jak krople purpurowej krwi. Wyszła na ulicę, a furтка zamknęła się za nią ze zgrzytem. Wiele razy wcześniej pokonywała tę samą drogę, ruszyła więc pewnie przez plątaninę uliczek, ale w labiryncie ulic łatwo było się zgubić i wkrótce znalazła się na większej arterii, której nie знаła.

Ulicą wędrował tłum ludzi, wszyscy zmierzali w tym samym kierunku. Mężczyźni, kobiety i dzieci, o napiętych twarzach bez wyrazu, nie licząc kamiennej determinacji, jakby mieli właśnie spełnić nałożony na nich obowiązek. Jak na tak liczny tłum poruszali się niemal bezgłośnie. Nic nie odróżniało tej ulicy od innych: wysokie mury po obu stronach, zamknięte bramy, napisane na ścianach hasła. Musiała znajdować się niedaleko miejsca, w którym mieszkała, ale była pewna, że nigdy wcześniej tu nie dotarła. Było coś dziwnego w tej scenie, znajomego, ale i zupełnie obcego, jakby działa się we śnie. Sovay nie czuła wyraźnego zagrożenia, ale miała silne przeczucie, że stanie się coś niedobrego. Sprawiało ono, że mimo upalanego słońca, przeszły ją dreszcze. Chciała zawrócić, ale było już za późno, tłum porwał ją jak nurt rwącej rzeki. Nie miała jak się wycofać, a kiedy próbowała, otoczyły ją podejrzliwe spojrzenia.

- O co chodzi, obywatelko? - zapytała jakaś kobieta. - Gdzie pani poczucie patriotycznego obowiązku?

Kobieta ciągnęła za sobą dziecko, dziewczynkę sześć-, może siedmioletnią. Mała przyglądała jej się otwarcie.

Próba odwrotu zwróciła uwagę innych kobiet, które zaczęły jej się wrogo przyglądać. Sovay zastanawiała się, czym je sprowokowała, czy miała na twarzy wypisaną narodowość? Na wszelki wypadek nie odzywała się, bojąc się, że jej akcent potwierdzi ich podejrzlenia. Kobiety spojrzały po sobie, a potem najśmielsza z nich wyszła przed szereg z determinacją na twarzy i oparła pięści na biodrach, gotowa do rzucenia rękawicy.

- Obywatelko! - zagrział męski głos przy jej uchu. - Gdzie pani trójkolorowa kokarda?

Sovay przeraziła się. Zostawiła ją na kołnierzu płaszcza, który miała na sobie poprzedniego wieczoru. A przecież wiedziała, że nie może bez niej wychodzić z domu. Brak kokardy skutkowało obcięciem głowy albo pobiciem na śmierć na ulicy.

Silne męskie ręce chwyciły Sovay i wyprowadziły z tłumu. Kobiety na widok gwardzisty ruszyły dalej, najwidoczniej usatysfakcjonowane. Mężczyzna zdjął kapelusz, a wtedy Sovay rozpoznała w nim Léona.

- Musi pani pamiętać o kokardzie i zawsze ją nosić - powiedział, po czym zdjął dużą czerwono-biało-niebieską odznakę ze swojego kapelusza i przypiął jej do ramienia. - W przeciwnym razie zwróci pani na siebie uwagę Komisji Rewolucyjnych albo zostanie pobita przez *bonnes républicaines*, które przed chwilą się na panią tak gapiły. A teraz chodźmy wypełnić patriotyczny obowiązek.

Prowadził Sovay za rękę i wkrótce zdała sobie sprawę, dokąd zmierza ta pielgrzymka. Poznała po zapachu. Pomiędzy kamieniami, po których szli, sączyła się ciemnoczerwona ciecz, a rynsztoki pełne były krwi. Skargi płynące od mieszkańców poszczególnych dzielnic, w których ustawiano gilotynę, sprawiły, że teraz to diabelskie urządzenie zostało przeniesione ku wschodnim granicom miasta, na barrière du Trône. Nazwę placu zmieniono na Trône-Renversé, czyli odwrócony tron, ale wielkie kamienne kolumny, które kiedyś stanowiły wjazd do miasta, nadal pięły się w górę, przypominając o dawnym ustroju. Teraz stał tu nowy tron, ustawiony na wysokim podeście, a oni właśnie do niego zmierzali. Zakrzywione ostrze wyglądało jak makabryczny baldachim, a kołnierz przypominał wielką paszczę widniejącą w miejscu, gdzie powinno znajdować się siedzenie tronu. Kat i jego pomocnicy w ubraniach i fartuchach zbroczonych krwią przywodzili na myśl rzeźników.

W kolejce przed gilotyną czekały wozy, zupełnie jak wózki przed rzeźnią. Pasażerowie stali stłoczeni, mieli zerwane kołnierzyki, związane z tyłu ręce i spuszczone ogolone głowy.

Wszystko działo się dramatycznie szybko, długa praktyka zaowocowała bowiem dużą wydajnością. Każdy więzień był wyprowadzany na szafot, na którym stała gilotyna. Jego głowę umieszczano w niewielkim otworze, a następnie zamykano jego górną część, zwaną lunetą. Kat zwalniał ostrze, które opadało ze świstem. Cały proces trwał niecałą minutę, od momentu kiedy skazaniec kładł głowę na gilotynie aż do chwili, gdy kat podnosił odciętą głowę, by pokazać ją tłumom. Głowę wrzucano do stojącego niżej kosza, a ciało na wóz, który potem wiozł je do masowego grobu wykopanego pośpiesznie na terenie pobliskiego klasztoru przy Rue de Picpus.

Sovay wychowała się na wsi i często widziała zabijanie zwierząt, ale strumień krwi lejącej się z szyi i jej duszący zapach ją zszokował. Jeszcze trudniej było jej patrzeć na stoicką godność lub słaby hart ducha oczekujących na śmierć osób: obcych sobie ludzi stojących ramię w ramię, ojca przytulonego do syna, matki tulącej płaczącą córkę, księdza udzielającego ostatniego sakramentu - któż bowiem miał mu w tym przeszkodzić? Zakonnica śpiewała *Te Deum* głosem najpierw drżącym, ale w miarę, gdy zbliżała się jej kolej, coraz silniejszym. Tłum ucichł, kiedy pomocnicy kata splamili krwią jej biały habit. Sovay najchętniej by się odwróciła z rozpacz, ale Léon trzymał ją mocno. Odwrócenie się byłoby niepatriotycznym gestem i z pewnością by ją zdradziło.

Tłum nie wiwatował. Przy podnoszeniu każdej ściętej głowy rozlegały się bezładne okrzyki radości wśród opłaconej wcześniej klaki, ale nikt więcej się do nich nie przyłączał.

- Dlaczego mieliby się cieszyć? - zapytał Léon. Arystokracja nie żyje albo uciekła. Ci nieszczęśnicy to sklepikarze, drukarze, kowale, koronkarze, kelnerzy, służba, biedni księża, siostry wyciągnięte z klasztorów. Każdy z nich jest czyimś wrogiem: mściwego sąsiada, członka Komitetu Rewolucyjnego albo został uznany za winnego tylko dlatego, że jest krewnym lub przyjacielem kogoś, kto podpadł Robespierre'owi czy Komisji Bezpieczeństwa Powszechnego. To zwykli ludzie. Tacy sami jak oni. Być może tłum już czuje na swoim karku dotyk lodowatego ostrza.



- Jeśli nie nienawidzą tych ludzi, po co tu przychodzą?

- Kto to wie? - Léon wzruszył ramionami. - Niektórzy przychodzą tu z ciekawości, bo fascynuje ich sam moment śmierci. Dla innych to swoista ulga - że to nie ich kolej dzisiaj, choć być może jutro na nich wypadnie. Albo na mnie. Na panią. Nikt nie jest bezpieczny. No dobrze - powiedział nagle i zaczął ją odciągać. - To i tak za chwilę się skończy.

Minęli siedzące na ławkach kobiety robiące na drutach. One przynajmniej były niezwykle skupione. Léon spojrzał w ich stronę.

- To słynne *tricoteuses*, ale niech pani im się zbytnio nie przygląda. Przychodzą tu codziennie i robią na drutach czapki wolności albo skarpety dla swoich mężczyzn walczących na wojnie. Kto zresztą wie, co one robią i po co? Może są jak Penelopy i prują nocą to, co zdążyły zrobić w ciągu dnia? A może raczej jak Mojry i gdy one przestaną, skończy się to całe szaleństwo? A może, kiedy przerwie się ostatnia nić, wszyscy umrzemy... - nagle przerwał, bo zauważył, że Sovay pobladła. - Nic pani nie jest?

Zaprzeczyła, ale nie odważyła się odezwać. Nie chciała pokazywać własnej słabości, ale sceny z gilotyną, upał i zapach krwi sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze. Léon poprowadził ją spokojną, boczną uliczką, aż znaleźli się w cieniu rozłożystego platanu, który rósł na niewielkim placu. Zatrzymali się w małej kawiarence i usiedli przy chwiejnym stoliku. Léon zamówił wino. Rozległo się wołanie kobiety, z kuchni było słyhać brzęk naczyń. W donicach przy drzwiach rosły pachnące zioła, tymianek i rozmaryn. Ta zwyczajna scenka przyniosła Sovay ukojenie. W nękanym horrorem mieście nadal toczyły się brutalne sceny, dokonywały się wielkie i małe zbrodnie, ale tutaj życie toczyło się tak jak dawniej i jak zawsze będzie się toczyć. Podano im wino wraz z koszykiem pieczywa. Léon nalał kieliszek i nakazał Sovay, by wypila.

- Na początku było zupełnie inaczej - powiedział po chwili. - Nie było uśmiercania zwyczajnych ludzi. Nie zaczęliśmy rewolucji po to, by toczyć wojnę z rodakami. To, że pani tak zareagowała...

- Przykro mi - Sovay przeprosiła za chwilę słabości.

- Ależ nie! To pokazuje, jak daleko zaszliśmy w tolerowaniu takiego barbarzyństwa! - Léon pokręcił głową. - To wszystko, co widziałem. Wszystko, co robiłem. W Wandei, w Lyonie. I to wszystko w imię tej samej rewolucji - powiedział, zakrywając oczy dłonią, jakby chciał zetrzeć wspomnienia, które w nim tkwiły. - Ta rzeź, którą pani przed chwilą oglądała, to przy tym nic. Ludzie rozrywani na strzępy przez kule armatnie, związywani w długie rzędy i rozstrzeliwani albo związywani nago w kilka osób i wrzucani do rzeki, wypuszczani na wodę w łodziach z wywierconymi otworami. I to w imię republiki... - zawiesił głos i podniósł wzrok. W jego zielonych oczach widać było cierpienie, ale trudno było powiedzieć, czy własne, czy odbijało się w nich cierpienie ofiar. - Moje ręce też splamiły się krwią - powiedział, spoglądając na swoje długie palce położone na stole. - Jestem żołnierzem i wykonuję rozkazy, a przynajmniej tak sobie powtarzałem. Nie mam już Boga, którego mógłbym błagać o

wybaczenie. Mogę jedynie mieć nadzieję, że uda mi się odkupić winy. Że któregoś dnia ludzie wybaczą marnotrawnemu synowi.

Dopił wino i nalał sobie więcej. Pił w milczeniu, a Sovay nie wiedziała, jak ma przerwać tę kontemplację. Żadne słowa, która mogłaby wypowiedzieć, nie przyniosłyby pociechy, więc milczała i czekała, aż Léon odezwie się ponownie.

- Niech mi pani opowie o swoim domu - powiedział w końcu, jakby sobie nagle przypomniał, że nie jest sam. - Jaki jest?

Opisała mu Compton, powiedziała jak bardzo marzyła kiedyś o przygodach, a jak teraz tęskni za spokojną normalnością dawnego życia.

- Nie należy szukać przygód, bo jeszcze się je znajdzie - zaśmiał się. - Ja też pochodzę ze wsi. Z Gaskonii. Kiedy byłem małym chłopcem zostałem przysłany do szkoły w Paryżu, ale nigdy nie czułem, że tu przynależę. Moje serce zawsze było gdzie indziej, na spacerach po polach, polowaniach w lesie, łowieniu ryb w strumieniach. Wiele razy stawałem w obliczu śmierci i wiem, że Gaskonia będzie ostatnim miejscem, jakie będę miał przed oczami, kiedy przyjdzie czas pożegnać się z tym życiem.

- Wróci pan tam?

- Może kiedyś - uśmiechnął się. - Kiedy to wszystko się skończy. Zabiorę panią ze sobą - dodał i chwycił Sovay za rękę. - Pojedzie pani ze mną! Chociaż straciliśmy ziemię, a w zamku straszą lisy i nie zostało wiele do oglądania.

- Pana rodzina wyjechała?

- Owszem. Do Ameryki - zaśmiał się gorzko. - Inni w jeszcze lepsze miejsce. Nie mam nikogo. I nic. Żyję z żołdu żołnierskiego tak jak moi żołnierze.

- Dlaczego pan nie wyjechał z nimi?

- Bo wierzę w rewolucję! Nadal wyznaję te same ideały! - powiedział z błyskiem w oku. - Zrozumiałaby pani, gdyby była tu od samego początku. Wtedy można było zobaczyć, jak stary świat się rozpada i rodzi się nowy. Jak wszystko się zmienia. Na zawsze - spojrzał na nią, a jego oczy wydawały się jasne i twarde jak dwa oszlifowane agaty. - Jak domagamy się równości i wolności dla wszystkich ludzi - kobiet i mężczyzn. Czy to złe założenia?

- Przez całe życie słyszałam podobne słowa z ust ojca i brata i nigdy w nie nie wątpiłam, ale po tym, co właśnie widzieliśmy... - nadal chciała wierzyć, ale na samo wspomnienie gilotyny zadrzała.

- To prawda, życie stało się trudne w ostatnich dniach, ale to tylko dni, które wkrótce miną. Czym są dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata w całym życiu, w historii narodu? To, co zaczęliśmy teraz, w 1789 roku, będzie miało wpływ na cały świat w ciągu najbliższych stuleci - powiedział i pochylił się do przodu. - To, co mamy teraz, to nie jest normalna sytuacja, to drobna zmiana kierunku, a nie część głównego nurtu zmian. To się musi skończyć. W imię rewolucji ta cała rzeź musi się skończyć.

- To dlatego pan wrócił?

- Między innymi - odpowiedział wymijająco i rzucił pieniądze na stół. - Ale nie tylko. Opowiem pani po drodze - chwycił ją pod ramię i ruszyli przez plac. - Dzisiaj rano moi ludzie złapali angielskiego szpiega, który próbował opuścić miasto. Wczoraj doszło do paniki w St Germain, szpieg z Anglii są wszędzie. Jesteśmy nimi otoczeni - dodał i spojrzał na nią badawczo. - Ten człowiek nie chce wyjawiać żadnych szczegółów swojej tajnej misji, ale na papierach, które miał przy sobie widnieje pani nazwisko, panno Sovay.

- Gdzie on jest?

- W mojej kwaterze. Zaprowadzę tam panią, to niedaleko. Tylko przejdziemy na drugi brzeg rzeki.

Ulice były nadal opustoszałe, jedna strona tonęła w słońcu, druga kryła się w cieniu. Kiedy skręcili za róg, zauważyli, że w ich stronę idzie grupa mężczyzn. Na przodzie szli dwaj potężni sankiuloci, w prążkowanych spodniach i czapkach wolności. Maszerowali z gotowymi pałkami, bacznie obserwując ulicę. Tuż za nimi podążało dwóch mężczyzn w eleganckich strojach. Niższy miał na sobie wyśmienity surdut w kolorze lazurowym, koronkę przy szyi i nieskazitelnie białe rajtuzy. Pod białą jak śnieg peruką widać było niewielką twarz, zmarszczoną w zamyśleniu. Mężczyzna miał zielone okulary, gdy spojrzał na swojego towarzysza, odbiło się w nich słońce. Ten był dla odmiany ubranym na białe, niezwykle młodym i przystojnym blondynem. Kiedy tylko Léon ich zauważył, objął Sovay i przyciągnął do siebie, jakby byli kochankami.

- Saint-Just i Robespierre - szepnął jej do ucha. - Niech się pani nie przygląda.

- Obywatele! - powiedział i zszedł na bok, by ustąpić im drogi. Byli zatopieni w rozmowie i nie odpowiedzieli na powitanie.

Robespierre nie podniósł nawet wzroku, tylko Saint-Just spojrzał w ich stronę. Miał anielską twarz, z oczami tak niebieskimi i pustymi jak niebios.

- Robespierre mieszka niedaleko stąd - powiedział Léon. - W domu stolarza Duplaya na Rue St Honoré. Dom jest pilnowany dzień i noc, odkąd ta dziewczyna - Cécile Renault, próbowała go zabić nożem do krojenia owoców. Robespierre wszędzie węszy spisek. Renault i jej cała rodzina zapłacili za to wysoką cenę, ale on patrzy w niewłaściwym kierunku. Niebezpieczeństwo nie przyjdzie wcale ze strony wdów i służek ludzi wieszonych każdego dnia na gilotyny, ale z grona najbliższych współpracowników. Tygrysy podrywają się już do walki. Udało mu się zjednoczyć zarówno dobrych, jak i złych ludzi przeciwko sobie. Obok idealistów, takich jak wasz przyjaciel Fernand, stoją łotrzyki i obwiesie, którzy boją się, że to oni stracą głowę w najbliższej kolejności. Kto pierwszy spotka się z gilotyną? Mamy nawet takie powiedzenie: Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Kiedy szli dalej wąską uliczką, na rogu pojawił się człowiek w mundurze w towarzystwie wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny w zwykłym stroju.

- *Merde!* To Hanriot i Carnot! Mają dzisiaj służbę!

- Kim oni są?

- Carnot zasiada w Komisji Bezpieczeństwa Powszechnego, a Hanriot jest dowódcą Gwardii Narodowej. Nie powinienem tu być. Zabije mnie, jeśli mnie zobaczy!

Skoczył w zacienione wejście do budynku i pociągnął za sobą Sovay. Odwrócił ją tak, że sam stał plecami do ulicy i objął namiętnie. Jego szorstki policzek drapał jej skórę, a jego usta smakowały winem. Sovay miała wrażenie, że spada w dół. Objęła rękoma jego szyję i włożyła palce w jego gęste, miękkie, ciemne włosy. Kiedy ją w końcu puścił, początkowo nie wiedziała, gdzie się znajduje, czuła, jakby powoli wynurzała się z głębokiej wody.

- Poszli już? - szepnęła. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Och, już dawno - powiedział i delikatnie poprawił kosmyk jej długich, czarnych włosów. - Ale boję się, że mogą nadejść następni.

Chwycił ją w ramiona i przycisnął do ściany. Tym razem jego pocałunki były delikatniejsze i nie tak spieszne, ale czulsze. Oddawała pieśczoły z równą namiętnością. Zaczęła szybciej oddychać, czując, jak przejmują ją żar namiętności. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Ten uścisk mógł trwać długie godziny albo zaledwie krótką chwilę, lecz kiedy Léon ją puścił, wiedziała, że należy do niego i ciałem, i duszą.

Dalej poszli objęci. Nikt się za nimi nie oglądał ani nie krzywił na ich widok. Paryż był miastem kochanków i nawet rewolucja tego nie zmieniła.

Przeszli na drugi brzeg rzeki, ale zanim skręcili w jedną z uliczek, spacerowali kawałek nabrzeżem. Dla Sovay Paryż nadal stanowił labirynt ulic i w ciągu dnia wyglądał inaczej, w przeciwnym razie poznałaby, że poprzedniego wieczoru była tu z Virgilem. Léon prowadził ją do swojej kwatery: grand hotelu należącego do jakiejś arystokratycznej rodziny, a teraz skonfiskowanego przez Republikę. Obok trzech kolorów Gwardii Narodowej powiewała czerwona flaga, a słowa *Propriété Nationale*, napisane na bramie, zasłaniały zniszczony herb rodowy. Przy wejściu stało dwóch strażników ze skrzyżowanymi włóczniami, na widok Léona stanęli na baczność i odsunęli broń.

Sovay i Léon przeszli pod szerokim łukiem z wielką latarnią i znaleźli się na brukowanym dziedzińcu. Do masywnych drzwi wejściowych prowadziły schody. Ponad drzwiami wisiała tarcza ze stojącym lwem, o dziwo niezniszczona i niezamalowana farbą republikanów.

- Witaj w moim domu rodzinnym - powiedział Léon i zaśmiał się.

Wnętrze budynku przypominało koszary. Zerwano wszystkie wspaniałe ozdoby, siedzieli tam gwardziści po służbie, pijąc wino i paląc fajki. Jedni rozmawiali, inni grali w karty. Szczególnie żywiołowa partia rozgrywana była w rogu. Głośne okrzyki triumfu przeplatały się z dobrodusznymi protestami. Kiedy podeszli bliżej, jeden z gwardzistów zawołał:

- Zabierz tego człowieka, Léon, bo oskubie nas ze wszystkiego, co mamy!

- Jeszcze nie! - zaprotestował inny. - Najpierw muszę się odegrać.

Ich przeciwnik wstał z miejsca i uklonił się z kpiną.

- Dziękuję za czas - powiedział. - I za pieniądze.

Zaśmiał się, licząc ostentacyjnie plik czarno-białych asygnat, a potem złożył je i schował do kieszeni. Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył Sovay.

- Złapali mnie - wzruszył ramionami. - Przykro mi z tego powodu. Czy możemy gdzieś porozmawiać?

Léon zaprowadził ich do pomieszczenia, które służyło mu za biuro.

- To był kiedyś salon mojej matki - powiedział, rozglądając się dokoła z udawaną nostalgią. - Ostatnio trochę się zmienił.

Z pokoju usunięto eleganckie meble, zamiast tego wstawiono proste drewniane stoły i krzesła. Żółto-biała tapeta była pozrywana i pobrudzona śladami palców wokół drzwi oraz ciemnym pasem na wysokości ramion. W pudłach pod ścianami leżała różna broń: dzidy, pistolety i szable.

- Tak sobie myślałem... - zaczął Greenwood.

- A to do pana niepodobne - uśmiechnęła się Sovay, ale kapitan nie odwzajemnił uśmiechu.

- Mówię poważnie. Czytałem te listy - powiedział i poklepał się po kieszeni. - Virgil ma rację. To wystarczające dowody, by skazać Dysarta, ale on nie jest głupi i zachowuje się bardzo czujnie. Przy pierwszym podejrzeniu zwieje na wybrzeże. Jeśli ucieknie, znajdzie się pani w poważnym niebezpieczeństwie.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedziała cicho. - Zaryzykuję.

- Nie - Greenwood potrząsnął głową. - Niech pani jedzie ze mną. Zrobiła pani wystarczająco dużo dobrego.

- Nie mogę wracać do Anglii. Dysart nie został jeszcze pokonany.

- Wywiozę cię z kraju, do Szwajcarii - włączył się Léon. - Będiesz tam bezpieczna wśród tych, którzy już uciekli z Paryża.

- Nie! Nie wyjadę stąd, dopóki ojciec jest w więzieniu, a Hugh grozi niebezpieczeństwo.

- Hugh sobie poradzi.

- A papa?

- Nic nie możesz dla niego zrobić - to był brutalny przekaz, ale Sovay wiedziała, że Léon ma rację. - Czy on nie wolałby wiedzieć, że jesteś bezpieczna?

- Oczywiście, ale po co mam być bezpieczna? Jedyne osoby, na których mi zależy, są właśnie tutaj! Bez nich moje życie nic nie znaczy. We własnym kraju jestem wyjęta spod prawa. Nie chcę się ukrywać ani czekać za granicą, aż zrobi się bezpiecznie. Bo kiedy to nastąpi? - odwróciła się do niego.

- Ty nie uciekłeś. Zostałeś, by walczyć w obronie tego, w co wierzysz, chociaż twoje życie cały czas wisi na włosku.

- To co innego - chwycił ją za ramiona. - Ja jestem...

- Mężczyzną! To chciałeś powiedzieć? Nie godzę się na inne traktowanie tylko dlatego, że jestem kobietą! Zresztą, tu nie chodzi przecież o mnie. Najważniejsze, żebyśmy odesłali Greenwooda.

- Bo jestem żołnierzem - to chciałem powiedzieć - dokończył Léon i wzruszył ramionami pokonany. - Ona ma rację - zwrócił się do Greenwooda, który z wielkim zainteresowaniem obserwował tę wymianę zdań. - Powinien pan jechać. Lokalny komitet działa bardzo żarliwie. Ich przywódcą jest serdeczny przyjaciel Robespierre'a, nie podoba mu się, że jesteśmy w jego *section*. Musimy pana wyekspediować, zanim wywęszy pańską obecność. Przebiorę pana za mojego gwardzistę.

- Powodzenia, moja śliczna - szepnął Greenwood, kiedy wychodził za Léonem. - Mówiłem, że tak się stanie - powiedział po angielsku, wskazując na Léona. - Spotkała pani mężczyznę swojego życia!

- Co on powiedział? - Léon spojrzał groźnie na Greenwooda, widząc, że Sovay się zarumieniła.

- Nic - odparła. - Mówi, żebym uważała na siebie. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się gwardzista.

- Przepraszam, kapitanie, ale Dupré chce zobaczyć angielskiego szpiega...

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł - mruknął Léon. - Nic tu nie ma do roboty.

- To już ja sam ocenię, obywatelu.

Do pokoju wmaszerował nieduży człowieczek z piersią wysuniętą dumnie do przodu i czapką wolności sterczącą na dużej głowie niczym grzebień koguta. Nie był sam, towarzyszyli mu inni przedstawiciele komitetu, który przyszedł, by upewnić się, że sprawiedliwości staje się zadość.

Z grupki wystąpił mężczyzna. Lefere. Wskazał ręką na Sovay i aż się zakrztusił z przejęcia, tak bardzo chciał się wykazać.

- To ona! Angielski szpieg!

Dupré spojrzał na stojących przed nim mężczyzn w mundurach Gwardii Narodowej.

- Dobra robota, obywatelu. Teraz ja ją przejmuję.

Chwycił Sovay za rękę, a wtedy Léon sięgnął po szpadę. Greenwood zrobił krok do przodu, gotów do niego dołączyć. Mogli rozszarpać przybyszów na kawałki, żeby ją ratować. Widziała to po ich oczach i zaciśniętych szczękach. Co by się wtedy stało?

Wyciągnęła ręce w ich stronę, żeby powstrzymać atak.

- Dziękuję, kapitanie. Panie gwardzisto - spojrzała na jednego i drugiego, nie chcąc, by wystawiali się na niebezpieczeństwo. - Nie będę już zabierać panom czasu - to mówiąc, odwróciła się do ludzi, którzy po nią przyszedli. - Jestem gotowa.

## ROZDZIAŁ 37

Zabrali ją do miejsca przypominającego tawernę, śmierdziało tam rozlanym winem, potem i dymem tytoniowym. Dupré zmiotł ręką ze stołu resztki kiełbasy i okruchy chleba dla czekających już na to psów, a członkowie komitetu zajęli swoje miejsca. Nie pozwolono Sovay mówić we własnej obronie. Jej dokumenty uznano za sfałszowane, oskarżono ją o to, że jest córką milorda *Anglais* i do tego szpiegiem. Nawet wygląd dziewczyny posłużył jako dowód przeciwko niej. Wpatrywali się w nią, mówiąc, że wygląda na Angielkę. W czasach, w których ludzi stawiano w stan oskarżenia tylko za arystokratyczny wygląd, niewłaściwe myślenie albo zbyt słabe zaangażowanie w sprawy rewolucji, wystarczyło to, by skazać ją na śmierć. Patrzyła na członków komitetu w milczącym buncie, kiedy oni zastanawiali się nad werdyktem, bazgrząc coś na kawałkach papieru z pochylonymi głowami. Byli zdolni do ferowania sprawiedliwych wyroków tak samo jak stado bełkoczących małą. Męczyło ją ich udawanie, chciała, żeby ten cyrk już się skończył. Uznali ją za winną. Stanie przed Trybunałem Rewolucyjnym. Nie wiadomo kiedy, ale to z pewnością będzie tylko formalność. Czeką ją śmierć.

Pojawiło się dwóch policjantów i została wepchnięta do powozu. W środku towarzyszył jej jeden z nich, lecz nie odzywał się i nie odpowiadał na jej pytania. Wyjrzała przez okno. Hasła na murach sprawiały wrażenie, jakby napisano je krwią: *L'Egalité, Fraternité, la République ou la Mort*. Ogarnął ją nagły lęk, kiedy zaczęła się zastanawiać, dokąd ją wiozą. Jeśli przekroczą Sekwanę, zabiorą ją pewnie do La Force, gdzie wydarzyły się masakry wrześniowe. Poczwała ulgę, kiedy woźnica popędził konie, skręcając w drugą stronę.

Powóz mknął po brukowanych ulicach, a ona zaczęła myśleć o Léonie. Wyglądał tak, jakby miał zamiar rozplatać tamtego człowieka. Tylko co by się wtedy stało? Zostałby aresztowany za utrudnianie obowiązków Komitetu Rewolucyjnego, a Greenwood razem z nim. Ona i tak skończyłaby w więzieniu. Byłoby to zwycięstwo Dysarta. Wybrała najlepsze rozwiązanie, Léon ocali Greenwooda, powie Hugh o jej aresztowaniu. Mimo wszystko... Mógł coś jednak zrobić. Gdyby to była bajka, przyjechałby na galopującym koniu, walczył z żandarmami, chwycił ją w ramiona i porwał... Dokąd? Nie miała pojęcia. W jakieś nieokreślone, ale bezpieczne miejsce.

To jednak nie była bajka, a prawdziwe życie. Léon był mężczyzną, patriotą i żołnierzem, silnym i nieznanym strachu, ale tak samo bezradnym jak ona. Nic, co zdarzyło się wcześniej, nie uświadomiło jej tak brutalnie beznadziejności sytuacji jak bezradność każdego człowieka w obliczu pozbawionej sensu przemocy. Nagle cel podróży stał się dla niej niezwykle ważny, jak przesąd. Jeżeli jada do Pałacu Luksemburskiego, jest jeszcze nadzieja, dla niego, dla niej, dla nich dwojga. Ale jeśli to będzie jakieś inne przerażające więzienie, wszystko stracone. Wyjrzała znowu przez okno i dostrzegła wysokie wieże katedry Notre Dame, teraz poświęconej czczeniu rozumu. Zamknęła oczy na tę ironię i zaczęła modlić się w duchu do Boga, który kiedyś zamieszkiwał katedrę. Tuż obok znajdowało się

Conciergerie, najgorsze z możliwych więzień. Jedynym wyjściem z niego był wóz jadący do gilotyny. Powóz zwolnił, a Sovay otworzyła oczy, zmuszając się do spojrzenia losowi prosto w twarz. Jak się okazało, przyczyną był tłum ludzi na wąskiej ulicy. Jednak się tu nie zatrzymywali.

- Pałac Luksemburski - żandarm dobrze odczytał jej zatrwożone spojrzenie rzucone za okno. - Tam jedziemy. Miała pani iść do Conciergerie, ale mam dług wdzięczności wobec Léona. Uratował mojemu bratu życie pod Verdun. Zmieniłem dla niego rozkazy.

I tak Sovay znalazła się w więzieniu. Oficer przyjmujący więźniów nawet na nią nie spojrzał. Była tylko częścią długiej kolejki osób czekających na przyjęcie. Zapisał jej dane i zawołał następnego więźnia. Sovay została zabrana do innego pomieszczenia, rozebrana i przeszukana. Stała w bieliźnie, starając się za wszelką cenę nie pokazywać, że czuje się upokorzona, gdy pozbawia się ją resztek godności i pieniędzy, które miała przy sobie. W końcu oddano jej rzeczy z lakonicznym „Proszę się ubrać”.

Stąd została zaprowadzona do ogólnego pomieszczenia pełnego ludzi też właśnie osadzonych w więzieniu. Były tam osoby wszelkiej maści, od biedaków po elegantów. Nikt się nie odzywał, każdy wydawał się zatopiony we własnej rozpacz. Nawet dzieci zachowywały się cicho, rozglądały się zaskoczony albo tuliły do matek. Sovay usiadła i czekała. Na co? Nie miała pojęcia.

Kiedy zakończono przyjmowanie więźniów, rozdzielono mężczyzn i kobiety i zaprowadzono do cel. Dawne apartamenty pokojowe zostały podzielone na pomieszczenia więzienne: maleńkie cele, mieszczące ledwo jedną osobę, ale i większe, wieloosobowe. Sovay pytała wszystkie mijane osoby o ojca i doktora Thery'ego. Strażnicy udawali, że nie słyszą albo kazali jej się zamknąć. Więźniowie też nie wykazywali zainteresowania, pogrążeni w rozpacz lub przestraszeni, że jeśli się do kogoś odezwą, zostaną posądzeni o spiskowanie. Beznadziejność sytuacji wyssała z niej wszystkie siły. Jak ma znaleźć ojca w tym ogromnym budynku? Do tej pory jedyne ukojenie znajdowała w myśli, że zobaczy wreszcie papę, że się z nim spotka. W końcu dała za wygraną i położyła się na sienniku, który miał być jej łóżkiem. Wpatrywała się w ozdobny sufit nad głową, obdrapany i poplamiony: tłuste aniołki spoglądające zza kłębiastych biało-różowych obłoków na tle niebieskiego nieba, i zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś zobaczy prawdziwe niebo.

Musiała się zdrzemnąć, uciekając w sen jak wielu wokół niej. Obudziła się przestraszona, kiedy czyjaś ręka dotknęła jej ramienia. Ale dotyk nie był szorstki, a głos, który się odezwał, brzmiał łagodnie.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem, *mademoiselle*.

Ujrzała nad sobą czyjeś zmęczone, szare oczy. Mężczyzna, który się nad nią pochylał, był z pewnością dżentelmenem. Ubranie miał poplamione, zniszczone i postrzępione, ale uszyte z tkanin dobrej jakości, na głowie nosił szarą perukę.



- Doktor Thery - przedstawił się. - Czy pani jest Angielką, która niedawno tu trafiła? Córka Johna Middletona?

Sovay pokiwała głową.

- Szukałem pani, ale przy tylu więźniach... - spojrzął na rzędy osób śpiących na podłodze. - Proszę za mną. Zabiorę panią do ojca. Pani zna moją córkę?

- Tak. Przekazywała nam wieści.

- Pani wiadomości przyniosły mu wielką pociechę. Mam tu więcej swobód niż inni więźniowie - wyjaśnił. - Pozwalają mi leczyć chorych. Wysyłać po leki. Nie z żadnych ludzkich odruchów, tylko dlatego, żeby skazańcy nie oszukali gilotyny i nie umarli zbyt wcześnie - zaśmiał się gorzko. - I chociaż sami ścinają ludziom głowy, sprawdzają, czy nikt nie ma trucizny albo ostrych narzędzi. Jesteśmy karmieni i nawet możemy się ruszać. Chcą, byśmy na spotkanie ze śmiercią poszli w jak najlepszym zdrowiu.

Ojciec Sovay leżał w małej, jednoosobowej celi. Były tam tylko łóżko, stolik i krzesło. Spał, co przywitała z ulgą, bo nie chciała, żeby widział jej minę i łzy w oczach na jego widok. Tak bardzo się zmienił, że w pierwszej chwili myślała, że lekarz przyprowadził ją do zupełnie innego człowieka. Schudł ogromnie, był teraz cieniem dawnego siebie. Jego ciało ledwie się odznaczało pod przykrywającym go kocem. Zawsze nosił jasnobrązową perukę, Sovay była zszokowana widząc na poduszce jego własne włosy, zupełnie białe i przerzedzone. Nie licząc rumieńców od gorączki, miał poszarzałą twarz, a pod skórą na czole i skroniach widać było niebieskie żyły. Usta miał uchylone, zapadniętą szczękę, gdyby nie lekkie uniesienie klatki piersiowej, można by pomyśleć, że nie żyje.

- Zmienił się bardzo - powiedział lekarz.

Pokiwała tylko głową, nie była w stanie się odezwać.

- Jest ciężko chory, ale z uporem trzyma się życia, *mademoiselle*. Ożywi się na pani widok, ale musimy postępować ostrożnie, zważywszy na okoliczności. Szok, rozumie pani - poklepał ją po dłoni. - Może pozwolą pani zostać tu i się nim opiekować. Czasem nie rozdzielają rodzin, zobaczę, co się da zrobić. A tymczasem, proszę posiedzieć przy nim, aż się obudzi sam z siebie. Powiedziano mu, że pani przychodzi. Najwidoczniej ma pani przynajmniej jednego przyjaciela poza tymi murami.

Wyszedł i zostawił ją samą z ojcem. Zrobiła tak, jak powiedział. Siedziała przy papie, trzymając go za rękę. Jego dłoń wydawała się mniejsza niż kiedyś, skurczona jak całe ciało do kości pokrytych skórą. Nie miała pojęcia, jak długo tak siedzi, splatając jego palce ze swoimi, ale niewielkie światło dochodzące z zewnątrz, zaczęło już słabnąć, kiedy poczuła, że ściska ją za dłoń. Nie otworzył oczu, ale z kącików pociekły mu łzy i spłynęły na brudną poszewkę poduszki.

- Myślałem, że już cię nie zobaczę, Sovay - powiedział słabiutkim szeptem.

- Nie płacz, papo! - poderwała się z miejsca i nachyliła nad nim, odgarniając mu z czoła kosmyki włosów.

- Serce mi się kraje, kiedy widzę cię tutaj - powiedział i spojrzał na nią wzrokiem pełnym rozpaczy, a potem odwrócił się do ściany i zaczął gorzko płakać.

- To szok - oznajmił lekarz, kiedy wrócił. Zbadał szybko jej ojca, osłuchując go uchem. - Serce bije miarowo, może odrobinę słabiej. Zasnął, więc pozwolimy mu odpocząć - dodał i odciągnął ją od łóżka. - Mam dobre wieści, *mademoiselle*. Może pani tu z nim zostać. Strażnik przyniesie pani siennik.

Sovay spała na sienniku na podłodze w celi ojca i troszczyła się o wszystko. Zamiatła i sprzątała celę, pilnowała, by miał zawsze świeżą wodę. Przynosiła jedzenie z jadalni i karmiła go łyżeczką. Codziennie miała wrażenie, że jest nieco silniejszy, czasem nawet wydawał się taki jak dawniej.

- Pan Thomas Paine jest tutaj - oznajmił jej któregoś dnia. - Thery powiedział, że pracuje nad książką *Wiek rozumu*. To mój bohater, chciałbym bardzo go odwiedzić, kiedy się lepiej poczuje.

Sovay obiecała, że zorganizuje spotkanie, ale nie wiedziała kiedy. Paine leżał w gorączce, a ojciec dochodził do siebie niezwykle wolno. Oznaki zdrowienia przeplatały się często z nawrotem choroby, kiedy majaczył i nie był w stanie podnieść się z łóżka. Większość czasu przesypiał, a kiedy się budził, wydawało mu się czasem, że jest w domu w Compton. Pytał ją wtedy, jak minął jej dzień. Sovay wymyślała opowieści o tym, jak życie mogłoby się rzeczywiście toczyć: o dojrzewającym zbożu, pięknych żywoplotach, polach pełnych kwitnącej kukurydzy i czerwonych maków, a także o tym, jak cudownie wyglądają ogrody teraz, w lipcu. Zwykle budził się wtedy i obiegał wzrokiem wysokie pomieszczenie z ciemnymi ścianami, a potem zakratowane okna. Wtedy wiedział już, gdzie się znajdują, ale opowieści o domu przynosiły mu ulgę, więc udawali, że tam są, aż po kilku godzinach Sovay miała wrażenie, że rzeczywiście znajdują się w Compton i że za chwilę wyjdzie z pokoju, żeby wydać polecenie Gabrielowi albo jego ojcu, czy wysłuchać najnowszych plotek z ust Lidii, gdy będzie się przebierała na kolację. Niekiedy w czasie opowiadania zaczynała tak bardzo tęsknić za domem, że nie mogła kontynuować. Ojciec klepał ją wtedy po ręce i mówił, że jest zmęczony i że chciałby się zdrzemnąć.

Sovay zostawiała go wówczas, by śnił o Compton, a sama wychodziła na korytarz. Czasem drzwi otwierano, żeby więźniowie mogli się przejść albo pobyć w towarzystwie innych. Więzienie miało swoje własne rytuały i chociaż zaostorzono rygor, to jednak o pewnych godzinach więźniowie gromadzili się przy oknach wychodzących na Ogrody Luksemburskie.

Sovay przypominała sobie wtedy, jak sama uczestniczyła w tych smutnych pielgrzymkach pod oknami. Wielu przychodziło codziennie, nie wiedząc, że ich bliscy zostali przeniesieni do innego więzienia i zobaczą już ich tylko na gilotynie. Sovay przychodziła teraz razem z innymi więźniami, bo były to dla niej jedyne okazje, by zerknąć na świat poza murami więzienia, jedyne jasne chwile na tle ponurych dni. Z tej perspektywy szokował ją widok ludzi spacerujących w świetle słońca albo chowających się w cieniu drzew. Więźniowie obok niej stawali na palcach, śmiali się i krzyczeli lub machali do ludzi na zewnątrz, choć nikt stamtąd nie mógł ich ani widzieć, ani słyszeć.

Sovay przychodziła codziennie, czasem widziała Hugh, czasem Virgila, a niekiedy ich obu. Stali nawet i pół godziny, wpatrując się czujnie w okna. Była to dla niej spora pociecha, ale i powód do wielkich zmartwień. Jeśli przychodził tylko jeden z nich, zamartwiała się o tego drugiego i odwrotnie. Ale ktokolwiek się nie pojawił, zawsze mówiła ojcu, że był Hugh. Nienawidziła tych dni, kiedy żaden z nich nie przychodził. Codziennie lustrowała tłum w poszukiwaniu jeszcze jednej osoby i już niemal straciła nadzieję, kiedy pojawił się pewnego dnia w charakterystycznym granatowo-białym mundurze i wysokich butach wypolerowanych tak, że błyszczały w słońcu. Złote epolety i ozdoby wiszące u klap munduru połyskiwały, gdy zdjął z rozmachem kapelusz i uklonił się. Stał tak przez kilka minut, patrząc do góry. Trzymał dłoń na rękojeści szabli, na jego przystojnej twarzy nie widać było uśmiechu, tylko zmarszczone brwi.

- *Comme il est beau!* - uśmiechnęła się dziewczyna stojąca obok Sovay. - To twój kochanek?

- Tak - odpowiedziała bez zastanowienia i nadal się w niego wpatrywała.

Nie padło między nimi żadne słowo, ale wiedziała, że nim jest. Wpatrywała się w niego tak długo, aż miała wrażenie, że ściany więzienia topnieją, inni ludzie, drzewa i całe ogrody znikają w niebycie, a w wirującej wieczności czasu i miejsca zostaje tylko ona i on.

Tak mocno poddała się głębi jego spojrzenia, że nie zrozumiała, po co przyszedł. A pojawił się jako ostrzeżenie.

W więzieniu panował jeszcze jeden rytuał, tak samo niezmienny jak wystawanie pod oknami. Codziennie, około szóstej, cichły wszystkie rozmowy, zanikał wszelki ruch, a przez cele przetaczała się wielką falą złowroga cisza, zupełnie jakby cały budynek nagle wstrzymywał oddech. Przez wspólne pomieszczenia przechodził oficer, mijając ludzi, którzy zamierali niczym posągi. Ciche korytarze odbijały echem jego powolny krok. Idąc, czytał z rozłożonego arkusza „Gazety Popołudniowej” nazwiska tych, którzy następnego dnia mieli stanąć przed Trybunałem Rewolucyjnym.

Sovay usłyszała jego głos i przerwała to, co robiła. Jej ojciec usiadł na łóżku, bacznie nasłuchując. Wszyscy wsłuchiwali się z podobną uwagą, jakby wielkie skupienie miało zmienić słowa strażnika albo odesłać go tam, skąd przyszedł. Człowiek powłóczył jedną nogą i każdego wieczoru Sovay nasłuchiwała tego nierównego kroku, kiedy przechodził obok ich celi i dalej szedł korytarzem. Pewnego dnia zatrzymał się jednak przed ich drzwiami.

- Middleton!

Sovay i jej ojciec spojrzeli na siebie. Nadszedł moment, którego najbardziej się obawiali. Ojciec z trudem zwałóknął się z łóżka, zdejmując najpierw jedną nogę, a potem drugą. Ledwo chodził, ale już sięgał po spodnie.

- Pomóż mi, Sovay!

- Zostań, papo. Pójdę się dowiedzieć.

Otworzyła drzwi. Ojciec chwycił swoje laski i ruszył za nią.

- Kto z nas? - zapytała strażnika, który już minął ich celę. - Oboje nazywamy się Middleton. O kogo chodzi?

- To nie ma znaczenia! - zawołał jej ojciec. - Mnie! Weźcie mnie!

Strażnik zignorował jego wołanie i przejechał palcem po liście.

- Tu jest napisane, że kobieta - Sovay zauważyła jego czarny, złamany paznokieć, kiedy wskazywał jej nazwisko napisane czarnym atramentem. - To pani, obywatelko.

## ROZDZIAŁ 38

Na drzwiach jej celi napisano numer, który rano został wywołany. Wyszła z podniesioną głową i ramionami mokrymi od łez ojca. Pożegnała się z nim i chociaż nie mieli się już spotkać w tym życiu, nie odwróciła się. Potrzebowała całej swojej odwagi na to, co ją czekało.

Została zabrana z Pałacu Luksemburskiego razem z trzydziestoma innymi więźniami. Ludzi sądzono teraz grupowo, w tak zwanych *fournée*, w podobnych grupach, w jakich przywożono ich do gilotyny. Zostali umieszczeni w długim, krytym powozie ciągniętym przez cztery konie. Byli to ludzie różnego wieku i stanu, od młodej służącej, która wyglądała jeszcze jak dziecko, aż po starszego mężczyznę około osiemdziesiątki, którego brudna peruka i resztki aksamitnego stroju świadczyły o arystokratycznym pochodzeniu. Różnili się wszystkim, ale łączyło ich jedno: od momentu, w którym staną przed Trybunałem, zostaną im najwyżej dwadzieścia cztery godziny życia. To był doskonały przykład jednoczenia narodu. Wspólny los powodował zrównanie wszelkich różnic w statusie, stopniu i wieku. Praczka pocieszała hrabinę i odwrotnie, służący dzielił chleb ze swoim panem. Sovay uśmiechnęła się, dostrzegając ironię sytuacji. Zaproponowała kawałek chusteczki małej służącej i zapytała ją o imię.

- Yvette - powiedziała dziewczynka, ocierając łzy.

- Dlaczego tu jesteś?

Dziewczyna spojrzała na nią tępo. Nie miała pojęcia.

Sovay objęła ją ramieniem i przytuliła, dopóki dziewczyna nie przestała płakać.

Zabrano ich do holu w budynku Trybunału Rewolucyjnego, gdzie czekali już ludzie z innych więzień. Niektórzy byli oskarżeni o udział w tym samym spisku, choć nigdy wcześniej nie widzieli się na oczy. Wskazano im miejsca na ławach dla oskarżonych. Od dnia 22 miesiąca prairiała zwiększono liczbę ław, by można było sądzić jednocześnie sto osób.

Sovay zajęła miejsce mniej więcej w połowie rzędu i rozejrzała się dookoła. Sala przypominała salę sądową o tyle, że byli w niej urzędnicy i ława przysięgłych, ale poza tym była zupełnie inna. Wszędzie tkwili strażnicy, sędziowie siedzieli przy długim stole, nie było miejsca dla świadka, bo przecież żadnych świadków nie wzywano, ani typowej dla sądów ławy oskarżonych. Jaka ława pomieściłaby bowiem aż sto osób? Weszli członkowie ławy przysięgłych i usiedli po prawej stronie stołu

sędziowskiego. To także przypominać miało prawdziwy sąd, tyle że ława była zawsze taka sama i składała się z jakobińskich przyjaciół Robespierre'a i innych członków Komisji Bezpieczeństwa Powszechnego.

Kazano im wstać, a wtedy na salę wkroczyli sędziowie. Było ich pięciu, wszyscy ubrani oficjalnie na czarno, pod czarnymi kapeluszami z wielkimi czarnymi piórami mieli białe peruki. Na ich kapeluszach znajdowały się trójkolorowe kokardy, niczym naszywki z rangą, na wyłogach rozety, a na piersi wstęgi. Pokłonili się sądowi, w środku stał ich przewodniczący, z trójkolorowej zawieszki na szyi zwisały insygnia związane z pełnionym urzędem. Wszyscy usiedli, kiedy zadzwonił niewielkim dzwoneczkiem na znak, że posiedzenie się zaczęło. Delikatny dźwięk dzwonka zabrzmiał dziwnie w tej przygnębiającej sali, bardziej by pasował do wołania na podwieczorek niż przypieczętowania śmierci tylu osób.

Na salę wkroczył oskarżyciel, Fouquier-Tinville, człowiek budzący nienawiść i strach, bowiem to on wysłał już setki, jeśli nie tysiące ludzi na ścięcie. To na nim skupiał się wzrok obecnych, nie na sędziach. Był to wysoki mężczyzna, ubrany na czarno tak jak sędziowie i podobnie obwieszony trójkolorowymi odznakami. Na rękach miał czarne rękawiczki, a spod czarnych, żałobnych piór na kapeluszu wystawała czarna peruka. Rozejrzał się dokoła i wyciągnął rękę po arkusz z oskarżeniami. Zaczął je odczytywać monotonnym głosem, jakby była to czynność nudna i nużąca. Posiedzenie się rozpoczęło.

Więźniowie musieli wstawać po kolei, przedstawiać się i wysłuchać oskarżenia. Na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do zwykłych procesów sądowych. Nie było tu obrony ani świadków, a oskarżeni nie mieli prawa głosu. Ktokolwiek próbował się odezwać, był uciszany przez przewodniczącego kategorycznym *Tu n'a pas la parole*, „Nie ty teraz mówisz”. Ci, którzy nie posłuchali, byli wyprowadzani z sali, a wyrok zapadał pod ich nieobecność. Cała procedura powtarzała się przy każdym więźniu: najpierw odczytanie oskarżenia, potem ława osądzała, że więzień jest winny, Trybunał potwierdzał, przewodniczący ogłaszał wyrok: śmierć. W każdym przypadku.

Oskarżenia były różne: spiskowanie, przechowywanie zapasów, bycie podejrzanym, bycie podejrzanym o bycie podejrzanym, powiązanie z ludźmi, którzy byli podejrzeni, arystokratyczne pochodzenie, powiązania z arystokracją, arystokratyczny wygląd, zachowanie nieprzystające rewolucji, słowa wypowiedziane przeciwko rewolucji, mało rewolucyjne myśli, a nawet rozpacz po kimś, kto został skazany na gilotynę. Lista oskarżeń była długa, a one same zwykle banalne. Na tej podstawie można by skazać większość mieszkańców Paryża i całej Francji. Wyrok śmierci był nieunikniony. Nic nie można było powiedzieć na swoją obronę ani nic zrobić. Pewna śmiała kobieta, oskarżona o spiskowanie, zaprotestowała, że nawet nie była w więzieniu, w którym domniemany spisek powstał. Przewodniczący zadzwonił dzwoneczkiem, kobiecie kazano zamilknąć i poinformowano ją lodowato i niecierpliwie, że gdyby była w tym więzieniu, na pewno wzięłaby udział w spisku!

Sovay drgnęła, gdy usłyszała własne nazwisko. Wstała i spojrzała na Fouquier-Tinville'a, ale on chyba nawet nie zauważył jej obecności. Odczytał akt oskarżenia: „Osoba wyjęta spod prawa, angielski szpieg, wróg republiki”. Odwrócił się w stronę ławy, nie spodziewając się jakiegokolwiek reakcji, ale nagle nastąpiło jakieś zamieszanie i na sali znalazł się Virgil Barrett.

- Macie niewłaściwą osobę! - krzyknął do oskarżyciela. - To obywatelka Ameryki. Moja żona. Mam dokumenty, które to potwierdzają!

Było to próżne działanie, bez szansy powodzenia, ale przynajmniej nie czuła się opuszczona. Ciężar spadł jej odrobinę z serca, kiedy przekonała się, że nie wszyscy o niej zapomnieli.

- My mamy mnóstwo dowodów, które świadczą przeciwnie - powiedział Fouquier-Tinville i spojrzał spod kapelusza ku tyłowi pomieszczenia. Pod ścianą, w czarnym stroju, z białą peruką, kapeluszem z piórami i trójkolorową wstęgą, zupełnie jakby był sędzią trybunału, stał Dysart.

Przewodniczący wstał i uklonił się w jego kierunku.

- Mam przyjemność powitać na dzisiejszym posiedzeniu obywatela Dysarta z naszego londyńskiego oddziału.

Sovay nie była ani zszokowana, ani nawet zaskoczona widokiem Dysarta. Patrzyła prosto przed siebie, czując, jak opuszczają ją resztki nadziei, jakby wysane przez jego obecność. Zgasł w niej wszelki żar, przerodził się w szary popiół rezygnacji. Nie chciała pokazywać niczego po sobie, ale Dysart wyczuł jej klęskę tak, jak drapieżnik wyczuwa zapach krwi. Jego małe nozdrza rozszerzyły się, a on sam - choć tak rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje - uśmiechnął się do niej z wielkim triumfem. Ja wygrywam, ty przegrywasz, wydawały się mówić jego blade, pozbawione blasku oczy. W końcu udało mi się zemścić.

Sovay nawet nie usłyszała dźwięku dzwonka przewodniczącego.

- Straż! Wyprowadzić tego człowieka z sali! - rozkazał, pokazując na Virgila. - On i jego żona mogą spędzić ostatnią noc razem. Dodajcie go do jutrzejszej partii - powiedział i ogłosił wyrok na Sovay, nie konsultując się nawet z kolegami. - Śmierć. Kto następny?

## ROZDZIAŁ 39

Sovay została zabrana z Trybunału Rewolucyjnego do innej części Conciergerie w Paryżu - do więzienia. Najgorsze miejsce z możliwych. Przedsionek gilotyny, to tu zawożono wszystkich, którzy następnego dnia mieli się znaleźć na szafocie. Stała w kolejce razem z innymi więźniami i poprowadzono ich przez wielki dziedziniec. Niektóre kamienie bruku nadal stały na sztorc jak nagrobki w miejscach, gdzie pochowano zabitych podczas masakr wrześniowych. Wszędzie dookoła widać było zamknięte lochy pełne nieszczęśników z całej Francji.

Panowały tu zupełnie inne warunki. Strażnicy wyglądali ponuro i nie odzywali się, u ich stóp warczały duże mastiffy. Czekając wraz z innymi skazańcami przed biurem rejestrowym, Sovay rozglądała się w poszukiwaniu Virgila, ale nigdzie go nie widziała. Być może został przyjęty wcześniej. Jej dane zapisał urzędnik, który nie podnosił głowy znad swojej bazgraniny, a potem zabrano ją do osobnego pomieszczenia. Podszedł do niej mężczyzna z nożycami w rękę. Był to pomocnik kata, który wykonywał rytualne czynności przygotowujące więźniów do ścięcia. Najpierw obciął kołnierz jej sukni, a potem chwycił jej ciężkie, długie, ciemne włosy i zaczął ciąć. Ostrza nożyc wydawały dźwięk, który przypominał jej darcie jedwabiu. Patrzyła, jak loki opadają wirując na podłogę niczym kłęby dymu. Pomocnik kata obciął jej włosy tak, by szyja pozostawała goła, a ostrze gilotyny nie napotkało na swej drodze żadnego oporu. Kiedy skończył, zimna wilgoć więzienia przykleiła się jej do karku. Położyła na nim rękę, by poczuć dziwną krótkość włosów. Te, które pozostały, sprawiały wrażenie kożucha.

Procedura wykonania wyroku właśnie się rozpoczęła. Jakaś część jej osoby została tu na podłodze, zmieszana z innymi włosami różnej długości i koloru. Za chwilę zostanie zmieciona i wyrzucona, tak martwa jak ona sama będzie już następnego dnia. Pomocnik kata odsunął włosy nogą i sięgnął po miotłę.

Dozorca więzienny zaprowadził ją do celi. Zadrzała, mijając wilgotne, kamienne korytarze, po których płynęła woda i śliski szlam. Ze ścian wionęło zarazą. Sovay nie wierzyła, że przewodniczący Trybunału dotrzyma słowa, pewna, że uwaga rzucona w stronę Virgila była tylko przejawem okrutnego szyderstwa. Szła za strażnikiem z ciężkim sercem, przekonana, że tę ostatnią noc na ziemi przyjdzie jej spędzić w samotności, ale kiedy dozorca przekręcił wielki klucz w zamku i drzwi otworzyły się ze zgrzytem, ujrzała w środku czekającego na nią Virgila. Jemu też obcięli włosy i oderwali kołnierz od koszuli. Rzuciła mu się w ramiona, a on ją mocno przytulił. Strażnik nie miał żadnych wątpliwości, co do tego, że są małżeństwem.

- Bawcie się dobrze - powiedział ironicznie i zamknął drzwi. Jak tylko odszedł, oderwali się od siebie.

- Sovay - Virgil przytrzymał ją na odległość wyciągniętego ramienia, przyglądając się, czy się nie zmieniła. - I jak?

- Cieszę się, że cię widzę. Za to, co powiedziałeś w sali sądowej, wiedząc, że to pewna śmierć - pokręciła głową - jestem ci dozgonnie wdzięczna. To znaczy, do jutra.

- Warto było spróbować. Miałem nadzieję, że to coś da, zdarzały się już takie przypadki. Pomyłone osoby... - Virgil usiadł na brudnym sienniku i zanurzył twarz w dłoniach. - Zawsze warto próbować.

- Ale poświęciłeś swoje życie. Dla mnie. Dlaczego?

Rozejrzała się po starych, kruszących się kamieniach na ścianach, na których wyryto nazwiska, daty i modlitwy, rzędy małych kresek oznaczających mijający czas czy wreszcie rozpaczliwe wiadomości od nieszczęśników zamkniętych w tej celi. Ogarnęła ją nagła rozpacz.

- Nie ma nadziei! - powiedziała.

Virgil podniósł głowę i spojrzał na Sovay.

- Może jest - powiedział.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dużo się dzieje - wyjaśnił, po czym wstał z siennika i zaczął maszerować po celi. - Wczoraj byłem na Konwencie. Nie wszystko idzie po myśli Robespierre'a. Posunął się za daleko, zaczął wysuwać zawołane groźby pod adresem Talliena, Fouché, Vadiera, Barère'a i innych, sugerując, że jest gotów wystąpić przeciwko nim. Zawrzało w Konwencie. Tallien i jego sprzymierzeńcy są gotowi przyłączyć się do Fernanda i jego umiarkowanych przyjaciół. Doszliśmy do momentu, w którym będzie albo on, albo oni. Nie wiem, co wydarzyło się dzisiaj, ale być może rządy tyrana dobiegają końca.

Sovay usiadła na łóżku, ściskając swoje ręce dla dodania sobie otuchy. Nie będę robiła sobie nadziei. Nie mogę robić sobie nadziei, powtarzała w duchu jak litanie. Bo jak mogła mieć nadzieję, jeśli ludzie tacy jak Danton czy Desmoulins, pierwsi przywódcy rewolucji, sami siedzieli kiedyś w tym więzieniu, może nawet w tej samej celi co ona, bezradni w obliczu własnej śmierci?

- Nawet jeśli to prawda - spojrzała na Virgila - dla nas może być już za późno. Mamy umrzeć jutro - dodała, dotykając swojej ogołoczonej z włosów szyi. - Ci ludzie wypełnią rozkazy bez względu na to, co dzieje się w Konwencie. Rewolucja przerodziła się w wielką maszynę - kiedy raz się ją uruchomi, nie można jej zatrzymać.

- Być może, ale sprawa stanęła na ostrzu noża tak wąskiego jak ostrze gilotyny...

Przerwali mu strażnicy, którzy właśnie robili obchód, zamykali drzwi na klucz, wpychali ludzi z powrotem do cel, żądali zgaszenia światła i zapisywali kredą na drzwiach numery osób przeznaczonych na kolejny *fournée*.

Sovay spojrzała na ostatnie promienie światła dochodzące przez znajdującą się wysoko kratę.



- Szybciej tu wszystkich zamykają w celach niż w Pałacu Luksemburskim - powiedziała. - Co dzisiaj jest za dzień? Straciłam zupełnie rachubę.

- Dwudziesty siódmy lipca - 9 thermidora - powiedział i położył się na sienniku. - Chodź, czas spać.

Musiała zasnąć, bo nagle poczuła, że ktoś ją szarpie.

- Cii - twarz Virgila znajdowała się tuż przy jej twarzy. W ciemności widziała białka jego oczu. Virgil położył sobie palec na ustach. - Słuchaj!

Początkowo nic nie słyszała, ale potem, pośród nocnych dźwięków więzienia - zduszonego krzyku, chrobotu klucza, echa czyichś kroków - rozpoznała bicie dzwonu, delikatne, wyciszone odległością, ciche, ale wyraźne. Po chwili przyłączył się do niego kolejny dzwon, głośny i złowrogi, od którego drżały grube mury.

- To z Notre Dame. Dzwonią na alarm - Virgil zerwał się i podszedł do bladej poświaty, która biła z okna. - Wzywają mieszkańców do broni.

- Co to znaczy? - Sovay podeszła do niego.

Nasłuchiwali jeszcze, a wokół nich budziło się więzienie. Inni też słyszeli, bo pojawiło się poruszenie, słychać było skrzypienie sienników, ktoś biegł, inni krzyczeli. Ludzi ogarnęła panika, zaczęli lamentować, niektórzy walili w drzwi swoich cel, uderzali w kraty i ściany swoimi metalowymi naczyniami, bojąc się, że za chwilę zostaną wywleczeni, pobici, a ich gardła poderżnięte na dziedzińcu, tak jak to było w czasie masakr wrześniowych.

- Co teraz będzie?

Gdzieś ponad nimi rozległ się tętent kopyt i na dziedzińcu wjechali jeźdźcy, a potem słychać było łoskot przesuwanej armaty.

- Kto wie? - Virgil przysunął pryczę pod okno i wszedł na nią, próbując coś dojrzeć.

- Dawaj - podkasała suknię. - Stanę ci na ramionach.

Noc była ciemna, Sovay uznała, że jeszcze nie ma trzeciej. Ich cele znajdowały się niemal pod ziemią, więc miała wzrok na wysokości bruku. Widziała przestępujące z nogi na nogę konie, działa przetaczane w kierunku bramy. Z konia zsiadł oficer i ruszył w stronę wejścia, a jego ostrogi podskakiwały i brzęczały na kamieniach. Jednak nie dostał tego, po co szedł - cokolwiek to było - bo po kilku minutach wrócił i z powrotem wsiadł na konia. Brama otworzyła się i wyjechał, a za nim potoczyły się armaty. Sovay zastanawiała się przez chwilę, czy to nie był Léon.

- Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytała, schodząc mu z ramion.

- Nie sądzę, że będą nas wywlekać z cel i masakrować. W każdym razie jeszcze nie teraz - powiedział i potarł jasny zarost na brodzie, a potem zaczął chodzić po celi, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie do miasta. - Może być różnie, może oznacza to, że Robespierre i jego przyjaciele zostali aresztowani. A jeśli tak, ten oficer mógł szukać dla nich więzienia.

- A armaty?

- Miejmy nadzieję, że Hanriot nie chce ich użyć przeciwko Konwentowi. To sprzymierzeniec Robespierre'a. Może twój przyjaciel Léon się z nim rozprawi. Léon skupił wokół siebie inne bataliony, żeby można było uderzyć, kiedy nadejdzie właściwa pora. To dobry człowiek, mądry, odważny i oddany ojczyźnie. Jeśli cokolwiek ma zostać ocalone z ruin rewolucji, to zrobią to tacy ludzie jak on.

- Dlaczego twierdzisz, że to mój przyjaciel? - na samo wspomnienie tego imienia serce zabiło jej szybciej i poczuła, że się rumieni.

- A nie jest? - uśmiechnął się Virgil. - Może się mylę, ale on przysięgał, że się z tobą ożeni, jeśli cię stąd wydostanie. To małżeństwo to był jego pomysł. Kiedy dowiedział się, że staniesz przed Trybunałem, chciał iść i powiedzieć, że jesteście parą małżeńską. Chciał cię uratować albo podzielić twój los. Jednak to ja zająłem jego miejsce. Jak sama zauważyłaś, był to gest bez większych szans na powodzenie, a w ogólnym rozrachunku jego życie było ważniejsze. On może działać więcej, żeby zatrzymać to szaleństwo.

Na korytarzu dało się słyszeć poruszenie. Virgil i Sovay podeszli do drzwi i nasłuchiwali. Straż robiła dodatkowy obchód, sprawdzając zamknięcia cel. Byli jeszcze bardziej opryskliwi niż zwykle, niektórzy przestraszeni, ich psy czekały i skomlały, jakby zaraziły się od swoich panów niepokojem.

Zakazano wszelkich rozmów z więźniami, ale nie wszyscy strażnicy byli po stronie Robespierre'a. Stopniowo po więzieniu zaczęły rozchodzić się wieści w sposób, który skazani określali jako szept wzdłuż ścian. Z nastaniem świtu w smutnych i brudnych celach zapanowała radość. Oto nadchodził nowy dzień: dzień bez Robespierre'a.

Nikt nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło. Jedni mówili, że nie żyje, inni - że został uwięziony, jeszcze inni twierdzili, że jest ranny. W każdym razie dla wszystkich był to koniec panowania terroru. Niektórym trudno było uwierzyć w to, co słyszeli i rano nasłuchiwali łoskotu wózków mających zawieźć ich na szafot. Brama wciąż była zamknięta, strażnicy nie przyszli sprawdzić wypisanych kredą numerów, a pomocnicy kata nie związali nikomu rąk. W więzieniu panował spokój, jakby nikt nie miał pojęcia, co robić.

Kiedy strażnicy zaczęli w końcu roznosić menażki, czyli *gamelles*, nie chcieli nic powiedzieć, ale otworzyli drzwi cel i pozwolili więźniom wyjść do wspólnych sal.

Wszyscy zaczęli tłoczyć się przy kratkach, chociaż niewiele było widać. Wreszcie otworzyła się brama. Wjechał powóz, a naczelnik więzienia wrócił z twarzą pobladłą od szoku, eskortowany przez gwardzistów. Na ich czele stał Léon.

Przemaszerował przez korytarz, a za nim naczelnik.

- Nie mam rozkazów - protestował mężczyzna.

- Ale ja mam, obywatelu - Léon pomachał mu dokumentami przed oczami. - I mam też armaty wycelowane w to miejsce. Jeśli nie wyda mi pan tych więźniów, pożałuje pan. Gdzie oni są?

Został otoczony skazańcami błagającymi o uwolnienie z okropnego więzienia.

- Wszystko we właściwym czasie, obywatele. Na was też przyjdzie kolej.

- Czy to prawda? - ktoś krzyknął. - Czy to prawda, że tyran upadł?

- Tak jest! - powiedział Léon i rozejrzał się po twarzach. - To prawda. Robespierre, Couthon, Saint-Just w tej chwili stoją przed Trybunałem Rewolucyjnym.

Na tę wiadomość zareagowano gorzkim śmiechem i aplauzem.

- A inni?

- Nie żyją lub umierają, jak to się wkrótce stanie z Nieprzekupnym. Próbował się zabić, ale udało mu się tylko odstrzelić sobie pół szczęki. Nie martwcie się, przyjaciele, nie ucieknie przed gilotyną. Wkrótce odzyskacie wolność. Teraz mam rozkaz uwolnienia tylko dwóch więźniów - to mówiąc, odwrócił się w stronę, z której przez tłum przeciskali się Virgil i Sovay. - Mają zostać natychmiast wypuszczeni - powiedział, chwytając Sovay w ramiona. - Zwłaszcza ta dziewczyna!

Pocałował Sovay, a owacje nasiliły się. Więźniowie zaczęli klaskać, Virgil stał, uśmiechając się szeroko, jakby był družbą. Nawet strażnicy więzienni przyłączyli się do radosnych okrzyków. Rządy terroru zostały przerwane. Okropne mury tego mrocznego więzienia rzadko kiedy widywały taką radość.

Po wyjściu z więzienia Sovay ujrzała zupełnie inny Paryż. Ulice pełne były ludzi świętujących odzyskaną wolność śmiechem, śpiewem, winem i tańcem. Przetrwali. Przeżyli. Conciergerie znajdowało się blisko katedry Notre Dame. Drzwi do kościoła były otwarte, a strumień ludzi, głównie kobiet, płynął do środka, by podziękować Bogu lub rozumowi - cokolwiek przetrwało.

Tego samego dnia Sovay poszła na Place de la Révolution w towarzystwie Léona, Virgila i Hugh oraz jego przyjaciela Fernanda. Gilotyna znowu stanęła w środku miasta i została złożona ponownie na tę szczególną okazję. Na ulicach roili się ludzie. Było ich tylu na placu i okalających go ulicach, ilu przyszło niegdyś oglądać egzekucję Ludwika XVI. Teraz przybyli, by zobaczyć koniec innej epoki.

Okrzyki i wiwaty znaczyły powolną drogę wozów jadących z więźniami. Kiedy ostatni z nich ukazał się na placu, podniosła się wielka wrzawa. Skazańcy, jeden po drugim, wchodzili na szafot i kładli głowy na ramie, tak jak wielu przed nimi. Za każdym razem, gdy ostrze gilotyny opadało z ciężkim świstem, tłum wydawał się wstrzymywać oddech, by wydać z siebie okrzyk radości, kiedy głowa wpadała do kosza, a krew płynęła leniwą strugą.

W końcu na szafocie pojawiła się drobna postać Robespierre'a z obandażowaną twarzą i niebieskim surdudem poplamionym krwią. Zdjęto z niego płaszcz, a kiedy kat rozerwał bandaż przytrzymujący przestrzeloną szczękę, plac przeszył wysoki, zwierzęcy skowyt. Jeden wrzask bólu tego, który przyniósł cierpienie tylu ludziom. Głowa Robespierre'a spoczęła w otworze gilotyny i ostrze spadło. To wszystko nie trwało nawet minuty. Tłum miał wreszcie swoją zemstę.

Tego dnia odbyły się jeszcze inne egzekucje, ale Sovay miała już dosyć śmierci. Odeszła, trzymając się swojego ukochanego, i nie patrzyła, jak ścinają rozmaitych sojuszników i sprzymierzeńców tyrana, w tym także Anglika, niejakiego Dysarta.

TLR

# POSŁOWIE

Czerwiec 1816 r.

- Pańska siostra nigdy nie wróciła do Anglii?

- Nie.

Ta historia zaczęła się portretem pędzla sir Jonathana Trentona, stojącym teraz na piętrze, a kończyła miniaturą, którą sir Hugh nam właśnie pokazywał. Opowieść ciągnęła się przez kilka dni, dzięki czemu dobrze bawiliśmy się podczas wyjątkowo paskudnej pogody.

- Wysłała za męża za Léona, przystojnego kapitana, bohatera rewolucji. Po tych ciężkich i surowych czasach Paryż oszalał. Jedną wielką zabawą, przyjęcia, wieczorki, teatr, opera. Sovay i jej mąż byli rozchwytywani. Nazywali ją La Minerve. To portret, który został namalowany mniej więcej w tamtym czasie.

Na obrazie widać było uderzająco piękną młodą kobietę w jasnożółtej sukni. Siedziała na szeslongu z głową odwróconą *à l'odalisque*, a ciemne, krótkie loki podkreślały odkryte ramiona i długą szyję.

- Taka krótka fryzura była bardzo modna. Nowa moda wprowadzona przez *merveilleuses*, te proste suknie wzorowane na stylu greckim i rzymskim, bardzo do niej pasowała. Wszystko *à la mode* - zaśmiał się Hugh. - Ale nigdy nie przyjęła najbardziej ekstremalnej ozdoby thermidorów - cienkiej czerwonej wstążki zawiązanej na szyi.

- Żyje jeszcze?

- Oczywiście! Mieszka w Wenecji, w *palazzo* przy Canal Grande. Teraz, kiedy zakończyła się wojna z Napoleonem, mam ochotę ją odwiedzić - powiedział i rozejrzał się dokoła. - Może wszyscy tam pojedziemy? Przynajmniej uciekniemy przed tą okropną pogodą.